Library of the
MEDICAL
SCHOOL

I. 43. 149 (A)

NĘDZNICY.

III.

Wiktor Hugo.

NĘDZNICY.

CZĘŚĆ DRUGA.

COZETTA.

III.

WARSZAWA.
Nakład Księgarni S. Bukowieckiego
Marszałkowska № 100.
1900.

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001002734574

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Февраля 1899 года.

I. 43. 149

[t.] 3-4

A

1942 I) 834 Inc. Pol.

CZĘŚĆ DRUGA

COZETTA.

KSIĘGA I.

WATERLOO.

I.

Co się spotyka idąc z Nivelles.

W roku zeszłym (1861) pięknego poranku majowego, przechodzień opowiadający tę historję, zdążał z Nivelles do La Hulpe. Podróżował pieszo. Szedł szerokim krętym gościńcem żwirowym, wysadzonym drzewami po obu stronach, to wznoszącym się w górę, to opadającym na dół niby olbrzymie fale. Minął Lillois i Bois-Seigneur Isaac. Na stronie zachodniej ujrzał dzwonnicę kościoła w Braine Alleud, krytą dachówką i mającą kształt przewróconej misy. Zostawił w tyle lasek na wzgórzu, a z boku poprzeczną ścieżkę, przy której stał słup spróchniały z napisem: *Dawna granica № 4*, i karczmę: *Pod czterema wiatrami. Echabeau*; *kawiarnia.*

Uszedłszy ćwierć mili od karczmy, spuścił się w dolinę, gdzie przepływa woda pod arkadą, wyrobioną w ziemi, usypanej na drodze. Kępka drzew rzadkich, pięknie zieleniejących, zamykała dolinę z jednej strony gościńca, a z drugiej rozpraszała się w wdzięcznym nieładzie do Braine Alleud.

Na prawo przy drodze stała austerja, wóz na czterech kołach przed wrotami, wiązka tyczek od chmielu, pług, kupa suchego chrustu przy żywym płocie; z kwadratowego dołu dymiło wapno niegaszone,

długa drabina wspierała się o szopę słomą pokrytą. Młoda dziewczyna grabiła w polu, a obok niej wiatr unosił wielki afisz żółty, zapewne jakiego widowiska jarmarkowego. Przy austerji kałuża, na której żeglowała flotylla kaczek, ścieżka źle wybrukowana ginęła w krzakach. Przechodzień skierował tam kroki.

Uszedłszy sto kroków wzdłuż muru z piętnastego wieku, ozdobionego spiczastym szczytem z cegieł przekładanych, stanął przed ogromnemi wrotami z kamienia; kabłąkowatego kształtu, z prostopadłą wystawką w ciężkim stylu z czasów Ludwika XIV; po obu stronach dwa płaskie medaljony. Nad wrotami wznosiła się poważna facjata; mur prostopadły do niej dotykał prawie wrót, tworząc z niemi kąt ostry. Na łące przed wrotami leżały trzy brony, przez które tu i owdzie wysuwały główki piękne kwiaty majowe. Drzwi były zamknięte: składały się z dwóch skrzydeł zniszczonych ze starą zardzewiałą klamką.

Słońce świeciło rozkosznie; gałęzie poruszały się tem lekkiem drżeniem majowem, które zda się nie wiatr sprawia, ale gniazda ptasie, drgające na gałązkach. Jakaś dzielna ptaszyna, prawdopodobnie rozkochana, zapamiętale wyśpiewywała na wyniosłem drzewie.

Przechodzień pochylił głowę, wpatrując się w kamień po prawej stronie drzwi, w którym było okrągłe wydrążenie. W tej chwili drzwi się otwarły i wyszła wieśniaczka.

Widząc tak wpatrującego się przechodnia, rzekła:

— To kula francuzka zrobiła tę dziurę.

I dodała:

— Ta druga dziura wyżej przy gwoździu jest od kuli z wielkiej śmigownicy. Kula nie przebiła drzewa.

— Jak się nazywa to miejsce? — spytał przechodzień.

Hougomont — odpowiedziała wieśniaczka.

Przechodzień wyprostował się. Postąpił kilka kroków i patrzył po nad płoty. Ujrzał przez drzewa na widnokręgu wzgórze, a na niem coś podobnego do lwa.

Był na polu bitwy pod Waterloo.

II.

Hougomont.

— Hougomont — to miejsce grobowe; początek przeszkody, pierwszy opór, jakiego doznał pod Waterloo ów wielki drwal Europy, którego zwano Napoleonem; pierwszy sęk pod uderzeniem jego siekiery.

Dawniej był tu zamek — dziś prosty folwark. Hougomont dla starożytnika brzmi *Hugomont*. Dwór ten zbudował Hugo, pan na Somerelu, ten sam, który uposażył szóstą kapelanją opactwo Villers.

Przechodzień pchnął drzwi, potrącił łokciem o stary powóz w sieni i wyszedł na podwórko.

Uderzyła najprzód jego oczy brama, zbudowana w kształcie łuku, dokoła obnażona z muru. Często gruzy przybierają postać pomnikową. Przy łuku druga brama w murze, z węgłami z czasów Henryka IV; przez nie widać było drzewa ogrodu. Obok tej bramy śmietnik, motyki i łopaty, kilka wozów, stara studnia z żelaznym kołowrotem, skaczące źrebię, indyk napuszony, kaplica z nizką dzwonnicą, kwitnąca grusza na tarasie przy kaplicy: oto podwórko, o którego zdobyciu marzył Napoleon. Gdyby dostał ten kawałek ziemi, możeby posiadł świat cały. Dziś kury rozbijają tu dziobami ziemię. Słyszysz warczenie; duży kundel wyszczerza zęby, zastępując Anglików.

Rzeczywiście Anglicy byli tu godni podziwu.

Cztery kompanje gwardji Cooke, przez siedem godzin stawiały opór wściekłemu napadowi całej armji.

Hougomont, widziany na mapie, na planie topograficznym, przedstawia nierówny prostokąt, którego jeden kąt jest jakby nacięty. W tym to kącie jest brama południowa przy murze, z którego strzały sięgały ją zblizka. Hougomont ma dwie bramy; na południe, w zamku, i na północy, w folwarku. Napoleon wysłał przeciw Hougomont swego brata Hieronima; tu zatrzymały się dywizje Guilleminot, Foy i Bachellus; nadaremnie użyto prawie cały korpus Reille'a; kule Kelermanna wyczerpały się na ten heroiczny kawał muru. Nie uważano zbytecznem wysłać całą brygadę Baudoina dla natarcia na Hougomont od północy; brygada Soye'a ledwie naruszyła go od południa, ale zdobyć nie mogła.

Budynki folwarku otaczają podwórko od południa. Kawał drzwi północnych, strzaskany przez Francuzów, wisi na murze. Są to cztery deski przybite gwoździami do dwóch poprzecznych; dziś jeszcze widzisz wyraźne kresy narąbane w czasie ataku.

Wrota północne, wyważone przez Francuzów, dziś zesztukowane deską, zastępującą część zawieszoną na murze, otwierają się na łączkę; wycięto je kwadratowo w murze, zamykającym podwórko od północy. Są to proste wrota fornalskie, jak we wszystkich folwarkach, złożone z dwóch skrzydeł, prostych, drewnianych; dalej ciągną się łąki. Wściekła była walka o tę bramę. Długo po wojnie widziano na murze nad bramą dziwne piętna rąk zakrwawionych. Tu zabity został Bauduin.

Czuć jeczcze na tem podwórku burzę wojenną; zgroza jej jest widoczną, skamieniał zgiełk bojowy, żyją tu, umierają, zda ci się, to bylo wczoraj. Konają mury, padają trupem kamienie, wyłomy jęczą, dziury są ranami, drzewa pochylone i drżące zdają się chcieć uciekać.

Podwórko to w r. 1815 było lepiej zabudowane, niż

BIBLIOTEKA NARODOWA

dzisiaj. Budynki, które później zwalono, tworzyły szańce i kąty węgielnicy.

Tu zabarykadowali się Anglicy, Francuzi weszli ale utrzymać się nie mogli. Obok kaplicy pawilon, jedyny szczątek zamku Hugomont, stoi oszarpany, rzekłbyś z rozpłatanym brzuchem. Zamek przemieniono w wieżycę, a kapliczkę w basztę. Tu była rzeź najstraszniejsza. Francuzi, do których ze wszech stron strzelano z za muru, z poddaszy, z piwnic, ze wszystkich okien, przez wszystkie szczeliny w kamieniach, nanieśli faszyn i podłożyli ogień pod mury i ludzi; na kartaczowanie odpowiedzieli pożogą.

W zniszczonem skrzydle zamku widzisz przez okna opatrzone żelaznemi kratami, rozwalone pokoje apartamentów korpusu; w tych pokojach przyczaiły się gwardje angielskie; osada schodów rozłupana od dołu do dachu, ma postać wnętrza muszli rozbitej. Schody są o dwóch piętrach; Anglicy oblężeni na schodach i skupieni na wyższych stopniach, odcięli niższe. Są to szerokie tafle z siwego kamienia, teraz leżące między chwastem. Z dziesięć stopni trzyma się jeszcze muru; na pierwszym z nich wycięty jest obraz trójzęba. Te stopnie niedostępne, nadzwyczaj są trwałe w osadzie. Reszta podobną jest do szczęki bez zębów. Stoją jeszcze dwa stare drzewa; jedno martwe, drugie zranione u pnia, zieleni się w kwietniu. Po roku 1815 gałęzie jego rozrosły się i wdarły między schody.

Mordowano się w kaplicy. Wnętrze dziś spokojne, ma dziwną postać. Od czasu rzezi nie odprawiono w niej Mszy S-tej. Ale pozostał ołtarz z drzewa, grubej roboty, oparty na prostym kamieniu. Cztery ściany pobielone wapnem, drzwi naprzeciw ołtarza, dwa okienka kabłąkowate, na drzwiach wielki krzyż drewniany, nad krucyfiksem kwadratowe okienko zatkane wiązką słomy, w kącie na ziemi stare ramy od okien, z wybitemi szybami: taką jest dziś kaplica. Przy ołtarzu stoi statua drewniana Ś-ej Anny z piętnastego wieku; głowę dzieciątka Jezus urwała kula. Francuzi przez chwilę panowie tej

kaplicy, wyparci z niej, podłożyli ogień. Płomienie ogarnęły ruderę i kaplica stała się piecem ognistym; spaliły się drzwi, spaliła podłoga, ale Chrystus z drzewa się nie spalił. Ogień pożarł palce, zostawił jednak poczerniałe nogi, i dalej nie sięgnął. Cud, powiadają wieśniacy okoliczni. Dzieciątko Jezus z uciętą głową nie było tak szczęśliwe jak Chrystus.

Ściany pokryte są napisami. Blisko stóp Chrystusa czytasz nazwisko: *Henquinez*. Dalej inne: *Conde de Rio Major. Marques y Marquesa de Almagro (Habana)*. Przy nazwiskach francuzkich stoją wykrzykniki, oznaki gniewu. Narody tu znieważały się wściekle. Pobielono ściany w r. 1849.

U drzwi tej kaplicy podniesiono trupa trzymającego topor w ręku. Tym trupem był podporucznik Legros.

Wychodząc z kaplicy widzisz na lewo studnię; jest ich dwie na podwórku. Pytasz dlaczego nie ma wiadra i kołowrotu przy jednej? Bo już nie czerpią z niej wody. Dla czego nie czerpią z niej wody? Bo studnia pełna skieletów.

Ostatni który zaczerpał wodę z tej studni, nazywał się Wilhelm Van Kylsom. Wieśniak ten mieszkał w Hougomont i był ogrodnikiem. Dnia 18 czerwca 1815 r. jego rodzina uciekła i skryła się w lesie.

Las dokoła opactwa Villers przez kilka dni i nocy był schronieniem nieszczęśliwej ludności rozproszonej. Dziś jeszcze pozostały ślady tej siedziby w lesie; spalone pieńki drzew znaczą miejsce biednych legowisk w gęstwinie.

Wilhelm Van Kylsom pozostał w Hougomont „pilnować zamku," i skrył się w piwnicy. Anglicy go wynaleźli. Wojownicy wyciągnęli z kryjówki i bijąc płazem pałaszy wylękłego człeka, kazali sobie usługiwać. Mieli pragnienie; Wilhelm przynosił im wodę, którą czerpał ze studni. Wielu piło po raz ostatni. Studnia z której piło tylu zmarłych, musiała także umrzeć.

Po bitwie spieszono się z pochowaniem trupów. Śmierć ma swój właściwy sposób niepokojenia zwycięzców; w ślad za chwałą posyła zarazę. Tyfus jest dodatkiem do tryumfu. Studnia była głęboką, zrobiono więc w niej grób. Wrzucono do niej trzysta umarłych, może nawet ze zbytecznem pośpiechem. Czy wszyscy byli umarli? legenda przeczy. Zdaje się, że następnej nocy po pogrzebie, słyszano wychodzące ze studni słabe głosy wołające ratunku.

Studnia ta jest osamotnioną w środku podwórka. Trzy mury pół z kamienia, pół z cegły, złożone jak skrzydła parawanu, w kształcie kwadratowej wieżyczki, otaczają z trzech stron studnię; z czwartej studnia nie jest zasłonioną i z tej strony czerpano wodę. Na murze u spodu dostrzegasz wydrążenie w kształcie wolego oka; może dziura od granata. Wieżyczka studni miała sufit, z którego zostały tylko belki; żelaza spajające mur na prawo, mają postać krzyża. Pochylasz głowę, spojrzenie ginie w głębokim murowanym z cegły cylindrze, który wypełniają nagromadzone ciemności. Wszystko dokoła studni wraz z podstawą murów znika w bujnem zielsku i chwaście.

W tej studni nie ma przodu z szerokiej tafli kamiennej, znajdującego się wszędzie przy studniach w Belgji. Zamiast tafli leży deska na pięciu lub sześciu pieńkach sękatych i wyschłych, niby wielkich kościach. Niema dziś ani wiadra, ani łańcucha, ani kołowrotu; pozostała jeszcze miednica w którą ścieka woda deszczowa; niekiedy ptak z lasów sąsiednich napije się z niej i odleci.

Jeden jest tylko dom mieszkalny w tych zwaliskach; dom folwarczny. Drzwi jego wychodzą na podwórko. Na tych drzwiach, obok pięknej blachy gotyckiego zamku, jest klamka żelazna rznięta w liście. W chwili gdy porucznik hanowerski Wilda chwytał za tę klamkę by uciec na folwark, saper francuzki uciął mu rękę toporem.

Dziadem rodziny obecnie zajmującej dom był ów stary ogrodnik Van Kylsom oddawna zmarły. Kobieta z siwemi włosami powiedziała nam: — Byłam tu: miałam trzy lata. Moja siostra starsza bała się i płakała. Zaniesiono nas do lasu. Matka trzymała mię na rękach. Przyłożywszy ucho do ziemi słuchali. Ja przedrzeźniałam huk armatni wołając: *bum, bum!*

Jakeśmy powiedzieli, brama na lewo w podwórku wychodzi na ogród owocowy.

Ogród jest straszny.

Składa się z trzech części, rzecby można z trzech aktów. Pierwszą stanowi ogród, drugą sad, trzecią lasek. Trzy te części mają wspólny mur od strony budynków zamkowych i folwarcznych, na lewo żywy płot, na prawo mur, i mur w głębi z kamienia. Najprzód wchodzi się do ogrodu. Grunt ma pochyły, spuszczający się, wysadzony krzakami porzeczek, zarosły chwastem, zamknięty pomnikowem ogrodzeniem z ciosowego kamienia z grubemi słupami. Był to ogród pański w pierwszym stylu francuzkim, który uprzedził styl Le Nôtre'a. Dziś same ciernie i gruzy. Na szczytach pilastrów globusy podobne do kul kamiennych. Czterdzieści trzy słupy stoją jeszcze na podstawach, inne leżą w trawie. Prawie wszystkie od kul poszczerbione. Jeden słup strzaskany spoczywa na klocu jak złamana noga.

W tym to ogrodzie, położonym w dole pod sadem, sześciu woltyżerów 1-go pułku lekkich strzelców, wdarłszy się doń i niemogąc się wydostać, osaczeni zostali jak niedźwiedzie w norze, i stoczyli walkę z dwoma kompanjami hanowerskiemi, z których jedna uzbrojoną była w karabiny. Hanowerczycy stali na słupach i strzelali z góry. Woltyżery odpowiadali na ogień z dołu, sześciu przeciw dwustu; i nieustraszeni, mając jedyną zasłonę w krzakach porzeczkowych, bronili się dobry kwadrans nim padli nieżywi.

Wstępujesz na kilka schodów, i z ogrodu przechodzisz do właściwego sadu owocowego. Tu na prze-

strzeni kilku sążni kwadratowych tysiąc pięćset ludzi poległo w niespełna godzinie. Mur zdaje się gotowym na nowo rozpocząć walkę. Widzisz jeszcze trzydzieści ośm strzelnic w nierównych wysokościach wybitych w murze przez Anglików. Przed szesnastą spoczywają dwa grobowce angielskie z granitu; ztąd rozpoczął się główny atak. Wysoki żywy płot zasłania ten mur zewnątrz; Francuzi sądząc że mają tylko płot przed sobą, przeleźli go i napotkali mur, przeszkodę i zasadzkę, gwardje angielskie w tyle, trzydzieści ośm strzelnic razem zionących ogień, grad kul i kartaczy; brygada Soye rozbiła się o tę przeszkodę. Taki był początek Waterloo.

Niemniej jednak Francuzi zdobyli ogród owocowy. Nie mając drabinek wdarli się na mury czepiając szczelin paznokciami. Walczyli pod drzewami człowiek z człowiekiem. Cała trawa była krwią zbroczona. Tu wycięto do jednego siedmset ludzi Nassauskiego bataljonu. Z zewnątrz mur poszarpany kartaczami z dwóch baterji, które Kellermann wystawił naprzeciw. I ten ogród jak inne, nie jest nieczuły na powaby wiosny. Znajdziesz w nim jaskry i stokrotki, bujną trawę, gdzie konie fornalskie się pasą, na sznurach włosianych między drzewami zawieszonych schną chusty, przechodzień schyla głowę, stąpając po ugorze, zapadając nogą w kretowiska. Pośród trawy widzisz leżący pień wyrwany z korzeniem. Wsparty na nim major Blackman wyzionął ducha. Pod wyniosłem drzewem sąsiedniem padł trupem niemiecki jenerał Duplat z rodziny francuzkiej, która opuściła ojczyznę w czasie odwołania edyktu Nantejskiego. Obok chyli się ku ziemi chorowita jabłoń obandażowana słomą i gliną. Prawie wszystkie jabłonie postarzały przed czasem; bo też każda ma w łonie kule lub kartacze. Mnóstwo w tym ogrodzie skieletów drzew umarłych. Kruki latają po gałęziach, a w głębi — las pełen fijołków.

Bauduin zabity, Foy raniony, pożoga, mordy i rzezie, wylane strumienie krwi angielskiej, niemieckiej i francuzkiej wściekle pomięszanej razem, studnia zawalona trupami, pułki Nassauski i Brunszwicki w pień wycięte, Duplat zabity, Blackman zabity, gwardje angielskie zdruzgotane, dwadzieścia bataljonów francuzkich na czterdzieści korpusu Reilla zdziesiątkowane, trzy tysiące ludzi w tych tylko zwaliskach Hougomont, porąbani, wyrżnięci, wystrzelani, spaleni; — i to wszystko by dziś wieśniak powiedział do podróżnego: — *Daj mi pan trzy franki, a jeśli zechcesz wytłomaczę panu co to było Waterloo!*

III.

18 czerwca 1815 roku.

Korzystając z przywilejów powieściopisarza, wrócimy wstecz do r. 1815, do czasu nawet nieco wyprzedzającego epokę w której rozpoczyna się historja opowiedziana w pierwszej części tej książki.

Gdyby nie spadł deszcz w nocy z 17 na 18 czerwca 1815 r., inną byłaby przyszłość Europy. Kilka kropli wody więcej lub mniej zachwiały Napoleona. Żeby Waterloo było końcem Austerlitz, Opatrzność użyła trochy deszczu, chmura przeciągająca nie w porę po niebie, dostateczną była do obalenia świata.

Bitwa pod Waterloo nie mogła się rozpocząć przed południem i to dozwoliło Blücherowi zdążyć na czas na plac boju. Dlaczego? bo ziemia była wilgotną. Należało czekać aż obeschnie, by mogła działać artylerja.

Napoleon był oficerem artylerji, i zawsze się to w nim przebijało. Wszystkie jego plany bitew układane były dla armat. Obrócić artylerję na punkt dany, oto sekret jego zwycięztwa. Ze strategją nieprzyjacielskiego jenerała obchodził się jak z cytadelą, robił w niej wyłomy jak w murach fortecznych. Na słabe punkta ciskał grad kartaczy; armatą rozpoczynał i kończył batalje. Było coś strzeleckiego w jego genjuszu. Rozbić czworobok, rozsypać w proch pół-

ki, złamać linje, zgnieść na miazgę i rozproszyć massy, oto najważniejsze zadanie, bić, bić, bić bezustanku; tę robotę powierzał kuli. Metoda straszna, która w połączeniu z genjuszem, czyniła niezwyciężonym przez lat piętnaście tego posępnego atletę zapasów wojennych.

Dnia 18 czerwca 1815 r. tym pewniej rachował na artylerję, że po jego stronie była przewaga liczby. Wellington miał tylko sto pięćdziesiąt dziewięć armat, Napoleon dwieście czterdzieści.

Przypuściwszy grunt suchy, artylerja mogłaby ruszać, bitwa rozpoczęłaby się o szóstej rano, i byłaby wygraną i skończoną o drugiej, na trzy godziny przed zmianą, jaką sprawiło przybycie Prusaków.

Ile było winy Napoleona w przegranej bitwie? czy sternikowi przypisać trzeba rozbicie okrętu?

Czy do widocznego opadania sił fizycznych w Napoleonie przyłączało się w owym czasie osłabienie ducha? czy dwudziestoletnie boje zużyły tę klingę jak pochew, duszę jak ciało? Czy w wodzu przebijał się już weteran; słowem, czy gasnął ten genjusz, jak utrzymuje wielu znakomitych historyków? czy wpadał w szaleństwo, usiłując przed sobą samym ukryć swoje osłabienie? czy zaczynał się wahać i błąkać na los szczęścia? stawał się li nieświadomym niebezpieczeństwa, rzecz niedarowana w wodzu? czy w tej klasie wielkich ludzi cielesnych, których nazwaćby można olbrzymami czynu, jest pora w życiu gdy stępia się wzrok genjuszu? Starość nie ma władzy nad genjuszami ideału; dla Dantów i Michałów Aniołów starzeć znaczy rosnąć; a dla Annibalów i Bonapartych, może znaczy maleć i niedołężnieć? Czy Napoleon stracił bezpośredni zmysł zwycięztwa? czy spadł tak nisko, że nie poznawał szkopułu, nie odgadywał zasadzki i nie dostrzegał zapadającego się brzegu przepaści? zbrakłoż mu przeczucia katastrofy? On, co niegdyś znał wszystkie drogi tryumfu i z wysokości błyskawicznego rydwanu swego ukazywał je palcem wszechwładnym,

czyż teraz znękany, ze złowrogiem zaślepieniem wiódł ku przepaściom tłumny zaprzęg legjonów? czy go porwał szał ostateczny w czterdziestym szóstym roku życia? czyż ten tytaniczny woźnica losu stał się już tylko olbrzymim wartogłowem?

Nie sądzimy, by tak było.

Zdaniem wszystkich, plan bitwy jego był arcydziełem. Iść prosto do środka linji sprzymierzonych, zrobić wyłom w nieprzyjacielu, przeciąć go na dwoje, pchnąć połowę angielską na Hal, a połowę pruską na Tongres, zrobić z Wellingtona i Blüchera dwa odłamki, zdobyć Mont-Saint-Jean, zająć Bruksellę i pchnąć Niemców w Ren, a Anglika w morze: wszystko to miał na celu Napoleon w tej bitwie. O reszcie pomyślałby później.

Nie potrzebujem mówić, że nie mamy pretensji pisać historji bitwy pod Waterloo; jedna z początkowych scen dramatu, który opowiadamy, łączy się z tą bitwą; ale jej historja nie jest naszym przedmiotem; zresztą historja ta już jest napisaną po mistrzowsku z dwóch różnych punktów widzenia przez Napoleona i Charrasa. Niech ci dwaj historycy się ścierają z sobą; my jesteśmy tylko świadkiem zdaleka, przechodniem po równinie, badaczem pochylonym nad tą ziemią umierzwioną ciałem ludzkiem, biorącym może pozory za rzeczywistość; nie mamy prawa stawić czoła badaczom, w imieniu nauki sądzić ogół faktów w którym niewątpliwie znajdą się i ułudne zjawiska; nie mamy ani doświadczenia wojskowego, ani kompetencji strategicznej do tworzenia systemów; zdaniem naszem, szereg przypadkowych zdarzeń góruje pod Waterloo nad planami obydwóch wodzów, a gdy chodzi o los, tego tajemniczego winowajcę, sądzimy jak lud-sędzia, naiwnie.

IV.

A.

Kto chce sobie dokładnie przedstawić plan bitwy pod Waterloo, niech myślą nakreśli na ziemi A wielkie. Laska lewa A, jest drogą z Nivelles, laska prawa drogą z Genappe, łącznik A drogą poprzeczną z Ohain do Braine-Alleud. Wierzchołek A jest Mont-Saint-Jean, tu stał Wellington; dolny koniec laski lewej jest Hougomont, tu stał Reille z Hieronimem Bonaparte, dolny koniec laski prawej jest Belle Alliance, tu stał Napoleon. Nieco niżej punktu w którym łącznik przecina laskę prawą jest Haie-Sainte. W środku łącznika jest właśnie punkt w którym wyrzeczone zostało ostatnie słowo bitwy. Tu postawiono lwa, mimowolny symbol najwyższego heroizmu gwardji cesarskiej.

Trójkąt zawarty przy wierzchołku A, między laskami i łącznikiem jest wyniosłą płaszczyzną Mont-Saint-Jean. Bitwę stanowiła walka o posiadanie tej płaszczyzny.

Skrzydła dwóch armji ciągnęły się po prawej i po lewej stronie dwóch dróg z Genappe i Nivelles; Erton stał na przeciw Pictona, Reille naprzeciw Hilla.

W tyle wierzchołka A, za płaszczyzną Mont-Saint-Jean ciągnie się las Soignes. Sama płaszczyzna jest pochyłą z nieznacznemi wypukłościami i wklęsłościa-

mi; takie falowania gruntu wznoszą się aż do Mont-Saint-Jean i nikną w lesie.

Dwa wojska nieprzyjacielskie na polu bitwy, są jak dwaj zapastnicy. Mocują się ująwszy za bary; jeden chce powalić drugiego. Więc czepiają się wszystkiego; krzaczek jest dobrym punktem oparcia dla nogi, róg muru dla rąk; nie mając domku o któryby się oparł plecami, pułk rejteruje; wklęsłość gruntu, ścieżka poprzeczna na drodze, lasek, wąwóz mogą zatrzymać stopy kolosu zwanego armją, i przeszkodzić jego cofaniu. Kto uchodzi z pola bitwy, pobity. Dlatego to wódz odpowiedzialny powinien zbadać każdą kępkę drzew, każdą wypukłość gruntu.

Obydwaj jenerałowie z uwagą oglądali płaszczyznę Mont-Saint-Jean, dziś zwaną płaszczyzną Waterloo. W poprzednim roku Wellington badał ją z przezornością wodza, przewidując że kiedyś będzie polem wielkiej bitwy. Na tym gruncie, w pojedynku d. 18 czerwca, Wellington miał dobrą pozycją, Napoleon złą. Armja angielska stała na górze, armja francuzka w dole.

Byłoby prawie zbytecznem opisywać jak wyglądał Napoleon o świcie 18 czerwca 1815 roku, siedząc na koniu z lunetą w ręku, na wzgórzach Rossome. Nim pokażesz, już go wszyscy widzieli. Profil spokojny pod małym kapeluszem szkoły Brienne, mundur zielony, gwiazda pod białą klapą, szlify pod surdutem, końce wstęgi czerwonej pod kamizelką, spodnie łosiowe, koń biały w czapraku z purpurowego aksamitu, z literami N, koronami i orłami po bokach, buty z dużemi cholewami na jedwabnych pończochach, srebrne ostrogi, szpada z pod Marengo; cała ta postać ostatniego Cezara przytomną jest każdej wyobraźni: jedni ją ubóstwiają, drudzy surowo nań patrzą.

Postać ta oddawna promieniała światłością; sprawiał to pewien zmrok legendowy otaczający bohaterów i na dłuższy lub krótszy czas osłaniający prawdę; ale dziś rozjaśnia się słońce dziejowe.

Światło historji jest nieubłagane. Ma ono to dziwnego i boskiego w sobie, że jakkolwiek jest światłem, owszem dlatego że jest światłem, tam często rzuca cienie, gdzie widziano promienie; z jednego i tego samego człowieka tworzy dwa różne widma z sobą walczące, wymierza im sprawiedliwość, przeciw ciemnościom despoty stawiając olśniewającą chwałę wodza. Ztąd prawdziwsza miara stanowczego ocenienia ludów. Pogwałcony Babilon zmniejsza Aleksandra; Rzym okuty w łańcuchy zmniejsza Cezera; Jeruzalem wymordowane zmiejsza Tytusa. Tyrania idzie w ślad za tyranem. Jest to nieszczęściem człowieka że za sobą zostawia noc, która także ma swe widome kształty.

V.

Quid obscurum bitew.

Wszyscy znają pierwszą fazę tej bitwy; początek mglisty, niepewny, wahający się i groźny dla stron obydwóch, bardziej jeszcze dla Anglików niż dla Francuzów.

Deszcz padał noc całą, ulewa poradliła grunt; tu i owdzie woda zebrała się w dołach płaszczyzny jak w miednicach; w niektórych punktach ciężkie wozy brnęły w ziemi po osie; z podbrzusznej uprzęży koni ściekało wodniste błocko: gdyby pszenica i żyto z pni zwalone pod ciężarem idących wozów, nie zaścielały kolei i wybojów pod kołami, wszelki ruch, zwłaszcza w dolinie od strony Popelotty, byłby niemożliwy.

Bitwa rozpoczęła się późno; Napoleon — wytłumaczyliśmy dlaczego—miał zwyczaj trzymać pod ręką całą artylerję jak pistolet, celując w ten lub ów punkt bitwy; chciał więc czekać dopóki zaprzężone baterje będą mogły toczyć się i galopować swobodnie; do tego potrzebnem było, by słońce się pokazało i osuszyło ziemię. Ale słońce się nie pokazywało. Nie było to już spotkanie pod Austerlitz. Kiedy pierwsza armata zagrzmiała, jenerał angielski Colville spojrzał na zegarek i przekonał się, że było trzydzieści pięć minut na dwunastą.

Walka wszczęła się z wściekłością, z większą może wściekłością niż życzył sobie Napoleon; początek dało lewe skrzydło francuzkie pod Hougomont. Współcześnie Napoleon uderzył na środek, rzucając brygadę Quiot na Haie-Sainte, Ney posunął prawe skrzydło francuzkie ku lewemu skrzydłu angielskiemu, opierającemu się o Papelottę.

Atak na Hougomont był trochę zmyślony; zwabić Wellingtona, przerzucić go ku lewej stronie, taki był plan. Plan byłby się powiódł, gdyby cztery kompanje gwardji angielskich i dzielni Belgowie dywizji Perponcher nie dotrwali na swych stanowiskach; Wellington też zamiast tam gromadzić całą swą siłę, poprzestał na posłaniu posiłków z czterech kompanji gwardji i bataljonu brunszwickiego.

Napad prawego skrzydła francuzkiego na Papelottę był głównym celem; złamać lewe skrzydło angielskie, przeciąć drogę do Brukselli, nie dopuścić połączenia się Prusaków mogących nadciągnąć, zdobyć Mont-Saint-Jean, wyparować Wellingtona do Hougomont, ztąd na Braine Alleud i dalej na Hal, nic nie mogło być nad ten plan doskonalszego. Z wyjątkiem małych przygód, atak się powiódł. Papelotta wzięta, Haie-Sainte zdobyte.

Tu szczegół godzien wspomnienia. W piechocie angielskiej, zwłaszcza w brygadzie Kempt, było mnóstwo nowozaciężnych. Młodzi ci żołnierze bili się walecznie z naszemi strasznymi piechurami; nieustraszoność ich wynagradzała niedoświadczenie; szczególniej odznaczali się w służbie tyraljerskiej; tyralier trochę zostawiony samemu sobie, staje się rzec można, własnym jenerałem; ci nowozaciężni mieli coś z przemyślności i furji francuzkiej. Młoda piechota biła się z fantazją i zapałem. Nie podobało się to Wellingtonowi.

Po wzięciu Haie-Sainte, bitwa się zachwiała.

W dniu tym od południa do godziny czwartej była jakaś ciemna przerwa; środek bitwy stał się mętny, niewyraźny jak najposępniejsze chwile zawieruchy

bojowej. Zrobiło się ciemno. W tym zmroku dostrzegałeś unoszące się w powietrzu widma potworne, zjawiska zawracające głowę, ówczesne przybory wojenne dziś prawie nie znane: ogniste kołpaki, pływające ładownice, posplatane lederwerki, czerwone buty o tysiącznych zmarszczkach, prawie czarna piechota brunszwicka zmięszana z czerwoną piechotą angielską, ciężkie kaski otoczone frendzlami, żołnierze angielscy z wielkiemi poduszkami białemi zamiast szlif, lekka jazda hanowerska w podłużnych kaskach skórzanych, z miedzianemi podbródkami i czerwonemi kitami z włosia końskiego, Szkoci w plaidach z nagiemi kolanami, wielkie kamasze białe naszych grenadjerów:—to obrazy, nie linie strategiczne, godne pędzla Salvatora Rosy, nie pędzla Gribeauvala.

Bez trochy burzy żadna bitwa się nie obejdzie. *Quid obscurum, quid divinum.* W tej zawierusze historyk nieco dowolne kreśli zarysy. Mimo wszelkich rachub wodzów, starcie wielkich mas zbrojnych oddziaływa w nieobrachowany sposób; w czasie zwarcia dwóch armji, plany dwóch przewódzców mieszają się jeden z drugim i zobopólnie psują. Linja bojowa kołysze się, jak nić wije się wężykiem, strumienie krwi toczą się bezładnie, czoła armji bałwanią, pułki przybywające i odbiegające tworzą przylądki i zatoki, wszystkie szkopuły poruszają się nieustannie jedne przed drugiemi; gdzie była piechota, tam przybywa artylerja, gdzie była artylerja, nadbiega jazda; bataljony ukazują się i nikną jak dym. Coś tu było; szukasz, znikło; smugi światła zjawiają wśród chmur, i znowu pierzchają w ponure ciemności; dmie jakiś wicher grobowy, popycha i rozprasza te gromady tragiczne. Czem jest walka? Ciągłem kołysaniem. Nieruchomość planu matematycznego wyraża jedna minuta, nie dzień cały. Do odmalowania bitwy potrzeba potężnych malarzy, mających odmęt w pędzlu. Rembrand lepszym tu jest od Vandermeulena. Vandermeulen dokładny w południe, kłamie o trzeciej godzinie, Geometrja

zwodzi, tylko huragan wyraża prawdę. To właśnie daje Folardowi prawo przeczenia Polybjuszowi. Dodajmy że zawsze zdarzają się chwile, gdy bitwa przemienia się w drobne utarczki, w niezliczone zapasy pojedynkowe, które, że użyjem wyrażenia samego Napoleona, „raczej należą do bijografji pułków niż do historji armji.“ Oczywiście historyk ma w tym razie prawo być treściwym. Może tylko schwytać główne zarysy walki, ale nie masz tak sumiennego opowiadacza, któryby zdołał zupełnie utrwalić kształty okropnej nawałnicy którą nazywają bitwą.

Jest to prawdą dającą się zastosować do wszystkich starć zbrojnych, a mianowicie do potrzeby pod Waterloo.

Wszelako po południu nastała chwila, w której walka przybrała wyraźniejsze kształty.

VI.

Czwarta po południu.

Około czwartej stan armji angielskiej był niebezpieczny. Książe Oranji dowodził środkiem, Hill prawem skrzydłem, Picton lewem. Książe Oranji nieustraszony i nieprzytomny, wołał na Hollendrów i Belgów: *Nassau! Brunswick! nie cofać się nigdy!* Hill osłabiony wsparł się na Wellingtonie. Picton zginął. Tejże chwili gdy Anglicy zabrali Francuzom chorągiew 105 pułku linjowego, Francuzi zabili Anglikom jenerała Picton kulą, która przebiła mu głowę. Bitwa miała dla Wellingtona dwa punkta oparcia: Hougomont i Haie-Sainte; Hougomont trzymał się jeszcze, ale był podpalony; Haie-Sainte zdobyli Francuzi. Z bataljonu niemieckiego który bronił tej pozycji, tylko czterdziestu dwóch ludzi zostało przy życiu, wszyscy oficerowie, z wyjątkiem pięciu, polegli lub dostali się do niewoli. Trzy tysiące ludzi wymordowało się w tej stodole. Mały dobosz francuzki zabił tam sierżanta gwardji angielskich, najpierwszego boxera w Anglji, którego towarzysze sądzili że nie może być nigdy ranionym. Baring wyparowany, Alten porąbany pałaszami. Stracono mnóstwo chorągwi, między tymi jedną z dywizji Altena i jedną z bataljonu Luneburskiego, którą niósł książe z domu Dwóch Mostów. Siwych Szkotów już nie było; ciężkie dragony Ponsom-

by porąbane. Dzielną tę jazdę przełamali ułani Bro i kirasjerowie Traversa; z tysiąca dwustu koni pozostało sześćset; trzech podpułkowników zostało na placu; Hamilton ranny, Mater zabity. Ponsonby padł siedm razy przebity lancą. Gordon poległ, Morsh umarł. Dwie dywizje, piąta i szósta, zniszczone zupełnie.

Po zdobyciu Haie-Sainte i nadwerężeniu Hougomont, pozostawało jeszcze ogniwo, środek. To ogniwo trzymało się ciągle. Wellington go wzmocnił. Przywołał Hilla stojącego w Merbe-Braine, i Chassé który był w Braine-Alleud.

Środek armji angielskiej nieco wklęsły, w skupionych szeregach zajmował silną pozycję. Stał na płaszczyźnie Mont-Saint-Jean; w tyle miał wioskę, przed sobą dość spadzistą pochyłość. Opierał się o mocny dom z kamienia, który w owym czasie należał do dóbr koronnych Nivelles i oznaczał drogi rozstajne; mury jego zbudowane w szesnastym wieku, były tak twarde i mocne, że kule od nich odskakiwały jak piłki. Dokoła płaszczyzny tu i owdzie Anglicy wycięli płoty, zrobili otwory w tarninie, ustawili armaty, paszcze ich zatkali gałęźmi i okryli zielskiem. Tym sposobem artylerja stała za krzakami w zasadzce. Punicki ten podstęp, zresztą upoważniony w czasie wojny, był tak udatny, że Haxo wysłany przez cesarza o dziewiątej rano dla rozpoznania baterji nieprzyjacielskich, nic nie dostrzegł i za powrotem powiedział Napoleonowi że nie ma żadnych przeszkód, oprócz dwóch barykad tamujących drogę do Nivelles i Genappe. W owym czasie zboża były wysokie; na kraju płaszczyzny leżał w pszenicy bataljon brygady Kemp Nr. 95 uzbrojony w karabiny.

Tak ubezpieczony środek armji angielsko-hollenderskiej trzymał się dobrze.

Niebezpieczeństwem tej pozycyi był las Soignes, dotykający pola bitwy i przecięty dwoma stawami, Groenendael i Boitsfort. Armja cofając się tam mu-

siałaby pójść w rozsypkę, pułkiby się rozpierzchły — artylerja przepadła w trzęsawiskach. Reiterada, zdaniem wielu ludzi fachowych (inni wprawdzie temu zaprzeczają) musiałaby się stać rzeczywistym popłochem.

Wellington przydał do środka brygadę Chassé z prawego skrzydła, i brygadę Wincka z lewego skrzydła, nadto dywizję Clinton. Do tych Anglików, do pułków Halketh, do brygady Mitchella, do gwardji Maitlanda dołączył niby szaniec i mur poprzeczny, piechotę Brunszwicką, kontyngens Nassauski, Hannowerów Kielmansegga i Niemców Ompteda. Czyniło to razem dwadzieścia sześć bataljonów. *Prawe skrzydło*, jak powiada Charras, *zepchnięte zostało za środek.* Wozy z ziemią zasłaniały ogromną baterją w miejscu gdzie jest teraz tak zwane „muzeum Waterloo.“ Prócz tego Wellington miał ukrytych w nizinie dragonów gwardji Somerseta. tysiąc czterysta koni. Była to druga połowa jazdy angielskiej tak sprawiedliwie wysławianej. Po zniszczeniu Ponsonby pozostał Somerset.

Baterja, która ukończona, byłaby prawie redutą, stała za niskim murem ogrodowym, osłonionym na prędce worami piasku i okopami: szańców nie ukończono, nie miano czasu ich opalisadować.

Na kilka kroków przed starym młynem w Mont-Saint-Jean, dziś jeszcze stojącym, Wellington zimny choć niespokojny, siedział na koniu dzień cały w jednej postawie, pod wiązem, który później jakiś Anglik, wandal-entuzjasta, kupił za dwieście franków, ściął i zabrał z sobą. Wellington był zimno hereicznym. Kule padały jak grad. Adjutant Gordan poległ przy jego boku. Lord Hill, pokazując mu pękający granat, zapytał: — Mylordzie, jakie nam zostawisz instrukcje i rozkazy jeśli się dasz zabić? — *Róbcie jak ja*, odpowiedział Wellington. Do Clintona rzekł lakonicznie: *Stać tu do upadłego.* — Widocznie dzień źle się kończył. Wellington wołał na swych dawnych towarzyszy z pod Talavera, Vittoria i Salamanki: — *Boys* (chłopcy)! *godziż się myśleć o ucieczce? pamiętajcie na starą Anglję!*

Około czwartej godziny linja angielska zachwiała się z tyłu. Nagle na szczycie wzgórza ujrzano tylko artylerję i tyraljerów, reszta znikła; pułki kryjąc się przed granatami i kartaczami francuzkiemi, cofały się w dolinę którą dziś jeszcze przecina ścieżka prowadząca do folwarku Mont-Saint-Jean; rozpoczęło się ogólne cofanie, czoło armji angielskiej się skryło, Wellington ustąpił. — Zaczyna się rejterada! zawołał Napoleon.

VII.

Napoleon wesoły.

Cesarz, chociaż chory był i dolegało mu siedzenie na koniu dla słabości którą cierpiał, nigdy jeszcze nie był w tak dobrym jak tego dnia humorze. Od rana jego nieprzenikliwość uśmiechała się. Dnia 18 czerwca 1815 r. ta dusza głęboka, osłoniona marmurem, promieniała zaślepieniem. Człowiek co był posępnym pod Austerlitz, śmiał się pod Waterloo. Wielcy ludzie naznaczeni od losu miewają w sobie takie sprzeczności. Nasze radości są cieniem. Uśmiech ostatni jest w Bogu.

Ridet Caesar, Pompejus flebit, mawiali wojownicy legionu Fulminatrix. Tym razem Pompejusz nie miał płakać, ale to pewna że Cezar śmiał się.

W nocy o pierwszej, w czasie burzy i deszczu rozpoznając konno z Bertrandem wzgórza dotykające Rossome, zadowolony patrzył na długą linję ogniów angielskich rozwidniających cały widnokrąg od Frichemont do Braine-Alleud; zdawało mu się, że los, któremu nakazał schadzkę na polu bitwy pod Waterloo, stawił się posłuszny; zatrzymał konia, chwilę stał nieruchomy, patrząc na błyskawice, przysłuchując się grzmotom — i słyszano jak ten fatalista rzucił w ciemności słowo tajemnicze: „Zgadzamy się.“ Napoleon się mylił. Nie było między nimi zgody.

Nie zasnął ani minuty, wesoły był noc całą. Przebiegł linję wielkiej gwardji, zatrzymując się gdzie niegdzie i rozmawiając z placówkami. O wpół do trzeciej usłyszał w stronie lasu Hougomont kroki oddalającej się kolumny; przez chwilę sądził, że Wellington się cofa, i rzekł do Bertranda: *to tylna straż angielska zwijająca obozy. Wezmę w niewolę sześć tysięcy Anglików, którzy przybyli do Ostendy.* Gawędził wesoło, wylany, odzyskał fantazję z czasu wylądowania 1 marca, gdy ukazując wielkiemu marszałkowi upojonego zachwyceniem wieśniaka zatoki Juan, zawołał: — *A co, Bertrand, już mamy posiłki!* W nocy z 17 na 18 czerwca żartował z Wellingtona: — *Trzeba dać nauczkę małemu Anglikowi.* Deszcz lał jak z cebra, grzmiało gdy Napoleon mówił.

O wpół do czwartej rano stracił jedno złudzenie; oficerowie wysłani na rekonesans wrócili z wiadomością, że nieprzyjaciel nie zrobił żadnego poruszenia. Wszystko było nieruchome; żaden ogień biwaku nie zagasł. Armja angielska spała. Na ziemi głęboka spokojność, tylko zgiełk i wrzawa na niebie. O czwartej podjazdy przyprowadziły wieśniaka: ten był przewodnikiem brygady jazdy angielskiej, prawdopodobnie brygady Wivian, która zajęła pozycją w wiosce Ohain na krańcu lewego skrzydła. O piątej dwa zbiegi belgijskie donieśli że prosto idą od swych pułków, i że armja angielska czeka bitwy.

— *Tym lepiej!* — zawołał Napoleon. *Wolę ich zgnieść niż wypychać.*

Rano zsiadł z konia w błoto nad urwistym brzegiem drogi z Plansenoit, kazał przynieść z folwarku Rossomme stół kuchenny, stołek chłopski, wiązkę słomy zamiast dywana, i rozłożył na stole kartę pola bitwy — mówiąc do Soulta: — *Ładna szachownica!*

Z powodu ulewy nocnej konwoje z żywnością ugrzęzły w błotnistej drodze i nie mogły przybyć rano, żołnierz nie spał, był przemokły i naczczo; pomimo to Napoleon mówił wesoło do Neya: *Dziewięćdzie-*

siąt szans na sto jest za nami. O ósmej przyniesiono śniadanie cesarza. Zaprosił do stołu wielu jenerałów. Jedząc opowiadano, że Wellington onegdaj był na balu w Brukselli u księżnej Somerset, a Soult surowy wojownik z arcybiskupią twarzą — rzekł: *dzisiaj to bal prawdziwy.* Cesarz żartował z Neya, który mówił: *Wellington nie będzie tak głupi, by na W. Cesarską Mość czekał.* Zresztą był to jego zwykły sposób mówienia. *Lubił żartobliwą gawędkę,* powiada Fleury de Chaboulon. *Humor wesoły był tłem jego charakteru,* powiada Gourgaud. *Koncepty nie tyle dowcipne jak dziwaczne, sypał jak z rękawa,* dodaje Benjamin Constant. Ta wesołość olbrzyma zasługuje, by o niej wspomnieć z uwagą. On to nazywał swych grenadjerów „zrzędami", szczypał ich za uszy, targał za wąsy. *Cesarz zawsze nam figle płata,* mówił jeden z grenadjerów. Podczas tajemniczej przeprawy z wyspy Elby do Francji d. 27 lutego bryg wojenny francuzki *Zephir* spotkał na otwartem morzu bryg *Inconstant,* na którym ukrywał się Napoleon, i gdy żądał od *Inconstant* wiadomości o Napoleonie, cesarz mając na głowie kapelusz z kokardą białą i amarantową naszywaną pszczołami, którą przypiął na wyspie Elbie, porwał ze śmiechem trąbkę i sam odpowiedział: *Cesarz zdrów.* Kto tak się śmieje jest w zażyłości z losem. Taki śmiech kilkakroć napadał Napoleona podczas śniadania pod Waterloo. Po śniadaniu rozmyślał kwadrans, później dwaj jenerałowie usiedli na wiązce słomy z piórem w ręku i papierem na kolanach, a cesarz dyktował im rozkazy dzienne.

O dziewiątej, w chwili gdy armja francuzka rozstawiona eszelonami rozwinęła się ruszając pięciu kolumnami, dywizje w dwóch linjach, artylerja między brygadami, gdy muzyka na czele zagrała, gdy uderzono w bębny i zadęto w trąby; gdy spojrzał na tę armję potężną, szeroką, wesołą, na to morze kasków, pałaszów i bagnetów na widnokręgu, cesarz wzruszony, po dwakroć zawołał. — Przepyszna! przepyszna!

Od dziewiątej do wpół do jedynastej, rzecz nie do uwierzenia, cała armja zajęła pozycje i ustawiła się na sześciu linjach, tworząc, że powtórzym wyrażenie cesarza, „figurę sześciu V.“ W kilka minut po utworzeniach czoła bitwy, wśród głębokiej ciszy, początku burzy poprzedzającej walkę, patrząc na przeciągające trzy baterje z dwunastu, odłączonych od trzech korpusów Erlona, Reilla i Lobau, i mające rozpocząć bitwę strzelaniem do Mont-Saint-Jean, gdzie przecinają się drogi z Nivelles i Genappe, — cesarz uderzył po ramieniu jenerała Haxo mówiąc — *Patrz jenerale, jakie śliczne dwadzieścia cztery dziewczęta!*

Pewny powodzenia, uśmiechem zachęcał przechodzącą przed nim kompanję saperów pierwszego korpusu, której polecono obarykadować się w Mont-Saint-Jean zaraz po zdobyciu wioski. Tę niezachwianą wesołość raz tylko przerwało słówko wyniosłego politowania; patrząc na lewo, tam gdzie dziś jest grób wielki, jak gromadziła się cudna szara jazda szkocka na dzielnych rumakach, rzekł: *Szkoda ich.*

Później wsiadł na konia, wysunął się przed Rossomme, i zatrzymał na murawie po prawej stronie drogi z Genappes do Brukselli; to była druga jego stacja podczas bitwy. Trzecia stacja, o siódmej wieczór między Belle-Alliance i Haie-Sainte, była straszną; jest to wyniosłe wzgórze, do dziś dnia istniejące; w tyle za niem we wklęsłości płaszczyzny stała zgromadzona gwardja. Dokoła wzgórza kule odbijały się od bruku gościńca i padały tuż przy Napoleonie. Jak w Brienne, nad jego głową świszczały granaty i kartacze. Prawie w miejscu gdzie stał jego koń, znaleziono później kule, klingi pałaszów i odłamki granatów rdzą zjedzone. *Scabrâ rubigine.* Na tej to stacji cesarz powiedział do swego przewodnika Lacosta, wylękłego a niechętnego wieśniaka, który przywiązany do siodła huzara, za każdem pęknięciem kartaczy obracał się plecami usiłując ukryć za Napoleona: — *Wstydź się mazgaju. Będziesz zabity z tyłu.* Piszący tę książkę

sam wykopał w spadzistym gruncie tego wzgórza resztki bomby, którą czterdziestosześcioletni niedokwas rozsadził, i stary kawał żelaza, który łamał się w palcach jak bzowy patyczek.

Każdemu wiadomo, że falowania wygiętej w różnych miejscach płaszczyzny na której potykał się Napoleon z Wellingtonem, nie są już tem czem były 18 czerwca 1815 r. Biorąc z tego grobowego pola materjały na wystawienie pomnika, odjęto mu rzeczywiste kształty, i zakłopotana historja nie może miejsc rozpoznać. Chcąc je uczcić, oszpecone tylko. We dwa lata później Wellington zwiedzając Waterloo zawołał: *Zmieniono mi pole bitwy*. Tam gdzie dziś jest piramidalny kopiec z lwem u szczytu, był wówczas wierzchołek wzgórza, niezbyt spadzisto pochylony ku Nivelles, ale stromy, prawie prostopadły od strony drogi do Genappe. Wyniosłość urwiska dziś jeszcze da się zmierzyć wysokością wzgórzy dwóch wielkich grobowców, zawalających drogę z Genappe do Brukselli; jeden jest grobem angielskim na lewo; drugi, na prawo, grobem niemieckim. Francuzkiego grobowca nie masz. Dla Francji, cała ta płaszczyzna jest grobem. Dzięki nawiezionej tysiącami wozów ziemi na kopiec stopięćdziesiąt stóp wysoki, a półmili mający obwodu, można dziś wejść na płaszczyznę Mont-Saint-Jean po nieznacznej pochyłości; ale w dniu bitwy, zwłaszcza od strony Haie-Sainte przystęp był stromy i urwisty. Pochyłość była tak spadzistą, że kanonierzy angielscy nie widzieli pod sobą folwarku położonego w głębi doliny, środkowego punktu bitwy. Dnia 18 czerwca 1815 r. ulewa bardziej poderwała tę spadzistość, błoto utrudzało wejście, i grzązłeś w nie wdzierając się na górę. Wzdłuż wierzchołka tej wyniosłej płaszczyzny ciągnął się rodzaj parowu, którego niepodobna było dostrzedz z daleka.

Powiedzmy co to był ten parów. Braine Alleud i Ohain są wioskami belgijskiemi. Wioski te ukryte obydwie w dolinie, łączy droga ciągnąca się półtorej

mili, przerzynając płaszczyznę w miejscach zagiętych; często droga zsuwa się między wzgórza niby głęboka brózda, a w niektórych punktach jest prawdziwym wąwozem. W r. 1815 jak i dzisiaj, droga ta przecinała wierzchołek wyniosłej płaszczyzny Mont-Saint-Jean między dwoma gościńcami z Genappe i Nivelles; dziś dopiero jest na równi z płaszczyzną, a wówczas szła dołem. Zabrano jej obydwa brzegi urwiste na pomnikowy kopiec. Droga ta i dziś jeszcze na większej części przestrzeni otoczona jest stromemi brzegami. Tworzy w wielu miejscach rowy dwanaście stóp głębokie, a spadziste ich brzegi tu i owdzie zapadały się szczególniej zimą po deszczach. Zdarzały się nieszczęśliwe wypadki. Pod Braine Alleud droga jest tak wązką, że wóz zdruzgotał przechodnia, jak o tem przekonywa krzyż, stojący przy cmentarzu, z nazwiskiem zmarłego *Pan Bernard Debrye, kupiec w Brukselli*, i datą zdarzenia, *luty 1637* r. Droga była tak głęboką na płaszczyznie Mont-Saint-Jean, że urwisty brzeg zwaliwszy się zabił wieśniaka Mateusza Nicaise, o czem świadczy inny krzyż kamienny, którego szczyt spadł i zaginął w ziemi, ale podstawa sterczy dziś jeszcze na trawniku po lewej stronie gościńca między Haie-Sainte i folwarkiem Mont-Saint-Jean.

W dniu bitwy ta głęboka droga o której nic nie ostrzegało, przy szczycie Mont-Saint-Jean była wąwozem o stromych brzegach, rowem niewidzialnym, więc strasznym.

VIII.

Cesarz zadaje pytanie przewodnikowi Lacoste.

Tak więc Waterloowskiego poranku Napoleon był wesół.

I miał słuszność; jego plan bitwy w istocie, przekonaliśmy się o tem, był godny podziwienia.

Gdy się już rozpoczęła bitwa, jej rozliczne zmiany, zacięty opór nieprzyjaciela w Hougomont, jego wytswałość w Haie-Sainte, śmierć Bauduina, zranienie Foya, niespodziewany mur o który rozbiła się brygada Soye, fatalna lekkomyślność Guilleminota, który nie miał ani petard, ani zapasu prochu; ugrząznienie baterji w błocie, piętnaście armat bez eskorty wywrócone przez Uxbridge w rów głęboki, bezskuteczność bomb padających na linje angielskie, ryjących się w grunt wilgotny od deszczu i rzucających tylko wulkanem błota, tak, iż kartacze, zamiast zabijać i ranić, obryzgiwały tylko nieprzyjaciela; nieużyteczność demonstracji Piréna na Braine-Alleud, cała jego jazda, piętnaście szwadronów, niemal zniszczona, prawe skrzydło angielskie słabo niepokojone, lewe zaledwie tknięte; dziwna pomyłka Neya, który gromadził zamiast rozstawić eszelonami, cztery dywizje pierwszego korpusu, dwadzieścia siedm szeregów i fronty o dwustu ludziach

wystawione tym sposobem na kartacze, straszne dziury przewiercone kulami w tych gromadach, kolumny ataku rozprzężone, baterja boczna nagle odsłoniona, Bourgeois, Donzelot i Durutte obezwładnieni, Quiot odparty, porucznik Vieux, Herkules szkoły politechnicznej, raniony w chwili gdy toporem wyważał bramę w Haie-Sainte pod morderczym ogniem barykady angielskiej, przerywającej drogę z Genappe do Brukselli; dywizja Marcognet w krzyżowym ogniu piechoty i jazdy, wystrzelana z bliskiej pszenicy przez Besta i Packa i porąbana przez Ponsonby; jej baterja z siedmiu dział zagwożdżona; książe Sasko-Wejmarski trzymający się w Frischemont i Smohain, chociaż hrabia d'Erlon odebrać mu je usiłował; chorągwie 45 i 105 pułku wzięte, ów czarny husarz pruski zatrzymany przez kolumnę ruchomą trzystu strzelców wysłanych na zwiady między Vavre i Placenoit, niepokojące rzeczy opowiedziane przez tego jeńca, opóźnienie Grouchy, tysiąc pięćset ludzi zabitych w niespełna godzinie w ogrodzie Hougomont, tysiąc ośmset ludzi w krutszym jeszcze przeciągu czasu położonych trupem dokoła Haie-Sainte: — wszystkie te burzliwe wypadki przesuwały się jak chmury bojowe przed oczyma Napoleona, ale nie zasępiły jego spojrzenia, nie nachmurzyły tego cesarskiego oblicza pełnego zaufania w sobie. Napoleon przywykł był patrzeć na wojnę nie zmrużając oka; nigdy się nie zajmował drobiazgowem dodawaniem liczb, bolesnym rachunkiem szczegółów; liczby mało go obchodziły, byle zebrane razem wydały zwycięztwo; że był burzliwy i kosztowny początek, mało troszczył się o to; wiedział że jest panem i władzcą końca; umiał czekać, był pewnym zwycięztwa i obchodził się z losem jak z równym sobie. Zdawał się mówić do losu: tybyś nie śmiał!

Pół światła pół cienia, Napoleon czuł że dobre duchy się nim opiekują, a tolerują go złe. Był on — przynajmniej tak sądził — w porozumieniu, prawie we

współce z wypadkami, równającej się starożytnej Achillesowej nietykalności.

Jednakowoż pomny na Berezynę, Lipsk i Fontainebleau, zdaje się, że powinien był nie ufać Waterloo. Tajemnicze zmarszczenie brwi widoczne było w głębinach niebios.

W chwili gdy Wellington cofnął się. Napoleon zadrżał z radości. Ujrzał nagle odsłaniające się wzgórza Mont-Saint-Jean i znikające czoło armji angielskiej. Zbierała się ona, ale usuwając widocznie. Cesarz wspiął się na strzemionach. Błyskawica zwycięztwa zajaśniała w jego oczach.

Zapędzić Wellingtona do lasu i rozbić, toby było stanowczo zgnieść Anglję, pomścić Crecy, Poitiers, Malplaquet i Ramiliers. Mąż z pod Marengo wykreśliłby z karty dziejów Azincourt.

Wówczas cesarz, przemyśliwając o zadaniu strasznego ciosu nieprzyjacielowi, powiódł lunetą po wszystkich punktach placu boju. Za nim gwardja z bronią u nogi spoglądała nań z dołu w uroczystem oczekiwaniu. Myślał, przeglądał wzgórza, znaczył wklęsłości, badał kępy drzew, łany pokryte zbożem, dróżyny; zdawał się rachować każdy krzaczek. Długo się przyglądał barykadom angielskim na obu gościńcach, ogromnym złomom drzew, żwirowej drodze z Genappe po nad Haie-Sainte, uzbrojonej dwoma działami, jedynemi w artylerji angielskiej, które mogły dosiądz głębi pola bitwy, i drogi z Nivelles, gdzie połyskiwały bagnety hollenderskie brygady Chassé. Zauważył przy tej barykadzie starą kaplicę Świętego Mikołaja pomalowaną biało, na rogu drożyny poprzecznej ku Braine Alleud. Pochylił się i szepnął coś do przewodnika Lacoste. Przewodnik zrobił głową znak przeczenia, zapewne zdradziecki.

Cesarz wyprostował się i zadumał.

Wellington się cofnął.

Pozostawało tylko go dobić.

Napoleon nagle się obrócił, i wysłał do Paryża gońca z wiadomością, że bitwa wygrana.

Napoleon był jednym z tych geniuszów, które rzucają gromy.

Miał już piorun gotowy.

Wydał rozkaz kirassjerom Milhaud zdopyć płaszczyznę Mont-Saint-Jean.

IX.

Rzecz niespodziana.

Było ich trzy tysiące pięćset. Czoło ich zajmowało ćwierć mili. Ludzie-olbrzymy na koniach-kolosach. Tworzyli dwadzieścia sześć szwadronów. W pomoc postępowała w tyle za nimi dywizja Lefebra Desnouettes, sześćset żandarmów wyborowych, strzelcy gwardji, tysiąc sto dziewięćdziesiąt siedmiu ludzi i ułani gwardji, ośmset ośmdziesiąt lanc. Kaski bez włosia, pancerze stalowe, pistolety w olstrach i długie miecze. Cała armja podziwiała ich rano, gdy o dziewiątej przy odgłosie trąb i śpiewach: *Czuwajmy nad bezpieczeństwem cesarstwa*, przybyli w gęstej kolumnie z jedną baterją przy przy boku, drugą w środku i rozwinęli się w dwóch szeregach między drogą Genappe i Frichemont, zajmując miejsce bitwy w tej potężnej drugiej linii, która tak uczenie ułożona przez Napoleona, mając na krańcu lewym kirassjerów Kellermana, a na prawym kirassjerów Milhauda, zdawała się mieć dwa skrzydła stalowe.

Adjutant Bernard przyniósł im rozkaz cesarza. Ney dobył szabli i stanął na czele. Poruszyły się olbrzymie szwadrony.

Wówczas ujrzano grozą przejmujące widowisko.

Cała ta jazda, z dobytemi mieczami, z rozpuszczonemi na wiatr chorągwiami i podniesionemi trąbami, zwarta w kolumny oddziałami, spuściła się ze wzgórza Belle Allince jednym ruchem, jak jeden człowiek, z matematyczną dokładnością spiżowego taranu szczerbiącego wyłom, zatopiła się w straszną głąb', gdzie już tyle padło ludzi, znikła tam w dymie, potem wydostawszy się z ciemności ukazała się na drugiej stronie doliny i zawsze skupiona, w ściśniętych szeregach, pędziła dobrym kłusem, wśród gradu lecących na nią bomb i kartaczy ku stromym i błotnistym szczytom wyniosłej płaszczyzny Mont-Saint Jean. Zbliżali się poważni, groźni, spokojni, niezachwiani; w chwilach gdy umilkł ryk dział i huk karabinowych strzałów, słyszałeś kolosalny tętent kopyt końskich. Podzieleni na dwie dywizje, tworzyli dwie kolumny; dywizja Wathier była po prawej, dywizja Delord po lewej stronie. Zdawało się, że około szczytów płaszczyzny zawijają pierścienie dwa niezmierne węże stalowe. Niby cudowne widmo przemknęli przez pole bitwy.

Nic podobnego nie widziano od zdobycia przez ciężką artylerją wielkiej reduty Moskwy; brakowało Murata, ale Ney był jeszcze. Zdawało się, że ta massa stała się potworem i miała tylko jedną duszę. Każdy szwadron kołysał się i rozdymał jak pierścienie polipa. Widziano ich przez obłoki dymu tu i owdzie porozdzierane. Wszystko zmieszane razem: kaski, krzyki, miecze, burzliwe podskoki koni, ryk dział i trąb odgłosy — zamęt straszny a porządki i karny; po nad wszystkiem błyszczały pancerze jak łuski hydry.

Opowiadanie to wydaje się z innych czasów. Niewątpliwie coś podobnego do tego widzenia występowało w starych epopejach orfickich, opowiadających o chłopo-koniach, starożytnych hippantrofach, tytanach z twarzą ludzką i piersią końską, szturmujących do Olimpu, strasznych, niepożytych, wielkich bogów-zwierząt.

Dziwnym zbiegiem jednakich liczb, te dwadzieścia sześć szwadronów miały się spotkać z dwudziestu sześciu betalionami. Za szczytem wzgórza w cieniu zasłonionej baterji, piechota angielska ustawiona w trzynastu kwadratach, po dwa bataliony na każdy, w dwóch liniach, siedm w pierwszej, sześć w drugiej, z kolbą przy twarzy, celując do zbliżyć się mogącego nieprzyjaciela, stała spokojna, milcząca i nieruchoma. Nie widziała kirassjerów, kirassjery jej nie widzieli. Przysłuchiwała się przypływającym wezbranym falom ludzi. Słyszała wzrastającą wrzawę trzech tysięcy koni, bicie kolejne i symetryczne kopyt w wielkim kłusie, starcie zbroic, szczęk mieczów i wielki dziki oddech tłumów. Nastała straszna chwila milczenia, potem nagle długi rzęd rąk podniesionych, wstrząsając mieczami ukazał się nad szczytem wzgórza, i z trzech tysięcy głów z siwemi wąsami wydarł się jeden okrzyk: Niech żyje cesarz! Cała ta jazda wjechała na szczyt z hukiem podobnym do trzęsienia ziemi.

Nagle — wypadek tragiczny — po lewej stronie angielskiej, po prawej naszej, czoło kolumny kirassjerów ugięło się z przerażającym okrzykiem. Dobiegłszy do samego szczytu, pałając wściekłą żądzą wytępienia szeregów nieprzyjcielskich, kirassjerowie ujrzeli między sobą i Anglikami rów, wąwóz. Była to droga idąca dołem z Ohain.

Chwila była straszna. Wąwóz niespodziany, otwarty jak ziejąca paszcza, stromy po obu brzegach, leżał u nóg koni głęboki na dwa sążnie; drugi rzęd popchnął pierwszy, trzeci popchnął drugi; konie wspięły się dębem, padły na wznak czterema nogami do góry, gniotąc jeźdźców; niepodobna było się cofnąć, cała kolumna była jak pocisk w biegu, siła nabyta do zgniecenia Anglików zgniotła Francuzów; nieubłagana przepaść tylko napełniona mogła być przebytą: jeźdzcy i konie potoczyli się w nią, druzgocąc jedni drugich, tworząc jedno zbite ciało w tej przepaści, a gdy rów napełnił się żywemi ludźmi, reszta przejechała po nich.

Prawie trzecia część brygady Dubois zwaliła się w przepaść.

To był początek przegranej bitwy.

Podanie miejscowe, oczywiście przesadne, powiada, że dwa tysiące koni i tysiąc pięćset ludzi zginęło w zaklęsłej drodze Ohain. Prawdopodobnie liczba ta obejmuje wszystkich trupów, których na drugi dzień po bitwie wrzucono do wąwozu.

Napoleon wydając rozkaz szarżowania karassjerom Milhauda, dobrze zbadał plac, ale nie mógł widzieć drogi zaklęsłej, która nie odznaczała się najmniejszym zmarszczkiem na powierzchni płaszczyzny. Wszelako obudziła w nim pewną nieufność mała kapliczka biała na rogu gościńca z Nivelles i prawdopodobnie zapytywał przewodnika Lacoste, czy nie ma tam jakiej przeszkody. Przewodnik odpowiedział, że nie ma. Możnaby prawie utrzymywać, że to skinienie głowy wieśniaka, brzemienne było katastrofą Napoleona.

Inne jeszcze czekały go fatalizmy.

Byłoż możliwem, by Napoleon wygrał bitwę? Odpowiadamy, nie. Dla czegoż? z czyjej przyczyny, Wellingtona czy Blüchera? Nie — z woli Bożej.

Bonaparte zwycięzca pod Waterloo, sprzeciwiał się prawu dziewiętnastego wieku. Gotował się inny szereg faktów, w których nie było miejsca dla Napoleona. Oddawna zwiastowała się ta zła wola wypadków.

Czas nadszedł, by padł ten człowiek niezmierny.

Zbyteczne ciążenie tego męża na losy ludzkie psuło równowagę. Jednostka ogarniała sobą więcej przestrzeni niż ludzkość cała. Nadmiar żywotności ludzkiej skupiony w jednej głowie, cały świat bijący do mózgu jednego człowieka — gdyby to potrwało dłużej, mogłoby stać się śmiertelnem dla cywilizacyi. Nadeszła chwila, by najwyższa sprawiedliwość nieugięta, radziła światu. Prawdopodobnie pierwiastki i żywioły, od których zawisł normalny ruch w porządku moralnym jak w materyalnym ładzie, musiały zanieść nań skargę. Dymiąca się krew, przepełnione cmentarze,

załzawione matki — straszni to skarżyciele. Kiedy ziemia cierpi od przeciążenia, dobywają się z mroków tajemnicze jęki, które słyszą przepaści.

Doniesiono o Napoleonie nieskończoności i jego upadek postanowiony został.

Zawadzał Bogu.

Waterloo nie jest bitwą; to zmiana frontu wszechświata.

X.

Wzgórze Mont-Saint-Jean.

W chwili gdy odkrył się wąwóz, baterja także się odsłoniła.

Naraz z sześćdziesięciu armat i trzynastu kwadratów padł na kirasjerów grad kul i kartaczy. Nieustraszony generał Delord ukłonił się po wojskowemu baterji angielskiej.

Cała polowa artylerja angielska powróciła czwałem do kwadratów. Kirasjerowie nie zatrzymali się ani chwili. Nieszczęsny wąwóz zdziesiątkował ich, lecz nie osłabił odwagi. Ludzie ci drobnieli liczbą, ale olbrzymieli męztwem.

Tylko kolumna Wathier ucierpiała w wąwozie, kolumna Delord, którą Ney zwrócił na lewo, jakby przeczuwając zasadzkę, przybyła nietknięta na plac boju.

Kirasjerowie rzucili się na kwadraty angielskie.

Pędzili co koń wyskoczy, rozpuściwszy wodze, z szablą w zębach, pistoletami w garściach: takim był atak.

Są chwile w bitwach, gdy dusza tak twardym czyni człowieka, że zmienia żołnierza w posąg; massy ciała stają się granitem. Bataljony angielskie, wściekle napadnięte, ani drgnęły.

Naówczas poczęło się straszliwie.

Wszystkie czoła kwadratów angielskich napastowane zostały odrazu. Wściekły wir je otoczył. Piechota angielska pozostała zimną, nieporuszoną. Pierwszy szereg, przyklęknąwszy, przyjmował kirasjerów bagnetami, drugi strzelał; za drugim kanonierowie nabijali działa, czoło kwadratu się rozwarło, przepuściło chmarę kartaczy i zamknęło się znowu. Kirasjerowie na ogień odpowiadali gniotąc. Olbrzymie ich konie, wspiąwszy się na zadnich nogach, rzucały się skokiem szalonym po nad bagnetami szeregów i padały ogromnem cielskiem w sam środek czterech murów żyjących. Kule przewiercały szeregi kirasjerów, a kirasjerowie bili wyłomy w kwadratach. Rzędy piechurów znikały gniecione końmi. Bagnety nurzały się w brzuchach tych centuarów. Ztąd potworność ran, jakich może gdzieindziej nie widziano. Kwadraty, przerzedzone przez tę rozwścieczoną jazdę, zsuwały się w oka mgnieniu, nie ustępując ze stanowiska. Niewyczerpane kartacze wybuchały wśród napadających. Postać walki była potworną. Kwadraty te to już nie bataljony, lecz ogniste kratery; kirasjerowie ci to nie jazda, lecz nawałnica. Każdy kwadrat był jak wulkan napadnięty przez chmurę; lawa walczyła z piorunem.

Kwadrat ostatni z prawego końca najbardziej wystawiony na atak, zaraz w pierwszem starciu zniszczony został. Tworzył go 75 pułk szkockich górali. W środku, kiedy mordowano się dokoła, siedząc na bębnie grajek szkocki w głębokiej zadumie ze spuszczonemi oczyma pełnemi melancholji, w której się odbijały jego lasy i jeziora, spokojnie wygrywał na kobzie piosenki góralskie. Szkoci umierali, marząc o Ben Lothianie, jak Grecy wspominając Argos. Miecz kirasjera odciął kobzę i ramię, które ją trzymało, i przerwał muzykę, zabijając grajka.

Kirasjerowie stosunkowo nieliczni, zmniejszeni katastrofą w wąwozie, mieli tu przeciw sobie prawie całą armię angielską, ale zdawało się, że ich rosła

liczba: każdy bowiem stał za dziesięciu. Już kilka bataljonów hanowerskich ustąpiły z placu. Zobaczył to Wellington i pomyślał o swej jeździe. Gdyby Napoleon tejże chwili pomyślał o swej piechocie, wygrałby bitwę. To zapomnienie było błędem wielkim i fatalnym.

Nagle napadający kirasjerowie spostrzegli, że sami są napastowani. Jazda angielska uderzyła na nich z tyłu. Przed nimi kwadraty, za nimi Somerset, to jest tysiąc czterysta dragonów gwardji. Somerset miał po prawej stronie Dornberga z lekką jazdą niemiecką, a po lewej—Tripa z karabinierami belgijskiemi; kirasjerowie, napadnięci z czoła i z boku, z przodu i stułu przez piechotę i jazdę, musieli na wszystkie strony się bronić. Co im to znaczyło! byli jak trąba powietrzna. Waleczność ich stała się niewysłowioną.

Prócz tego mieli w tyle za sobą baterję ciągle piorunującą. Potrzebną była, by ci ludzie mogli być ranieni w plecy. Jeden z ich pancerzy z przebitą kartaczem lewą łopatką, znajduje się między zbiorami muzeum Waterloo.

Na takich Francuzów konieczni byli tacy Anglicy.

Nie była to już walka, ale zamęt i noc, wir wściekły jednym pędem porywający wszystkich wojowników, huragan mieczów-błyskawic. Po chwili, z tysiąca czterystu dragonów gwardji pozostało tylko osiemset; ich podpułkownik Fuller padł nieżywy. Nadbiegł Ney z ułanami i strzelcami Lafevra Desmouettes. Mont-Saint-Jean wzięte, odebrane, znowu wzięte. Kirasjerowie rzucili jazdę i znów uderzyli na piechotę, albo lepiej mówiąc, cała ta gromada porwała się za bary i jeden nie puszczał drugiego. Kwadraty dotrzymywały placu. Było dwanaście ataków. Pod Neyem ubito cztery konie. Połowa kirasjerów poległa. Walka trwała dwie godziny.

Armja angielska mocno została nadwyrężoną. Nie ulega wątpliwości, że gdyby nie straszna klęska w wą-

wozie, kirasjerowie złamaliby jej środek i rozstrzygnęli zwycięztwo. Ta jazda nadzwyczajna zdumiła Clintona, który przecież widział Talavera i Badajos. Wellington w trzech czwartych częściach zwyciężony, podziwiał ją heroicznie, mówiąc półgłosem:wspaniale! (1)

Położenie Wellingtona znacznie się pogorszyło. Dziwna ta bitwa była niby pojedynkiem między zawziętymi dwoma rannymi, z których każdy, nie ustając walczyć i bronić się, resztki krwi tracił. Kto się z nich pierwszy powali?

Walka na płaszczyźnie nie ustawała.

Jak daleko zapędzili się kirasjerowie? nikt nie umiałby powiedzieć. To jedno pewna, że nazajutrz po bitwie znaleziono zmarłego kirasjera i jego konia pod deską wagi do ważenia ciężaru wozów w Mont-Saint-Jean, tam, gdzie przecinają się cztery drogi z Nivelles, z Genappe, z La Hulpe i Brukselli. Żyje jeszcze w Mont-Sain-Jean człowiek, który widział tego trupa. Nazywa się Dehaze, miał wówczas lat osiemnaście.

Wellington czuł, że traci siły. Przesilenie się zbliżało.

Kirasjerom nie zupełnie się powiodło, bo nie potrafili przełamać środka. Płaszczyzna była w posiadaniu wszystkich i niczyjem, Anglicy jednak zajmowali część większą. Wellington był panem wioski i płaszczyzny na górze, Ney miał tylko wierzchołek i pochyłość. Obydwie strony zdawały się wrosłemi w tę grobową ziemię.

Ale osłabienie Anglików wydawało się nieuleczonem. Armja płynęła krwią okropnie. Kempt na lewem skrzydle wołał o posiłki. — *Nie mam ich* — odpowiedział Wellington—*niech się da zabić!*—Prawie współcześnie—dziwne zbliżenie, malujące wycieńczenie obydwóch armij—Ney żądał piechoty od Napoleona, a Napoleon zawołał. — *Piechoty! a zkąd mu ją wezmę! chce bym ją stworzył?*

(1) *Splendid!* słowo Wellingtona.

Jednakże armja angielska była słabszą. Wściekłe natarcia wielkich szwadronów, opancerzonych stalą, zgniotły piechotę. Kilku ludzi przy chorągwi oznaczali miejsce, gdzie stał pułk cały; niejeden bataljon miał dowódzcą kapitana lub porucznika; dywizja Alten, już znękana pod Haie-Sainte, prawie zniknęła; nieustraszeni Belgowie brygady Van Kluze trupami swemi zasłali żyto wzdłuż drogi z Nivelles; nic prawie nie pozostało z grenadjerów hollenderskich, którzy w roku 1811 przyłączeni w Hiszpanji do naszych szeregów, bili się z Wellingtonem, a w r. 1815, połączywszy z Anglikami, walczyli przeciw Napoleonowi. Oficerów liczba wielka poległa. Lord Uxbridge, który nazajutrz kazał pogrzebać swą nogę, miał strzaskane kolano. Jeżeli ze strony Francuzów zginęli w tej walce kirasjerów: Delord, l'Heritier, Colbert, Duop, Travers i Blancard, ze strony Anglików Alten był ranny, Barne ranny, Delancey zabity, Van Meeren zabity, Ompteda zabity, cały sztab główny Wellingtona zdziesiątkowany: Anglii dostał się gorszy udział w tej krwawej równowadze. Pułk drugi gwardji pieszej stracił pięciu podpułkowników, czterech kapitanów i trzech chorążych; pierwszy bataljon trzydziestego pułku piechoty, dwudziestu czterech oficerów i stu dwunastu żołnierzy; 79 pułk góralski miał dwudziestu czterech oficerów rannych, osiemnastu oficerów zabitych, czterystu pięćdziesięciu żołnierzy zabitych. Huzary hanowerskie Cumberlanda, cały pułk z dowódzcą swoim na czele, pułkownikiem Hacke, który później miał być stawiony przed sądem i zdegradowany, uciekł z pola bitwy do lasu Soignes, roznosząc popłoch aż do Brukselli. Wozy, jaszczyki, furgony pełne rannych, widząc że Francuzi biorą górę i zbliżają się do lasu, pędziły tam naoślep; Hollendrzy, rąbani przez jazdę francuzką, krzyczeli na alarm! Od Vert Coucou do Graenendael na przestrzeni dwóch mil ku Brukselli, według zeznania świadków dziś jeszcze żyjących, zaległy tłumy zbiegów. Strach paniczny tak dalece się

szerzył, że ogarnął księcia Kondeusza w Malines i Ludwika XVIII w Gand. Prócz słabej rezerwy, rozstawionej eszelonami za ambulansem w folwarku Mont-Saint-Jean, oraz brygad Vivian i Vandeleur, przytykających do lewego skrzydła, Wellington nie miał już jazdy. Mnóstwo baterij zdemontowanych leżały na ziemi. Sam Siborne przyznaje te fakta, a Pringle, przesadzając klęskę utrzymuje nawet, że z armji anglo-hollenderskiej pozostało tylko trzydzieści cztery tysiące ludzi. Książę Żelazny był wprawdzie spokojny, ale miał usta zsiniałe. Komisarz austrjacki Vincent i komisarz hiszpański Alava, przyłączeni do sztabu głównego i przytomni bitwie, mieli już księcia za zgubionego nieuchronnie. O piątej wieczór Wellington spojrzał na zegarek, i wyszeptał to słowo posępne: *Blücher, lub noc!*

Właśnie w tej chwili długi rzęd bagnetów zabłyszczał na wzgórzach od strony Frischmont.

I zbliżyło się rozwiązanie olbrzymiego dramatu.

XI.

Zły przewodnik dla Napoleona, dobry dla Bülowa.

Wiadomo jak bolesnego zawodu doznał Napoleon; oczekiwał jenerała Grouchy, nadciągnął Blücher; śmierć zamiast życia.

Przeznaczenie płata takie psoty; spodziewał się tronu świata, a ujrzał Świętą Helenę.

Gdyby pastuszek, który był przewodnikiem Bülowa, pomocnika Blüchera, doradził mu wyjść z lasu nie drogą niżej Plancenit, ale wyżej Frischemont, inną może byłaby postać dziewiętnastego stulecia. Napoleon wygrałby bitwę pod Waterloo. Wszelką inną drogą, prócz poniżej Plancenoit, armja pruska doszłaby do wąwozu, dla artylerji nieprzebytego i Bülow by nie przybył.

Otóż, godziną tylko później — powiada jenerał pruski Muffing—Blücher jużby nie zastał Wellingtona: „bitwa byłaby przegraną".

Jak widzimy, czas był wielki, żeby Bülow przybył. Zresztą bardzo się opóźnił. Nocował w Dionle-Mont i wyruszył o świcie. Ale drogi były nie do przebycia, dywizje jego ugrzęzły w błocie. Koła lawet brnęły w ziemi po osi. Prócz tego trzeba było przeprawiać się przez Dylę po wązkim moście Vavre; ulicę prowadzącą do mostu spalili Francuzi; ponieważ jaszczyki z amunicją i furgony nie mogły przejeżdżać

pośród palących się domów, musiano zaczekać aż zgaśnie pożar. Wybiła dwunasta, a jeszcze przednia straż Bülowa nie doszła do Chapelle-Saint-Lambert.

Gdyby bitwa zaczęła się dwiema godzinami wcześniej, skończyłaby się o czwartej, i nimby zdążył Blücher, jużby ją wygrał Napoleon. Takiemi są te olbrzymie trafy, niepojęte jak nieskończoność, której pochwycić nie możemy.

Już o południu, pierwszy cesarz spostrzegł coś przez lunetę na krańcu widnokręgu: zwróciło to jego uwagę. — Widzę tam — rzekł—jakąś chmurę, podobną do wojska. I zapytał księcia Dalmacji:—Soult, co widzisz w stronie Chapelle-Saint-Lambert? Marszałek przyłożył do oka lunetę i odpowiedział: — Cztery lub pięć tysięcy ludzi, najjaśniejszy panie. Widocznie Grouchy. Wszelako ta gromada stała nieruchomą w cieniu. Wszystkie lunety sztabu głównego badały „chmurę“, spostrzeżoną przez cesarza. Kilku powiedziało: to kolumny odpoczywające. Nierównie więcej mówiło: to drzewa. To pewna, że chmura się nie ruszała. Dla rozpoznania tego ciemnego punktu, cesarz wysłał oddział lekkiej jazdy Domona.

W istocie Bülow nie ruszał się. Przednia jego straż była nadzwyczaj osłabioną, i nie mogła posunąć się naprzód. Musiał czekać na główną armję, miał rozkaz połączyć się z nią nim wejdzie na linję bojową: ale o piątej wieczór, widząc niebezpieczeństwo Wellingtona, Blücher wydał Bülowi rozkaz uderzenia na Francuzów, i rzekł te znaczące słowa: „Trzeba dać odetchnąć armji angielskiej“.

Wkrótce potem dywizje Losthin, Hiller, Hacke i Ryssel rozwinęły się przed korpusem Lobau, jazda księcia Wilhelma Pruskiego wysunęła się z lasku Paryskiego, Placenoit ogarnęły płomienie, a kule pruskie padały jak grad w szeregi gwardji rezerwowej, stojącej za Napoleonem.

XII.

Gwardja.

Wiadomo co później nastąpiło; niespodzianie wpada trzecia armja, rozprzęga bitwę, osiemdziesiąt armat zionie chmurę kartaczy, Pirch przybiega z Bülowem, sam Blücher prowadzi jazdę Zietena, Francuzi wyparci, Marcognet wymieciony z płaszczyzny Ohain, Darutte wyparowany z Papelotty, Danzelot i Quiot cofają się, Lobau napadnięty z ukosa; rozpoczyna się znowu bitwa o zmroku z naszemi rozbitemi pułkami, cała linja angielska posuwa się naprzód i działa zaczepnie, kartacze pruskie, połączone z angielskiemi, biją olbrzymie wyłomy w armji francuzkiej, mordy, rzezie, klęski od przodu, klęski z boku. Wśród tego strasznego rozbicia, gwardja wstępuje na linję bojową.

Czując, że idzie na śmierć niechybną, wołała: niech żyje cesarz! Historja nie ma nic bardziej wzruszającego nad to konanie, wybuchające okrzykami.

Niebo było pochmurne dzień cały. Nagle, w tej właśnie chwili—a była już ósma wieczór, rozdarły się chmury na widnokręgu i przez wiązów gałęzie od Nivelle, rozlały się na ziemię złowrogie krwawe promienie zachodzącego słońca. Napoleon widział je wschodzące pod Austerlitz. Przy tem rozwiązaniu dramatu każdym bataljonem gwardji dowodził jenerał. Byli tu: Friont, Michel Roguet, Harlet, Mallet i Poret de Mou-

saz. Gdy w zmroku walki ukazały się wysokie bermyce grenadjerów gwardji z szerokiemi blachami i orłami, wyrównane, symetryczne, spokojne, nieprzyjaciel mimowoli uczuł poszanowanie dla Francji: zdawał się widzieć dwadzieścia zwycięztw, wstępujących na pole bitwy z rozpuszczonemi skrzydłami, — i zwycięzca cofnął się, myśląc, że jest zwyciężony; ale Wellington zawołał: *Stać gwardje a celować dobrze!* Czerwony pułk gwardji angielskich, leżący za krzakami, podniósł się, chmura kartaczy poszarpała trójkolorową chorągiew, powiewającą około naszych orłów, wszyscy runęli ku sobie i rozpoczęła się rzeź ostateczna. Gwardja cesarska uczuła, że tam w cieniu i około niej armja podaje tył, że rozpoczyna się ogólne cofanie; usłyszała uciekajcie! zamiast niech żyje cesarz! i mając za sobą ucieczkę, zimna, spokojna postępowała naprzód, na każdym kroku gęściej padając pod gromami nieprzyjaciół. Nie było ani wahających się, ani bojaźliwych. Każdy żołnierz gwardji był bohaterem jak jenerał. Ani jeden nie uszedł od samobójstwa.

Ney oszalały, wielki całą wzniosłością śmierci, której pragnął, na wszystkie ciosy nastawiał pierś burzy. Ubito pod nim piątego konia. Spocony, z płomieniem w oczach, pianą na ustach, w rozpiętym mundurze, jedna szlifa odcięta pałaszem, z gwiazdą wielkiego orła zgiętą od kuli, pokrwawiony, zabłocony, wspaniały ze skruszoną szablą w ręku wołał: *Chodźcie, zobaczcie jak umiera marszałek Francji na placu boju!* Ale napróżno: nie umarł. Był obłąkany, dziki, oburzony, cisnął to zapytanie Drouetowi d'Erlon; *A ty nie myślisz się dać zabić?* I wołał z rozpaczą wśród tej artylerji, druzgocącej garstkę ludzi: *Więc ani jednej kuli nie ma dla mnie! O! gdyby wszystkie kartacze angielskie weszły mi we wnętrzności!*—Nieszczęśliwy! byłeś przeznaczonym paść od kul francuzkich!

XIII.

Katastrofa.

Po za gwardją pierzchające wojska były obrazem ponurym. Armja niespodzianie ugięła się na wszystkich punktach naraz, z Hougomont, z Haie-Sainte, z Papelotty i z Placenoit. Krzyczano: zdrada, a potem zaraz zawołano: uciekajcie! ratuj się kto może! Armja w rozprzężeniu, to jak tające lody. Wszystko ugina się, pęka, łamie, pływa, toczy się, pada, potrąca, spieszy, pędzi na oślep. Niesłychany zamęt. Ney pożycza konia, skacze nań, i bez kapelusza, bez chustki na szyi, bez szabli biegnie na drogę Brukselską, staje wpoprzek, zatrzymując zarazem Anglików i Francuzów. Chce powstrzymać pierzchającą armję, woła na nią, lży i czepia się jej rękami i nogami. Daremnie! popłoch go unosi. Żołnierze uciekają krzycząc: *niech żyje marszałek Ney!* Dwa pułki Durotte'a biegną tam i sam jak piłka przerzucane od szabli ułanów do kartaczy brygad Kempta, Besta, Packa i Rylandta; nic okropniejszego w walce nad pierzchanie; swoi zabijają się w ucieczce, szwadrony i bataljony druzgoczą się i rozpraszają wzajem, niby niezmierna piana bitwy. Lobau w jednym końcu, Reille w drugim zepchnięci w te fale. Daremnie Napoleon stawia mur z resztek gwardji; daremnie wysila swe służbowe szwadrony. Quiot cofa się przed Vivianem, Keller-

mann przed Vandeleurem. Lobau przed Bülowem, Morand przed Pirchem, Domon i Subervic przed księciem Wilhelmem pruskim. Guyot prowadzący do ataku szwadrony cesarza pada pod nogi dragonom angielskim. Napoleon pędzi czwałem wzdłuż uciekających, przemawia do nich, nalega, grozi, błaga. Wszystkie usta które wołały rano, niech żyje cesarz! teraz milczą otwarte; żołnierze ledwie go poznają. Świeża jazda pruska przybywszy na plac bitwy, rzuca się, biegnie, tnie pałaszami, rąbie, siecze, zabija, wytępia. Armaty z zaprzęgiem walą się na ziemię, kanonierowie uciekają; furgony wywrócone do góry czterema kołami zawalają drogę i powodują nowe rzezie. Druzgoczą się, cisną, depczą po umarłych i żywych. Tłum obłąkany, odurzony zapełnia drogi, ścieżki, mosty, równiny, wzgórza, doliny i lasy: wszystko zapchane ucieczką czterdziestu tysięcy ludzi. Krzyczą w rozpaczy, broń i tornisty rzucają w zboże, szablą torują sobie drogę, nie ma towarzyszów, niema oficerów, nie ma jenerałów: popłoch nie do opisania. Zieten rąbał Francję do woli. Lwy stały się sarnami. Taką była ucieczka.

W Genappe usiłowano zawrócić, stawić czoło, przytrzymać uciekających. Lobau zebrał trzystu ludzi. Zabarykadowano wejście do wioski, ale za pierwszym gradem kartaczy pruskich, wszystko jęło uciekać znowu, i Lobau został wzięty. Dziś jeszcze widać ślady tego wystrzału kartaczowego na starym murze rudery z cegieł, stojącej po prawej stronie drogi, na kilka kroków od Genappe. Prusacy wpadli do Genappe wściekając się na tak łatwe zwycięztwo. Ściganie było potworne. Blücher kazał zabijać bez miłosierdzia. Roguet dał ten ponury przykład, grożąc śmiercią każdemu grenadjerowi francuzkiemu, który przyprowadzi jeńca pruskiego. Blücher prześcignął w okrucieństwie Rogueta. Jenerał młodej gwardji Duhesme, przyparty do drzwi austerji w Genappe, oddał swą szpadę huzarowi śmierci; ten wziął szpadę

i zabił jeńca. Zwycięstwo dokonane rzezią zwyciężonych. Ukarzmy, bo jesteśmy historją: stary Blücher się zbezcześcił. To okrupieństwo dopełniło miary klęski. Rozpacznie pierzchający żołnierze, przebiegli Genappe, Quatre-Bras, Sombrefie, przebiegli Frasnes, Thuin, Charlerois i nie zatrzymali się aż na granicy. Niestety! któż to tak uciekał? wielka armja.

Ten popłoch, zawrót, strach paniczny, to zwalenie się w gruzy najwyższego męztwa jakie kiedykolwiek podziwiała historja, — sąż bez przyczyny? Nie. Cień olbrzymiej prawicy zawisł nad Waterloo. Był to dzień przeznaczenia. Siła nadludzka go wydała. Ztąd pochodzi owo straszne opuszczenie głów, i to poniżenie dusz wielkich. Zwycięzcy Europy padli zgnębieni, niemając nic do powiedzenia i nic do zrobienia, czując w cieniu czyjąś straszną obecność. *Hoc erat in fatis.* W dniu tym zmieniła się przyszłość rodzaju ludzkiego. Waterloo — to zawiasa dziewiętnastego wieku. By wielki wiek nastał, musiał zniknąć wielki człowiek. Podjął się tego dokonać ktoś, któremu opierać się, rzecz daremna. To tłumaczy strach paniczny bohaterów. W bitwie pod Waterloo jest coś więcej niż chmura, jest zjawisko cudowne. Bóg przemknął przez pobojowisko.

Noc zapadła, gdy na polu pod Genappe, Bernard i Bertrand schwycili za poły surduta i zatrzymali człowieka z dzikiem spojrzeniem, ponuro zamyślonego, który porwany prądem ucieczki skoczył na ziemię, lejce konia zarzucił na ramię i z obłąkanym wzrokiem sam powracał do Waterloo. Był to Napoleon: chciał jeszcze iść naprzód, olbrzymi lunatyk sennego marzenia, które runęło na zawsze.

XIV.

Garstka ostatnia.

Kilka kwadratów gwardji, nieruchome wśród prądu ucieczki, niby skały wśród pędzącej wody, utrzymały się do nocy. Nastała noc, z nią śmierć, gwardziści czekali na ten cień podwójny, i niezachwiani dali się mu ująć w objęcia. Każdy pułk osamotniony, nie połączony żadnym węzłem z armją, ze wszech stron się rozpadającą, umierał na własny rachunek. Do tej ostatniej rozprawy, zajęli pozycje jedni na wzgórzach Rossomme, inni na płaszczyźnie Mont-Saint-Jean. Tu, opuszczone, zwyciężone, straszne, te kwadraty posępne konały potężnie. Ulm, Wagram, Jena, Friedland z nimi razem zstępowały do grobu.

O zmroku, około dziewiątej wieczór, u stóp wyniosłej płaszczyzny Mont-Saint-Jean, pozostał jeden kwadrat. I w tej posępnej dolinie, pod wzgórzem na które wdarli się byli kirasjerowie, teraz zalanem tłumami Anglików, pod ześrodkowanym ogniem wszystkich artyjerji zwycięzkiego nieprzyjaciela, zasypany gąszczem pocisków, walczył dzielny kwadrat. Dowodził nim oficer niższego stopnia nazwiskiem Cambronne. Za każdym wystrzałem wroga, zmniejszał się kwadrat, i odpowiadał ogniem. Na kartacze wroga odstrzeliwał z karabinów, nieustannie zwężając swe cztery ściany. Tam daleko zadyszane zbiegi zatrzy-

mywali się na chwilę, przysłuchując w ciemnościach słabnącym grzmotom posępnego piorunu.

Gdy z legionu szczupła tylko garstka ocalała, gdy chorągiew jej stała łachmanem, gdy wyczerpane z kul karabiny stały się kijami, gdy stos trupów stał się większym od gromadki pozostałej przy życiu, święta groza przejęła zwycięzców na widok tych umierających tak heroicznie, i artylerja angielska, spocząwszy umilkła. Folgowała im dając czas do namysłu i złożenia broni. Wojownicy, otoczeni mrowiskiem widm, cieniami jeźdźców, czarnemi profilami armat, patrzyli przez koła i lawety nieprzyjacielskie na pas bladego nieba; kolosalna głowa śmierci którą bohaterowie widzą zawsze wśród dymów bitwy, zbliżała się ku nim patrząc w oczy. Słyszeli nabijanie w zmroku dział; zapalone lonty, niby oczy tygrysa, dokoła ich głów kręciły się w nocy; wszystkie te lonty baterji angielskich zbliżyły się do armat; wtedy, trzymając śmierć zawieszoną nad głowami tych ludzi, jenerał angielski Collville według jednych, Maitland wedle drugich, zawołał wzruszony: Waleczni Francuzi poddajcie się! Cambronne odpowiedział. g . . . .!

XV.

Cambronne.

Czytelnik francuzki chce, by miano dlań szacunek i nie można mu powtórzyć słowa, najpiękniejszego może, jakie kiedykolwiek powiedział Francuz. Jak nieczystości przy murze, nie wolno przy historji kłaść szczytnych, ale rażących prawdą rzeczy.

Bądź co bądź, z narażeniem własnem przekraczamy ten zakaz.

Między temi olbrzymami był jeden tytan, Cambronne.

Powiedzieć to słowo i potem umrzeć, jestże co potężniej wielkiego! albowiem pragnąć śmierci to umrzeć; nie było winą tego człowieka, że zarzucony kartaczami, żył jeszcze.

Mąż który wygrał bitwę pod Waterloo, to nie Napoleon w rozsypce, to nie Wellington podający tył o czwartej po południu, zrozpaczony o piątej, to nie Blücher, co się wcale nie bił, mąż który wygrał bitwę pod Waterloo, to — Cambronne.

Uderzyć gromem tego słowa w piorun, który cię zabija, to zwyciężyć.

Dać taką odprawę katastrofie, powiedzieć to przeznaczeniu, dać taką podstawę przyszłemu lwowi, cisnąć taką odpowiedź ulewie nocnej, zdradzieckiemu murowi w Hougomont, wąwozowi w Ohain, opóźnieniu

Grouchy, przybyciu Blüchera, być ironją w grobie, stać jeszcze mimo upadku, w dwóch sylabach utopić koalicję europejską, ofiarować wrogom te kloaki już Cezarom znane, najpośledniejszy wyraz przemienić w najszczytniejszy dorzucając doń błyskawicę Francji zuchwale zakończyć Waterloo karnawałem, dopełnić Leonidasa Rabelaim, streścić to zwycięztwo w słówku którego niepodobna głośno wymówić, tu zginąć a żyć w dziejach, po takiej rzezi umieć śmiech obudzić—to dzieło olbrzymie.

To obelga rzucona piorunowi. To sięga szczytów Eschylesowej wielkości.

Słówko Cambronna sprawia wrażenie złamania kości. To pęknięcie deski piersiowej rozsadzonej zbytkiem wzgardy; to wybuchający nadmiar konania. Kto zwyciężył? czy Wellington? Nie. Zginąłby gdyby nie Blücher. Czy Blücher? Nie. Gdyby Wellington nie rozpoczął, Blücher nie mógłby dokończyć. Ów Cambronne, przechodzień ostatniej godziny, nieznany żołnierz, nieskończenie maluczki wojownik, — czuje że jest kłamstwo w katastrofie, podwajające jej gorycz, i w chwili gdy go wściekłość na nie porywa, wróg ofiaruje mu tę nędzotę — życie! I jak tu nie bluzgać przekleństwem! Stoją przed nim wszyscy mocarze, jenerałowie szczęśliwi, Jowisze ciskają pioruny, mają sto tysięcy zwycięzkich żołnierzy, w tyle drugie sto tysięcy, miljon; ich armaty z zapalanymi lontami rozwarły nań paszcze, depcą nogami gwardję cesarską i wielką armję, zgnietli Napoleona, pozostał jedynie Cambronne; by protestować jest tylko ten robak ziemi. I protestuje. Szuka słowa, jak miecza. Przynosi mu je ślina, i ta ślina jest słowem. W obec cudownego a nędznego zwycięztwa, w obec zwycięztwa bez zwycięzców, człek ten zrozpaczony prostuje się, ulega jego potworności, ale głosi jego nicość; i nie tylko pluje na nie; upadając pod ciężarem liczby, przemocy i materji, dusza jego znajduje dlań wyrażenie

stosowne — łajno. Powtarzamy, powiedzieć to uczynić, znaleść taki wyraz, to być zwycięzcą.

W owej chwili fatalnej wstąpił w tego człowieka duch wielkich wypadków. Cambronne znajduje słówko waterloowskie, jak Rouget de l'Isle znalazł Marsyljankę, nawiedziony tchnieniem z wysokości. Huragan Boży zerwał się i przeniknął tych ludzi; zadrżeli, jeden z nich zaśpiewał pieśń najwznioślejszą, drugi wydał krzyk przeraźliwy i straszny. To słowo wzgardy tytanicznej, nietylko Europie ciska Cambronne w imieniu cesarstwa — tego nie dosyć — ciska je nadto przeszłości w imieniu wielkiej idei 89 roku. Słyszą je i poznają w Cambronnie starożytną duszę olbrzymów. Zda im się słyszeć ognistą mowę Dantona, lub lwi ryk Klebera.

Na słówko Cambronna głos angielski odpowiedział: pal! Baterje buchnęły płomieniem, zatrzęsło się wzgórze, wszystkie paszcze spiżowe żygnęły kartaczami; runął dym gęsty z lekka posrebrzony promieńmi księżyca, a gdy wiatr go rozproszył, nic już nie było widać. Reszta strasznego kwadratu zniweczona, — gwardja nie żyła. Cztery ściany żywej reduty leżały na ziemi; zaledwie tu i owdzie dostrzegano drżenie między trupami. Tak legjony francuzkie, większe od legjonów rzymskich, konały pod Mont-Saint-Jean na ziemi zlanej deszczem i krwią, na posępnych błoniach, w miejscu kędy dziś o czwartej zrana przejeżdża świszcząc i wesoło trzaskając z bicza Józef, pocztyljon dyliżansu jadącego z Nivelles.

XVI.

Quot libras in duce?

Bitwa pod Waterloo jest zagadką, równie ciemną dla tych, co ją wygrali, jak dla tych, co zostali pobici. Napoleon widział w niej przestrach paniczny (1). Blücher był nią olśniony; Wellington zgoła jej nie rozumiał. Można to poznać z raportów. Buletyny są ciemne, komentarze zagmatwane. Jedne jąkają się, drugie przebąkują niewyraźnie. Jomini dzieli bitwę na cztery perjody; Mufling na trzy oddzielne części; Charras, chociaż w wielu punktach różnimy się z nim w zdaniu, jeden śmiałym rzutem oka objął główne zarysy tej katastrofy genjuszu ludzkiego w zapasach z bożym losem. Wszyscy inni historycy są olśnieni, i w tej ciemności błądzą poomacku. W istocie, w tym dniu piorunującym, runęła monarchja wojskowa, która ku wielkiemu osłupieniu panujących pociągnęła swą ruiną wszystkie państwa; był to upadek siły; ucieczka wojny.

W tym wypadku, nacechowanym koniecznością nadludzką, ludzie nie mieli żadnego udziału.

---

(1) „Już bitwa była zawartą, naprawione błędy, dzień się kończył, największe powodzenie zapewnione dla dnia następnego, gdy jedna chwila panicznego strachu wszystko zgubiła.
(Napoleon, *Dyktowania na Ś-ej Helenie*).

Odjąć zasługę wygranej pod Waterloo Wellingtonowi lub Blücherowi, jest-li to w czem ubliżyć Anglji lub Niemcom? Bynajmniej. Zagadka Waterloo nie dotyczy ani sławnej Anglji, ani dostojnych Niemiec. Dzięki Bogu, ludy wielkie są, mimo ponurych przygód wojennych. Anglja, Niemcy, Francja nie mieszczą się w pochwie szabli. W tej epoce, gdy Waterloo było tylko szczękiem oręża, w Niemczech wyżej Blüchera stał Goethe, w Anglji wyżej Wellingtona — Bajron. Jutrzenka idei jest znamieniem wieku naszego; w tym przedświcie Anglja i Niemcy jaśnieją wspaniale. Są majestatyczne, bo myślą. Z ich wnętrza dobywa się wysoki polot cywilizacji, to ich własne dzieło nie zrządzenie przypadku. Waterloo bynajmniej nie jest źródłem ich wielkości w dziewiętnastym wieku. Tylko ludy barbarzyńskie rosną nagle po zwycięztwie. Jest to znikoma próżność potoków, wezbranych po burzy. Ludy ucywilizowane, zwłaszcza w czasach dzisiejszych, nie podnoszą się ani upadają ze szczęśliwą lub nieszczęśliwą gwiazdą swego wodza. Bogu dzięki, ich dostojeństwo, ich światło i genjusz nie są liczbami, które stawiają na loterji bitw bohaterowie i zdobywcy, hazardowni gracze. Często przegrana bitwa jest wygranym postępem. Ubyło chwały, przybyło swobody. Jest to gra, w której wygrywa, kto traci. Mówmy więc spokojnie, zimno, o obydwóch stronach, walczących pod Waterloo. Oddajmy przypadkowi co jest przypadkowego, a Bogu—co jest Bskiego. Czem było Waterloo? Zwycięztwem? Nie. Kwinternem.

Kwinternem wygranem na loterji przez Europę, a zapłaconem przez Francją.

Doprawdy, nie było za co stawiać lwa na polu bitwy.

Zresztą Waterloo jest najdziwniejszą z walk, znanych w dziejach. Napoleon i Wellington. To nie dwaj nieprzyjaciele, to dwa bieguny przeciwne. Nigdy Bóg, podobający sobie w sprzecznościach, nie stawił przeciw sobie bardziaj rażącego i niezwykłego

przeciwieństwa. Z jednej strony dokładność, przezorność, jeometrja, roztropność, zapewniony odwrót, zaoszczędzone rezerwy, zimna krew uporczywa, niezachwiana metodyczność, strategja, korzystająca z miejscowości, taktyka, pamiętająca o równawadze bataljonów, rzeź wyciągnięta pod sznur, wojna prowadzona z zegarkiem w ręku, nic dobrowolnie nie zostawionego przypadkowi, klassyczna stara odwaga, bezwarunkowa prawidłowość; z drugiej strony natchnienie, intuicja, wieszcze odgadywanie, dziwactwo wojskowe, nadludzki instynkt, płomienny rzut oka, coś mającego spojrzenie orła i siłę piorunu, cudowna sztuka, połączona ze wzgardliwą popędliwością, wszystkie tajemnice duszy głębokiej, ściśle zespolonej z losem; rzeki, płaszczyzny, lasy i wzgórza niejako zmuszone do posłuszeństwa — bo despota wywierał swój wpływ wszechwładny nawet na pole bitwy; — wreszcie wiara w swą gwiazdę, połączona z wielką nauką strategiczną, to podnosząca ją, to zaciemniająca. Wellington był Baréme'm wojny, a Napoleon jej Michałem Aniołem; tym razem rachuba odniosła zwycięztwo nad genjuszem.

Z obydwóch stron na kogoś czekano. Dokładny rachmistrz się nie zawiódł! Napoleon oczekiwał jenerała Grouchy, i nie przyszedł; Wellington czekał na Blüchera, ten przyciągnął.

Wellington — to wojna klassyczna, odzyskująca starą przewagę. W jutrzence swego genjuszu Bonaparte spotkał się z nią we Włoszech i dumnie pobił na głowę. Stara sowa uciekła przed młodym sępem. Nie tylko zgromił starą taktykę, ale ją zgorszył wielce. Cóż to za jeden ów dwudziesto-sześcioletni Korsykanin? co znaczy ten dumny samouczek, który mając wszystko przeciw sobie, nic za sobą, bez żywności, bez amunicji, bez armat, bez trzewików, prawie bez armji, z garstką żołnierzy przeciw niezliczonym massom, rzucał się na skoalizowaną Europę i niedorzecznie odnosił niemożliwe zwycięztwa? Co to za samozwaniec wojny, przybywający z zuchwalstwem losu? Akademicz-

na szkoła wojskowa rzucała nań klątwę, tyl podając. Ztąd nieubłagana uraza starego cezaryzmu do nowego, prawidłowej szpady do ognistego miecza, szachownicy do genjuszu. Ostatniem słowem tej urazy był 18 czerwca 1815 r.; to też po nad Lodi, Montebello, Montenotte, Mantuę, Marengo i Arcole napisała ona: Waterloo. Tryumf miernostek miły większościom liczebnym. Los zgodził się na tę ironję. Przy zachodzie swej gwiazdy Napoleon spotkał się z odmłodzonym Suwarowem.

W istocie, dość pobielić włosy Wellingtonowi, a mieć będziecie Suwarowa.

Waterloo to bitwa pierwszego rzędu wygrana przez drugorzędnego wodza.

W bitwie pod Waterloo podziwiać trzeba nadewszystko Anglją, wytrwałość angielską, stanowczość angielską i krew angielską; co było najwspanialszego z Anglji w tym boju, to—niech nam daruje—ona sama. Jej armja, nie jej wódz.

Wellington, dziwacznie niewdzięczny, oświadcza w liście do lorda Bathurst, że armja, która walczyła 18 czerwca 1815 r. była „nędzną armją". Co o tem myśli posępna gromada kości, zagrzebanych w brózdach Waterloo?

Anglja zbyt skromną się pokazała względem Wellingtona. Podnosić tak Wellingtona, to poniżać Anglję. Wellington był bohaterem pospolitym. Ale szare szkoty, ale gwardja angielska, ale pułki Maitlanda i Mitchella, ale piechota Packa i Kempta, i ta jazda Ponsonby i Somerseta, ale ci górale wygrywający na kobzach pod kartaczami i te bataljony Rylandta, i ci nowozaciężni, co ledwie umiejąc władać karabinem, stawiali czoło starym wojakom z pod Essling i Rivoli,— ci byli prawdziwie wielcy. Wellington był wytrwały, ten przymiot chętnie mu przyznajemy, ale każdy z jego piechurów i jeźdźców niemniej nad niego był wytrwałym. Żołnierz żelazny wart był Żelaznego księcia. My przypisujemy całą chwałę żołnierzowi angiel-

skiemu. Jeśli trofea należą się komu, to chyba całej Anglji. Pomnik Waterloowski byłby stosowniejszym, gdyby w miejsce jednej figury ludzkiej, postawiono na szczycie posąg całego ludu.

Ale wielka Anglja rozgniewa się na nas za te słowa. Ma ona jeszcze mimo swego roku 1688 i naszego 1789, złudzenia feudalne. Wierzy w dziedziczność i hierarchję. Lud, którego żaden nie przewyższa w potędze i chwale, ceni się jako naród, nie jako lud. Jako lud chętnie poddaje się rozkazom jakiego lorda-wodza. Przypominamy sobie, że w bitwie inkermeńskiej, lord Raglan nie mógł uczynić wzmianki o pewnym sierżancie, który, jak się zdaje ocalił armję, — bo hierarchja wojskowa angielska nie pozwala wspominać w raporcie choćby o największym bohaterze, jeśli nie ma szlif oficerskich.

W potrzebie tego rodzaju, jak Waterloowska, podziwiamy nadewszystko cudowną zręczność przypadku. Deszcz nocny, mur Hougomont, wąwóz Ohain, Grouchy głuchy na ryk dział, przewodnik zwodzący Napoleona, przewodnik objaśniający Bülowa: cały ten kataklyzm cudownie jest urządzony.

Wogóle można powiedzieć, że pod Waterloo więcej było rzezi niż boju.

Ze wszystkich walnych bitw; waterloowska miała najmniejszy front na tak wielką liczbę walczących. Napoleon zajmował trzy czwarte mili, Wellington pół mili; po każdej stronie stało siedmdziesiąt dwa tysiące walczących. Gęste skupienie spowodowało rzeź.

Uczyniono obrachowanie i ułożono taki stosunek: Straty w ludziach: pod Austerlitz, Francuzów czternastu na sto; Rosjan—trzydziestu na sto; Austrjaków — czterdziestu czterech na sto. Pod Wagram: Francuzów trzynastu na sto; Austrjaków czternastu. Pod Moskwą; Francuzów — trzydziestu siedmiu na sto, Rosjan — czterdziestu czterech. Pod Bautzen: Francuzów — trzynastu na sto, Rosjan i Prusaków — czternastu. Pod Waterloo: Francuzów pięćdziesięciu sześciu na sto, sprzymierzonych trzy-

dziestu jeden. Razem pod Waterlloo czterdzieści jeden na sto. Sto czterdzieści cztery tysiące walczących; sześćdziesiąt tysięcy poległych.

Pole waterloowskie ma dziś spokój każdego innego ziemi kawałka, nieczułej podpory człowieka; podobne jest do wszystkich innych płaszczyzn.

Jednakże nocą dobywa się z niego jakaś mgła tajemnicza; jeśli przechodzień patrzy, słucha i marzy jak Wirgili na smutnych równinach Filippi, chwyta go widzenie katastrofy. Straszny 18 czerwiec powraca; niknie fałszywe wzgórze pomnik, śmieszny lew rozpływa się w powietrzu, pole bitwy odzyskuje rzeczywiste kształty; szeregi piechoty kołyszą się na płaszczyznie, wściekli jeźdzcy przerzynają widnokrąg; przerażony marzyciel widzi błyskawice szabli, iskrzenie bagnetów, płomienie bomb, potworne gzygzaki piorunów, słyszy chrapanie konających w grobie, stłumione okrzyki bitwy—widziadła; te cienie — to grenadjerowie; te błyski—to kierasjerowie; ten skelet, to Napoleon; ów drugi skelet, to Wellington; wszystko to już nie żyje, a jeszcze uciera się i walczy; wąwozy krwią się rumienią, drzewa jęczą, wściekłość ogarnia chmury, a w ciemnościach wszystkie dzikie wzgórza Mont-Saint-Jean, Hougomont, Frischemont, Papelotta i Plancenoit ukazują się bezładnie uwieńczone tumanem widm, mordujących się wzajemnie.

XVII.

Czy dobre było Waterloo?

Jest szkoła liberalna szanowna bardzo, która wcale nie gniewa się na Waterloo. My do niej nie należymy. Dla nas Waterloo jest tylko osłupiałą ze zdumienia datą swobody. By taki orzeł wylęgł się z takiego jaja, w istocie przypuścić niepodobna.

Stojąc na najwyższym punkcie kwestji, Waterloo okaże się nam zwycięztwem kontrrewolucji, przynajmniej w przyszłości. Waterloo to cała Europa, połączona przeciw Francji, to Londyn, Berlin i Wiedeń przeciw Paryżowi, status quo przeciw inicjatywie, 14 lipca 1789 napadnięty przez 20 marca 1815, to hamulec monarchji, rzucony na nieposkromioną nawałnicę francuzką. Zagasić buchający od dwudziestu sześciu lat wulkan wielkiego ludu, to było marzenie. Solidarność Brunszwików, Nassanów, Hohenzolernów i Habsburgów z Burbonami. Waterloo ciągnie jak ogon za sobą stare pojęcia polityczne. Prawda, że gdy cesarstwo było despotyczne, nowe rządy — naturalnem oddziaływaniem, musiały koniecznie stać się liberalnemi, że system konstytucyjny wyszedł z Waterloo, choć z bólem serca i wielkim żalem zwycięzców. Albowiem rewolucja nie mogła być rzeczywiście zwyciężoną, a będąc opatrznie i bezwzględnie konieczną, pojawiała się przed waterloowską bitwą w Bonapartym, burzącym

stary porządek polityczny, a po Waterloo, w Ludwiku XVIII, nadającym, lubo niechętnie, kartę konstytucyjną. Bonaparte sadza pocztyljona na tron Neapolitański, sierżanta na tron szwedzki, używając nierówności, aby dowieść równości; Ludwik XVIII podpisuje w Saint-Ouen uznanie praw człowieka. Jeśli chcecie mieć dokładne wyobrażenie o rewolucji, nazwijcie ją Postępem: jeśli chcecie zdać sobie sprawę z postępu, nazwijcie go Jutrem. Jutro wykonywa swą robotę nieodzownie, a zaczyna ją jeszcze dzisiaj. Zawsze celu swego dopina, choć w dziwny sposób. Używa Wellingtona jako narzędzie, by Foye'a, który był tylko żołnierzem, przemienić w mówcę. Foye upada pod Hougomont, ale podnosi się na trybunie. Tak sobie radzi postęp. Dla tego robotnika nie masz złych narzędzi. Do boskiej swej pracy, bez kłopotu używa człowieka, który przekroczył Alpy, i chorego chwiejącego się staruszka, ze szpitala ojca Elyzeusza. Podagra i zdobywca zarówno mu służą; zdobywca zewnątrz, podagra wewnątrz. Waterloo, powstrzymując miecz, walący trony europejskie, nadało tylko robocie rewolucyjnej inny kierunek. Czas rębaczów minął, przyszła kolej na myślicieli. Wiek, który chciała powstrzymać bitwa pod Waterloo, przeszedł po jej głowie i dalej zdążał swą drogą. Złowrogie to zwycięztwo zwyciężyła swoboda.

Słowem, niezaprzeczenie to, co odniosło tryumf pod Waterloo, co uśmiechało się za plecami Wellingtona, co mu dało wszystkie buławy hetmańskie Europy, nie wyjmując, jak powiadają, buławy marszałka Francji, co wesołe popychało taczki z ziemią pełną kości, na wzniesienie kopca ze lwem, co tryumfalnie napisało na piedestale datę: 18 czerwca 1815 r., co zachęciło Blücherа do rąbania pierzchających, co z wyżyn wzgórza Mont-Sain-Jean spadło na Francję, jak na łup gotowy,—to była kontrrewolucja. Kontrrewolucja szepnęła słówko haniebne: rozbiór. Przybywszy do Paryża, przyjrzała się zblizka kraterowi,

uczuła, że jego popioły palą jej stopy i rozmyśliła się inaczej. Wybełkotała kartę konstytucyjną.

Nie upatrujmy w Waterloo, co w niem było mimowiednie. Nie szukajcie tam rozmyślnej wolności, bo jej nie było. Kontr-rewolucja mimowolnie była liberalną, podobnie jak z tejże przyczyny, Napoleon był mimowolnie rewolucjonistą. Dnia 18 czerwca 1815 r. konny Robespierre został wysadzony z siodła.

XVIII.

Stan Francji po bitwie pod Waterloo.

Koniec dyktatury. Runął cały system europejski. Cesarstwo rozwiało się w ciemnościach podobnych do zmierzchu konającego świata rzymskiego. Zmartwychpowstano z przepaści jak w czasach napadów barbarzyństwa. Ale barbarzyństwo r. 1815, które nazwać trzeba zdrobniałem imieniem kontr-rewolucja, miało słabe piersi, zadyszało się prędko i ustało. Wyznajmy, że upadek cesarstwa opłakiwano; opłakiwały go oczy bohaterskie. Jeżeli chwałą jest miecz przemieniony w berło, cesarstwo było uosobioną chwałą. Rozlało na ziemię wszelkie światło, jakie może dać tyranja; światło posępne. Więcej powiemy: światło ciemne. Porównane z dniem prawdziwym, było ono nocą. A jednak to zniknienie nocy sprawiło skutek zaćmienia słońca.

Ludwik XVIII powrócił do Paryża. Tańce około 8 lipca zatarły entuzjazmy 20 marca. Korsykanin stał się antytezą Bearneńczyka. Na kopule tuileryjskiej powiewała biała chorągiew. Królowało wygnanie. Sosnowy stół Hartwelski zajął miejsce przed ozdobionym w lilje burbońskie fotelem Ludwika XVIII. Mówiono o Bouvines i Fontenoy jak o wypadkach wczorajszych, bo Austerlitz już zestarzał. Ołtarz i tron bratały się majestatycznie. Jedna z uznanych form ocalenia spo-

łeczeństwa dziewiętastego wieku ustaliła się we Francji i na całym lądzie stałym. Europa przybrała za godło białą kokardę. Trestaillon stał się sławny. Dewiza *non pluribus impar* ukazała się znowu w promieniach kamiennych, wyobrażających słońce na facjacie koszar przy ulicy Orsay. Gdzie stała gwardja cesarska, teraz mieszkali muszkieterowie. Łuk karuzelu przeciążony źle dźwiganemi zwycięztwy, obcy wśród tych nowości, wstydził się może za Marengo i Austerlitz i wydobył z kłopotu, przyjąwszy na się posąg ks. Angoulême, Cmentarz Magdaleny, straszny dół wspólny 93 roku, pokrył się marmurem i jaspisem, bo w jego prochach były także kości Ludwika XVI i Marji Antoinetty. Nad dołem w Vincennes sterczała teraz kolumna grobowa, przypominająca, że książę d'Enghien umarł tegoż miesiąca, w którym Napoleon został ukoronowany. Papież Pius VII, który namaszczenie spełnił tak blizkie owej śmierci, spokojnie błogosławił upadkowi, jak błogosławił wyniesieniu. Był w Schoenbrunn mały cień czteroletni; za buntownika miano, kto go nazwał królem rzymskim. I wszystko to się stało i królowie odzyskali trony, i władzca Europy zamknięty został do klatki, i stary system rządowy stał się nowym, i wszystkie cienie i wszystkie światła ziemi zamieniły miejsca — dlatego, że po południu pewnego dnia letniego, pastuszek powiedział do Prusaka w lesie: idź tędy nie tamtędy!

Rok 1815 był jakimś kwietniem ponurym.

Napoleon uwielmożnił i zarazem zdrobnił człowieka. Ideał, pod tem panowaniem pysznego materjalizmu, przybrał dziwną nazwę ideologji. Wielka nieroztropność wielkiego męża obracać w śmiech przyszłość. Ale ludy, to mięso dla kul działowych przeznaczone, a rozkochane w kanonierach, szukało go stęchnionemi oczyma. Gdzie się obraca? Co porobia? — Napoleon umarł — rzekł przechodzień do inwalidy z pod Marengo i Waterloo. — *On umarł!* — zawołał żołnierz— *a to go znasz dobrze!* Wyobraźnie ubóstwiły tego oba-

lonego męża. Po Waterloo tło Europy było ciemne. Przez długi czas po zniknieniu Napoleona pozostawała jakaś olbrzymia próżnia.

Panujący ją zajęli. Korzystała z tego stara Europa zabrała się do reform. Nastało Święte Przymierze, które już zapowiadał fatalny plac boju pod Waterloo.

Wobec tej starej Europy odbudowanej, uwydatniły się pierwsze zarysy nowej Francji. Zjawiła się przyszłość, z której szydził cesarz. Na jej czole jaśniała gwiazda, swoboda. Ogniste oczy młodych pokoleń zwróciły się ku niej. Rzecz dziwna, współcześnie rozkochano się w przyszłości, Swobodzie i w przeszłości, Napoleonie. Klęska spotęgowała wielkość zwyciężonego. Bonaparte w upadku zdawał się wyższym od Napoleona u szczytu potęgi.

Gdy Napoleon dogorywał w Long-wood, sześćdziesiąt tysięcy ludzi gniło tymczasem spokojnie na pobojowisku Waterloo i spokój ich grobu rozlał się na świat cały. Kongres wiedeński ułożył zeń traktaty 1815 roku, Europa to nazwała restauracją.

Takiem jest Waterloo.

Lecz nieskończoności co potem? Cała ta nawałnica, ta chmura, ta wojna, później ten pokój i ciemność, nie zamgliły ani na chwilę blasku niezmierzonego oka, dla którego drobniutka mszyca, skacząca z jednego źdźbła trawki na drugi, równą jest orłowi przelatującemu z dzwonnicy na dzwonnicę wieżyc kościoła Najświętszej Panny.

XIX.

Pobojowisko w nocy.

Powieść nasza zmusza nas wrócić jeszcze na fatalne pole bitwy.

Dnia 18 czerwca 1815 r. księżyc świecił w pełni. Ta jasność sprzyjała srogiej pogoni Blüchera, wskazywała ślady zbiegów, wydawała na pastwę zażartej jazdy pruskiej nieszczęsne gromady i dopomagała rzezi. Niekiedy zdarzają się w katastrofach takie tragiczne usłużności nocy.

Gdy umikł ostatni strzał armatni, płaszczyzna Mont-Saint-Jean była zupełnie pusta.

Anglicy zajęli obozy francuzkie; zwykłe to potwierdzenie zwycięztwa, gdy się nieprzyjaciel kładnie spać w łóżku zwyciężonego. Rozłożyli biwaki za Rossomme. Prusacy zażarci na uciekających zapędzili się daleko. Wellington pojechał do wioski Waterloo ułożyć raport do lorda Bathurst.

Jeżeli kiedy *sic vos non vobis* właściwie dało się zastosować, to pewnie do wioski Waterloo. Waterloo spokojne, leżało o pół mili od pola bitwy. Mont-Saint-Jean skartaczowane, Hougomont spalone, Papelotta spalona, Plancenoit spalone, Haie-Sainte zdobyte szturmem, Belle Alliance patrzyła na uściski dwóch zwy-

ciężców, a jednak nazwiska ich ledwie są znane, gdy Waterloo wcale nie należąc do bity dostąpiło wszystkich jej zaszczytów.

Nie należymy do pochlebców wojny; gdy się nastręczy sposobność, mówimy jej gorzką prawdę. Wojna ma straszne piękności, których bynajmniej nie tailiśmy, ale wyznajemy, że ma także swe brzydkie strony. Najszkaradniejszą jest nagłe odzieranie poległych po zwycięztwie. Zorza następująca po bitwie zawsze wschodzi obnażonym trupom.

Kto dopuszcza się tej szkarady? Kto tak zbezczeszcza tryumf? Jaka ohydna ręka ukradkiem wsuwa się w kieszeń zwycięztwa? Jacy złodzieje swe sromotne rzemiosło sprawiać śmieją na polu sławy? Niektórzy filozofowie, między innemi Voltaire, utrzymują że właśnie ci sami, którzy się okryli sławą. To ci sami, powiadają, i inaczej być nie może; żywi łupią poległych. Bohater za dnia jest w nocy upiorem. A zresztą ma trochę prawa do odarcia trupa, ten który go życia pozbawił. My tak nie sądzimy. Wydaje nam się niepodobieństwem, by ta sama ręka zbierała wawrzyny i kradła trzewiki nieboszczyków.

To pewna, że zwykle po zwycięzcach przychodzą złodzieje. Ale nie posądzajmy żołnierza, zwłaszcza dzisiejszych czasów.

Każda armja ciągnie za sobą ogon, i ten właśnie obwiniać należy. Istoty z gatunku vespertilo, pół zbójcy, pół sługusy, niedoperze których płodzi zmrok wojną zwany, noszący mundury chociaż nie walczą, zmyśleni chorzy, niebezpieczne kuiasy, kramarze przemytnicy, wędrujący niekiedy z żonami na małych wózkach, a kradnący co sprzedają, żebracy stręczący się na przewodników oficerom, ciury, włóczęgi, marudery,— dawne armje w marszu—nie mówimy o dzisiejszych— ciągnęły to wszystko za sobą. Żadna armja, ani żaden naród nie były odpowiedzialne za włóczęgów, któ-

rzy mówili po włosku a ciągnęli za Niemcami, mówili po francuzku, a trzymali się Anglików.

Jeden z takich nędzników, włóczęga hiszpański mówiący po francuzku, podający się za Francuza, oszukał margrabiego Ferracques swym szwargotem pikardyjskim, zabił go zdradziecko i okradł na polu bitwy nocy, która nastąpiła po zwycięztwie pod Carisolles. Kradzież nocna płodzi złodziejów. Obmierzła zasada: *żyć z nieprzyjaciela* wydała ten trąd na który tylko surowa karność jest skutecznem lekarstwem. Bywają sławy zwodnicze, nie zawsze wiemy dlaczego niektórzy jenerałowie, zresztą znakomici, byli popularnemi. Turennjusza naprzykład ubóstwiali żołnierze, bo patrzył przez szpary na łupieztwo; pozwolone złe uchodzi za dobroć. Turenjusz był tak dobry, że dopuścił ogniem i mieczem zniszczyć Palatynat. W tyle armji ciągnęło więcej lub mniej ciurów obozowych i włóczęgów, stosownie do surowości wodza. Hoche i Marceau ścierpieć ich nie mogli, nie mieli też ich wcale; Wellington — chętnie oddajem mu tę sprawiedliwość, miał nie wielu.

Wszelako w nocy z 18 na 19 czerwca odarto poległych. Wellington był surowy; wydał rozkaz rozstrzelania każdego, który schwytany zostanie na gorącym uczynku; ale łupieztwo jest uparte. Nocni złodzieje kradli w jednym końcu pobojowiska, gdy ich rozstrzeliwano na drugim.

Księżyc złowrogo oświecał płaszczyznę.

Około północy jakiś człowiek wałęsał się, albo raczej czołgał brzegiem głębokiej drogi Ohain. Według wszelkiego prawdopodobieństwa był to jeden z ciurów których opisaliśmy wyżej; ani Anglik ani Francuz, ani wieśniak ani żołnierz, nienasycony zwierz który zwąchał poległych i uważając kradzież za zwycięstwo, przyszedł okraść Waterloo. Odziany był bluzą podobną trochę do surduta, był niespokojny i zuchwały, szedł przed siebie, a patrzył za siebie. Co za jeden

ten człowiek? Zdaje się, że noc więcej o nim wiedziała niż dzień. Nie miał worka, ale obszerne kieszenie pod kapotą. Niekiedy zatrzymywał się, oglądał do koła po płaszczyznie jakby chciał się przekonać, że go nikt nie widzi, wreszcie pochylił się nagle, targnął coś na ziemi milczącego i nieruchomego, potem wyprostował się i zmykał. Jego chód przyczajony, ukradkowy, cała postawa, ruchy szybkie i tajemnicze, czyniły go podobnym do zmór nocnych, przebywających w rumowiskach, o których mówią stare legendy normandzkie.

Pewne gatunki czapli nocnych taką mają postać, gdy przesuwają się po trzęsawiskach.

Ktoby uważnie rozpatrzył się w ciemnościach, dostrzegłby w niedalekiej odległości, ukryty za domem nad brzegiem gościńca Nivelleskiego, przy skręcie drogi z Mont-Saint-Jean do Braine Alleud, rodzaj wózka markietańskiego, z nakryciem z łozy obmazanej smołą; przyprzężona do wózka wychudła szkapa skubała chwast przez wędzidło, w środku siedziało na kufrach i paczkach coś nakształt kobiety. Może był jaki związek między tym wózkiem i włóczęgą.

Noc była pogodną. Ani jednej chmurki na widnokręgu. Mniejsza, że ziemię broczy czerwona posoka, księżyc zawsze jest biały. Zwykła to obojętność niebios. Gałęzie drzew na błoniach potrzaskane kulami, ale utrzymujące się na korze, z lekka kołysał wietrzyk nocny. Cichy podmuch, niby oddech poruszał krzaki. Na murawie słyszałeś drżenie jakby z niej ulatywały dusze.

Zdaleka dochodził głuchy szmer krążących patroli i rondów obozu angielskiego.

Hougomont i Haie-Sainte płonęły jeszcze żywym płomieniem, tworząc na zachodzie i wschodzie dwie łuny ogniste, z któremi niby naszyjnik rubinów z karbunkułami w dwóch końcach, łączył się szereg ogniów biwaku angielskiego opasującego półkołem wzgórza widnokręgu.

Mówiliśmy o katastrofie w wąwozie Ohain. Serce drży na samą myśl jak okropną być musiała śmierć tylu walecznych.

Jeżeli są rzeczy straszne, rzeczywistości przechodzące wszelkie wyobrażenie, taki był ten zgon walecznych. Żyć, oglądać słońce, czuć się w posiadaniu całej siły męzkiej, być zdrowym i wesołym, śmiać się z całego serca, biedz do świetnej chwały którą zdajesz się chwytać rękoma, czuć w piersiach rześko oddychające płuca, bijące serce, wolę rozumną, mówić, myśleć, spodziewać się i kochać, mieć matkę, mieć żonę, mieć dzieci, mieć światło, — i nagle nim zdołałeś krzyknąć, w okamgnieniu stoczyć się w przepaść, runąć, gnieść, być przygniecionym, widzieć kłosy zboża, kwiaty, liście, gałęzie, nie módz się chwycić niczego, czuć nieużyteczność swej szabli, ludzi pod sobą, konie na sobie, szamotać się daremnie, mieć połamane kości końskim kopytem, czuć wyskakujące oko pod uderzeniem podkowy, gryść ją z wściekłością, dusić się, wyć, łamać konwulsyjnie, leżeć na dnie i mówić do siebie: przed chwilą żyłem!

Nieszczęsny wąwoz w którym tylu konało, teraz grobowe zalegało milczenie. Otchłań jego wypełniali jeźdzcy i konie zbici w jedną massę. Straszna mieszanina. Stos trupów zrównał wąwoz z płaszczyzną po same brzegi, jak dobrze odmierzony korzec jęczmienia. U góry trup na dole strumienie krwi; taką wyglądała ta droga wieczorem 18 czerwca 1815 r. Krew płynęła na gościniec Nivellski i pod szychtami drzew przerywających drogę, tworzyła szeroką kałużę w miejscu, które dziś jeszcze pokazują. W przeciwnym kierunku jak wiadomo, ku drodze do Genappe, runęli w wąwóz kirasjerowie. Wysokość pokładu trupów odpowiednią była głębokości parowu. Ku środkowi gdzie był płytszy, którędy przeszła dywizja Delord, pokład trupów był mniejszy.

Włóczęga nocny, któregośmy pokazali czytelnikowi, szedł po tej stronie, grzebiąc w grobie niezmier-

nym. Przypatrywał się odbywając ohydny przegląd trupów. Nogami broczył we krwi.

Na kilka kroków przed nim w tem miejscu parowu, gdzie kończy się stos trupów, z pod gromady ludzi i koni sterczała otwarta ręka, na którą padał blask księżyca.

Na palcu tej ręki błyszczało coś jak pierścień złoty.

Człowiek pochylił się, przez chwilę trzymał się w postawie skurczonej, a gdy się podniósł nie było już pierścienia na palcu trupa.

Nie podniósł się zupełnie; chwil kilka klęczał w postawie dzikiej, wylękłej, obrócony tyłem do trupów, patrząc na widnokrąg, palcami rąk opierając się o ziemię, głowę wytknąwszy za brzeg wąwozu. Do pewnych czynności stosowne są cztery łapy szakala.

Potem, zdecydowany powstał, i tejże chwili podskoczył. Uczuł że go coś trzyma z tyłu.

Obrócił się: była to owa ręka otwarta, która się zamknęła i chwyciła go za połę kapoty.

Człowiek uczciwy byłby się przesztraszył, ten roześmiał się tylko.

— Oho — rzekł — to tylko nieboszczyk. Wolę mieć do czynienia z powracającemi z tamtego świata, niż z żandarmami.

Ręka osłabła i puściła połę. Prędko wyczerpuje się wysilenie grobowe.

— Ba! — dodał włóczęga, może ten nieboszczyk żyje? Zobaczmy.

Pochylił się znowu, zaczął grzebać w stosie trupów, usunął przeszkody, ujął za ramię, wydobył głowę i ciało i po kilku chwilach ciągnął w parów człowieka bez duszy, a przynajmniej omdlałego. Był to kirasjer, oficer nawet wyższego stopnia: grube złote szlify sterczały na pancerzu; nie miał kasku. Straszna szrama od cięcia szabli krwią zalała mu twarz całą.

Zresztą zdawał się nie mieć żadnego członka zgruchotanego; jakimś szczęśliwym trafem — jeśli można użyć tego wyrazu — trupy nad nim utworzyły jakby łuk sklepiony i uchroniły od zgniecenia. Oczy miał zamknięte.

Na pancerzu wisiał srebrny krzyż legji honorowej.

Włóczęga oderwał krzyż i wsunął w przepaścistą kieszeń pod kapotą.

Potem obszukał kamizelkę oficera, uczuł zegarek i sakiewkę, wyjął i schował do kieszeni.

Gdy w ten sposób ratował umierającego, oficer otworzył oczy.

— Dziękuję — rzekł słabym głosem.

Nagle poruszenia człowieka, który go wyciągnął, chłód nocy i świeże powietrze, którem swobodnie odetchnął, obudziły go z letargu.

Włóczęga nie odpowiedział. Podniósł głowę, usłyszał stąpania na płaszczyznie; prawdopodobnie zbliżał się patrol.

Oficer szepnął głosem w którym jeszcze było konanie:

— Kto wygrał bitwę?

— Anglicy — odpowiedział włóczęga.

Oficer mówił dalej:

— Poszukaj w moich kieszeniach. Znajdziesz sakiewkę i zegarek. Możesz je wziąć.

To już było wykonane.

Włóczęga udał że szuka i rzekł:

— Nic niema.

— Okradziono mię—odrzekł oficer;—szkoda, byłoby dla ciebie.

Coraz głośniej rozlegał się tętent jadących patroli.

— Nadchodzą — rzekł włóczęga czyniąc poruszenie człowieka uciekającego.

Oficer z trudnością podniósł rękę i zatrzymał go:

— Ocaliłeś mi życie. Kto jesteś?

Włóczęga odpowiedział prędko i po cichu:

— Należałem jak pan do armji francuzkiej. Muszę uciekać. Gdyby mię schwytano, byłbym rozstrzelany. Ocaliłem panu życie. Teraz radź sobie jak możesz.

— Jaki masz stopień?

— Sierżanta.

— Nazywasz się?

— Thenardier.

— Nie zapomnę tego nazwiska — rzekł oficer. Pamiętaj moje. Nazywam się Pontmercy.

KSIĘGA DRUGA.

OKRĘT ORION.

I.

Numer 23,601 staje się numerem 9,430.

Jan Valjean znowu został schwytany.

Czytelnik będzie nam wdzięczny, że szybko przebieżym te bolesne szczegóły. Ograniczym się przepisaniem dwóch artykułów, ogłoszonych w gazetach ówczesnych w kilka miesięcy po dziwnych wypadkach w M.— nad M.

Artykuły są dość treściwe i ogólnikowe. Przypominamy, że w owej epoce nie istniała jeszcze *Gazeta Sądowa* (Gazette des Tribuneaux).

Wyjmujem pierwszy z *Białej chorągwi*. Ma datę 25 lipca 1823 r.

„— Okręg jeden w Pas-de-Calais stał się teatrem nadzwyczajnych wypadków. Pewien człowiek obcy w tym departamencie, nazwiskiem p. Madeleine, zastosowawszy nowe pomysły, dźwignął od lat kilku fabrykacyę gagatków i czarnych świecidełek. Dorobił się majątku i dodać należy, zbogacił okolicę. Wynagradzając te zasługi, mianowano go merem. Policja odkryła, że p. Madeleine nie kim innym był, tylko dawnym galernikiem, który nie stawił się w miejscu wyznaczonem mu na zamieszkanie; nazywał się Jan Valjean, skazany w r. 1796 za kradzież. Jan Valjean znowu odesłany został na galery. Zdaje się, że przed aresztowaniem udało mu się podnieść złożoną u p. Laf-

fitte sumę pół miljona, którą zresztą, jak powiadają, bardzo uczciwie zapracował swym przemysłem. Nie było się można dowiedzieć, gdzie Jan Valjean ukrył tę summę po powrocie na Tulońskie galery.“

Drugi artykuł, trochę więcej szczegółów zawierający, zamieścił *Dziennik Paryzki* z tejże daty:

„— Dawny galernik uwolniony, nazwiskiem Jan Valjean, stanął w tych dniach przed sądem kryminalnym Varu, w sprawie mogącej obudzić ciekawość publiczności. Zbrodniarz ten potrafił uwieść czujność policji, zmienił nazwisko i dokazał tego, że mianowany został merem w jednem z miasteczek na Północy. Zaprowadził w tem miasteczku handel dość znaczny. Ale w końcu poznano go i uwięziono dzięki czujności władz sądowych. Miał nałożnicę, kobietę publiczną, która umarła z przestrachu w chwili jego aresztowania. Nędznik ten, obdarzony herkulesową siłą, zdołał uciec, ale we trzy, lub cztery dni później, policja schwytała go w Paryżu w chwili, gdy wsiadał do omnibusu krążącego między stolicą i wioską Montfermeil (Seine-et-Oise). Powiadają, że korzystając z kilku dni swobody, podniósł znaczną sumę ulokowaną u jednego z pierwszych naszych bankierów. Liczą ją na sześćkroć do siedmkroć sto tysięcy franków. Jeśli mamy dać wiarę aktowi oskarżenia, zakopał ją w miejscu sobie tylko wiadomem i nie można jej było pochwycić; jakkolwiek bądź, rzeczony Jan Valjean stawiony został przed sądem kryminalnym departamentu Var, jako oskarżony o kradzież zbrojną ręką, dokonaną na gościńcu przed ośmiu laty, na osobie jednego z tych poczciwych dzieciaków, które, jak powiada patrjarcha Ferneyski w nieśmiertelnych wierszach;

. . . . Z Sabaudji corocznie przychodzą,
I z lekka czyszczą drobnemi rączyny
Sadzą zatkane ogromne kominy.

Bandyta ten wcale się nie bronił. Zręczny i wymowny prokurator dowiódł, że kradzież miała wspól-

ników, że Jan Valjean należał do bandy rozbójników na Południu. Następnie Jan Valjean, uznany winnym, skazany został na śmierć. Zbrodzień nie chciał apelować. Ale król z niewyczerpanego miłosierdzia swego raczył zmienić karę śmierci na dożywotnie galery. Jan Valjean bezwłocznie wysłany został do Tulonu."

Nie zapomnieliście zapewne, że Jan Valjean był bardzo pobożnym w M.— nad M.— Niektóre dzienniki, między innemi *Constitutionnel* upatrzyły w zmianie kary tryumf stronnictwa klerykalnego.

Jan Valjean zmienił numer na galerach. Nazywał się 9,430.

Zresztą powiedzmy to raz, by więcej o tem nie wspominać, że wraz z p. Madeleine zniknęła pomyślność M.— nad M.— Ziściło się wszystko co przewidział w owej nocy gorączki i wahania; w istocie, gdy go zabrakło, *zabrakło duszy*. Po jego upadku nastał w M.— nad M.— ów podział samolubny wielkich fortun upadłych, owe fatalne rozszarpanie rzeczy kwitnących, które codziennie w cieniu się dokonywa, wśród społeczeństwa ludzkiego; historja raz tylko o niem wspomniała, bo to było po śmierci Aleksandra. Namiestnicy przywłaszczają sobie korony, czeladnicy czynią się fabrykantami. Powstają zazdrosne współzawodnictwa. Obszerne warsztaty p. Madeleine zostały zamknięte: zwaliły się budynki, robotnicy rozpierzchli. Jedni opuścili okolicę, inni zarzucili rzemiosło. Odtąd wszystko zamiast na wielką, robiło się na małą skalę; dla zysku osobistego, nie dla pomyślności ogólnej. Nie było ogniska, punktu połączenia; wszędzie zawzięte współzawodnictwo. P. Madeleine wszystkiemu przewodniczył, nad wszystkiem górował. Po jego upadku każdy na swój młyn ciągnął wodę; miejsce wspólności pracy, zajęła walka, zamiast serdeczności sroga zawiść, zamiast życzliwości założyciela równej dla wszystkich, nienawiść jednych ku drugim; nici zawiązane przez p. Madeleine poplątały się i zerwały; zaczęto fałszować owoce przemysłu, używać podlejszych materjałów, za-

bito zaufanie; zmniejszył się odbyt, obstalunki znikły, płaca zniżyła się, warsztaty opróżniły, przyszło bankructwo. A przytem, nic dla biednych. Wszystko jak dym znikło.

Nawet ministerjum skarbu spostrzegło, że jakaś klęska nawiedziła tę okolicę. Nie upłynęło czterech lat od wyroku sądu kryminalnego, stwierdzającego tożsamość p. Madeleine i Jana Valjean, koszta egzekucji podatkowej podniosły się w okręgu M.— nad M.— P. Villèle zwrócił na to uwagę na trybunie w lutym 1827 roku.

II.

Dwa wiersze może djabelskie.

Nim posuniemy się dalej, wypada nam nieco szczegółowo opowiedzieć dość dziwny wypadek, który jakoś w tym samym czasie zdarzył się w Montfermeil i zdaje się być w pewnym związku z domysłami prokuratorji.

W wiosce Montfermeil od dawnych czasów istnieje przesąd tem ciekawszy i szacowniejszy, że w okolicach Paryża przesądy ludowe są jak aloes na Syberji. Należym do ludzi, którzy szanują wszystko co rzadkie i osobliwe. Otóż w okolicach Montfermeil istnieje przesąd: wierzą, że djabeł od niepamiętnych czasów wybrał sobie las na miejsce, w którem zwykł zakopywać skarby. Poczciwe kumoszki utrzymują, że nieraz po zachodzie słońca spotkać można w gęstwinach lasu czarnego człowieka, wyglądającego na woźnicę lub drwala, w drewnianych trzewikach, w siermiędze i spodniach płóciennych; poznasz go po tem, że zamiast czapki lub kapelusza, ma na głowie dwa ogromne rogi. Po takim znaku w istocie łatwoby go poznać. Człowiek ten zwykle dół kopie. Trojakim sposobem korzysta się z tego spotkania. Pierwszy sposób jest zbliżyć się do człowieka i wejść z nim w rozmowę. Wówczas się spostrzega, że człek ten jest zwyczajnym wieśniakiem, że w zmroku wydaje się czarnym,

że wcale nie kopie dołu, ale ścina trawę dla krów, że owe rogi to zęby wideł, które nosi na ramieniu z daleka wyglądające jakby wyrastały z głowy. Wraca się do domu i za tydzień umiera. Drugi sposób: mieć go na oku zdaleka, czekać aż dół wykopie, zasypie i sam odejdzie; wtedy biedz co tchu do dołu, odkopać i zabrać skarb, który musiał tam złożyć ów czarny człowiek. W takim razie umiera się w miesiąc. Nakoniec trzeci sposób jest taki: wcale nie rozmawiać z czarnym człowiekiem, nie patrzyć na niego i uciekać co żywo. Naówczas umiera się w ciągu roku dopiero.

Każdy z trzech sposobów ma swe niedogodności, ale że drugi z nich zapewnia posiadanie skarbu choćby przez miesiąc tylko, ogólnie więc jest przyjęty. Ludzie odważni na wszystko, często, jak zapewniają, odkopywali doły czarnego człowieka, probując okraść djabła. Zdaje się jednak że interes nie bardzo jest korzystny. Przynajmniej, tak niesie podanie, i tak stoi w dwóch zagadkowych wierszach barbarzyńską łaciną napisanych przez niejakiego Tryphona, niegodziwego mnicha normandzkiego i trochę czarownika. Ten Tryphon leży pochowany w opactwie świętego Jerzego Bocherville pod Rouen, i na grobie jego rodzą się ropuchy.

Wysilasz się ogromnie, doły są zwykle bardzo głębokie, pocisz, grzebiesz, pracujesz noc całą, bo tylko w nocy tę czynność można odbywać, koszula ci moknie do ostatniej nitki, wypalasz świecę, szczerbisz łopatę, i gdy nareszcie dogrzebiesz się do dna dołu, gdy masz już zabrać skarb, cóż znajdujesz co to jest ów skarb djabelski? — grosz, niekiedy talar, kamień, skelet, trup krwawy, czasami widmo złożone we czworo jak arkusz papieru w tece, czasami nic zgoła. Zawiadamiają o tem ciekawych śmiałków te wiersze Tryphona:

Fodit, et in fossa thesauros condit opaca
As, nummos, lapides, cadaver, simulara nihilque.

Zdaje się, że za dni naszych znajdują także różki z prochem i kulami, a czasem starą talję kart zatłuszczonych i brudnych w które widocznie grywali djabli. Tryphon nie wpisał tych dwóch rzeczy, bo żył w dwunastym wieku i jak się zdaje djabeł nie miał tyle dowcipu, by wynaleźć proch przed Rogerem Bakonem a karty przed Karolem VI.

Zresztą kto gra w te karty, niezawodnie straci cały majątek, proch zaś znaleziony w różku ma tę własność, że rozsadza fuzję na kawałki i twarz kaleczy.

Otóż wkrótce po tem, jak się zdawało prokuratorji, że uwolniony galernik Jan Valjean korzystając z kilko dniowej swobody po ucieczce z więzienia, krążył w okolicach Montfermeil, zauważono w tej wiosce, że pewien stary dróżnik nazwiskiem Boulatruelle za często chodził do lasu. Wiedziano, że Boulatruelle był niegdyś na galerach i zostawał pod nadzorem policyjnym, a że nigdzie nie mógł znaleźć roboty, administracja przyjęła go za zniżoną płacę na dróżnika gościńca poprzecznego między Gagny i Lagny.

Mieszkańcy wioski z ukosa patrzyli na Boulatruella, był nazbyt uniżony i pokorny, zdejmował czapkę przed wszystkimi, drżał i uśmiechał się na widok żandarmów, prawdopodobnie był w zmowie ze złodziejami; miano też podejrzenie, że o zmierzchu zaczajał się w lesie na przechodniów. Jedno tylko za nim przemawiało, że pił.

Zauważono, iż od pewnego czasu Boulatruelle wcześnie porzucał robotę na drodze i szedł do lasu z motyką. Spotykano go wieczorem na najsamotniejszych łączkach w lesie, w najdzikszych gęstwinach, jakby czegoś szukał; niekiedy widziano, że kopał doły. Poczciwe kobiety przechodzące lasem zrazu brały go za czarta, potem poznawały Boulatruella, ale nie bardzo to je uspakajało. Boulatruelle widocznie nie rad był tym spotkaniom i usiłował ukryć się; słowem było coś tajemniczego w jego postępowaniu.

Mówiono na wsi: — Oczywiście pokazał się djabeł. Boulatruelle go widział i teraz szuka. Bo też stworzony jest, by znalazł skarb Lucypera. — Wolterjanie dodawali: Ciekawa rzecz kto kogo oszuka, czy Boulatruelle djabła, czy djabeł Boulatruella? Stare baby żegnały się odganiając licho.

Tymczasem Boulatruelle zaniechał włóczęgi po lesie, i wrócił do roboty. Przestano mówić o tej przygodzie.

Ale niektórzy byli jeszcze ciekawi, myśląc, że prawdopodobnie nie chodziło o bajeczne skarby legendy, ale o lepszą i dotykalniejsza gratkę niż banknoty djabła, że prawdopodobnie dróżnik odkrył jakąś tajemnicę. Najbardziej zaciekawionemi byli bakałarz i karczmarz Thenardier, który żył w przyjaźni ze wszystkimi i nie gardził stosunkami z Boulatruellem.

— Był na galerach — mówił Thenardier. Miły Boże! a któż wie z pewnością, że się tam nie dostanie?

Pewnego wieczora bakałarz twierdził, że dawniej sądy pewnieby się dowiedziały co robił w lesie Boulatruelle, musiałby się przyznać, w potrzebie wziętoby go na turtury, i Boulatruelle wyśpiewałby wszystko, szczególniej męczony wodą. — Weźmy go na turturę winną, — rzekł Thenardjer.

Przydybali starego dróżnika, i zasadzili go za stół. Boulatruelle pił ogromnie, ale mówił mało. Z przedziwną sztuką i jakby z recepty, kombinował pragnienie pijaka z małomównością sędziego. Wszelako szturmując nieustannie bakałarz i Thenardier dobyli z niego kilka ciemnych słówek, które zestawiwszy i porównawszy, dowiedzieli się mniej więcej tego:

Pewnego poranku Boulatruelle udając się o świcie do roboty, zdziwił się zobaczywszy w lesie pod krzakami motykę i łopatę jakby schowane. Pomyślał jednak, że zapewne woziwoda ojciec Six-Four zostawił w lesie swą łopatę i motykę, — i zapomniał o tej przygodzie. Ale wieczorem tegoż dnia ujrzał, sam nie będąc widzianym, bo się schował za grube drzewo,

jak zmierzał drogą ku największej gęstwinie lasu „jakiś jegomość, nie będący z tych stron, ale którego Boulatruelle znał doskonale.“ (Przekład Thenardiera: *Towarzysz z galer*). Boulatruelle za nic w świecie nie chciał powiedzieć jego nazwiska. Jegomość ten niósł jakąś paczkę kwadratową, coś nakształt pudła lub szkatułki. Zdumiło to Boulatruella.

Ale dopiero w siedm czy ośm minut później przyszło mu do głowy pójść śladem owego jegomości. Było już zapóźno, jegomość wszedł w gęstwinę, noc zapadła i Boulatruelle nie mógł go dogonić. Postanowił czekać u skraju lasu. Świecił księżyc. We dwie lub trzy godziny później Boulatruelle ujrzał wychodzącego z gęstwiny owego jegomości; nie miał już przy sobie szkatułki tylko motykę i łopatę. Boulatruelle dał mu przejść spokojnie, nie przyszło mu na myśl go zaczepić, bo powiedział sobie, że jegomość był trzy razy od niego mocniejszym, uzbrojonym w motykę i prawdopodobnieby go zabił gdyby poznał i spostrzegł, że jest poznany. Czułe wylanie się dwóch starych towarzyszów, spotykających się po długiej rozłące. Spodziewał się, że zostawione łopata i motyka naprowadzą go na ślad dołu, i nazajutrz o świcie pobiegł do lasu, ale nie znalazł ani łopaty ani motyki. Wniósł, że jego jegomość wszedłszy w gęstwinę wykopał dół motyką, włożył kuferek i zasypał łopatą. Kuferek był mały, nie mógł pomieścić trupa, więc zawierał pieniądze. Boulatruelle rozpoczął poszukiwania. Rozpoznawał grunt, śledził, grzebał i kopał ziemię wszędzie, gdzie mu się zdawała świeżo poruszoną. Daremne trudy.

Nic nie znalazł. Przestano o tem myśleć w Monfermeil. Tylko niektóre poczciwe kumoszki mówiły: Możecie być pewni, że dróżnik z Gagny nie naprożno tak kręcił się po lesie; był tam djabeł niechybnie.

III.

Obręcz kajdan musiała być nadpiłowaną wcześnie, kiedy pękła za pierwszem uderzeniem młota.

Pod koniec października tegoż roku 1823, mieszkańcy Tulonu ujrzeli wchodzący do portu dla naprawy, zagnany burzą okręt *Orion* z eskadry morza Śródziemnego, który później w Brescie służył do ćwiczeń morskich.

Okręt ten choć zdruzgotany, bo się z nim morze źle obeszło, sprawił pewne wrażenie wchodząc do portu. Miał wywieszoną nie wiemy już jaką banderę, którą według przepisów powitano jedenastu wystrzałami z armat, na co skrupulatnie tyląż strzałami odpowiedział; razem dwadzieścia dwa strzały. Obliczono, że na salwy, wszelkiego rodzaju grzeczności wojskowe, oznaki etykiety i formalności portowe i forteczne, na codzienne powitania wschodu i zachodu słońca przez wszystkie fortece i okręty wojenne, przy zamykaniu i otwieraniu portów i t. d. i t. d. świat ucywilizowany psuje prochu na całej kuli ziemskiej w przeciągu dwudziestu czterech godzin ze sto pięćdziesiąt tysięcy strzałów nieużytecznych. Licząc jeden strzał sześć franków, wyniesie to dziewięćset tysięcy franków dziennie, czyli trzysta miljonów rocznie ulatujących z dymem.

Rok 1823 nazywała restauracja „epoką wojny hiszpańskiej.“

Wojna ta była wypadkiem zawierającym w sobie mnóstwo drobnych i dosyć różnych osobliwości. Najprzód była to ważna sprawa familijna dla domu Burbonów; linja francuzka dawała pomoc i opiekę linji madryckiej, to jest, korzystała z praw starszeństwa; był to pozorny powrót do naszych tradycji narodowych, z dodatkiem niewoli i uległości dla gabinetów zagranicznych. Książe Angoulême mianowany przez dzienniki liberalne *bohaterem z Andujar*, w tryumfalnej postawie, nieco sprzecznej z jego spokojną miną, poskramiał stary aż nadto rzeczywisty terroryzm świętej inkwizycji, walczący z wrzekomym terroryzmem liberalnych; idee francuzkie obiegające świat, niespodzianie wstrzymane na drodze postępu; obok syna Francji naczelnego wodza, książe Carignan, późniejszy król Karol Albert zaciągnął się na tę krucjatę, jako ochotnik z wełnianemi, czerwonemi szlifami grenadjera; żołnierze cesarstwa ruszali w pole, ale po ośmiu latach spoczynku zestarzeli i posmutnieli pod białą kokardą; bohaterska garstka Francuzów za granicą rozpuszczała na wiatr trójkolorową chorągiew, jak trzydziestą laty wprzódy chorągiew białą wychodźcy w Coblentz; pomiędzy żołnierzami szły mnichy; wystrzały armatnie przycierały rogów zasadom; Francja niszczyła orężem co stworzyła swym genjuszem; zresztą dowódzcy nieprzyjacielscy zaprzedani, żołnierze niepewnej wierności, miasta oblegane przez miljony franków: żadnego niebezpieczeństwa wojennego, a jak najwięcej wrzawy i huku; mało krwi przelanej, mało zaszczytu, dla niektórych hańba, dla nikogo chwały: taką była ta wojna toczona przez potomków Ludwika XIV, pod kierunkiem jenerałów wyszłych z Napoleona. Smutny los dostał się jej w udziale: nie przypominała ani wielkiej wojny, ani wielkiej polityki.

Niektóre walki były rzeczywiście ważne; między innemi, zdobycie Trocadero, piękny czyn wojenny;

w ogóle jednak powtarzamy, trąby tej wojny rozlegają się fałszywie, całość podejrzana, i historja pochwala Francję, że nie przyznaje się do tak wątpliwego tryumfu. Widocznem było, że kilku oficerów hiszpańskich, którym polecono stawiać opór, zbyt łatwo ustępowali; przekupstwo przebijało się przez zwycięztwo, raczej ujmowano sobie jenerałów niż wygrywano bitwy, żołnierz zwycięzca wracał upokorzony. W istocie upośledzająca to wojna, w której na fałdach chorągwi czytałeś napis *Bank francuzki*.

Żołnierze z roku 1808, na których strasznie runęła Saragossa, marszczyli brwi w r. 1823 patrząc na łatwo otwierające się fortece i serjo żałowali Palafoxa. Taka już natura Francji, że woli mieć do czynienia z Roztopczynem niż Ballesterosem.

Zapatrując się z poważniejszego jeszcze stanowiska, na które także przycisk położyć trzeba, ta wojna obrażająca ducha wojennego Francji, oburzała idee ludu francuzkiego.

Wojna 1823 była fatalną dla Burbonów, a im się zdało, że świetne zdobywali tryumfy. Naiwność ich omyliła się tak grubo, że wprowadzili do swego systemu, niby żywioł nowej siły, niezmierne osłabienie. Duch zdradzieckich zasadzek wcisnął się do ich polityki. Rok 1830 kiełkował już w 1823. Kampanja hiszpańska stała się w ich naradach zachętą do awanturniczych zamachów. Francja, która przywróciła w Hiszpanji *el rey neto*, mogła znowu ustanowić u siebie nieograniczoną władzę królewską.

Powróćmy do okrętu *Orion*.

W czasie działań armji, którą dowodził książę naczelny wódz, eskadra krążyła na morzu Śródziemnem. Mówiliśmy, że *Orion* należał do tej eskadry i że burza zapędziła go do portu Tulońskiego.

Obecność okrętu wojennego w porcie ma coś przywabiającego i zaciekawiającego tłumy. Widok to w istocie wielki, a tłumy lubią wszystko co wielkie.

Okręt linjowy to jeden z najwspanialszych ślubów genjuszu ludzkiego z potęgą natury.

Okręt linjowy składa się i z tego co jest najcięższe, i z tego co jest najlżejsze, bo współcześnie ma do czynienia z trzema postaciami materji: ze stanem stałym, ciekłym i płynnym, i musi walczyć ze wszystkiemi trzema. Ma jedenaście szponów żelaznych do pochwycenia granitu w głębi morza, a więcej skrzydeł i różków niż owad dla pochwycenia powietrza w obłokach. Oddycha stu dwudziestu armatami niby ogromnemi trąby, i dumnie odpowiada na grzmoty piorunów. Ocean usiłuje go zabłąkać w przerażającem podobieństwie swych fali, ale okręt ma duszę, busolę, która mu radzi i zawsze wskazuje na północ. W ciemnych nocach latarnie zastępują mu gwiazdy. Tak przeciw wiatrom ma linę i płótno, przeciw wodzie drzewo, przeciw skale żelazo, miedź i ołów, przeciw cieniom światło, przeciw nieskończoności przestworzów igłę magnesową.

Kto chce powziąść wyobrażenie o tych wszystkich olbrzymich szczegółach, których całość ogólna stanowi okręt linjowy, niech wejdzie pod odkryty spód okrętu o sześciu piętrach, w porcie Brestu lub Tulonu. Okręty na warsztacie, są, że tak powiem, pod dzwonem. Ta olbrzymia belka to reja, ten gruby a bez końca długi słup drzewa leżący na ziemi, to wielki maszt. Mierząc go od końca na spodzie okrętu do szczytu ginącego w obłokach, ma sześćdziesiąt sążni długości, a trzy stopy średnicy u podstawy. Wielki maszt angielski wznosi się dwieście siedmnaście stóp po nad linją zanurzenia okrętu w wodzie. Marynarka za naszych ojców używała lin, dzisiejsza używa łańcuchów. Kupa łańcuchów okrętu o stu działach, ma cztery stopy wysokości, dwadzieścia stóp długości i ośm szerokości. A na budowę okrętu ile potrzeba drzewa? Trzy tysiące łokci sześciennych. Cały las pływający.

A przytem, proszę uważać, że mówimy tu jedynie o statku wojennym jaki był przed czterdziestą laty, o zwyczajnym okręcie żaglowym; para wówczas w kolebce, później dopiero dorzuciła nowych dziwów do tego cudu, który się zowie okrętem wojennym. Dziś naprzykład, okręt szrubowy jest zdumiewającą machiną ciągnioną przez żagle mające powierzchni trzy tysiące łokci kwadratowych i przez kocioł o sile dwóch tysięcy pięćset koni.

Niemówiąc o nowoczesnych cudach, dawny okręt Krzysztofa Kolumba i Ruytera należy do wielkich arcydzieł człowieka. Siła jego jak oddech nieskończoności jest niewyczerpaną, zgromadza wszystkie wiatry pod swe żagle, i z największą dokładnością wśród niezmiernego odmętu bałwanów płynie i panuje.

Zdarzają się jednak chwile, gdy wicher strzaska jak słomkę tę rejȩ sześćdziesiąt stóp długą, gdy wiatr zegnie jak trzcinę ten maszt czterysta stóp wysoki, gdy kotwica ważąca trzysta centnarów skręca się w paszczy bałwanów jak haczyk rybacki w szczęce szczupaka, gdy potworne działa ryczą żałośnie i nieużytecznie. głuszone huraganem w samotności nocy, gdy cała ta majestatyczna potęga ginie w przepaści wyższej i majestatyczniejszej wszechmocy.

Ilekroć siła niezmierna wytęża się, by w końcu okazać niezmierną słabość, ludzie zatrzymują się i patrzą zadumani. Dlatego tylu ciekawych zbiega się do portu nie umiejąc wytłumaczyć sobie przyczyny, i przygląda się tym cudownym machinom wojennym i żeglarskim.

Codziennie więc od rana do wieczora, na wybrzeżach i bulwarach portu tulońskiego tłumy ciekawych i gapiów (jak mówią w Paryżu), przypatrywały się *Orion'owi*.

Orion oddawna był uszkodzony. W dawniejszych podróżach grube pokłady muszli zebrały się u spodu, i dwakroć powolniejszym bieg jego czyniły;

poprzedniego roku włożono go na warsztat, oskrobano z muszli i znowu spuszczono na morze. Ale skrobanie popsuło dylowanie spodu. Przy wyspach Balearskich, deski się porozpadały, bo wówczas nie obijano spodu żelaznemi blachami, i woda wcisnęła się do nawy. Nastały gwałtowne wiatry równonocne, strzaskały róg lewego boku i strzelnice, i uszkodziły drabinki masztu. Skutkiem tych uszkodzeń *Orion* musiał wrócić do Tulonu.

Zarzucił kotwicę przy Arsenale. Wciągniono go na warsztat do naprawy. Wierzch prawego boku nie był uszkodzony, ale tu i owdzie, wedle zwyczaju, deski w pomoście wyrwano dla przepuszczenia powietrza wewnątrz.

Pewnego poranku przypatrujący się tłum był świadkiem dziwnej przygody.

Osada okrętowa zajęta była przywiązywaniem żaglów do rejów. Majtek, który miał zawiązać żagle bocianiego gniazda po prawej stronie okrętu, stracił równowagę. Zachwiał się na nogach, tłum stojący na brzegu pod Arsenałem wydał krzyk przerażenia, głowa pociągnęła za sobą korpus, potoczył się około rei, ręce opadły ku przepaści, chwycił się za szczebel jedną, potem drugą, i zawisł w powietrzu. Pod nim morze w głębinie, na którą wejrzenie nabawiało zawrotem głowy. Upadając silnie wstrząsnął drabinką, która poczęła kołysać się jak huśtawka. Człowiek kręcił się na sznurze jak kamień w procy.

Biedz na ratunek, było to narażać się na śmierć niechybną. Żaden z majtków, żaden z nadbrzeżnych rybaków świeżo zaciągniętych do marynarki, nie śmieli się odważyć. Tymczasem nieszczęśliwy majtek upadał na siłach; niepodobna było dojrzeć trwogi na jego twarzy, ale na wszystkich członkach widać było wyczerpanie. Ręce mu się łamały drgając okropnie. Za każdym wysileniem by dostać się na wierzch, drabinka kołysała się jeszcze mocniej. Nie krzyczał, by

reszty sił nie utracić. Czekano już tylko chwili, gdy puści linę i odwracano głowy, żeby nie widzieć jak będzie spadał. Są chwile, gdy koniec liny, tyczka, gałęź drzewa, ratują życie, i straszna rzecz patrzeć jak istota żyjąca odrywa się i spada, niby owoc dojrzały.

Nagle ujrzano człowieka wdzierającego się po drabinach ze zwinnością tygrysa. Miał na sobie czerwoną opończę jak galernicy, i zieloną czapkę, był skazany na całe życie. Gdy dostał się na szczyt bocianiego gniazda, wicher uniósł jego czapkę i ujrzano głowę zupełnie siwą; nie był to więc młody człowiek.

W istocie jeden galernik pracujący pod strażą na pokładzie okrętu, zaraz w pierwszej chwili trwogi i wahania osady; gdy wszyscy marynarze drżeli i cofali się przed niebezpieczeństwem, pobiegł do nadzorcy i prosił o pozwolenie ocalenia majtka z narażeniem własnego życia. Na znak zezwolenia nadzorcy, jednem uderzeniem młota strzaskał obręcz kajdan na nodze, porwał sznur i rzucił się na drabiny. Nikt w tej chwili nie zwrócił uwagi na łatwość zerwania kajdan. Dopiero później przypomniano sobie tę okoliczność.

W oka mgnieniu stanął na rei. Zatrzymał się kilka sekund i zdawał się mierzyć ją wzrokiem. Te sekundy, podczas których wiatr kołysał majtkiem na końcu liny, wydały się patrzącym długiemi jak wieczność. Nakoniec galernik wzniósł oczy ku niebu i postąpił krok naprzód. Tłum odetchnął. Jednym pędem przebiegł reję i stanąwszy u szczytu, przywiązał koniec sznura który miał z sobą, drugi opuścił, potem zsuwał się po nim na rękach: niewysłowiona trwoga i niepokój ogarnęły tłumy, gdy zamiast jednego człowieka zawieszonego nad przepaścią, ujrzały dwóch.

Rzekłbyś pająk spuszczający się, by pochwycić muchę; ale ten pająk przynosił nie śmierć, lecz życie.

Dziesięć tysięcy spojrzeń utkwionych było w tej grupie. Nie słyszałeś ani jednego krzyku, ani pół słówka; jedno drżenie marszczyło brwi wszystkie. Wszystkie usta zatrzymały oddech, jakby lękały się najlżejszem tchnieniem powiększyć wiatr wstrząsający dwoma nieszczęsnemi.

Tymczasem galernik zsunął się po linie aż do majtka. Czas był wielki; minutą później, człowiek ten wyczerpany i zrozpaczony spadłby w przepaść; galernik jedną ręką przywiązał go mocno do liny, której trzymał się drugą. Następnie widziano jak wdarł się znowu na rejȩ, wciągnął na nią majtka, potrzymał go trochę, by odzyskał siły, potem porwał na ręce i zszedł po rei do dolnego masztu, oddając majtka jego towarzyszom.

W tej chwili rozległy się oklaski w tłumie; widziano starych dozorców więzienia płaczących, kobiety całowały się nad brzegiem, ze wszystkich piersi wydarł się jeden głos niby rozczulonego szaleństwa: Łaski dla tego człowieka!

On tymczasem zstępował, bezwłocznie wracając do straży; by prędzej przybyć zsunął się po drabinach i jął biedz po dolnej rei. Wszystkie oczy go śledziły. Była chwila, że zdjął go przestrach; bądź ze znużenia bądź z zawrotu głowy, zawahał się, zachwiał na nogach, potoczył. Nagle tłum wydał okrzyk przerażenia; galernik wpadł do morza.

Upadek był niebezpieczny. Fregata *Algeziras* stała na kotwicy przy *Orionie* i biedny galernik wpadł między dwa okręty. Obawiano się, by nie dostał się pod jeden lub pod drugi. Czterech ludzi rzuciło się z pośpiechem do łodzi. Tłum ich zachęcał, trwoga znowu zdjęła wszystkich. Człowiek nie ukazał się na powierzchni. Zniknął w morzu bez śladu, nie zrobiwszy w wodzie ani jednego zmarszczka, jakby wpadł w beczkę oliwy. Sondowali, zanurzali się na dno. Daremnie; szukano do wieczora, nie znaleziono nawet trupa.

Nazajutrz w dzienniku Tulońskim stały wydrukowane te kilka wierszy: „17 listopada 1823 r.—Wczoraj galernik pracujący na pokładzie *Orion'a* wracając ze szczytu gdzie uratował majtka, wpadł w morze i utopił się. Nie można było wynaleźć jego trupa. Domyślają że wpadł pod pale Arsenału. Człowiek ten zapisany był w księdze więziennej pod N. 9430 i nazywał się Jan Valjean.“

KSIĘGA TRZECIA.

Spełnienie obietnicy uczynionej zmarłej.

I.

Kwestja wody w Montfermeil.

Montfermeil leży między Livry i Chelles, na południowym brzegu wyniosłej płaszczyzny, która dzieli Ourque od Marny. Dziś jest to spore miasteczko, corocznie ozdabiane pobielanemi willami, a co niedziela rozkwitłem wesołością mieszczaństwem. W r. 1823 nie było jeszcze ani tyle domów białych, ani tylu zadowolonych mieszczan. Tu i owdzie stały letnie mieszkania z ostatniego wieku, które poznawać było można po pańskiej minie, balkonach z kutego żelaza i długich oknach, których małe szyby odbijały na białych okiennicach zamkniętych, zieloność różnych odcieni. Z tem wszystkiem Montfermeil było wioską. Jeszcze tego zakąta nie odkryli zbogaceni kupcy sukienni i obrońcy sądowi, szukający wytchnienia na świeżem powietrzu. Miejsce było spokojne, rozkoszne, na uboczu; żyło się tu tanio życiem wieśniaczem, łatwem a obfitem. Tylko o wodę było trudno, z powodu wyniosłości płaszczyzny.

Trzeba było jej szukać dosyć daleko. Mieszkańcy wioski od strony Gagny czerpali wodę we wspaniałych stawach wśród lasu; mieszkający w przeciwnym końcu, przy kościele od strony Chelles, chodzili po wodę do picia o kwadrans drogi do Montfermeil do zdroju przy drodze Chelles.

Ciężka to była rzecz dla każdego gospodarstwa, zaopatrywać się w wodę. Porządne domy, arystokracja, (należała do niej i garkuchnia Thenardiera) płaciły szeląg od wiadra poczciwcowi, któremu rzemiosło woziwody w Montfermeil przynosiło dochodu około ośmiu su dziennie: ale poczciwiec ów pracował tylko do siódmej wieczór latem, a do piątej zimą; gdy noc zapadła i zamknęły się okienice na dole, kto nie miał wody do picia, musiał sam iść po nią, lub bez niej się obchodzić.

Było to wielką trwogą biednej istoty, której czytelnik pewnie nie zapomniał, małej Cozetty. Przypominamy, że Cozetta dwojako była użyteczną Thenardiérom: kazali za nią matce płacić, a dziecku służyć. To też, gdy zupełnie płacić przestała,—z poprzedzających rozdziałów wiadomo dlaczego, — Thenardierowie zatrzymali Cozettę. Zastępowała im służącą. Z tego powodu biegała po wodę, gdy jej zabrakło. Dziecię, truchlejąc na samą myśl chodzenia do zdroju w nocy, pamiętało zawsze, by wody nie brakowało w domu.

Boże Narodzenie 1823 roku było szczególniej świetne w Montfermeil. Początek zimy łagodny, nie marzło, śnieg jeszcze nie padał. Kuglarze z Paryża otrzymali od mera pozwolenie wystawienia baraków na głównej ulicy wioski; gromada wędrownych kramarzy, dla której również był łaskawy, zbudowała szopy na placu kościelnym aż do ulicy Piekarskiej, przy której, jak sobie przypominacie może, była garkuchnia Thenardierów. Przybysze zapełniali austerje i karczmy, budząc spokojną wioskę do życia gwarnego i wesołego. Dla wierności historycznej powiemy nawet, że do ciekawości, wystawionych na rynku, należała menarja, w której szkaradni pajace, odziani w łachmany, Bóg wie zkąd przybyli, pokazywali wieśniakom Montfermeil w roku 1823, z trójkolorowemi oczyma, niby kokardą, strasznych sępów Brazylijskich, które nasze Muzeum królewskie ma dopiero od r. 1845. Naturaliści, jeśli się nie mylę, nazywają tego ptaka

Caracara Polyborus; należy do rzędu krzywonosów a rodzaju sępów; kilku osiwiałych żołnierzy Bonapartystowskich, osiadłych w wiosce, ze czcią religijną patrzyli na to zwierzę. Kuglarze powiadali, że ta trójkolorowa kokarda była zjawiskiem niesłychanem, które Bóg umyślnie zesłał dla ich menażerji.

Wieczorem w wigilję Bożego Narodzenia, wielu ludzi, furmanów i kramarzy, siedzieli za stołem i pili przy czterech lub pięciu świecach w dolnej izbie austerji Thenardiera. Izba podobna była do wszystkich izb gościnnych w karczmach; stoły, dzbany cynowe, pijący, palący tytuń, mało światła, dużo wrzawy. Rok 1823 poznać było można jednak z dwóch stojących na stole przedmiotów, wówczas modnych u mieszczan; były to kalejdoskop i lampa z blachy kolorowej. Thenardierowa pilnowała wieczerzy, piekącej się na dobrym ogniu; mąż jej pił z gośćmi i rozmawiał o polityce.

Oprócz gawęd politycznych, których główny przedmiot stanowiła wojna hiszpańska i książe Angoulême, słyszałeś w tej wrzawie pogadanki zupełnie miejscowej barwy; takie naprzykład:

— W okolicach Nanterne i Suresne wino obrodziło. Liczono na dziesięć beczek, a otrzymano dwanaście. Jagody wydały dużo moszczu pod prasą.—Ale nie musiały być dojrzałe? — O, w tych okolicach nie spodziewaj się dojrzałego wina: psuje się z pierwszą wiosną.—Więc to cienkie winko?—Jeszcze cieńsze niż tutejsze. Zbierają winogrona niedojrzałe. I t. d.

A młynarz jakiś dodawał:

— Alboż to my odpowiadać mamy za to, co jest w workach? Znajdujem w nich mnóstwo ziarnek — których przecież wybieraniem zabawiać się nie będziem; musi iść pod koła młyńskie wszystko: kąkól, lucerna, czarnuszka, wyka, siemie konopne i mnóstwo innych pigułek, nie licząc kamyków, w które obfitują pewne zboża, szczególniej zboża bretońskie. Mielę zboże bretońskie nie z większem upodobaniem od tracza, pi-

łującego belki z gwoździami. Możecie sobie wyobrazić ile to się robi niepotrzebnego kurzu. I jeszcze się skarżą na mąkę. Zupełnie niesłusznie. Mąka nie naszą winą.

Pod oknem zdala od innych siedziało dwóch ludzi przy stole, kosarz i właściciel gruntu, i umawiali się o cenę sianokosu wiosennego. Kosarz mówił:

— Nic złego, że trawa mokra. Lepiej się kosi. Wilgoć jest dobrą. Zresztą pańska trawa jest młoda i trudno się kosi. To takie delikatne, gnie się pod kosą. I t. d.

Cozetta siedziała w zwykłem miejscu na poręczy kuchennego stołu, w łachmanach, bose nogi w trzewikach drewnianych; przy świetle ogniska robiła pończochy wełniane dla małych Thenardierów. Młody kotek igrał pod krzesłami. Z sąsiedniej izby dochodziły śmiechy i szczebiotanie dwóch świeżych głosów dziecinnych; były to Eponina i Anzelma.

Przy kominie wisiała na gwoździu dyscyplina.

Czasami krzyk niemowlęcia z oddalonej izby rozległ się wśród wrzawy karczemnej. Był chłopczyk, najmłodsze dziecko, które Thenardierowa powiła jednej z zim poprzednich, „nie wiedząc jakim sposobem—mówiła:—chyba z zimna“; miał lat trzy niespełna. Matka karmiła go sama, ale nie kochała. Gdy zawzięty krzyk dziecka stawał się nieznośnym, Thenardier odzywał się do żony: — Twój syn wrzeszczy, zobacz tam czego chce.—Ba, odpowiedziała matka, nudzi mię.

I opuszczony dzieciak krzyczał w ciemnościach.

II.

Uzupełnienie dwóch portretów.

Dotychczas w tej książce widzieliśmy Thenardierów tylko z profilu; nadeszła chwila obejść ich dokoła i przyjrzeć się im ze wszystkich stron.

Thenardier skończył lat pięćdziesiąt; pani Thenardier zbliżała się do czterdziestki, która jest pięćdziesiątką kobiety; tym sposobem była równowaga wieku między mężem i żoną.

Zapewne czytelnik z pierwszego wejrzenia zachował w pamięci tę Thenardierowę, wysoką, jasnowłosą, czerwoną, tłustą, mięsistą, kanciastą, ogromną i ruchliwą; jakeśmy już powiedzieli, należała ona do rasy dzikich kolosów, które na jarmarkach uginają się pod ciężarem kamieni, zawieszonych na włosach. Była wszystkiem w domu; słała łóżka, sprzątała w izbach, prała, gotowała, była deszczem i pogodą, i djabłem. Jedyną służącą miała w Cozecie; mysz na usługach słonia. Na głos jej wszystko drżało, szyby sprzęty i ludzie. Szeroka jej twarz, upstrzona piegami, wyglądała jak warząchew. Broda jej zarastała. Był to ideał drągala, przebranego po kobiecemu. Klęła okrutnie. Chełpiła się z tego, że pięścią gniecie orzechy. Gdyby nie romanse, które czytała i które czasami nadawały jej dziwaczną postać mizdrzącej się i wymuszonej ludożerczyni, nikomuby nie przyszło do głowy

powiedzieć o niej: To kobieta. Thenardierowa była jakby owocem zaszczepionej pannicy na przekupce. Gdy krzyknęła mówiono: to żandarm; gdy piła wołano: to woźnica; gdy biła Cozettę szeptano: to kat. Gdy usnęła, jeden ząb sterczał jej z gęby otwartej.

Thenardier był mężczyzna nizki, chudy, wybladły, suchy, kościsty, wątły, wyglądał na chorego a zdrów był jak ryba; tu początek jego hultajstwa. Zwykle uśmiechał się przez ostrożność, był grzeczny prawie ze wszystkimi, nawet z żebrakiem, któremu odmawiał szeląga. Spojrzenie miał kuny, a minę literata. Bardzo był podobny do portretów księdza Delille. Dla przypodobania się pijał z furmanami. Nigdy nie widziano go pijanego. Palił z ogromnej fajki. Nosił bluzę, a pod nią starą czarną kamizelę. Miał pretensję do literatury i do materjalizmu. Na poparcie czegokolwiek chętnie wspominał pewne imiona, jak: Voltaira, Raynala, Parny, i rzecz dziwna, Ś-go Augustyna. Mawiał nawet, że ma swój system.

Zresztą łotr i oszust-filozof. Zdarzają się takie odcienia. Czytelnik zobie przypomina, że utrzymywał jakoby służył wojskowo; opowiadał z pewną chełpliwością, że pod Waterloo, będąc sierżantem w szóstym i dziewiątym jakimś pułku, sam przeciw całemu szwadronowi huzarów Śmierci zasłaniał swą piersią wśród gradu kul, i ocalił „jenerała niebezpiecznie ranionego“. Ztąd ów płomienisty szyld na jego murze, i nazwa karczmy sierżanta z pod Waterloo. Był liberał, klassyk i Bonapartysta. Podpisał składkę na Pole Ochrony. W wiosce mówiono, że się sposobił dawniej na duchownego.

Sądzimy raczej, że poprostu kształcił się w Hollandji na oberżystę. Łotr ten zbiorowej natury, według wszelkiego prawdopodobieństwa, był Flamandczykiem we Flandrji, Francuzem w Paryżu, Belgiem w Belgji, wszędzie jak w swoim domu. Znamy jego rycerski czyn pod Waterloo. Widzimy, że cokolwiek przesadzał. Przebiegi, wykręty, awanturnictwo były

jego żywiołem; podarte sumienie wiedzie do życia rozpasanego i prawdopodobnie w burzliwej epoce 18 czerwca 1815 r., Thenardier należał do tej odmiany kramarzy-włóczęgów, o której już mówiliśmy, snujących się wszędzie, przedających tu, kradnących tam, podróżujących z żoną i dziećmi w jakiej starej dryndulce, zwykle za wojskiem w pochodzie, instynktowo czepiając się armji zwycięzkiej. Po skończonej kampanji, mając, jak mówił „certum quantum“, założył garkuchnię w Montfermeil.

To certum quantum złożone z sakiewek, zegarków, pierścieni i krzyżów srebrnych, zebranych w czasie żniwa w brózdach zasianych trupami, nie stanowiło wielkiej summy i niedaleko zaprowadziło markietana przemienionego na karczmarza.

Thenardier miał w ruchach coś sztywnego, co gdy klął przypominało koszary, a gdy się żegnał—seminarjum. Był płynnym gadułą. Udawał uczonego; ale bakałarz zauważył, że niepoprawnie mówi po-francuzku. Wybornie redagował rachunki podróżnych, ale wprawne oko nieraz dostrzegło błędy ortograficzne. Thenardier był skryty, podstępny, niewstrzemięźliwy, rozwięzły i przebiegły. Nie gardził służącemi, i to było przyczyną, że ich żona nie trzymała. Olbrzymka była zazdrosną. Zdawało jej się, że o tego chudego i wyżółkłego człowieczka, dobijają się wszystkie kobiety.

Nadewszystko celujący w chytrości i równowadze, Thenardier był łotrem z rodzaju umiarkowanych. Gatunek to najgorszy, bo zmieszany z obłudą.

Nie idzie za tem, by Thenardier nie był czasami zdolny do gniewu przynajmniej takiego, jak jego żona; zdarzało się to wszakże rzadko, a wtedy, mając urazę do całego rodzaju ludzkiego, gdy w nim palił się ognisty piec nienawiści, należąc do tych ludzi, co wiecznie się mszczą i oskarżają lada przechodnia o wszystko, co na nich spadnie, i zawsze gotowi są ci-

snąć na pierwszego lepszego, jako słuszny zarzut, wszystkie zawody swoje, bankructwo i klęski całego życia; gdy to wszystko wrzało w nim i kipiało w ustach—zaiste był straszny. Biada temu, na kogo spadła jego wściekłość!

Oprócz innych przymiotów, Thenardier był uważny, przenikliwy, milczący lub gaduła stosownie do potrzeby, a zawsze bardzo rozumny. Wejrzenie jego przypominało marynarzy, przywykłych do mrużenia oczu, patrząc w lunetę.

Każdy nowoprzybyły, wchodząc do garkuchni, mówił, patrząc na Thenardierową: Oto gospodarz domu. Błąd. Nie była nawet gospodynią. Gospodarzem i gospodynią był mąż. Ona wykonywała co on rozkazał. Kierował wszystkiem jakimś wpływem magnetycznym, niewidzialnym a ciągłym. Dość mu było rzec słówko, niekiedy skinąć tylko: przedpotopowy słoń wykonywał ślepo. Nie domyślając się wcale, Thenardierowa miała swego męża za istotę wyjątkową, wszechwładną. I ona miała właściwe sobie cnoty: choć się kiedy nie zgadzała z „panem Thenardierem“ — przypuszczenie zresztą niemożliwe — nigdy nie mówiła otwarcie, że jej mąż myli się w czemkolwiek. Nigdy wobec obcych nie dopuściła się tego błędu, który tak często popełniają kobiety, błędu, zwanego w języku parlamentarnym: zdjęciem korony. Chociaż ich zgoda wydawała złe tylko, było coś zdumiewającego w tej uległości Thenardierowej dla swego męża. Ta góra wrzawy i cielska poruszały się za dotknięciem małego palca wątłego despoty. Była to strona karłowata i dziwaczna wielkiego faktu powszechnego: ubóstwienia materji przez ducha. Niektóre brzydoty mają przyczynę bytu w samych głębiach wiekuistej piękności. Było coś niepojętego w Thenardierze; ztąd jego bezwzględna władza nad tą kobietą. W pewnych chwilach patrzyła na niego, jak na zapaloną świecę; czasem znów czuła go w sobie jak szpony.

Straszne to stworzenie kochało tylko swe dzieci i bało się tylko męża. Było matką, bo należało do zwierząt ssących. Zresztą macierzyńska miłość Thenardierowej ograniczała się do córek, i jak zobaczymy nie rozciągała się na synów. Mąż jej żył jedną tylko myślą: jakby się zbogacić.

Nie powodziło mu się zgoła. Wielki ten talent nie znalazł godnego siebie pola, aby się rozwinąć. Thenardier rujnował się w Montfermeil, jeżeli zero może się zrujnować; w Szwajcarji lub w Pyreneach hołysz ten stałby się miljonerem. Ale gdzie los rzuci oberżystę, tam musi wegetować.

Ma się rozumieć, że wyraz *oberżysta* użyty tu jest w ścieśnionem znaczeniu, i nie rozciąga się do całej klassy.

W roku 1823 Thenardier miał blizko tysiąc pięćset franków długów naglących, i to go kłopotało.

Jakkolwiek los uporczywie był względem niego niesprawieoliwy, Thenardier należał do rzędu ludzi, co głęboko i w sposób zupełnie nowoczesny pojmują gościnność, cnotę ludów barbarzyńskich, a interes handlowy u ludów ucywilizowanych. Zresztą dobry strzelec potajemny, znany był z celności strzału. Miał właściwy sobie śmiech zimny i spokojny, szczególnie niebezpieczny.

Niekiedy jak błyskawice tryskały z niego teorje karczmarskie. Miał aforyzmy swego procederu, które wpajał w umysł połowicy. — „Obowiązkiem jest oberżysty—mówił do niej pewnego dnia gwałtownie i po cichu — sprzedać pierwszemu lepszemu jadło, spoczynek, światło, ogień, brudną pościel, służącą, pchły i uśmiech; zatrzymywać przechodniów, wypróżniać małe sakiewki i przyzwoicie dużym przychodzić w pomoc, by ścieśniały; z uszanowaniem przyjmować na nocleg podróżującą familję, obedrzeć mężczyznę, oskubać kobietę, wyiskać dziecko; nałożyć cenę na okno otwarte, na okno zamknięte, na miejsce przy kominku, na fotel, krzesło, stołek, stołeczek, piernat, materac i siennik; wiedzieć ile każde odbicie zużywa zwierciadło i to otaksować, i do krocset

tysięcy djabłów, kazać podróżnemu płacić za wszystko, nawet za muchy które jego pies połyka!“

Ten mąż i ta żona, chytrość i wściekłość zaślubione z sobą, było to stadło ohydne i straszne.

Gdy mąż rozważał i kombinował, Thenardierowa nie myślała o wierzycielach nieobecnych, nie troszczyła się o wczoraj ani o jutro, żyła zapyrzona tylko chwilą obecną.

Takie były te dwie postacie. Cozetta między niemi ulegała podwójnemu ciśnieniu, niby istota, którą współcześnie mają zgnieść na miazgę koła młyńskie i poszarpać na kawałki kleszcze. Mąż i żona dręczyli ją po swojemu; żona ją tłukła, mąż zmuszał chodzić boso w zimie.

Cozetta krzątała się, myła, czyściła, szorowała, zamiatała, biegała do upadłego, dźwigała ciężary, i drobna, wątła, do najcięższych używaną była robót. Żadnej litości; pani zła jak jędza, pan jadowity. Garkuchnia Thenardierów była jak pajęczyna, w którą wpadła Cozetta drżąc w niej nieustannie. Ta złowroga służba ziszczała ideał ucisku. Cozetta była niby muchą usługującą pająkom.

Biedne dziecię milczało, znosząc wszystko.

Gdy tak świeżo wyszedłszy z łona Bożego te duszyczki wpadną między ludzi maluczkie, odarte, nagie — co się tam w wnętrzu ich dzieje?

III.

Ludziom potrzeba wina, a koniom wody.

Przybyło czterech nowych podróżnych. Cozetta rozmyślała smutnie, bo choć dopiero lat ośm przeżyła już tyle wycierpiała, że marząc, twarz jej przybierała posępny wyraz staruszki.

Na jednej jej powiece czerniło się sine piętno od pięści Thenardierowej, która też patrząc na nią mruczała niekiedy:

— Jaka śliczna z tym guzem nad okiem!

Cozetta myślała o nocy, o głębokiej już nocy, że wypadnie może napełnić dzbanki i karafki w izbach podróżnych nowo przybyłych, a w wanience wody już niema.

Jedno ją nieco uspakajało, że w domu Thenardierów mało pijano wody. Ludzi spragnionych nie brakowało, ale pragnienie to chętniej gaszano z butelki niż z dzbana. Gdyby kto między szklenice z winem postawił szklankę wody, wszyscy by go wzięli za barbarzyńcę. Była jednak chwila, gdy dziecię zadrżało; Thenardierowa podniosła pokrywę garnka wrzącego na kominie, potem schwyciła szklankę i żywo zbliżyła do wanienki. Zakręciła kruczek, dziecię podniosło głowę i śledziło jej poruszenia; cienka struga wody popłynęła z kruczka i napełniła pół szklanki.—Oho—

rzekła—niema wody! potem umilkła na chwilę. Dziecię wstrzymało oddech.

— Ba! — mówiła dalej Thenardierowa, przypatrując się szklance z wodą; — tego wystarczy.

Cozetta zabrała się znów do roboty, ale przez dobry kwadrans serce gwałtownie skakało jej w piersiach.

Rachowała upływające minuty, pragnąc jak najprędzej doczekać się jutra.

Niekiedy pijący za stołem wyglądając na ulicę wołali: — Ciemno jak w piecu! — lub: — kot by zabłądził bez latarki o tej godzinie!

Nagle wszedł kramarz, który stanął na nocleg w oberży i rzekł surowo:

— Nie napojono mojego konia.

— Gdzież tam, napojono—rzekła Thenardierowa.

— Powiadam ci moja matko, że nie — odparł kramarz.

Cozetta wylazła z pod stołu.

— Ale tak, panie, koń pił, pił z wiadra pełniuteńkiego, samam mu podawała wodę i mówiłam do niego.

Nie było to prawdą. Cozetta kłamała.

— Patrzajcie ją, nie większa od pięści a łże aż ściany trzeszczą — zawołał kramarz. Powiadam ci mała hultajko, że nie pił. Dyszy on w taki sposób, gdy się nie napije, że poznam zaraz.

Cozetta upierała się dodając głosem ochrzypłym z trwogi ledwie dosłyszanym:

— I jak pił jeszcze!

— No, dość tego — zawołał rozgniewany kramarz — napoić mego konia i basta!

Cozetta wróciła pod stół.

— Naturalnie — rzekła Thenardierowa — jeżeli koń nie pił, trzeba go napoić.

Potem oglądając się, dorzuciła:

— No, ty tam gdzie się chowasz?

Schyliła się i zobaczyła Cozettę skurczoną w drugim końcu stołu prawie pod nogami pijących.

— Pójdź tu! — wołała Thenardierowa.

Cozetta wyszła ze skrytki. Thenardierowa mówiła dalej:

— Panno Suczko bezimienna, ruszaj po wodę dla konia.

— Ależ proszę pani—rzekła Cozetta po cichu— nie ma wody.

Thenardierowa otwarła na rozcież drzwi od ulicy:

— To idź po nią!

Cozetta spuściła głowę, i wzięła próżną konewkę stojącą przy kominie.

Konewka była większą od niej i dziecię wygodnieby się w niej pomieściło.

Thenardierowa wróciła do pieca i probowała warząchwią potrawy, która się gotowała w garnku, mrucząc pod nosem:

— Jest we zdroju. Nie dość ostre. Możeby jeszcze dołożyć cebuli.

Potem zaczęła szukać w szufladzie, gdzie leżały miedziaki, pieprz i szczypiorek.

— Słuchaj panno Ropucho — dodała — wracając przyniesiesz duży bochenek chleba od piekarza. Masz tu sztukę piętnasto susową.

Cozetta nie rzekłszy słowa wzięła pieniądz i włożyła do kieszonki, którą miała przy fartuchu.

Potem stała nieporuszona z konewką w ręku, przed otwartemi drzwiami, jakby czekała, czy jej kto nie przyjdzie w pomoc.

— Ruszaj!—zawołała Thenardierowa.

Cozetta wyszła. Drzwi się zamknęły.

IV.

Lalka wychodzi na scenę.

Rzęd kramików pod gołem niebem ciągnął się jak sobie przypominacie, od kościoła do oberży Thenardierów. Ponieważ wkrótce mieszczanie mieli iść na pasterkę, odprawiającą się o północy, kramy oświecone były świecami w rurach papierowych, co, jak mówił bakałarz w tej chwili siedzący za stołem u Thenardierów, sprawiało „czarodziejski widok.“ Za to, ani jednej gwiazdy na niebie.

Ostatni barak na wprost drzwi Thenardierów mieścił kram z zabawkami dziecinnemi; cały błyszczał od szkiełek, świecidełek i wspaniałych wyrobów blaszanych. Na przodzie straganu, kramarz postawił na kawałku białego obrusa ogromną lalkę, dwie stopy wysoką, ze złotemi kłosami na głowie, w sukni z różowej gazy; lalka miała włosy prawdziwe i oczy emaljowe. Codziennie przechodnie mniej niż dziesięcioletni, rozdziawiwszy gęby podziwiali to cudo; w całem Montfermeil nie znalazła się matka tak bogata lub tak rozrzutna, by ją kupiła dla swego dziecka. Eponina i Anzelma po całych godzinach przypatrywały się lalce; Cozetta także rzucała na nią ukradkowe spojrzenia.

W chwili gdy Cozetta wyszła z konewką w ręku, choć ponura i znękana, nie mogła się oprzeć pokusie i spojrzała na cudowną lalkę, na *damę*, jak ją nazy-

wała. Biedne dziecię osłupiało ze zdumienia. Nie widziała jeszcze z bliska tej lalki. Cały kram wydał się jej pałacem, lalka nie była lalką, ale jakiemś widzeniem czarownem. Radość, przepych, bogactwo, szczęście ukazały się w ułudnym blasku nieszczęśliwej małej istocie, tak głęboko wtrąconej w grobową i chłodną nędzę. Cozetta z naiwną i smutną przenikliwością dziecięcia mierzyła przepaść ją dzielącą od tej lalki. Mówiła sobie, że trzeba być królową lub przynajmniej księżniczką; by mieć coś podobnego. Wpatrywała się w śliczną suknię różową, w piękne gładkie włosy i myślała: Jaka szczęśliwa być musi ta lalka! Nie mogła oderwać oczów od fantastycznego kramu. Im dłużej patrzyła, tem bardziej ją olśniewał. Zdało jej się, że widzi raj. Inne mniejsze lalki stojące za tą wielką, wydały się wróżkami i genjuszami. Kupiec przechadzający się w głębi baraku sprawiał na niej wrażenie Istoty najwyższej.

Zapatrzywszy się tak z uwielbieniem, zapomniała o wszystkiem, nawet po co była posłaną. Nagle gruby głos Thenardierowej zbudził ją z marzenia i wrócił do rzeczywistości: — Ach ty błaźnico! jeszcześto nie poszła! Poczekaj, dam ja tobie! Ciekawam co ten bęben tam robi! A ty mały potworze, ruszaj żywo?

Thenardierowa wyjrzała na ulicę i zobaczyła Cozettę stojącą w zachwyceniu przed kramem.

Cozetta porwała konewkę i uciekała jak mogła najprędzej.

V.

Mała sama w lesie.

Oberża Thenardierów była w tej części wioski, gdzie jest kościół, Cozetta więc musiała iść po wodę do zdroju w lesie w stronę ku Chelles.

Nie patrzyła już na żaden stragan kramarski. Dopóki szła ulicą Piekarską i bliżej kościoła, oświecone sklepy wskazywały jej drogę, ale wkrótce znikło światło ostatniego kramu. Biedne dziecię pogrążone było w coraz większej ciemności. Strach zdejmował dziewczynkę, dla dodania sobie odwagi, machała jak mogła konewką, by przynajmniej szmer jej towarzyszył.

Im dalej szła, tem gęstsza otaczała ją ciemność. Nikogo już nie było na ulicy. Spotkała tylko jedną kobietę, która obejrzała się i stanąwszy za nią mruknęła pod nosem: — Dokąd idzie to dziecko? Czyżby to był mały wilkołak? A poznawszy Cozettę dodała: Ach prawda, to Skowronek!

Cozetta przeszła labirynt krętych i pustych uliczek, któremi kończy się wioska Montfermeil od strony Chelles. Dopóki widziała domy i jakie takie mury po obu stronach drogi, raźniej jej jeszcze było. Niekiedy promień świecy przedzierał się przez szczelinę okiennicy, i niby światło życia dodawał jej odwagi: tam byli ludzie. Ale w miarę jak oddalała się od

wioski, wolniały jej kroki. Minąwszy róg ostatniego domu, Cozetta się zatrzymała. Trudno było puszczać się za sklep ostatni, niepodobieństwem pójść dalej za ostatni dom. Postawiła na ziemi konewkę, wpiła palce we włosy i zaczęła drapać się w głowę, jak to zwykły czynić dzieci przerażone i niepewne. Była już nie w Montfermeil, lecz na polu. Przed nią roztaczała się przestrzeń pusta, ciemna. Z rozpaczą spojrzała na tę noc, w której żywej duszy nie było widać, gdzie krążyły tylko dzikie zwierzęta, a może duchy. Patrzyła przed siebie, i usłyszał stąpania zwierząt po trawie, zobaczyła wyraźnie nieboszczyków poruszających się na drzewach. Wówczas schwyciła konowkę, strach dodał jej odwagi: — Ha — rzekła — powiem jej, że nie ma wody! — I śmiało zawróciła do Montfermeil.

Uszedłszy ze sto kroków zatrzymała się i znowu zaczęła drapać w głowę. Teraz ukazała się jej Thenardierowa; Thenardierowa ohydna, z gębą hyeny i iskrzącemi się od gniewu oczyma. Dziecię rzuciło żałosne spojrzenie przed siebie i za siebie. Co począć? gdzie się obrócić? dokąd pójść? Przed nią jędza Thenardierowa, za nią wszystkie widma nocy i lasów. Thenardierowa wydała się jej straszniejszą. Zawróciła do zdroju i biedz zaczęła. Przebiegła wioskę, wpadła do lasu nie patrząc już na nic, nie słuchając niczego. Zwolniła kroku gdy jej tchu zabrakło, ale szła dalej przed siebie, jak obłąkana.

Tak biegnąc brała ją ochota płakać. Nocne drżenie lasu ogarniało ją całą.

Przestała myśleć, przestała patrzeć. Niezmierna noc walczyła z tą drobną istotą. Z jednej strony nieskończoność cieni, z drugiej — pruszynka.

Od skraju lasu do zdroju było siedm lub ośm minut drogi. Cozetta dobrze znała drogę, odbywając ją kilka razy we dnie. I dziwna rzecz nie zabłąkała nię wcale. Ślepy instynkt ją prowadził. A jednak sie patrzyła ani na prawo ani na lewo, z obawy, by

nie ujrzała czego na gałęziach lub w krzakach. Tak doszła do zdroju.

Była to jakby kadź naturalna, wydrążona wodą w gliniastej ziemi, głęboka dwie stopy, otoczona mchem i baldaszkowatem zielskiem, które nazywano krezą Henryka IV, wyłożona kilku ogromnemi kamieniami, z których ciekł strumyk szemrząc łagodnie.

Cozetta nie zatrzymała się nawet by spocząć. Noc była ciemna, ale dziecię przywykło chodzić do zdroju. Lewą ręką szukała w ciemnościach pochylonego nad zdrojem młodego dębu, na którym zwykle się opierała, schwyciła gałęź, zawiesiła się na niej, pochyliła ku ziemi, i zanurzyła konewkę w wodzie. Uczyniła to z taką gwałtownością, że w tej chwili potroiły się jej siły. Tak pochylona nie zwróciła uwagi, że z kieszeni jej fartuszka wypadł pieniądz do zdroju. Cozetta nie widziała ani słyszała jak padał w wodę. Wydostała konewkę prawie pełną i postawiła na murawie.

Wtedy poczuła, że jej sił zabrakło. Chciałaby odejść natychmiast, ale tak się wysiliła na zaczerpnienie wody, że ani kroku postąpić już nie mogła. Musiała usiąść. Padła na trawę i leżała skurczona.

Zamknęła oczy, potem nie wiedząc dlaczego otworzyła je znowu, czuła bowiem, że inaczej być nie może. Obok niej poruszona woda w konewce tworzyła kółka podobne do wężyków białego ognia.

Nad jej głową niebo gęstemi chmurami pokryte, niby kłębami dymu. Tragiczna maska nocy zdawała się spuszczać na to dziecię.

Jowisz zachodził w głębinach.

Dziecie spojrzało błędnym wzrokiem na tę wielką gwiazdę, której nie znało i bało się. W istocie planeta ten w tej chwili bardzo bliski widnokręgu, przerzynał gęstą mgłę, która mu nadawała okropną czerwoność. Mgła posępnie purpurowa rozszerzała gwiazdę. Rzekłbyś świecąca rana.

Chłodny wiatr dął od równiny. Las był ciemny jak noc, żadnego drżenia liści, ani odrobiny bladej, a świeżej jasności lata. Straszne gałęzie wyciągały wychudłe ramiona. Wątłe niekształtne krzewiny syczały na łąkach. Wysokie trawy niby węgorze mruczały smagane wiatrem. Ciernie wiły się, jak długie ręce ze szponami po łup wyciągnięte. Suche gałązki pędzone wiatrem przesuwały się szybko, jakby ze strachem, uciekając przed czemś co je goni. Dokoła posępne przestrzenie.

Noc sprawia zawrót w głowie. Człowiekowi potrzebne jest światło. Ktokolwiek zagłębi się w przeciwny światłości biegun, czuje, że mu się serce ściska. Gdy oko patrzy na ciemność, umysł się zaciemnia. W czasie zaćmienia, w nocy, w gęstym zmroku, najdzielniejszego męża przejmuje trwoga i niepokój. Nikt bez drżenia nie przechodzi lasu sam w nocy. Drzewa i cienie — dwa straszne gąszcze. W niewyraźnej głębi zwodniczą wydaje się rzeczywistość. Rzeczy niepojęte stają o kilka kroków przed tobą z wyrazistością widma. W przestrzeni czy też we własnym mózgu widzisz, jak kołysze się coś nieujętego, niby marzenia kwiatów uśpionych. Widnokrąg przybiera jakieś dzikie postawy. Wciągasz w siebie tchnienie wielkiej czarnej przepaści. Razem lękasz się i masz ochotę spojrzeć za siebie. Pieczary nocy, każda rzecz przybierająca dziką postać, milczące profile, które za zbliżeniem się rozpraszają, rozczochrany zamęt, gniewne drzew kępy, wybladłe trzęsawiska, ponurość żałobna, ogrom grobowego milczenia, istoty nieznane zdające się poruszać, tajemnicze pochylanie się gałęzi, straszne kadłuby drzew, długie pęki ziół drżących, — niemasz przeciw temu wszystkiemu żadnej obrony. Nie znam takiego śmiałka, któryby nie zadrżał i nie uczuł sąsiedztwa trwogi. Doświadczasz coś ohydnie przykrego, jakby dusza twoja zleweła się z ciemnością. To przenikanie cieniów działa niewymownie złowrogo na dziecię.

Lasy są jak apokalipsy; trzepotanie skrzydeł duszyczki szemrze głosem konania pod ich potwornem sklepieniem.

Nie zdając sobie sprawy z tego co doświadczała, Cozetta czuła, że ją porywa czarny ogrom natury. Nie przerażenie ją ogarniało, ale coś jeszcze okropniejszego od przerażenia. Drżała. Braknie nam słów do wyrażenia, jak dziwnym był ten dreszcz przeszywający ją lodem do głębi serca. Oczy jej pałały dziko. Zdało się jej, że nic powstrzymać nie potrafi, by nie powróciła tu jutro o tej samej godzinie.

Wówczas, jakimś instynktem wiedziona, by wyjść z osobliwszego a niepojętego stanu, który ją przerażał, zaczęła głośno rachować raz, dwa, trzy, cztery, aż do dziesięciu, a skończywszy rozpoczęła znowu. To przywróciło jej pojęcie rzeczy otaczających. Uczuła zimno w rękach, które zwilżyła czerpiąc wodę. Powstała. Wrócił przestrach naturalny i nieprzezwyciężony. Jedną tylko myślą, była zajęta, jakby uciec, uciec co tchu, przez lasy, przez pola, aż do domów, aż do okien, aż do świec zapalonych. Spojrzenie jej padło na konewkę przed nią stojącą. Thenardierowa tak wielką trwogę w niej budziła, że nie śmiała uciec nie zabrawszy konewki z wodą. Chwyciła oburąc za ucho, ale zaledwie mogła podnieść konewkę.

Uszła tak dwanaście kroków, konewka była pełna, ciężka, musiała ją znowu postawić na ziemi. Odetchnęła chwilę, potem podniosła konewkę i szła nieco dłużej. Musiała jednak zatrzymać się znowu. Po kilku sekundach odpoczynku, szła dalej. Szła pochylona naprzód, ze spuszczoną głową, jak staruszka; ciężar konewki wytężał i drętwił jej ręce wychudłe. Od żelaznego ucha zmarzły i skostniały jej zmoczone rączyny; czasami gdy zmuszoną była zatrzymać się, zimna woda wylewała się z konewki i padała na jej obnażone nogi. Działo się to w głębi lasu, nocą, w zimie, zdala od oczu ludzkich; dziecie miało lat ośm; w tej chwili Bóg tylko patrzył na tę rzecz smutną.

I niewątpliwie matka jej, niestety!

Są bowiem rzeczy, które otwierają oczy nieboszczykom w grobie.

Dyszała chrapliwie i boleśnie; łkania zamierały w gardle, nie śmiała płakać, tak się bała Thenardierowej nawet z daleka. Zwyczajem jej było wystawiać sobie wciąż Thenardierową za sobą.

Jednakże nie mogła tak iść długo, i ciężkiemi krokami posuwała się zwolna. Daremnie skracała przestanki i starała się iść jak najdłużej. Z trwogą pomyślała, że godzina upłynie nim powróci do Montfermeil, że Thenardierowa ją obije. Ta trwoga łączyła się z przestrachem osamotnienia, lasu i nocy. Już upadała ze znużenia a jeszcze nie wyszła z lasu. Doszedłszy do starego kasztana, który znała dobrze, zatrzymała się dłużej, by dobrze wypocząć, zebrała wszystkie siły, podniosła konewkę i odważnie puściła się w dalszą drogę. Ale biedna mała zrozpaczona nie mogła się wstrzymać od wykrzyku: O mój Boże! mój Boże!

W tej chwili uczuła nagle, że konewka wcale jej nie cięży. Jakaś ręka, która jej się wydała ogromną, porwała za ucho i silnie dźwignęła konewkę. Podniosła głowę. Wysoka, wyprostowana postać czarna szła przy niej w ciemności. Był to jakiś mężczyzna, który idąc za nią przyspieszył kroku i nie rzekłszy słowa chwycił za ucho konewkę, którą niosła.

Są instynkta we wszystkich życia spotkaniach.

Dziecię się nie zlękło.

VI.

Rozdział który może dowodzi przenikliwości Boulatruella.

Tejże wilji Bożego Narodzenia 1823 r. jakiś mężczyzna przechadzał się dość długo po południu po najsamotniejszej części bulwaru Szpitalnego w Paryżu. Człowiek ten zdawał się szukać mieszkania i zaglądał do najniepozorniejszych domów w zniszczonym skraju przedmieścia St. Marceau.

Później przekonamy się, że w istocie najął izbę w tej samotnej dzielnicy.

Z ubioru i całej postaci mężczyzna ten wyglądał na żebraka z lepszego towarzystwa; największa nędza łączyła się w nim z nadzwyczajnem ochędóstwem. Typ to rzadki budzący w zacnych sercach podwójny szacunek dla wielkiego ubóstwa i uczucia własnej godności. Miał na sobie kapelusz okrągły, bardzo stary, połyskujący od częstego czyszczenia szczotką, wytarty surdut z grubego sukna koloru żółtego ugru, który w owym czasie nie miał nic dziwacznego, długą kamizelkę z kieszeniami odwiecznego kroju, spodnie czarne na kolanach poszarzałe od wytarcia, pończochy czarne wełniane i obszerne trzewiki z mosiężnemi sprzączkami. Wziąć go było można za nauczyciela dobrego domu, powracającego z wychodźtwa. Sądząc

z włosów jak śnieg białych, pomarszczonego czoła, wybladłych ust i rozlanego na twarzy znękania i przesytu życia, rzekłbyś, że ma przeszło sześćdziesiąt lat wieku. Ale wnosząc z chodu pewnego choć powolnego i ze szczególnej siły, przebijającej we wszystkich jego poruszeniach, nie dałbyś mu więcej nad lat pięćdziesiąt. Zmarszczki czoła regularne uprzedzały na jego korzyść każdego, coby mu się z uwagą przypatrzył. Przy ustach dziwny fałd, który zdawał się oznaczać surowość, w istocie wyrażał pokorę. W głębi jego spojrzenia była jakaś smutna pogoda. W lewej ręce niósł zawiniątko chustką okryte; prawą wspierał się na kiju wyłamanym z płota. Kij był starannie ostrugany i nie miał złej miny; sęki ociosane, główka koralowa z czerwonego laku; prosta pałka, a wygląda jak laska.

Mało kto przechadza się po tym bulwarze, zwłaszcza zimą. A jednak mężczyzna zdawał się raczej unikać niż szukać przechodniów.

W owym czasie król Ludwik XVIII prawie codziennie jeździł do Choisy-le-Roi. Był to ulubiony jego spacer. Około drugiej, nieodmiennie, widziano powóz i orszak królewski przebiegające czwałem przez bulwar Szpitalny.

Zastępowało to zegar biednym mieszkańcom tego kąta; zwykle też mawiali: — Już druga, patrzcie powraca do Tuilerjów.

Niektórzy wybiegali naprzeciw, inni zatrzymywali się na drodze, bo przejeżdżający król zawsze ściąga tłumy. Zresztą ukazywanie się i znikanie Ludwika XVIII sprawiało pewne wrażenie na ulicach Paryża. Było szybkie, majestatyczne. Bezsilny król miał upodobanie jeździć wielkim czwałem; nie mogąc chodzić chciał biegać; człek ten beznogi miał ochotę błyskawice wprządz do powozu. Przejeżdżał spokojny i surowy, otoczony szpalerem dobytych szabli. Powóz ciężki, cały wyzłocony, z wielkiemi gałęźmi lilji malowanemi po bokach, toczył się z wielkim łoskotem.

Ledwie dojrzeć go było można. W głębi po prawej stronie wspierała się na białych atłasowych poduszkach twarz szeroka, sztywna i czerwona; głowa świeżo upudrowana *à l'oiseau royal*, spojrzene dumne, surowe i przenikliwe, uśmiech literata, dwie grube szlify z buljonami na surducie cywilnym, Złote runo, krzyż Św. Ludwika, krzyż legji honorowej, gwiazda srebrna Św. Ducha, ogromny brzuch i wstęga niebieska — znamionowały króla. Za rogatkami Paryża kładł kapelusz z białemi piórami na kolanach, owiniętych w kamasze angielskie, gdy powracał do miasta miał kapelusz na głowie i kłaniał się rzadko. Zimno patrzył na lud, który też odpłacał mu chłodem.

Niezawodny przejazd króla o tej samej godzinie był więc codziennym wypadkiem na bulwarze szpitalnym.

Mężczyzna w żółtym surducie widocznie nie mieszkał w tej dzielnicy, a może i nie był z Paryża, bo nie wiedział o tem. Gdy o godzinie drugiej powóz królewski, otoczony szwadronem przybocznej gwardji w srebrnych galonach, wjechał na bulwar, zakręciwszy około Salpêtière, człowiek zdawał się zdziwiony, prawie przestraszony. Sam jeden był w alei; usunął się prędko i schował za róg muru, ale książe Havré go zobaczył. Książe Havré w tym dniu dowodzący gwardją przyboczną, siedział w powozie naprzeciw króla. I rzekł do najjaśniejszego pana: To jakiś człowiek dość podejrzanej miny. Policja rozstawiona na drodze którą król przejeżdżał, także go zauważyła; jeden z policjantów otrzymał polecenie mieć go na oku. Ale mężczyzna skręcił w samotne uliczki przedmieścia, zaczynało się ściemiać, i ajent zgubił go z oczów, jak stało w raporcie wysłanym tegoż wieczora do hrabiego Anglês ministra stanu i prefekta policji.

Zmyliwszy pogonie ajenta, mężczyzna w surducie podwoił kroku, obracając się kilka razy, by się przekonać, że nikt go nie śledzi. O kwadrans na piątą, to jest gdy noc już zapadła, przechodził około teatru

Port. St. Martin, gdzie w tym dniu przedstawiano *Dwóch Galerników*. Afisz oświecony latarnią teatralną zwrócił jego uwagę, chociaż szedł prędko i widocznie się spieszył, zatrzymał się, by przeczytać. Po chwili skręcił w zamkniętą uliczkę i wszedł do *Plat d etain*, gdzie wówczas było biuro poczty, krążącej między Paryżem i Lagny. Powóz odjeżdżał o w pół do piątej. Konie były zaprzężone, podróżni zawołani przez woźnicę z pośpiechem wdzierali się po żelaznych stopniach do środka powozu.

Mężczyzna zapytał:

— Czy jest jeszcze miejsce?

— Jedno tylko przy mnie na koźle—odpowiedział woźnica.

— Biorę je.

— Siadajże pan.

Jednakże nim ruszył z miejsca, woźnica rzucił spojrzenie na lichą odzież podróżnego, na małe jego zawiniątko i zażądał zapłaty.

— Pan jedzie do Lagny? — zapytał woźnica.

— Tak.

Podróżny zapłacił aż do Lagny.

Ruszono w drogę. Przejechawszy rogatki, woźnica chciał zawiązać rozmowę, ale podróżny odpowiadał tylko półsłówkami. Zawiedziony woźnica zaczął świstać i kląć na konie.

Było zimno. Woźnica owinął się płaszczem. Podróżny zdawał się nie zważać na ostre powietrze. Tak przejechali Gournay i Neuilly nad Marną.

Około szóstej wieczór stanęli w Chelles. Konie były zmęczone, woźnica dla odpoczynku zatrzymał się przed oberżą furmańską, urządzoną w starych budynkach opactwa królewskiego.

— Zsiądę tu — rzekł podróżny.

Wziął paczkę i kij i skoczył z powozu.

Po chwili zniknął w ciemnościach.

Nie wstąpił do austerji.

Gdy po kilku minutach powóz odjechał do Lagny, już go nie spotkał na gościńcu Chelles.

Woźnica obrócił się do podróżnych siedzących wewnątrz powozu.

— A to jakiś człowiek nie tutejszy—rzekł—nie znam go wcale. Wygląda jakby nie miał ani grosza, a nie dba o pieniądze; płaci do Lagny choć jedzie tylko do Chelles. Noc, wszystkie domy zamknięte, nie wstępował do oberży, nie ma go nigdzie. Chyba się zapadł pod ziemię.

Człowiek nie zapadł się w ziemię, ale wielkim krokiem przebiegł główną ulicę Chelles, później nie dochodząc do kościoła skręcił na lewo na boczną drogę wiodącą do Montfermeil i szedł po nocy pewnym krokiem, jakby doskonale znał miejscowość.

Doszedłszy do miejsca, gdzie ścieżkę przerzyna wysadzony drzewami stary gościniec idący z Gagny do Lagny, usłyszał kroki przechodzących. Prędko skrył się do rowu i czekał aż się przechodnie oddalą. Ostrożność prawie zbyteczna, bo jakeśmy powiedzieli, noc grudniowa była zupełnie ciemną. Dwie lub trzy gwiazdy ledwie błyszczały na niebie.

W tym właśnie punkcie rozpoczyna się grunt górzystszy. Podróżny nie wszedł na drogę do Montfermeil, lecz zawrócił na prawo i przez pola zmierzał wielkim krokiem do lasu.

Wszedłszy do lasu, zwolnił chodu, oglądał starannie wszystkie drzewa, stąpał ostrożnie, jakby szukając tajemniczej drogi sobie tylko znanej. Przez chwilę zdało się że błądził, stanął niepewny. Nakoniec po długiem krążeniu omackiem wyszedł na łączkę, gdzie leżał stos grubych szarych kamieni. Żywo pobiegł ku kamieniom i przypatrywał się im uważnie w zmroku nocnym, jakby odbywał przegląd. O kilka kroków od stosu kamieni stało grube drzewo okryte naroślami, które są tem dla roślin, czem brodawki u ludzi. Poszedł do drzewa, pociągnął ręką po korze pnia, jakby chciał poznać i obliczyć wszystkie brodawki.

Naprzeciw tego drzewa, które było jesionem, stał odarty z kory chorowity kasztan, opasany cynkową przepaską. Wspiął się na palcach i dotknął opaski cynkowej.

Potem dreptał czas pewien po ziemi między drzewem i kamieniami, widocznie dla upewnienia się, że grunt nie został świeżo poruszony.

To uczyniwszy, zorjentował się i dalej szedł lasem.

Ten to człowiek spotkał później Cozettę.

Idąc przez zarośla ku Montfermeil spostrzegł ten cień maluczki poruszający się z jękiem, widział jak składała jakiś ciężar na ziemi, potem podnosiła go i szła znowu. Przybliżył się i poznał, że to była młodziutka dziecina, dźwigająca ogromną konewkę z wodą. Wówczas przystąpił do niej i milcząc schwycił ucho konewki.

VII.

Cozetta z nieznajomym w nocy.

Mówiliśmy, że Cozetta się nie zlękła.

Mężczyzna przemówił do niej głosem poważnym i cichym:

— Moje dziecko, bardzo to ciężkie co niesiesz?

Cozetta podniosła głowę i odpowiedziała mu:

— Tak, panie.

— Daj — rzekł mężczyzna — ja ci to zaniosę.

Cozetta puściła konewkę. Mężczyzna szedł obok niej.

— W istocie to bardzo ciężkie — szepnął jakby do siebie. Potem dodał:

— Ile masz lat, mała?

— Ośm, panie.

— A zdaleka tak idziesz?

— Od zdroju w lesie.

— I daleko ci nieść?

— Dobry ztąd kwadrans drogi.

Mężczyzna umilkł przez chwilę, potem zapytał żywo:

— Więc nie masz matki?

— Nie wiem — odpowiedziało dziecię.

Nim mężczyzna miał czas nowe zadać pytanie, dodała:

— Nie zdaje mi się. Inne dzieci mają matki, ja nie mam.

A po chwili dodała jeszcze:

— Myślę, że jej nigdy nie miałam.

Mężczyzna zatrzymał się, postawił konewkę na ziemi, pochylił się, złożył obie ręce na ramionach dziecka, i usiłował przypatrzeć się jej twarzy w ciemnościach.

Trudno było rozpoznać rysy chudej i mizernej twarzy Cozetty przy bladem świetle niebios.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

— Cozetta.

Mężczyzna doznał jakby elektrycznego wstrząśnienia. Popatrzył jeszcze na Cozettę, opuściła rękę, podniósł konewkę i szedł dalej:

Nareszcie zapytał.

— Mała, gdzie mieszkasz?

— W Montfermeil, jeżeli pan zna to miejsce.

— I tam idziemy?

— Tak, panie.

Po chwili milczenia, zapytał znowu:

— I któż to cię posłał o tej godzinie do lasu po wodę?

— Pani Thenardier.

Mężczyzna odrzekł głosem, który drżał dziwnie, choć go chciał uczynić obojętnym:

— Co za jedna twoja pani Thenardier?

— To moja pani—rzekło dziecię. Trzyma oberżę.

— Oberżę?—powtórzył mężczyzna. Dobrze, będę tam nocował. Prowadź mię.

— Idziemy tam panie — odpowiedziało dziecię.

Mężczyzna szedł dość prędko. Cozetta bez trudności za nim zdążała, nie czując już znużenia. Niekiedy podnosiła oczy na tego człowieka z jakąś spokojnością i niewymownem zaufaniem. Nigdy jej nie uczono zwracać myśli do Opatrzności i modlić się. W tej chwili jednak uczuła coś niby nadzieję i radość wznoszące ją ku niebiosom.

Upłynęło kilka minut. Mężczyzna zapytał:

— Alboż niema służącej u pani Thenardier?

— Nie ma, panie.

— Więc jesteś sama?

— Tak panie.

Nowa przerwa. Tym razem odezwała się Cozetta:

— To jest, są jeszcze dwie dziewczynki.

— Co za dziewczynki?

— Ponina i Zelma.

Dziecię w ten sposób zmieniało romansowe imiona drogie Thenardierowej.

— Któż są te Ponina i Zelma?

— To panienki pani Thenardier, jakby to powiedzieć, jej córki.

— A cóż robią te dziewczęta?

— O! — zawołało dziecię — mają piękne lalki, cacka złote i pełno ślicznych rzeczy. Bawią się.

— Cały dzień?

— Cały, panie.

— A ty?

— Ja, pracuję.

— Cały dzień?

Dziewczynka podniosła wielkie oczy pełne łez, których nie można było dojrzeć w nocy i odpowiedziała z cicha:

— Cały, panie.

Dodając po chwili milczenia:

— Zdarza się, że jak skończę robotę, a pozwolą, to się bawię także.

— A jak się bawisz?

— Jak mogę. Zostawiają mi do woli. Ale mało mam cacek. Ponina i Zelma nie pozwalają mi bawić się swemi lalkami. Mam tylko małą szabelkę ołowianą, ot tak długą.

Dziecię pokazało mały palec.

— I która nic nie tnie?

— Owszem, proszę pana — odpowiedziało dziecię — tnie sałatę i głowy muchom ucina.

Doszli do wioski. Cozetta prowadziła podróżnego przez ulice. Przechodzili około sklepu piekarza, ale

Cozetta zapomniała o chlebie, który miała kupić. Mężczyzna przestał wypytywać i milczał ponuro. Gdy minęli kościół, widząc tyle kramów pod gołem niebem, zapytał Cozettę:

— Macie jarmark?

— Nie panie, to Boże Narodzenie.

Gdy się zbliżali do oberży, Cozetta nieśmiało trąciła go w ramię:

— Panie?

— Co, moje dziecko?

— Jesteśmy już blizko domu.

— Więc cóż?

— Pozwól mi pan wziąć teraz konewkę.

— Na co?

— Boby mię pani wybiła, gdyby zobaczyła, że nie sama przyniosłam.

Mężczyzna oddał konewkę. Po chwili stanęli u drzwi garkuchni.

VIII.

Nieprzyjemności pochodzące z przyjmowania u siebie biedaka, który może być bogaczem.

Cozetta mimowolnie rzuciła ukradkowe spojrzenie na wielką lalkę stojącą jeszcze na straganie przekupnia zabawek dziecinnych; potem zastukała. Drzwi się otwarły. Ukazała się Thenardierowa ze świecą w ręku.

— A! to ty mała łajdaczko! Zmarnowałaś tyle czasu, pewnieś się bawiła hultajko?

— Pani — odpowiedziała Cozetta drżąca — oto pan, który przychodzi na nocleg.

Thenardierowa zmieniła prędko opryskliwą minę na uprzejmy grymas, jak to często zdarza się oberżystkom i chciwie szukała oczyma nowo przybyłego.

— To pan? — zapytała.

— Tak pani — odpowiedział mężczyzna, przykładając rękę do kapelusza.

Bogaci podróżni nie bywają tak grzeczni. Po tym ruchu i obejrzeniu jednym rzutem oka odzieży i zawiniątka nieznajomego, znikł z twarzy Thenardierowej uprzejmy grymas, wróciła opryskliwość gniewna. Odparła oschle:

— Wejdźcie dobry człeku.

Dobry człek wszedł. Thenardierowa spojrzała nań powtórnie, badała szczególniej jego surdut zupełnie wytarty, kapelusz nieco pogięty, i kiwając głową, kręcąc nosem, mrugając oczyma radziła się męża, który ciągle pił z furmanami. Mąż odpowiedział nieznacznie poruszeniem wskazującego palca i nadęciem warg, które w takim razie znaczyło; golizna zupełna. Zobaczywszy to Thenardierowa zawołała:

— Doprawdy poczciwy człowiecze, przykro mi bardzo, ale wszystkie izby zajęte.

— Pomieść mię pani gdziekolwiek — rzekł podróżny: w stodole, w stajni. Zapłacę jak za pokój.

— Czterdzieści su.

— Niech będzie czterdzieści su.

— To co innego.

— Czterdzieści su!—rzekł pocichu do Thenardierowej zdziwiony furman—przecież bierzecie tylko dwadzieścia su.

— On musi zapłacić czterdzieści — odparła Thenardierowa tym samym głosem. Za mniejszą opłatą nie przyjmuję na noc ubogich.

— Rzeczywiście — dodał słodkim głosem mąż — przyjmowanie takich ludzi szkodzi tylko domowi.

Tymczasem podróżny położywszy na ławce zawiniątko i kij, usiadł przy stole, na którym Cozetta skwapliwie postawiła butelkę wina i szklankę. Kupiec, który się upominał o wodę, sam zaniósł konewkę do stajni. Cozetta usiadła pod stołem kuchennym i zabrała się do pończochy.

Podróżny zaledwie umaczawszy usta w szklance wina, wpatrywał się w dziecię z dziwną uwagą.

Cozetta była brzydką. W szczęściu możeby była ładniejszą. Opisaliśmy już rysy tej smutnej twarzyczki. Cozetta chuda i blada, miała blisko lat ośm, a wyglądała ledwie na sześć. Wielkie jej oczy zanurzone w głębi ciemnej, były prawie zagasłe od ciągłego płakania. Końce jej ust przybrały ten wyraz przerażenia, który postrzegamy u skazanych na śmierć

i chorych bez nadziei. Ręce jej, matka to odgadła, były całe odziębione. Ogień oświecający w tej chwili, uwydatnił jej kości sterczące i straszną chudość. Ciągle drżąc z zimna, nawykła do ściskania kolan jedno o drugie. Cała jej odzież była łachmanem, budzącym litość latem a zgrozę w zimie. Miała na sobie sukienkę płócienną dziurawą, nic wełnianego. Tu i owdzie świeciła naga skóra z sinemi lub czarnemi piętnami od uderzeń pięści Thenardierowej. Bose nogi były chude i czerwone. Na płacz się zbierało patrząc na jej obojczyk. Cała postać tego dziecka, chód, postawa, dźwięk głosu, przestanki między jednym a drugim wyrazem, wzrok, milczenie, ruch najmniejszy wyrażały i tłumaczyły jedną myśl: bojaźń.

Bojaźnią tchnęła cała jej postać, była nią że tak powiem okryta; bojaźń ściągała jej łokcie ku biodrom, tuliła pięty pod spódniczkę, kazała jej jak najmniej zajmować miejsca, nie pozwalała tchnąć spokojnie, i stawszy się niejako nałogiem ciała, nie mogła się zmienić, wzrastać tylko mogła coraz bardziej. W głębi jej źrenicy tkwiło przerażenie,

Bojaźń jej była tak wielką, że przyszedłszy cała zmoczona, Cozetta nie śmiała osuszyć się przy ogniu, i milcząc siadła do roboty.

Oczy ośmioletniej dziewczynki zwykle smutne nabierały niekiedy tak tragicznego wyrazu, jakby wkrótce stać się miała idiotką lub szatanem.

Nigdy, jakeśmy mówili, nie znała co to modlitwa, nigdy nogą nie postała w kościele.

— Alboż ja mam czas?—mawiała Thenardierowa.

Człowiek w żółtym surducie nie odrywał oczu od Cozetty.

Nagle Thenardierowa zawołała:

— Ale! a chleb?

Cozetta, jak zwykle gdy Thenardierowa głos podniosła, prędko wyszła z pod stołu.

Zupełnie zapomniała o chlebie. Uciekła się do

pospolitego wybiegu dzieci zawsze wylękłych. Skłamała.

— Proszę pani, sklep piekarza był zamknięty.

— Trzeba było stukać.

— Stukałam, proszę pani.

— I cóż?

— Nie otworzyli.

— Dowiem się jutro czy to prawda — rzekła Thenardierowa — a jeżeli kłamiesz, będziesz się miała z pyszna. Tymczasem oddaj sztukę piętnastosusową.

Cozetta wsunęła rękę do kieszeni fartuszka i zzieleniała. Pieniądza nie było w kieszeni.

— No! — krzyknęła Thenardierowa — czyś nie słyszała?

Cozetta wywróciła kieszeń, była próżną. Gdzie się podział pieniądz? Nieszczęśliwa nie mogła wyrzec słowa. Stanęła jak wryta.

— Co! zgubiłaś sztukę piętnastosusową? warczała Thenardierowa, a może chcesz mi ją ukraść?

I wyciągnęła rękę po dyscyplinę zawieszoną w rogu komina.

To poruszenie przywróciło przytomność Cozecie. Zawołała:

— Przebacz pani! przebacz, już więcej tego nie zrobię.

Thenardierowa zdjęła dyscyplinę.

Tymczasem człowiek w żółtym surducie nieznacznie poszukał w kieszeniach kamizelki. Inni podróżni pili lub grali w karty i nie zwracali uwagi.

Przerażona Cozetta wcisnęła się z przestrachem w kąt komina, usiłując skryć swe członki w pół nagie. Thenardierowa podniosła rękę.

— Za pozwoleniem pani—rzekł człowiek—w tej chwili widziałem coś wypadającego z kieszeni tej małej. Może to samo.

Pochylił się i zdawał czegoś szukać na ziemi.

— Właśnie! proszę — rzekł podnosząc się.

I podał Thenardierowej sztukę srebrną.

— Ta sama — odpowiedziała.

Nie ta sama, była to sztuka dwudziestosusowa, ale Thenardierowa widziała w tem zysk oczywisty. Schowała pieniądz do kieszeni i rzuciła tylko dzikie spojrzenie na dziecko, mówiąc: — Żeby mi tego drugi raz nie było, pamiętaj!

Cozetta wróciła do swego jak Thenardierowa nazywała „legowiska“ i wielkie jej oko, utkwione w podróżnym, przybrało wyraz, jakiego nigdy nie miało. Było to naiwne zdziwienie, połączone z ufnością i osłupieniem razem.

— Czy będziecie wieczerzać?—zapytała podróżnego Thenardierowa.

Nie odpowiadał, tak głęboko zdawał się być zamyślony.

— Co to może być za człowiek? — mruczała pod nosem.—To jakiś straszny nędzarz. Niema grosza na wieczerzę. Może nie zapłaci mi za nocleg? Wielkie jeszcze szczęście, że nie przyszło mu do głowy skraść pieniądz, leżący na ziemi.

Drzwi się otwarły, weszły Eponina i Anzelma.

Były to w istocie ładne dziewczynki, raczej mieszczańskie niż chłopskie: jedna z ciemnemi, świecącemi warkoczami, druga z czarną kosą, spuszczoną na plecy, obie żywe, schludne, tłuściutkie, świeże i zdrowe, oczy się radowały patrząc na nie. Odziane ciepło ale z pewnem staraniem, które łączyło elegancję z wygodą ciepłej sukienki. Przewidziano zimę, nie zapominając o wiośnie. Obiedwie małe jaśniały szczęściem. Prócz tego, widocznie królowały w domu. W ich stroju, wesołości, krzyku było coś wszechwładnego. Gdy weszły, Thenardierowa rzekła do nich, niby łając tonem, w którym przebijał się zachwyt macierzyński: — A! przecież przyszłyście, niedobre!

Brała je na kolana jednę po drugiej, gładziła włosy, poprawiała kokardy i wstrząsnąwszy łagodnie ru-

chem, matkom właściwym, puszczała je, wołając: Ależ poubierane!

Dziewczynki siadły przed ogniem. Miały lalkę, którą nieustannie przewracały na kolanach, szczebiocząc wesoło. Niekiedy Cozetta podniosła oczy od pończochy i ponuro spojrzała na ich zabawę.

Eponina i Anzelma nie patrzyły na Cozettę: była ona psem dla nich. Trzy te dziewczynki, nie mając razem dwudziestu czterech lat, przedstawiały już całe społeczeństwo ludzkie; z jednej strony zazdrość, z drugiej pogarda.

Lalka sióstr Thenardierek była zniszczona, stara i potłuczona, nie mniej jednak wydawała się cudowną Cozecie, która nigdy w życiu nie miała lalki, *prawdziwej lalki*, że użyjem wyrażenia, które wszystkie dzieci zrozumieją.

Nagle Thenardierowa, krzątająca się po izbie, spostrzegła, że Cozetta była roztargniona, i zamiast pracować, patrzyła na bawiące się dzieci.

— A! złapałam cię! — zawołała. To ty tak pracujesz! Nauczę ja cię pracować dyscypliną.

Nieznajomy, nie wstając z siedzenia, obrócił się ku Thenardierowej.

— Pani—rzekł z uśmiechem prawie lękliwym — czemu się jej bawić nie pozwolicie!

Gdyby to życzenie wyraził inny podróżny, któryby zjadł kawał baraniny, wypił parę butelek wina i nie miał miny *strasznego nędzarza*, Thenardierowa usłuchałaby go jak rozkazu. Ale człowiek z takim kapeluszem ośmielił się mieć życzenie! ale człowiek w takim surducie pozwolił sobie mieć wolę—tego Thenardierowa znieść nie mogła. Odparła więc kwaśno:

— Musi pracować kiedy je. Nie na to ją żywię, by próżnowała.

— A cóż to ona robi?—pytał nieznajomy głosem łagodnym, dziwnie sprzecznym z jego ubraniem żebraka i barkami tragarza.

Thenardierowa raczyła odpowiedzieć:

— Pończochy, alboż nie widzicie? Pończochy dla moich córeczek, które ich prawie nie mają, i ot chodzą teraz boso.

Człowiek spojrzał na biedne czerwone nóżki Cozetty i mówił dalej:

— A kiedy skończy tę parę pończoch?

— Ma jeszcze roboty na dobre trzy lub cztery dni, próżniaczka.

— A ile może być warta taka para pończoch ukończona?

Thenardierowa spojrzała na niego pogardliwie.

— Najmniej trzydzieści su.

— Oddałabyś je pani za pięć franków?—zapytał człowiek.

— Do djaska!—zawołał parskając grubym śmiechem furman, który się przysłuchiwał—pięć franków! Chyba kpi sobie! pięć franków.

Thenardier uznał za stosowne głos zabrać.

— Niezawodnie, jeżeli pan masz fantazją je nabyć, oddamy tę parę pończoch za pięć franków. Nie możemy odmawiać podróżnym.

— Ale trzeba natychmiast zapłacić—dodała Thenardierowa krótko i stanowczo.

— Kupuję tę parę pończoch—odpowiedział, wyjmując z kieszeni sztukę pięciofrankową i kładąc na stole dodał — płacę zaraz.

Potem obrócił się do Cozetty:

— Teraz twoja praca do mnie należy. Baw się, moje dziecko.

Furman był tak wzruszony sztuką pięciofrankową, że porzucił szklankę i przybiegł.

— Dalibóg prawda! — zawołał przypatrując się: — Prawdziwe zadnie koło! i niefałszywe!

Thenardier zbliżył się i milcząc schował pieniądz do kieszeni.

Thenardierowa nie mogła odmówić. Zagryzła wargę, twarz jej przybrała wyraz nienawiści.

Ale Cozetta drżała ze strachu. Ośmieliła się wreszcie zapytać:

— Proszę pani czy to prawda? mogę się bawić?

— Baw się! — rzekła Thenardierowa przerażającym głosem.

— Dziękuję pani—odpowiedziała Cozetta.

I gdy ustami dziękowała Thenardierowej, cała jej dusza składała dzięki podróżnemu.

Thenardier siadł za stołem i pił. Żona szepnęła mu do ucha:

— Co to być może za jeden ten żółty człowiek?

Thenardier odpowiedział tonem wyroczni:

— Widziałem miljonerów w takich samych surdutach.

Cozetta położyła pończochę, lecz pozostała pod stołem. Zawsze starała się jaknajmniej poruszać, by nie ściągnąć na się uwagi. Z pudła stojącego za nią wyjęła kilka starych gałganów i szabelkę ołowianą.

Eponina i Anzelma nie zważały na to, co się dokoła nich działo. Właśnie dokonały wielkiego dzieła; złapały kota. Lalkę rzuciły na ziemię, a Eponina, starsza, powijała mnóstwem szmatek czerwonych i niebieskich kotka, który kręcił się i miauczał. Zajęta tą ważną i trudną robotą, mówiła do siostry tym miłym i rozkosznym językiem dzieci, którego wdzięk, jak blask skrzydeł motylich znika, gdy chcesz go ująć.

— Widzisz, siostro, ta lalka jest zabawniejsza jak tamta. Rusza się, krzyczy, jest ciepła. Nieprawdaż siostro? bawmy się z nią. To będzie moja córeczka. Ja będę damą. Przyjdę do ciebie z wizytą, a ty będziesz na nią patrzeć. Powoli dostrzeżesz jej wąsy i to cię zadziwi. Później zobaczysz jej uszy, a później zobaczysz ogon i to cię zdziwi. I powiesz do mnie: A! mój Boże! A ja ci powiem: Tak, pani, mam taką córeczkę. Teraz dziewczątka są takie.

Anzelma zdziwiona słuchała Eponiny.

Tymczasem pijący za stołem zaczęli śpiewać spro-

sną piosneczkę i śmieli się aż pułap trzeszczał. Thenardier ich zachęcał spiewając także.

Jak ptaki lada czem wyścielają gniazda, tak i dzieci z byle czego robią lalki. Gdy Eponina i Anzelma powijały kota, Cozetta owijała w gałganki szabelkę. Obwinąwszy złożyła ją na ręku i pocichu śpiewała, kołysząc do snu.

Lalka jest jedną z najgwałtowniejszych potrzeb i zarazem najmilszych instynktów dziecinnego wieku kobiety. Pielęgnować, ubierać, stroić, odziewać, rozdziewać, znowu odziewać, uczyć, łajać trochę, kołysać, pieścić, usypiać, wyobrażać sobie, że ta rzecz to istota żyjąca, — w tej zabawie dziecka jest cała przyszłość kobiety. Tak marząc i szczebiocząc, robiąc pieluszki, szyjąc sukienki, staniki i fartuszki, dziecię staje się dziewczynką, dziewczynka dziewicą, dziewica kobietą. Pierwsze dziecko jest jakby dalszym ciągiem ostatniej lalki.

Dziewczynka bez lalek jest prawie tak nieszczęśliwą i niemożliwą, jak kobieta bez dzieci.

Cozetta więc zrobiła sobie lalkę z szabelki.

Thenardierowa zbliżyła się do żółtego człowieka. Mój mąż ma słuszność, pomyślała w duchu, może to sam pan Laffitte. Bogaci bywają tacy pocieszni!

Usiadła przy jego stole.

— Panie — rzekła...

Usłyszawszy ten wyraz *panie*, człowiek się odwrócił. Thenardierowa nazywała go dotychczas *poczciwcem* lub *dobrym człowiekiem*.

— Widzi pan — mówiła dalej, przybierając słodziutką minę, jeszcze nieznośniejszą od srogiej, chętnie pozwalam na to, żeby dziecko bawiło się, nic nie mam przeciw temu, ale to dobre na jeden raz, bo pan jesteś wspaniałomyślny. Patrz pan, to biedota... musi pracować.

— Więc to nie córka pani, to dziecię? — zapytał człowiek.

— A mój Boże, gdzie zaś! to biedactwo, które z litości podjęliśmy z bruku. Dziecko niedołężne. Musi mieć wodę w głowie. Widzi pan jaką ma dużą głowę. Robimy dla niej co możem, bo nie jesteśmy bogaci. Piszem i piszem do jej rodzinnego miejsca, a już od pół roku nie ma odpowiedzi. Widać matka jej umarła.

— Ah!—rzekł człowiek i wpadł w głęboką zadumę.

— Nie było to nic osobliwego ta matka—dodała Thenardierowa. — Porzuciła swe dziecko.

W czasie tej rozmowy, Cozetta, jakby ją instynkt przestrzegał, że o niej mówiono, nie spuszczała oczu z Thenardierowej. Słuchała, lecz zaledwie kilka słów bez związku doleciały jej uszu.

Biesiadnicy dobrze już podochoceni powtarzali wszeteczną zwrotkę z coraz wrzaskliwszą wesołością. Była to tłusta piosnka z rodzaju bluźnierczych, do której mięszano Matkę Boską i Dzieciątko Jezus. Thenardierowa zbliżyła się do śpiewających i śmiała wraz z nimi. Cozetta, skulona pod stołem, patrzyła na ogień, który odbijał się w jej nieruchomych oczach, i kołysząc na ręku powiniętą szabelkę, śpiewała cichym głosem: Matka moja umarła... Umarła moja matka! matka moja umarła!

Na nowe nalegania gospodyni, żółty człowiek, „miljoner“ zgodził się jeść wieczerzę.

— Co pan rozkaże?

— Proszę o kawałek chleba i sera— rzekł człowiek.

— E! to taki żebrak—pomyślała Thenardierowa.

Pijacy śpiewali jeszcze swą piosnkę, a dziecię pod stołem swoją.

Nagle Cozetta umilkła. Obróciwszy się spostrzegła lalkę Thenardierek rzuconą dla kota, na ziemi o kilka kroków od kuchennego stołu.

Puściła więc owiniętą szabelkę, która w połowie tylko jej wystarczała i zwolna powiodła oczyma doko-

ła izby. Thenardierowa szeptała coś mężowi i liczyła pieniądze, Ponina i Zelma bawiły się z kotem, podróżni jedli, pili, lub śpiewali, nikt na nią nie patrzył. Nie miała chwili do stracenia. Pełznęła z pod stołu czołgając się na kolanach i rękach, raz jeszcze upewniła się, że jej nie szpiegują, przysunęła się żywo do lalki i pochwyciła ją. Po chwili była znów na swojem miejscu nieruchoma, ale odwrócona, by nie widziano lalki, którą trzymała na rękach. Szczęście bawienia się lalką tak rzadko ją spotykało, że było dla niej jakby gwałtowną rozkoszą.

Nikt jej nie widział, prócz podróżnego, który powolnie spożywał skromną wieczerzę.

Radość ta trwała blizko kwadrans.

Chociaż Cozetta bardzo troskliwie ukrywała lalkę, jednakże jedna jej noga *wyglądała*, a ogień z komina ją oświecał. Noga różowa i jaśniejąca w cieniu zwróciła spojrzenie Anzelmy, która rzekła do Eponiny:
— Patrzajno, siostro!

Obydwie siostry stanęły zdumione. Cozetta poważyła się wziąść lalkę!

Eponina puściła kota, poszła do matki i pociągnęła ją za suknię.

— Dajże mi pokój!—rzekła matka.—Czego chcesz odemnie?

— Matko — szepnęła dziewczynka — spojrzyjno!

I pokazała palcem na Cozettę.

Cozetta zachwycona posiadaniem lalki, nie widziała i nie słyszała co się dokoła niej działo.

Twarz Thenardierowej przybrała ów szczególny wyraz, który lada drobnostkę zmienia w coś przerażającego i przezeń to nazywają tego rodzaju kobiety jędzami.

Tym razem obrażona duma gniew jej podwoiła. Cozetta przekroczyła wszelkie granice, Cozetta poważyła się dotknąć lalki „panienek“. Nie inną minę miałaby księżna patrząc na prostego chłopa, który wdziewa na się ubranie jej syna.

Zawołała głosem ochrzypłym z oburzenia:

— Cozetta!

Cozetta zadrżała jakby pod nią ziemia się zatrzęsła. Obróciła głowę.

— Cozetta! — powtórzyła Thenardierowa.

Cozetta położyła po cichu lalkę na ziemi ze czcią i rozpaczą. Nie spuszczając z niej oczów, złożyła ręce, i rzecz straszna w dziecięciu tak młodem, załamała je z rozpaczą; potem — czego nie mogły wydobyć z niej ani wzruszenia dnia, ani bieganie do lasu, ani ciężar konewki z wodą, ani strata pieniędzy, ani widok dyscypliny, ani nawet ponure słowo, które wyrzekła Thenardierowa — przyszły łzy, zapłakała szlochając głośno.

Podróżny powstał.

— Co się stało? — zapytał Thenardierowej.

— Alboż pan nie widzisz? — rzekła Thenardierowa ukazując palcem na *corpus delicti* leżące u stóp Cozetty?

— No i cóż takiego? — powtórzył człowiek.

— Ta łajdaczka — odpowiedziała Thenardierowa — ośmieliła się dotknąć lalki moich dzieci!

— I oto tyle wrzawy — rzekł człowiek. I cóż w tem złego, że się bawiła lalką?

— Śmiała jej dotknąć brudnemi łapami! — mówiła dalej Thenardierowa — swemi szkaradnemi ręczyskami!

Cozetta łkała coraz głośniej.

— Będziesz ty cicho!—krzyknęła Thenardierowa.

Człowiek postąpił ku drzwiom od ulicy, otworzył je i wyszedł.

Jak tylko wyszedł, Thenardierowa korzystając z jego nieobecności wyciągnęła nogę pod stół i kopnęła Cozettę tak silnie, że dziecko zakrzyczało w niebogłosy.

Drzwi się otworzyły, powrócił człowiek, niosąc w obu rękach bajeczną lalkę, tę samą, której dziecia-

ki wioski przypatrywały się od rana, i postawił ją przed Cozettą, mówiąc:

— Masz to dla ciebie.

Zdaje się, że od godziny tu siedząc pogrążony w zadumie, musiał spostrzedz sklep zabawek dziecinnych oświecony lampami i świecami tak wspaniale, że można go było dojrzeć przez szybę karczmy, niby świetną illuminację.

Cozetta podniosła oczy, widziała podchodzącego ku niej człowieka z tą lalką jak wschodzące słońce, usłyszała niesłychane słowa *to dla ciebie*, spojrzała na niego, spojrzała na lalkę, potem cofnęła się powoli i skryła w najciemniejszym kącie pod stołem.

Nie płakała już, nie krzyczała, zdawała się nie śmieć odetchnąć.

Thenardierowa, Eponina, Anzelma patrzyły osłupiałe. Nawet pijacy powstali od stołu. Całą karczmę zaległa uroczysta cisza.

Thenardierowa zdumiona i milcząca gubiła się w domysłach: — Co za jeden ten stary? nędzarz? czy miljoner? Może jedno i drugie, najpewniej złodziej.

Twarz małżonka Thenardier wykrzywił fałd wyrazisty występujący na oblicze ludzkie, ilekroć przeważny instynkt błyśnie na niem z całą potęgą zwierzęcą. Oberżysta patrzył to na lalkę, to na podróżnego i zdawał się wąchać tego człowieka, jakby zwąchał worek z pieniędzmi. Trwało to chwilę. Zbliżył się do żony i rzekł po cichu:

— Ta machina kosztuje najmniej trzydzieści franków. Proszę cię, tylko żadnych głupstw! Pełzać przed tym człowiekiem!

Natury bydlęce mają to wspólnego z duszami naiwnemi, że gwałtownie przerzucają się z jednych ostateczności w drugie.

— Cóż Cozetto — rzekła Thenardierowa głosem złych kobiet, słodziutkim jak miód zgorzkniały — czemu nie bierzesz swej lalki?

Cozetta ośmieliła się wyjść ze swej nory.

— Moja Cozetko — dodał Thenardier pieszczotliwym tonem — pan daje ci lalkę, weźże, to twoja.

Cozetta z przestrachem patrzyła na cudowną lalkę. Twarz jej była jeszcze zalana łzami, ale w oczach, niby słońce w brzasku porannym, promieniała dziwna radość. Doświadczała w tej chwili uczucia, jakiegoby doznała gdyby nagle powiedziano: Mała, jesteś królową francuzką.

Zdawało się jej, że gdy dotknie lalki, piorun z niej wyskoczy.

I pod pewnym względem było to prawdą, bo pewna była, że Thenardierowa ją wyłaje i obije.

Ale przeważyła przyciągająca siła lalki. Po długiem wahaniu postąpiła ku niej i szepnęła bojaźliwie, obracając się ku Thenardierowej:

— Czy mogę, proszę pani?

Żaden wyraz nie odda tego dźwięku pełnego rozpaczy, przestrachu i zachwytu razem.

— A jużciż!—odpowiedziała Thenardierowa — to twoje, kiedy pan ci daje.

— Doprawdy panie? — rzekła Cozetta — to na prawdę moja, ta dama?

Nieznajomy zdawał się mieć oczy łez pełne. Wzruszenie jego było tak wielkie, że bojąc się rozpłakać, słowa wymówić nie mógł. Za całą odpowiedź skinął głową i włożył rękę „damy“ w ręce Cozetty.

Cozetta żywo usunęła swe ręce, jakby ją ręka *damy* paliła, i spuściła oczy na podłogę. Zmuszeni jesteśmy dodać, że tejże chwili wyciągnęła język nad miarę. Nagle obróciła się i namiętnie porwała lalkę.

— Nazwę ją Katarzyną — rzekła

Dziwna była chwila, gdy łachmany Cozetty zetknęły się ze wstążkami i świeżym różowym muślinem lalki.

— Proszę pani — zapytała — czy mogę ją posadzić na krześle?

— Owszem, moje dziecko — odpowiedziała Thenardierowa.

Teraz z kolei Eponina i Anzelma patrzyły zazdrośnie na Cozettę.

Cozetta położyła Katarzynę na krześle, usiadła przed nią na ziemi, i nieruchoma, słowa nie rzekłszy, pożerała ją oczyma.

— Bawże się Cozetto — rzekł nieznajomy.

— O! ja się bawię — odpowiedziało dziecię.

Ten nieznajomy, obcy, który ukazał się Cozecie jak zesłanie Opatrzności, budził w tej chwili najgłębszą nienawiść w Thenardierowej. A jednak musiała się powstrzymywać. Za wiele wszakże wzruszeń spadło na nią, jakkolwiek przywykłą do udawania, bo starała się naśladować we wszystkiem swego męża. Pośpiesznie wysłała córki do sypialnego pokoju, i zapytała żółtego człowieka, czy pozwoli także pójść spać Cozecie, *która jest dziś bardzo zmęczona*, dodała z troskliwością macierzyńską. Cozetta poszła spać unosząc na rękach Katarzynę.

Thenardierowa co chwila prawie przechodziła na drugi koniec izby do męża, żeby jak mówiła *ulżyć swemu sercu*. I szeptała tem wścieklej, że nie śmiała powiedzieć głośno:

— Stary dureń! czy go djabeł opętał? poco wlazł tutaj! każe się bawić małemu potworowi! daje mu lalki! daje lalki za czterdzieści franków suce, którąbym oddała za czterdzieści groszy! Zobaczysz, niedługo nazwie ją królewską mością jak księżnę Berry! Gdzie tu rozum? oszalał ten stary tajemniczy!

— Czemu? Nic nad to prostszego, odparł Thenardier. Jeśli go to bawi! Ciebie bawi, gdy mała pracuje, jego bawi, gdy nic nie robi. Jest zupełnie w swem prawie. Podróżny może robić co mu się spodoba, byle płacił. Jeśli ten stary jest filantropem, co nas to obchodzi? jeśli jest niedołęgą, nic nam do tego. Poco się w to mięszasz, kiedy ma pieniądze!

Mowa gospodarza i rozumowanie oberżysty—były nieodwołalnym wyrokiem.

Człowiek wsparł się łokciem na stole, i znowu pogrążył w marzeniach. Wszyscy inni podróżni kupcy i furmani usunęli się nieco i przestali śpiewać. Patrzyli nań z daleka z pewną obawą i uszanowaniem. Jegomość ten tak biednie odziany, a z taką łatwością dobywający z kieszeni *tylne koła* i obdarzający ogromnemi lalkami brudasów w drewnianych trzewikach, niezawodnie był jakimś poczciwcem dostojnym i strasznym zarazem.

Upłynęło kilka godzin. Odprawiono mszę pasterską, wilja się skończyła, pijacy się rozeszli, zamknięto karczmę, izba gościnna opustoszała, zagasł ogień na kominie, ale nieznajomy siedział na tem samem miejscu w tej samej postawie. Niekiedy tylko przekładał głowę z jednej ręki na drugą. Słowa nie wyrzekł od czasu jak wyszła Cozetta.

Thenardierowie pozostawszy sami, siedzieli w izbie przez przyzwoitość i z ciekawości.

— Czy myśli całą noc tak przepędzić? mruczała Thenardierowa. Gdy wybiła druga po północy, nie mogła wytrzymać dłużej i rzekła do męża: — Pójdę spać. Rób sobie z nim co chcesz. Mąż usiadł w kącie przy stole, zapalił świecę i zaczął czytać *Kurjera francuzkiego*.

Tak przeszła dobra godzina. Zacny oberżysta ze trzy razy przeczytał *Kurjera francuzkiego* od daty numeru do nazwiska drukarza. Nieznajomy ani się ruszył.

Thenardier krzątał się, kasłał, pluł, ucierał nos, stukał krzesłem. Człowiek siedział nieruchomy.—Czy śpi? pomyślał Thenardier. — Człowiek nie spał, ale nic go nie mogło rozbudzić.

Nakoniec Thenardier zdjął czapkę, zbliżył się pocichu i odważył zapytać:

— Czy pan nie pójdzie na spoczynek?

Nie pójdzie spać wydawało mu się nazbyt poufałem. *Pójdzie na spoczynek* trąciło wytwornością językową i wyrażało uszanowanie. Tego rodzaju wyrazy mają tajemniczą przedziwną własność mnożenia liczb

nazajutrz rano, gdy się podaje rachunek do zapłacenia. Izba w której się *śpi* kosztuje dwadzieścia su; izba w której się *spoczywa* kosztuje dwadzieścia franków.

— Prawda!—odpowiedział nieznajomy;—masz pan słuszność. Gdzież wasza stajnia?

— Panie — rzekł z uśmiechem Thenardier — ja sam pana zaprowadzę.

Szedł ze świecą, człowiek zabrał swój kij i zawiniątko. Thenardier zaprowadził go na pierwsze piętro do wcale przyzwoitego pokoju, ze sprzętami machoniowemi i dużem łóżkiem osłonionem firanką z czerwonego perkaliku.

— Co to za izba? — zapytał podróżny.

— To nasz własny pokój ślubny — odpowiedział oberżysta. Teraz moja małżonka i ja sypiamy w innym. Ledwie trzy lub cztery razy do roku tu się wchodzi.

— Wolałbym stajnię — żywo odparł człowiek.

Thenardier udał że nie słyszy tej niegrzecznej uwagi.

Zapalił dwie świece woskowe nowiuteńkie stojące na kominku, w którym palił się dość dobry ogień.

Na tym kominku było pod szklanym dzwonem okrycie na głowie kobiety, tkane srebrem z kwiatem pomarańczowym.

— A to co znowu? — zapytał nieznajomy.

— Panie — odpowiedział Thenardier — to okrycie miała na głowie moja żona, gdy ją prowadziłem do ołtarza.

Podróżny spojrzał na nie wzrokiem zdającym się mówić: no proszę, ten potwór był kiedyś dziewicą!

Zresztą Thenardier kłamał. Gdy najmował tę ruderę na garkuchnię, wziął ów pokój umeblowany wraz z kwiatami pomarańczowemi, w przekonaniu że to upoetyzuje nieco „jego małżonkę“ i wzbudzi pewien szacunek dla domu.

Gdy podróżny się obrócił, nie było już gospodarza. Thenardier wysunął się dyskretnie, nie śmiejąc

życzyć dobrej nocy, bo to wydawało mu się zbyteczną poufałością względem człowieka, którego postanowił obedrzeć po królewsku nazajutrz rano.

Oberżysta odszedł do swego pokoju. Żona leżała już w łóżku, ale jeszcze nie spała. Gdy usłyszała wchodzącego męża, obróciła się ku niemu i rzekła:

— Wiesz że jutro wypędzę precz Cozettę.

Thenardier odpowiedział zimno:

— O, jaka z ciebie gorączka!

Nie mówili więcej i po kilku chwilach świeca zgasła.

Podróżny złożył w kącie kij i zawiniątko. Gdy wyszedł gospodarz, usiadł na krześle i jakiś czas siedział zamyślony. Później zdjął trzewiki, wziął jednę świecę, drugą zgasił, popchnął drzwi i wyszedł z pokoju patrząc dokoła jakby czego szukał. Przeszedł korytarz i stanął przy schodach. Tu usłyszał szmer łagodny niby odeech dziecięcia. Idąc w kierunku tego szmeru doszedł do trójkątnej skrytki pod schodami, niczem nie osłonionej. Między staremi koszami i szczątkami naczyń rozbitych, w kurzu i pajęczynie było łóżko, jeśli można nazwać łóżkiem dziurawy siennik i kołdrę podartą, bez prześcieradła, leżące na podłodze. Na tem łóżku spała Cozetta.

Człowiek zbliżył się i patrzył na nią.

Cozetta spała mocno, cała ubrana. Nie rozbierała się w zimie, żeby mniej czuć zimna.

Trzymała w objęciach swoich lalkę, której wielkie otwarte oczy błyszczały w ciemności. Czasami głęboko wzdychała, jakby się miała obudzić i konwulsyjnie prawie przyciskała lalkę. Przy łóżku leżał tylko jeden trzewik.

Otwarte drzwi przy schodach prowadziły do dość obszernego ciemnego pokoju. Nieznajomy tam wszedł. W głębi przez drzwi szklane można było widzieć dwa bielutkie łóżeczka stojące przy sobie. Spały w nich Anzelma i Eponina. Za łóżkami kryła się napół ko-

lebka łozowa bez firanek; w niej spoczywał chłopczyk, który krzyczał cały wieczór.

Nieznajomy domyślił się, że ta izba prowadzi do sypialnego pokoju małżonków Thenardier. Już chciał odejść gdy spojrzenie jego padło na kominek, jeden z tych wielkich kominków w austerjach, gdzie zwykle bywa mało ognia gdy się pali, których widok takiem zimnem przejmuje. W kominku tym nie było ognia, nie było nawet popiołu, wszelako coś zwróciło uwagę podróżnego. Były to dwa nierównej wielkości eleganckie trzewiczki dziecinne; podróżny przypomniał sobie miły i od niepamiętnych czasów zachowywany zwyczaj, że dzieci w wilję Bożego Narodzenia kładą swe obuwie w kominku, w nadziei iż dobra wróżka włoży im jaki piękny podarunek. Eponina i Anzelma nieomieszkały włożyć do kominka każda po trzewiczku.

Podróżny schylił się i zajrzał.

Wróżka, to jest matka, już je nawiedziła; w każdym trzewiku błyszczał nowiuteńki pieniądz dziesięcio susowy.

Człowiek podniósł się i chciał odejść, gdy w najciemniejszym kącie komina poznał trzewik, szkaradny trzewik drewniany na wpół złamany, okryty popiołem i wyschłem błotem. Był to trzewik Cozetty. Cozetta z rozczulającem zaufaniem dzieci, które zwodzone zawsze nigdy się nie zniechęcają, postawiła także swój trzewik w kominie.

Wzniosłą i rzewną jest nadzieja w dziecku, które tylko rozpacz znało.

Nie było nic w trzewiku.

Nieznajomy poszukał w kamizelce, pochylił się i włożył luidora do trzewika Cozetty.

Potem na palcach wrócił do swego pokoju.

IX.

Thenardier przy robocie.

Nazajutrz rano, we dwie godziny przed świtem, pan Thenardier siedział z piórem w ręku w izbie gościnnej przy stole, na którym paliła się świeca, i układał rachunek podróżnego w żółtym surducie.

Żona stojąc pochylona nad nim śledziła oczyma poruszenia jego ręki. Nie mówili do siebie ani słowa. Z jednej strony było rozmyślanie głębokie, z drugiej religijne podziwienie z jakiem się patrzy na rodzący się i rozwijający cud ludzkiego rozumu. Słychać było jakiś szelest w domu; Skowronek zamiatał schody.

Po dobrym kwadransie i kilku przekreśleniach, Thenardier wydał następujące arcydzieło:

Rachunek pana z pod Nr. 1.

Wieczerza	3	franki.
Pokój	10	„
Świece woskowe	5	„
Ogień	4	„
Usługa	1	„
Razem .	23	franki.

— Dwadzieścia trzy franki! — zawołała żona z entuzjazmem, w którym przebijało się zwątpienie.

Jak wszyscy wielcy artyści, Thenardier nie był jeszcze zadowolony.

— Mało! — rzekł tonem Castlereagh'a redagującego na kongresie wiedeńskim likwidację, którą miała Francja zapłacić.

— Panie Thenardier, masz słuszność, wart tego, mruczała żona, myśląc o lalce danej Cozecie w oczach jej córek, to sprawiedliwie, ale za wiele. Nie zechce zapłacić.

Thenardier roześmiał się zimno i rzekł:

— Zapłaci.

Ten śmiech był najwyższą oznaką pewności i siły. Musiało się stać co było powiedziane takim tonem. Żona nie nalegała więcej. Zaczęła ustawiać stoły, mąż przechadzał się wzdłuż i wszerz po izbie. Po chwili dodał:

— Zadłużyłem się tysiąc pięćset franków!

Usiadł przed kominem i rozmyślał stawiąc nogi na ciepłym popiele.

— Ale! — odezwała się żona — nie zapominaj, że dziś wyrzucam za drzwi Cozettę? Ten potwór pożera mi serce swoją lalką. Wolałabym zaślubić Ludwika XVIII, niż trzymać ją w domu jeden dzień dłużej!

Thenardier zapalił fajkę i odpowiedział puszczając kłęby dymu:

— Oddasz rachunek człowiekowi.

Potem wyszedł.

Ledwie opuścił izbę, gdy wszedł do niej podróżny.

Thenardier natychmiast wrócił się za nim i stał nieruchomy we drzwiach na pół otwartych, widzialny tylko dla żony.

Człowiek żółty miał w ręku kij i zawiniątko.

— Tak rano pan wstał! — rzekła Thenardierowa — czy nas już opuszcza?

Mówiąc to, zakłopotana obracała w rękach kartę z rachunkiem, i gniotła ją paznokciami. Gruba jej twarz wyrażała niezwyczajne uczucie bojaźliwości i skrupułu.

Podać taki rachunek człowiekowi, który miał

najzupełniej minę „ubogiego“, wydawało się jej rzeczą niełatwą.

Podróżny był roztargniony i jakby czemś zajęty; odpowiedział:

— Tak pani, odchodzę.

— Więc pan — mówiła dalej — nie ma interesów w Montfermeil?

— Nie mam. Przechodzę tędy, nic więcej. — Pani — spytał — ile jestem winien?

Thenardierowa nie odpowiadając podała mu złożoną kartę.

Człowiek rozwinął papier i spojrzał, ale widocznie myślał o czem innem.

— Pani — zapytał — czy dobrze się wam powodzi w Montfermeil?

— Nie bardzo panie — odpowiedziała Thenardierowa zdumiona, że nie widzi innego wybuchu.

I mówiła dalej żałośnie i płaczliwie:

— O panie, ciężkie czasy! przytem tak mało mieszczan w naszych stronach! Same wieśniaki, jak pan widzi. Nie wiem coby było gdyby czasami nie zajrzeli do nas podróżni hojni i bogaci jak pan! Mamy ogromne wydatki. Ot, naprzykład ta mała kosztuje nas okropnie.

— Jaka mała?

— Ależ ta mała, pan wie! Cozetta! Skowronek jak ją tu nazywają!

— A! — rzekł człowiek.

Thenardierowa mówiła dalej:

— Jacy głupi ci wieśniacy ze swemi przezwiskami: ma prędzej minę nietoperza niż skowronka. Widzi pan, my nie prosimy jałmużny, ale też i dawać jej nie możemy. Nic nie zarabiamy, a płacić trzeba grubo. Konsens, podatki, opłaty od drzwi i okien, dodatkowe centymy! Pan wie, że skarb żąda strasznych pieniędzy. A mam córki i nie widzę potrzeby żywić cudzego dziecka.

Człowiek odpowiedział głosem drżącym, choć usiłował mówić obojętnie:

— A gdyby panią uwolniono od niej?

— Od kogo? od Cozetty?

— Tak.

Czerwona i namiętna twarz karczmarki zajaśniała ohydną radością.

— Ach, panie! mój dobry panie! bierz ją sobie, trzymaj, prowadź, zabieraj, ocukrz ją, nadziej truflami, wypij ją, zjedz ją, i niech ci błogosławi Najświętsza Panna i wszyscy święci niebiesny!

— Zgoda.

— Doprawdy? zabierzesz ją pan?

— Zabiorę.

— Zaraz?

— Zaraz. Zawołaj pani dziecko.

— Cozetta — krzyknęła Thenardierowa.

— Tymczasem — mówił dalej człowiek — zapłacę moją należność. Ile to tam?

Rzucił okiem na papier i mimowolnie zawołał zdziwiony:

— Dwadzieścia trzy franki!

Spojrzał na oberżystkę i powtórzył:

— Dwadzieścia trzy franki?

Wymówił te wyrazy powtórzone dwa razy tonem dzielącym wykrzyknik od znaku zapytania.

Thenardierowa miała czas przygotować się na wybuch. Odpowiedziała więc niezachwianie:

— Dalibóg, tak panie, dwadzieścia trzy franki.

Podróżny położył na stole pięć sztuk pięciofrankowych.

— Idź pani po małą — rzekł.

W tej chwili Thenardier wszedł na środek izby i rzekł:

— Pan winieneś tylko dwadzieścia sześć su.

— Dwadzieścia su za pokój — dodał Thenardier zimno — a sześć su za wieczerzę. Co się tyczy ma-

łej, mam kilka słów do pomówienia z panem. Zostaw nas samych żono.

Thenardierowa uczuła się olśnioną tą nieprzewidzianą błyskawicą talentu. Uczuła, że wielki aktor występuje na scenę, i nie rzekłszy słowa, wyszła.

Gdy zostali sami, Thenardier podał krzesło podróżnemu, Podróżny usiadł; Thenardier stał przed nim, a jego twarz przybrała dziwny wyraz dobroduszności i prostoty.

— Muszę panu powiedzieć — rzekł — że ja ubóstwiam to dziecię.

Nieznajomy bystro nań spojrzał.

— Jakie dziecię?

Thenardier mówił dalej:

— Śmieszna rzecz! człowiek się przywiązuje. Co mi po tych wszystkich pieniądzach? zabierz pan swoje stosusowe sztuki. Nie o nie mi chodzi, ja ubóstwiam dziecię.

— Kogo? jakie? — zapytał nieznajomy.

— Ależ naszą drogą Cozetkę! Wszakże pan chcesz ją nam zabrać? Otóż powiadam panu otwarcie i świętą prawdę, jakeś pan człowiek uczciwy, że się na to zgodzić nie mogę. Czułbym pustki w domu, gdyby nie było tego dziecka. Urosła pod mojem okiem. Prawda, że nas dużo kosztuje pieniędzy, prawda że ma wady, prawda, że nie jesteśmy bogaci, prawda, że zapłaciłem przeszło czterysta franków za lekarstwa w czasie jednej tylko jej choroby! Ale trzeba coś czynić dla miłości pana Boga. Nie ma to ani ojca ani matki, sam ją wychowałem. Mam chleb dla siebie i dla niej. Doprawdy to dziecię mi jest drogie. Pan pojmuje, człek się przywiązuje; jestem głupi osieł, nie rozumuję, kocham tę małą; moja żona jest porywcza ale także ją kocha. To proszę pana, jakby nasze dziecko rodzone. Potrzeba mi, żeby to szczebiotało w domu.

Nieznajomy ciągle patrzył mu w oczy. Thenardier mówił dalej:

— Prawdziwie, przepraszam pana najmocniej, ale nie oddaje się swego dziecka tak sobie, pierwszemu lepszemu przechodniowi. Wszak mam słuszność? Zresztą nie mówię tego do pana, jesteś pan bogaty, masz minę bardzo uczciwego człowieka; gdybym przynajmniej wiedział, że to zapewni jej szczęście, ale trzebaby wprzód się przekonać. Pojmuje pan? Przypuśćmy, że zrobię z siebie poświęcenie i pozwolę ją zabrać, chciałbym przynajmniej wiedzieć dokąd się udaje, nie radbym jej stracić z oczu, pragnąłbym wiedzieć u kogo jest, żeby czasami ją odwiedzić, by nie wątpiła, że dawny opiekun pamięta o niej i czuwa nad jej losem.

Nakoniec żąda pan rzeczy niemożliwej. Nie znam nawet pańskiego nazwiska. Weźmiesz ją pan, ja zostanę ciemny jak w rogu i powiem: a gdzie to uleciał Skowronek? Chciałbym przynajmniej widzieć jaki taki papier, kawałek paszportu, cokolwiek.

Nieznajomy nie przestając patrzyć nań wzrokiem przenikającym, że tak rzeknę do głębi sumienia, odpowiedział poważnie i z mocą:

— Panie Thenardier, nie bierze się paszportu udając o pięć mil za Paryż. Jeśli mam zabrać z sobą Cozettę, to ją zabiorę bez żadnych ceremonji. Nie dowiesz się o mojem mieszkaniu, nie dowiesz się gdzie będzie Cozetta i życzę sobie, abyś już nigdy w życiu jej nie widział. Zrywam sznurek, którym była przywiązana za nogę — i mała odchodzi. Przystajesz na to? Mów: tak lub nie.

Jak demony i genjusze poznają z pewnych znaków obecność wyższego boga, podobnie Thenardier zrozumiał, że ma do czynienia z kimś bardzo mocnym. Był to rodzaj intuicji; poznał tę wyższość od razu, jednym rzutem myśli bystrym i przenikliwym. Wczoraj, pijąc z furmanami, paląc fajkę i śpiewając tłuste piosenki, nie przestawał cały wieczór śledzić nieznajomego, czając się jak kot i studjując jak matematyk. Śledził go z własnego popędu, dla przyjemności, i zarazem szpiegował jakby mu za to zapłacono. Ani jedno

spojrzenie, ani jeden ruch człowieka w żółtym surducie nie uszły jego uwagi. Nim jeszcze nieznajomy tak wyraźnie okazał, że zajmuje się losem Cozetty, już Thenardier to odgadł. Widział głębokie spojrzenia starca ciągle zwrócone na dziecko. Zkąd to zajęcie? co za jeden ów człowiek? dlaczego tyle pieniędzy w kieszeni, a tak nędzne ubranie? Takie zadawał sobie pytania, nie mogąc ich rozwiązać i to go gniewało. Myślał o tem noc całą. Ojcem Cozetty być nie mógł. Może jaki dziadek? to czemuż się nie dał poznać odrazu? Kto ma prawo, ten śmiało z niem występuje. Widocznie ten człowiek nie miał prawa do Cozetty. Cóż więc za jeden? Thenardier gubił się w domysłach. Przewidywał wszystko, a nie widział nic. Jakkolwiek bądź, zawiązując rozmowę z człowiekiem, pewny, że we wszystkiem kryje się jakaś tajemnica, pewny, że człowiekowi wiele zależy na tem, by pozostał w cieniu, Thenardier czuł się mocnym; ale gdy otrzymał odpowiedź nieznajomego krótką i węzłowatą, gdy poznał, że ta osoba tajemnicza jest tak tajemniczą poprostu i bez żadnych ogródek, uczuł się słabym. Nic podobnego się nie spodziewał. Pierzchnęły wszystkie jego domysły. Zebrał myśli i w jednej sekundzie rozważył wszystko. Thenardier był z tych ludzi, co jednym rzutem oka obejmują położenie. Uznał, że nadeszła chwila zmierzyć wprost do celu. Jak wielcy wodzowie w chwilach stanowczych, które sami tylko poznać umieją, nagle odsłonił swe baterje.

— Panie — rzekł — trzeba mi dać tysiąc pięćset franków.

Nieznajomy wyjął z kieszeni stary pugilares skórzany, otworzył, wyjął trzy bilety bankowe i położył je na stole. Potem przycisnął palcem bilety i rzekł do oberżysty:

— Przyprowadź Cozettę.

Gdy się to działo, co robiła Cozetta?

Obudziwszy się Cozetta pobiegła do swego trzewika. Znalazła w nim złoty pieniądz. Nie był to napoleon, ale jedna z tych sztuk nowych dwudziestofrankowych z czasów restauracji, na których zamiast wieńca wawrzynowego, odciśnięto harcap pruski. Cozetta była olśnioną. Los odurzać ją zaczynał. Nie wiedziała co to jest pieniądz złoty, nie widziała go nigdy, skryła go żywo do kieszeni jakby skradziony. Później jednak pewna, że był jej własnością, odgadła kto go mógł włożyć do trzewika i radowała się trochę przestraszona. Była zadowoloną, ale nadewszystko zdumioną. Rzeczy tak wspaniałe i ładne nie zdawały się jej rzeczywistemi. Lalka ją przestraszała, pieniądz złoty przestraszał także. Jakiś dreszcz ją przejmował, gdy patrzyła na te wspaniałości. Nieznajomego się nie bała. Przeciwnie on ją uspokajał. Od wczoraj, we śnie i na jawie dziecinny jej umysł marzył o tym człowieku, który miał minę starca ubogiego i smutnego, a był tak bogaty i dobry. Od chwili jak spotkała tego poczciwca w lesie, wszystko dla niej się zmieniło. Cozetta mniej szczęśliwa od najdrobniejszej jaskółki na niebie, nigdy nie znała co to się przytulić pod opiekuńcze skrzydło matki. Od pięciu lat, to jest jak daleko sięgały jej wspomnienia, drżała i trzęsła się z zimna. Zawsze była nagą na ostrym wichrze niedoli, teraz jej się zdało, że została odzianą. Dawniej zimno było jej duszy, teraz przenikało ją ciepło. Cozetta mniej się już bała Thenardierowej. Nie była samą, ktoś czuwał nad nią.

Wcześnie zabrała się do porannej roboty. Luidor leżący w kieszonce, z której wczoraj wypadła sztuka piętnasto susowa, ciągle ją zaprzątał. Nie śmiała go dotknąć, ale po kilka minut wpatrywała się w niego, i dodać trzeba — z wyciągniętym językiem. Zamiatając schody, zatrzymywała się i nieruchoma, zapomniawszy o miotle i świecie całym, patrzyła na tę gwiazdę błyszczącą w głębi kieszeni.

Właśnie na jednem z takich wpatrywań zeszła ją Thenardierowa.

Na rozkaz męża poszła jej szukać. Rzecz niesłychana, nie dała jej szturchańca, nie klęła.

— Cozetto — rzekła prawie łagodnie — chodź prędzej.

Po chwili Cozetta weszła do izby gościnnej.

Nieznajomy rozwiązał zawiniątko, które miał z sobą. Były w niem: sukienka wełniana, fartuszek, kaftanik, spódniczka, chustka na szyję, pończochy wełniane, trzewiki, zupełne ubranie dla dziewczynki siedmioletniej. Wszystko czarnego koloru.

— Moje dziecko — rzekł człowiek — weź to i idź ubierz się prędko.

Świtało, gdy mieszkańcy Montfermeil, którzy już zaczynali otwierać drzwi swoich domów, ujrzeli idącego ulicą Paryzką jakiegoś poczciwca odzianego ubogo i prowadzącego za rękę dziewczynkę w żałobie, która niosła na ręku różową lalkę. Zmierzali ku Livry.

Byli to nasz podróżny i Cozetta.

Nikt nie znał tego człowieka, mało kto poznał Cozettę, bo nie miała na sobie łachmanów.

Cozetta odchodziła. Z kim? nie wiedziała. Dokąd? nie wiedziała także. Jedno tylko rozumiała, że zostawia za sobą garkuchnię Thenardierów. Nikt nie myślał z nią się pożegnać, ani się ona z kimkolwiek żegnała. Wychodziła z tego domu nienawidzona i nienawiści pełna.

Biedna istota, głos jej serca był dotychczas nieustannie tłumiony!

Cozetta szła poważnie, otwierając wielkie oczy i patrząc w niebo. Włożyła swój luidor do kieszeni nowego fartuszka. Niekiedy schyliła głowę i rzuciła nań spojrzenie, potem patrzyła na poczciwca. Czuła coś jakby przy niej był Pan Bóg.

X.

Kto szuka lepszego, może wpaść na gorsze.

Thenardierowa wedle zwyczaju, nie wtrącała się w czynności męża. Spodziewała się jednak ważnych wypadków. Gdy człowiek i Cozetta odeszli, Thenardier chodził i myślał dobry kwadrans czasu, potem wziął ją na ustęp i pokazał tysiąc pięćset franków.

— Wielka mi rzecz! — rzekła z lekceważeniem.

Poraz to pierwszy od czasu, jak się pobrali, ośmieliła się zganić czynności swego pana.

Cios był dobrze wymierzony.

— Prawda, masz słuszność — rzekł — jestem ciemięga. Daj mi kapelusz.

Złożył trzy bilety bankowe, schował je do kieszeni i wyszedł z pośpiechem, ale omylił się w drodze, zwracając naprzód na prawo. Sąsiedzi, których się rozpytywał, wskazali mu dobrą drogę; widzieli bowiem, że Skowronek i człowiek poszli ku Livry. Udał się wedle wskazówek i szedł wielkim krokiem, głośno rozmawiając z sobą.

Oczywiście ten człowiek jest miljonem żółto ubranym, a ja głupim jak bydle. Dał najprzód dwadzieścia su, potem pięć franków, potem pięćdziesiąt franków, potem tysiąc pięćset franków, zawsze z równą łatwością. Dałby piętnaście tysięcy franków. Ale go przydybię.

A przytem, to zawiniątko z ubraniem dla małej, wcześnie przygotowanem, czyż to nie osobliwość? W tem wszystkiem tkwi jakaś tajemnica. Głupi kto puszcza tajemnice, które trzyma w ręku. Tajemnice bogaczów są gąbkami pełnemi złota, trzeba tylko umieć je wycisnąć.

Takie myśli snuły mu się po głowie. — Dalibóg bydle ze mnie — mówił do siebie.

Wychodząc z Monfermeil, na zawrocie drogi do Livry roztacza się przed oczyma szeroka płaszczyzna. Doszedłszy do skraju, Thenardier był pewny, że zobaczy gdzieś w dali człowieka i małą. Patrzył jak tylko wzrok mógł dosięgnąć i nic nie widział. Rozpytywał się jeszcze i to mu trochę zabrało czasu. Przechodnie powiedzieli, że człowiek i dziecię, których szuka, zawrócili ku lasowi w stronę Gagny. Pospieszył w tym kierunku.

Wprawdzie byli dość daleko, ale dziecię idzie powoli, a on szedł jak mógł najprędzej. Przytem doskonale znał miejscowość.

Nagle stanął i uderzył się w czoło jak człowiek, który zapomniał o najważniejszej rzeczy i gotów był zawrócić.

— Powinienem był wziąć strzelbę — rzekł do siebie.

Thenardier należał do tych dwoistych charakterów, co niekiedy mimo naszej wiedzy pośród nas się kręcą i znikają niepoznani, bo los tylko jedną ich stronę odsłonił. Przeznaczono jest wielu ludziom żyć tak na wpół zanurzonym w mroku. W warunkach życia zwyczajnych, w położeniu spokojnem, Thenardier miał wszystkie przymioty potrzebne, by wydawać się — nie powiadamy być w istocie — tem co nazywają pospolicie uczciwym przemysłowcem, dobrym mieszczaninem; współcześnie jednak przy sprzyjających okolicznościach, przy wstrząśnieniach, dobywających z głębi jego naturę, był w gotowości stać się zbrodniarzem. W kramarzu tym mieszkała potwora. Czart nie raz musiał

przysiąść się w kącie zamieszkałym przez Thenardiera i marzyć o tem ohydnem arcydziele.

Po chwili wahania, pomyślał:

— Ba! mieliby czas umknąć!

I szedł dalej prędko, pewny siebie jak lis, który zwąchał stado kuropatw.

W istocie okrążywszy stawy i przeszedłszy w poprzek wielką łąkę na prawo drogi do Bellevue, gdy doszedł do alei zielonej, okrążającej prawie wzgórze i pokrywającej kanał wodny opactwa Chelles, ujrzał nad krzakami ów kapelusz, na którym budował zamki powietrzne. Był to kapelusz owego człowieka. Krzaki były dość nizkie, wniósł więc, że nieznajomy i Cozetta siedzieli na ziemi. Dziecka nie widział dla jego wzrostu, ale wyraźnie dostrzegł głowę lalki.

Thenardier się nie mylił. Człowiek usiadł, by dać wypocząć trochę Cozecie. Oberżysta okrążył krzaki i z nienacka ukazał się oczom tych, których szukał.

— Przepraszam, bardzo przepraszam pana—rzekł zadyszany — ale oddaję tysiąc pięćset franków.

Mówiąc to, wyciągnął ku nieznajomemu trzy bilety bankowe.

Człowiek podniósł oczy:

— Co to ma znaczyć?

Thenardier odpowiedział z uszanowaniem:

— To znaczy panie, że odbieram Cozettę.

Cozetta zadrżała i przytuliła się do człowieka.

On, przeszywszy na wskroś wzrokiem Thenardiera, odpowiedział zwolna, wymawiając każdą zgłoskę:

— Od-bie-rasz - Cozettę?

— Tak panie, odbieram. Powiem panu dlaczego. namyśliłem się. W istocie nie mam prawa nią rozporządzać. Jestem uczciwy człowiek jak pan widzisz. Ta mała nie należy do mnie, ale do matki. Matka mi ją powierzyła, matce tylko mogę ją oddać. Powiesz pan: Matka umarła. Dobrze. W takim razie oddam dziecko tylko tej osobie, która przyniesie pismo od

matki, że jej mam oddać dziecię. Spodziewam się, że to jasne.

Człowiek nie odpowiadając, sięgnął do kieszeni i Thenardier ujrzał znowu pugilares z biletami bankowemi.

Oberżysta zadrżał z radości.

— Dobryś! pomyślał — już go mam. Chce mię przekupić!

Nim otworzył pugilares, podróżny obejrzał się dokoła. Miejsce było zupełnie puste. Żywej duszy w lesie i dolinie. Człowiek rozłożył pugilares i wyjął nie garść biletów bankowych, których spodziewał się Thenardier, ale prosty kawałek papieru, który rozwinął i podał otwarty oberżyście, mówiąc:

— Masz słuszność. Przeczytaj.

Thenardier wziął papier czytał:

„M.— nad M.— 25 marca 1823 r.

Panie Thenardier!

Oddasz pan Cozettę oddawcy tego listu. — Zapłacą panu wszystkie drobne długi.

Pozostaję z uszanowaniem

Fantina.“

— Znasz ten podpis? — dodał człowiek.

Podpis był Fantiny. Thenardier go poznał.

Nie wiedział co odpowiedzieć. Miotał nim gniew podwójny: był zły, że musiał się zrzec spodziewanego przekupstwa, był zły, że został pobity. Człowiek dodał:

— Możesz sobie zachować ten papier dla spokojności sumienia.

Thenardier rejterował w porządku:

— Podpis jest wcale nie źle naśladowany—mruczał pod nosem. Zresztą niech i tak będzie!

Potem zdobył się na rozpaczliwy wysiłek.

— Bardzo dobrze — rzekł — kiedy pan jesteś ową osobą. Ale trzeba mi zapłacić „wszystkie drobne długi.“ A należy się grubo.

Człowiek powstał i rzekł, strzepując szczutkami kurz z wytartego rękawa:

— Panie Thernadier, w styczniu matka obrachowała, że winna ci jest sto dwadzieścia franków, w lutym wysłałeś jej rachunek na pięćset franków, otrzymałeś w końcu lutego trzysta franków i drugie trzysta na początku marca. Od tego czasu upłynęło dziewięć miesięcy, po piętnaście franków według umówionej ceny, to czyni sto trzydzieści pięć franków. Dostałeś sto franków nadto. Należy ci się trzydzieści pięć franków. Dałem ci teraz tysiąc pięćset franków.

Thenardier stał jak wilk, który się czuje ukąszonym i ujętym w żelazne kleszcze zastawionej pułapki.

— A to djabeł nie człowiek! — pomyślał.

I postąpił sobie jak wilk, silnie wstrząsnął matnią. Śmiałość już raz wyszła mu na dobre.

— Mój panie — którego nie znam nazwiska — rzekł zuchwale, usuwając na bok wszelkie oznaki uszanowania, albo mi zapłacisz natychmiast tysiąc talarów, lub zabiorę Cozettę.

Nieznajomy rzekł spokojnie:

— Pójdź Cozetto.

Podał Cozecie lewą rękę a prawą podniósł kij leżący na ziemi.

Thenardier spostrzegł, że pałka była ogromną, a miejsce zupełnie samotne.

Człowiek wszedł z dzieckiem do lasu, zostawiając za sobą nieruchomego i zdumionego karczmarza.

Gdy się oddalali, Thenadier przypatrywał się jego szerokim plecom nieco przygarbionym i ogromnym pięściom.

Później wzrok jego padł na własne nędzne ramiona i wychudłe ręce. — Dalibóg trzeba być kompletnym osłem, pomyślal, żeby nie wziąć strzelby, kiedym szedł na polowanie!

Oberżysta jednakże nie ustępował.

— Muszę wiedzieć dokąd się udaje — rzekł i szedł za nim z daleka. Miał w rękach dwie rzeczy, lichy świstek, podpisany przez Fantinę i na pociechę tysiąc pięćset franków.

Człowiek uprowadzał Cozettę w kierunku Livry i Bondy. Szedł zwolna, z pochyloną głową, zamyślony i smutny. Zima przerzedziła las i Thenadier chociaż z daleka nie tracił ich z oczu. Niekiedy człowiek się obrócił i patrzył, czy za nim kto idzie. Nagle spostrzegł Thenardiera i żywo skręcił w zarośle, w których oboje zniknęli.—Do djaska! — rzekł Thenardier i przyspieszył kroku.

Gęstwina krzaków zmuszała go zbliżyć się ku nim. Gdy weszli w najciemniejszy gąszcz, mężczyzna się obrócił. Thenardier chciał się skryć za gałęzie, ale napróżno, człowiek go zobaczył, spojrzał nań niespokojnie, potrząsł głową i szedł dalej. Oberżysta puścił się za nim w pogoń. Nagle człowiek obejrzał się jeszcze i zobaczył oberżystę. Tym razem spojrzał nań tak ponuro, że Thenardier osądził, iż byłoby „daremnem“ iść dalej. I zawrócił do domu.

XI.

Numer 9,430 wychodzi i Cozetta wygrywa go na loterji.

Jan Valjean umarł.

Wpadając do morza, albo raczej rzucając się w nie był, jakeśmy widzieli, bez kajdan. Płynął czas jakiś między dwoma prądami, dostał się pod stojący na kotwicy okręt, do którego przywiązaną była szalupa. Znalazł sposób ukryć się w szalupie aż do wieczora. W nocy rzucił się w pław i dostał do niedalekiego przylądka Brun. Tu mając dość pieniędzy, kupił sobie ubranie. W okolicy Balaguier stała karczma, w owym czasie dostarczająca odzieży zbiegłym galernikom, co znaczne jej zyski przynosiło. Później, jak wszyscy ci smutni zbiegowie, usiłujący zmylić pogonie prawa i fatalności społecznej, Jan Valjean szedł krętemi i ciemnemi drogami. Pierwsze schronienie znalazł w Pradeaux w bliskości Beausset. Następnie udał się ku Grand-Villard w pobliżu Briançon w górnych Alpach. Ucieczka niespokojna, po omacku, drogą krętą, której odnogi są nieznane. Później można dostrzedz ślady jego przejścia w Ain około Civrieux, w Pireneach w Accons, w miejscu zwanem Grange-de-Doumecq, w pobliżu wioski Chavailles i w okolicach Perigueux, w Brunies, w kantonie Chapelle-Gonaquet. Dostał się do Paryża. Widzieliśmy go teraz w Montfermeil.

Przybywszy do Paryża, kupił zaraz żałobne ubranie dla dziewczynki siedmio do ośmioletniej i najął mieszkanie. Następnie udał się do Montfermeil.

Przypominamy, że zaraz po pierwszej ucieczce z więzienia, odbył w okolicy tajemniczą podróż, o której władze sądowe miały pewne poszlaki.

Zresztą miano go za umarłego i to zgęszczało ciemności go otaczające. W Paryżu wpadł mu w rękę dziennik spisujący ważniejsze zdarzenia w kraju. Przeczytawszy wiadomość o swojej śmierci, uczuł się bezpiecznym, prawie spokojnym, jakby rzeczywiście umarł.

Wieczorem dnia tego, w którym wydobył Cozettę ze szponów Thenardierów, Jan Valjean powracał do Paryża. Wracał o zmroku z dzieckiem rogatką Monceaux. Tu wsiadł do kabrjoletu i pojechał na plac Obserwatorjum. Wysiadł, zapłacił woźnicy, wziął Cozettę za rękę i oboje ciemną nocą szli przez samotne ulice obok Ourcine i Glacière ku bulwarowi Szpitalnemu.

Dzień był dziwny, pełen wzruszeń dla Cozetty; jedli za płotami chleb i ser, kupione w samotnych garkuchniach, często wsiadali na wozy, wysiadając gdy dojeżdżali do wsi; szli pieszo większą część drogi, ale dziewczynka się nie skarżyła; była jednak znużoną.

Jan Valjean spostrzegł to, bo idąc, coraz mocniej ciągnęła jego rękę. Wziął ją na plecy; Cozetta nie puszczając Katarzyny, pochyliła głowę na ramieniu Jana Valjean i usnęła.

KSIĘGA CZWARTA.

KLETKA GORBEAU.

I.

Imć pan Gorbeau.

Przed czterdziestu laty samotny przechodzień, któryby odważył się zapuścić w puste okolice Salpetrière, idąc bulwarem aż do rogatek Włoskich, zaszedłby w miejsca, gdzie rzec można, niknął Paryż. Nie było to pustkowie, bo napotykałeś przechodniów, nie wieś, bo były kamienice i ulice, nie miasto, bo ulice trawą zarastały i zorane były brózdami i kolejami jak na wielkich gościńcach, wreszcie nie miasteczko, bo domy były zbyt wysokie. Cóż to więc było? Było to miejsce mieszkalne, w którem nikt nie mieszkał, pustynia na której żyli ludzie; był to bulwar wielkiego miasta, ulica Paryża, dziksza w nocy niż las, posępniej cicha we dnie niż cmentarz.

Była to stara dzielnica Targów Końskich.

Gdyby ów przechodzień zapuścił się dalej za walące się cztery mury Targów Końskich, gdyby miał odwagę przejść ulicę Małego Bankiera, rzucając na prawo ogródek otoczony wysokiemi murami, dalej plac z szychtami dębczaków, podobnemi do olbrzymich domków bobrów, dalej podwórko zawalone materjałem ciesielskim, stosem pieńków, kupą trocin i wiorów na których szczekało ogromne psisko, potem mur długi, niski i odarty z czarną bramą w żałobie, porosłą mchem, który okrywał się kwiatami na wiosnę, a dalej jeszcze

szkaradny budynek w gruzach, na którym stał napis wielkiemi literami: *Niewolno przylepiać ogłoszeń*,—śmiały ten przechodzień stanąłby na rogu ulicy Vignes-Saint-Marcel, w miejscu mało znanem. Tu przy fabryce, między dwoma murami ogrodu, stała w owym czasie kletka, która z pierwszego rzutu oka zdawała się małą jak chałupa, a w istocie była wielką jak kościół katedralny. Od ulicy widziano tylko jedną jej wystającą ścianę muru, i dlatego zdawała się tak szczupłą. Prawie cały dom był ukryty. Widać było tylko drzwi i jedno okno.

Kletka ta miała tylko jedno piętro.

Przypatrując się jej uderzał najprzód ten szczegół, że drzwi mogły być tylko drzwiami jakiej kletki, kiedy przeciwnie okno, gdyby było wyrobione z ciosowego kamienia, nie zaś ze zwyczajnego, mogłoby pałac ozdobić.

Drzwi składały się z kilku spróchniałych desek poprostu spojonych poprzeczną belką, niby klocem źle ociosanym. Prowadziły wprost na spadziste schody, o wysokich stopniach, zawalanych błotem, gliną i kurzem, równie jak do drzwi szorokich: otworzywszy drzwi widziałeś z ulicy te schody sterczące jak drabina i ginące w cieniu między dwiema ścianami. Szczyt niezgrabnego otworu, który te drzwi zajmowały, zatkany był wązką deską, z wyciętą pośrodku trójkątną dziurą, która była zarazem okienkiem i lufcikiem, gdy drzwi zostały zamknięte. Wewnątrz drzwi gruby pędzel malarza namazał atramentem liczbę 52, a nad lufcikiem tenże pędzel wymalował numer 50, tak iż byłeś w niepewności gdzie się znajdujesz? Drzwi mówiły: pod numerem 50, a wnętrze ich odpowiadało: fałsz, jesteś pod numerem 52. Jakieś szmaty barwy kurzu, wisiały niby draperje przy trójkątnym lufciku.

Okno szerokie, dostatecznie wzniesione, miało żaluzje i ramy z wielkiemi szybami; tylko, że na wiel-

kich szybach tu i owdzie rozmaite rany, które ukrywał i zdradzał zarazem dowcipny pasek naklejonego papieru; a te żaluzje stare i rozpadające się, raczej groziły przechodniom niż osłaniały mieszkańców. Tu i owdzie brakowało deszczułek poziomych, a ich miejsce zastąpiono naiwnie deskami przybitemi prostopadle, tak iż zaczynało się to od żaluzyj, a kończyło okienicą.

Te drzwi tak niechlujne i okno mające tak porządną choć zniszczoną minę, spotykające się w tym samym domu, podobne były do dwóch niedobranych żebraków, idących obok siebie w jednakich łachmanach, lecz z dwiema różnemi fizjognomjami; jeden z nich zawsze był nędzarzem, a drugi zawsze szlachcicem.

Schody prowadziły do korpusu kamienicy, który był bardzo obszerny i podobny do wozowni przerobionej na dom mieszkalny. W środku tego budynku ciągnął się długi korytarz, z którego na prawo i na lewo wchodziło się do izb różnego rozmiaru, w najgorszym razie mieszkalnych, ale podobnych raczej do szop niż do stancyjek. Do tych izb przedzierało się niepewne światło z okolicznych posesji. Wszystkie były ciemne, przykre, melancholiczne, grobowe; przenikały do nich albo zimne promienie lub mroźne wiatry, wedle tego czy szczeliny były w dachu czy we drzwiach. Ciekawym i malowniczym szczegółem tego rodzaju mieszkań są ogromne żyjące w nich pająki.

Na lewo drzwi od ulicy był w murze od strony bulwaru otwór zamurowany w kształcie niszy kwadratowej, pełnej kamieni, które rzucały przechodzące dzieci.

W ostatnich czasach zburzono część tego budynku, ale z tego co jeszcze pozostało można wnosić o tem czem był dawniej. Ogół istniał od stu lat nie dłużej. Sto lat, to młodość kościoła a starość kamienicy. Zdaje się, że mieszkanie człowieka jest w sto-

sunku z krótkiem jego życiem, tak jak mieszkanie Boga z Jego wiecznością.

Roznosiciele listów nazywali tę ruderę numerem 50—52, ale w cyrkule znaną była pod nazwą domu Gorbeau.

Powiedzmy zkąd powstała ta nazwa.

Zbieracze drobnych wiadomostek, niby zielnicy anegdot, przypinający śpilką do swej pamięci pierzchliwe daty, wiedzą, że w zeszłym wieku około r. 1770 byli w Paryżu dwaj prokuratorowie przy Trybunale, zwani jeden Corbeau drugi Renard. Obydwa nazwiska (Kruk i Lis) przewidziane przez Lafontaina. Była to wyborna sposobność do drwinek dla urzędników sądowych. Niebawem zaczęły krążyć po salach sądowych kulawe wierszyki trawestowane z Lafontaina:

„Imć pan Kruk, siedząc na akt stosie
Wyrok zajęcia trzymał w swoim dziobie;
Imć pan Lis zapachem zwabiony
Prawił do niego mniej więcej w ten sposób:
A dzień dobry!“ i t. d.

Dwaj zacni prawnicy wystawieni na szyderstwa i śmiechy, które ich ścigały gdziekolwiek się ruszyli, postanowili wyrzec się swoich nazwisk i w tym celu podali prośbę do króla. Prośbę przedstawiono Ludwikowi XV w chwili, gdy nuncjusz z jednej strony, a kardynał Roche-Aymon z drugiej, nabożnie klęcząc wkładali w przytomności najjaśniejszego pana pantofelki na dwie bose nóżki pani Dubarry, wstającej z łóżka. Król, śmiejąc się wesoło, przeszedł od dwóch biskupów do dwóch figur sądowych i raczył cokolwiek przemienić ich nazwiska. Z rozkazu króla pozwolono, aby Imć pan Corbeau dołączył ogonek do początkowej głoski nazwiska, i zwał się Gorbeau; Imć pan Renard nie był tak szczęśliwy; pozwolono mu tylko postawić P przed R i nazywać się Prenard, tak iż drugie nazwisko prawie było podobne do pierwszego.

Otóż wedle miejscowego podania, ten Imć pan

Gorbeau był właścicielem domu oznaczonego numerem 50—52 na bulwarze Szpitalnym. Był nawet twórcą pomnikowego okna.

Dlatego owa rudera nazywała się domem Gorbeau.

Naprzeciw numeru 50 — 52 między drzewami bulwaru, stoi ogromny wiąz prawie zupełnie wyschły; naprzeciw także idzie ulica rogatki Gobelinów, wówczas bez domów, niebrukowana, zasadzona lichemi drzewami, zielona lub błotnista stosownie do pory roku, i dochodząca aż do murów, opasujących Paryż. Zapach koperwasu zalatywał od dachów sąsiedniej fabryki.

Rogatki były niedaleko. W roku 1823 istniał jeszcze mur, opasujący miasto.

Sama rogatka budziła smutne myśli. Tędy szła droga do Bicêtre. Tędy za cesarstwa i restauracji wjeżdżali do Paryża w dniu tracenia skazani na śmierć. Tu w r. 1828 spełniono tajemnicze zabójstwo, zwane od rogatki „Fontainebleau", którego sprawców nie odkryły władze,—smutna tajemnica nierozjaśniona, straszna zagadka nierozwiązana. Postąpiwszy kilka kroków znajdujesz się na fatalnej ulicy Croulebarbe, gdzie Ulbach zabił sztyletem pastuszkę z Yvry, wśród grzmotów, jak w melodramie. O kilka kroków dochodzisz do szkaradnych wiązów z obciętemi wierzchołkami rogatki Ś-go Jakóba, filantropijnego wybiegu dla ukrycia rusztowania, tego nędznego i haniebnego placu Gréve, społeczeństwa kramarzy i mieszczan, które ulękło się kary śmierci, nie śmiejąc ani jej odrzucić z wielkością umysłu, ani utrzymać z powagą.

Przed laty trzydziestu siedmiu, opuściwszy ów plac Ś-go Jakóba, zawsze straszny jakby przeznaczony na miejsce złowrogie, najposępniejszym punktem na całym tym posępnym bulwarze było miejsce i dziś jeszcze niepowabne, gdzie stała kletka 50 — 52.

Domy mieszczańskie zaczęto tu budować dopiero we dwadzieścia pięć lat później. Miejsce było smutne. Prócz grobowych myśli, które mimowoli cię tu ogarniały, czułeś jeszcze, że się znajdujesz między Salpetière,

szpitalem warjatek, którego kopułę widziałeś zdaleka, i Bicêtre, którego dotykałeś sztachet; to jest byłeś między szaleństwem kobiety, a szaleństwem mężczyzny. Jak daleko sięgnęło oko, widać było same szlachtuzy, mur okopowy, tu i owdzie facjaty fabryk podobnych do koszar lub klasztorów; wszędy budy i gruzy, stare mury czarne jak katafalki, mury nowe białe jak całuny; wszędzie rzędy drzew równoległe, budowle wyciągnięte pod sznur, płaskie gmachy, długie zimne linje, smutek kątów prostych. Żadnej rozmaitości na ziemi, żadnej fantazji w architekturze, żadnego fałdu. Ogół lodowaty, regularny, ohydny. Nic tak nie ściska serca, jak symetrja. Symetrja to nudy, a nudy to samo jądro żałoby. Rozpacz poziewa. Można wymarzyć coś straszniejszego nad piekło, w którem cierpią, to piekło, w którem się nudzą. Gdyby to piekło istniało, drogą do niego byłby ów kawałek bulwaru Szpitalnego.

Gdy noc zapadła, gdy znikły światła, zimą zwłaszcza wieczorny wiatr zrywał z wiązów ostatnie liście wyżółkłe, gdy ciemność zaległa głęboka bez gwiazd, gdy księżyc i wicher rozdzierały obłoki, — wówczas ten bulwar stawał się prawdziwie strasznym. Czarne linje zanurzały się i gubiły w ciemnościach, jak odłamki nieskończoności. Przechodzień mimowolnie myślał o niezliczonych katowskich podaniach tego miejsca. Samotność, w której tyle popełniono zbrodni, miała w sobie coś przerażającego. Czułeś prawie zasadzki w tej ciemności, wszystkie bezładne kształty nocy były podejrzane, długie doły kwadratowe między drzewami, wydawały się wykopanemi grobami. We dnie było to brzydkie, wieczorem posępne, w nocy złowrogie.

W lecie o zmroku siadały gdzieniegdzie stare baby pod wiązami na ławkach, zbutwiałych od deszczu. Staruszki te chętnie wyciągały rękę po jałmużnę.

Zresztą dzielnica ta raczej przestarzałej niż starożytnej postaci wkrótce miała się przeistoczyć. Już w owym czasie musiał się spieszyć kto ją chciał zobaczyć. Codziennie znikał jakiś szczegół tej całości. Dziś

i od lat dwudziestu dworzec kolei żelaznej Orleańskiej stoi obok starego przedmieścia i codzień go zarywa. Wszędy, gdzie na skraju stolicy budują dworzec kolei żelaznej, zamiera przedmieście, a rodzi się miasto. Zdawałoby się, że dokoła tych wielkich ognisk ruchu ludów, przy warkocie potężnych machin, pod oddechem potwornych rumaków cywilizacji, co pasą się węglem i zioną ognie, — drży ziemia zarodów pełna i otwiera się, by pochłonąć stare domostwa ludzkie, a wydać nowe. Stare kamienice rozpadają się w gruzy, powstają nowe.

Odkąd przystań kolei Orleańskiej zagarnęła budowy Salpêtrière, zachwiały się stare wązkie ulice dołów Ś-go Wiktora i Ogrodu Botanicznego, trzy lub cztery razy dziennie przerzynane prądem dyliżansów, dorożek i omnibusów, które z czasem rozpychają domy na prawo i nalewo; dziwnie się bowiem wyda choć jest najściślejszą prawdą, gdy powiemy, że jak w wielkich miastach słońce zdaje się w południe budzić do wzrostu domy i rozszerzać facjaty, równie jest pewną rzeczą, że częsty przejazd powozów rozszerza ulice. Symptomata nowego życia są widoczne. W starym cyrkule prowincjonalnym, w najdzikszych zaułkach, ukazuje się bruk, chodniki zjawiają się i przedłużają tam nawet, gdzie niema jeszcze przechodniów. Pewnego pamiętnego poranku w lipcu 1845 r. nagle ujrzano tam dymiące się czarne kotły smołowca; w dniu tym, można powiedzieć, cywilizacja zajrzała na ulicę Orcine i Paryż wszedł do przedmieścia St. Marceau.

II.

Gniazdo puszczyka i piegży.

Przed tą ruderą Gorbeau zatrzymał się Jan Valjean. Jak dzikie ptaki, obrał to miejsce samotne na swe gniazdo.

Poszukał w kamizelce, wyjął rodzaj wytrycha, otworzył drzwi, wszedł, potem zamknął starannie i wstępował na schody niosąc Cozettę.

Wszedłszy na górę, wyjął z kieszeni inny klucz i otworzył drzwi drugie. Pokój, który otworzył i natychmiast zamknął, był rodzajem dość obszernego poddasza, w którym stało kilka krzeseł, stół, a na ziemi leżał materac. Piec był ogrzany, w kącie widać było jeszcze zarzące się węgle. Latarnia z bulwaru słabo oświecała te ubogie mieszkanie. W głębi był alkierzyk z łóżkiem na pasach. Jan Valjean zaniósł dziecię na to łóżko i położył nie budząc.

Skrzesał ogień i zapalił świecę; wszystko było przygotowane na stole: Jan Valjean podobnie jak wczoraj wpatrywał się w Cozettę wzrokiem pełnym zachwytu i rozczulenia, dochodzącego prawie do obłąkania. Dziewczynka, z zaufaniem właściwem najwyższej mocy lub najwyższej słabości, zasnęła nie wiedząc z kim była i spała ciągle, nie wiedząc gdzie się znajdowała.

Jan Valjean pochylił się i pocałował rękę dziecięcia.

Dziewięć miesięcy przed tem całował rękę jej matki, która także była uśpioną.

To samo uczucie bolesne, religijne, przejmujące, przepełniało jego serce.

Ukląkł przy łóżku Cozetty.

Już dobrze rozwidniało, a dziecię spało jeszcze. Blady promień grudniowego słońca przedzierał się przez okno poddasza i snuł po pułapie długie snopy światła i cienia. Nagle ogromny wóz, ciężko wyładowany węglem kamiennym, jadąc bulwarem uderzył o ruderę i jak piorun wstrząsnął nią całą.

— Jestem, proszę pani!—zawołała Cozetta zrywając się z łóżka — jestem! jestem!

Zeskoczyła na podłogę, z oczyma na wpół zamkniętemi od snu ciążącego na jej powiekach, i wyciągnęła ręce ku kantowi muru.

— A mój Boże — rzekła — gdzie moja miotła!

Otworzyła oczy zupełnie i ujrzała uśmiechniętą twarz Jana Valjean.

— Ah, tak! prawda! — rzekło dziecię. Dzień dobry panu.

Dzieci bez wahania i poufale przyjmują radość i szczęście, bo z natury są same radością i szczęściem.

Cozetta zobaczyła Katarzynę w nogach swego łóżka, wzięła ją i bawiąc się zadawała tysiące pytań Janowi Valjean: — Gdzie jest? Czy bardzo wielki Paryż? Czy pani Thenardier jest daleko? Czy nie wróci i t. d. i t. d. Nagle zawołała: — Jak tu ładnie!

Ciupa była szkaradna, ale dziecię czuło się w niej wolnem.

— Czy mam zamiatać? — zapytała w końcu.

— Baw się — rzekł Jan Valjean.

Tak przeszedł dzień cały. Cozetta nie troszcząc się że nic nie rozumie, była niewymownie szczęśliwa z tą lalką i tym poczciwym człowiekiem.

III.

Dwa nieszczęścia złączone z sobą tworzą szczęście.

Nazajutrz o świcie Jan Valjean był jeszcze przy łóżku Cozetty. Stał nieruchomy i patrzał czekając aż się obudzi.

Jakieś nowe uczucie napełniało jego duszę.

Jan Valjean nigdy nie kochał. Od lat dwudziestu pięciu był sam jeden na świecie. Nie znał uczuć ojca, kochanka, męża, przyjaciela. Na galerach był złym, ponurym, ciemnym, czystym, dzikim. Serce starego galernika pełne było dziwactwa. Po siostrze i jej dzieciach zostały mu dalekie i blade wspomnienia, które w końcu rozwiały się zupełnie. Robił co mógł żeby je odszukać, ale nie znalazłszy zapomniał o nich. Taką jest natura człowieka. Inne tkliwe uczucia młodości jeśli ich kiedy doznał, wpadły jak w przepaść.

Gdy zobaczył Cozettę, gdy ją zabrał i oswobodził, uczuł w sobie poruszające się wnętrzności. Cokolwiek było w nim serdecznego i namiętnego rozbudziło się nagle i skierowało na to dziecię. Podchodził do łóżka, na którem spała i drżał z radości; czuł dziwne zachcenia jak matka, nie pojmując co to znaczyło; rzecz to bowiem bardzo ciemna i miła zarazem — ten wielki i dziwny ruch serca zaczynającego kochać.

Biedne stare serce jeszcze było dziewiczem.

Ale że miał pięćdziesiąt pięć lat a Cozetta ośm, cała potęga miłości jaką mógł mieć w swem życiu, stopiła się w jakieś światło niewysłowione.

Była to druga biała postać, która mu ukazała się w życiu. Biskup zwiastował na jego widnokręgu jutrzenkę cnoty: z Cozettą weszła doń jutrzenka miłości.

Ze swej strony Cozetta, biedna drobna istota, także stała się inną, sama nie wiedząc o tem! Matka opuściła ją tak małą, że wcale jej sobie nie przypominała. Jak wszystkie dzieci, podobne do latorośli winnych czepiających się wszystkiego, probowała kochać. Ale daremnie. Wszyscy ją odpychali: Thenardierowie, ich dzieci i dzieci obce. Kochała psa, ale zdechł, potem żaden człowiek i żadne stworzenie znać jej nie chciało. Smutna rzecz, Cozetta, jakeśmy już wspomnieli, w ósmym roku miała serce zimne. Nie była to jej wina, ani jej brakło zdolności kochania; niestety! brakło możliwości. To też od pierwszego dnia wszystko co w niej czuło i myślało, jęło kochać tego poczciwca. Czego nie znała dotychczas, uczuła teraz — potrzebę wylania się.

Poczciwy człowiek nie wydawał się jej ani starym, ani ubogim. Owszem, Jan Valjean był dla niej pięknym, równie jak ta szkaradna ciupa wydawała się jej ładną.

Są to wrażenia jutrzenki dzieciątka, młodości i szczęścia. Młodość ziemi i życia przyczyniają się do tego. Nic powabniejszego jak ten barwny odblask szczęścia oświetlający poddasze. Wszyscy mieliśmy w przeszłości to poddasze lazurowe.

Natura, pięćdziesiąt lat różnicy wieku, stawiały głęboki przedział między Janem Valjean i Cozettą; ten przedział zapełniły losy. Losy połączyły nagle i związały nieprzepartą siłą te dwa byty wyrwane z korzenia, różne wiekiem, podobne żałobą. W istocie jedno uzupełniało drugie. Instynkt Cozetty szukał ojca, instynkt Jana Valjean pragnął dziecięcia. Spotkać się,

było to się znaleźć. W tajemniczej chwili gdy zetknęły się te ręce, sprzęgły się na zawsze. Gdy ujrzały się te dwie dusze, poznały zaraz, że jedna potrzebuje drugiej i przytuliły się wzajem.

Biorąc wyrazy w znaczeniu najzrozumialszem i najbezwzględniejszem, możnaby powiedzieć, że Jan Valjean oddzielony od wszystkiego mogiłą, był wdowcem jak Cozetta była sierotą. To położenie sprawiło, że Jan Valjean stał się w sposób niebiański ojcem Cozetty.

W istocie, tajemnicze wrażenie, którego doznała Cozetta w głębi lasu Chelles, gdy ręka Jana Valjean chwyciła w ciemnościach jej rękę, nie było złudzeniem ale rzeczywistością. Bóg zstępował, gdy ten człowiek łączył się z losami tego dziecięcia.

Zresztą Jan Valjean dobre obrał sobie schronienie. Był tam prawie zupełnie bezpieczny.

Izba i alkierzyk, które zajmował z Cozettą, miały okno wychodzące na bulwar. To okno było jedyne w całym domu, nie można się było przeto lękać spojrzeń sąsiadów ani z boku ani z przeciwka.

Dół numeru 50 — 52, rodzaj krytego ganku, walącego się w gruzy, służył za skład warzywa i owoców ogrodnikom paryzkim, i nie miał żadnego związku z pierwszem piętrem; dzieliły je deski bez drzwi i schodów, niby brzuszna błona kletki. Na pierwszem piętrze były, jakeśmy mówili, różne izby i poddasza, z których jedno tylko zajmowała stara kobieta usługująca Janowi Valjean. Inne nie były zamieszkane.

Ta to stara kobieta przezwana *główną lokatorką*, a w rzeczy samej spełniająca obowiązki odźwiernej, najęła mu mieszkanie w wilją Bożego Narodzenia. Powiedział jej, że jest kapitalistą, który stracił na bonach hiszpańskich, i chce zamieszkać na ustroniu ze swą wnuczką. Zapłacił za pół roku z góry i polecił starej umeblować izbę i alkierzyk. Ta to staruszka zapaliła w piecu i przygotowała wszystko wieczorem przed ich przybyciem.

Upływały tygodnie. Dwie istoty pędziły życie szczęśliwe w tej nędznej ciupie.

Cozetta od świtu śmiała się, gwarzyła, śpiewała. Dzieci miewają śpiew poranny jak ptaki.

Niekiedy zdarzało się, że Jan Valjean wziął jej rączkę czerwoną, popękaną od odziębienia i pocałował. Biedne dziecko przywykłe do tego by ją bito, nie wiedziało co to znaczy i odchodziło zawstydzone.

Czasami stawała się poważną i patrzyła na swą czarną sukienkę. Cozetta nie chodziła już w łachmanach, miała na sobie żałobę. Wyszła z nędzy, rozpoczynała życie.

Jan Valjean zaczął uczyć ją czytania. Sylabizując z nią, przychodziło mu niekiedy na myśl, że ze złą myślą uczył się czytać na galerach. Wyszło na to, że teraz uczył czytać dziecię. Pomyślawszy o tem stary galernik uśmiechał się zamyślonym uśmiechem aniołów.

Czuł w tem przeznaczenie z góry, wolą czyjąś nadludzką, i pogrążał się w zadumie. Dobre myśli mają swe przepaści jak złe.

Uczyć czytać Cozettę, i dać jej się bawić, to było prawie całe życie Jana Valjean. Później mówił jej o matce i kazał się modlić.

Nazywała go *ojcem* i innego nazwiska nie znała.

Po całych godzinach patrzył jak ubierała i rozbierała lalki, i przysłuchiwał się jej szczebiotaniu. Życie wydawało mu się pełne zajęcia, ludzie dobrzy i sprawiedliwi, nikomu w duchu nie czynił żadnych wyrzutów, nie wiedział przyczyny dla którejby nie miał dożyć późnej starości, mając przy sobie to kochające dziecię. Niby rozkoszne światło Cozetta oświecała całą jego przyszłość. Najlepsi ludzie nie są wolni od samolubnych myśli. Były chwile, że Jan Valjean z pewną radością myślał, że Cozetta będzie brzydką.

Jest to nasza opinja osobista, ale jeśli mamy całą myśl naszą wypowiedzieć, wyznać musimy, że

wówczas gdy Jan Valjean zaczął kochać Cozettę, nie wiemy czy nie potrzebował tego odświeżenia i pokrzepienia duszy, aby wytrwać w dobrem. Ujrzał w nowych postaciach złość ludzką, i nędzę społeczeństwa, w postaciach niezupełnych, które ukazywały jedną tylko stronę prawdy, los kobiety streszczony w Fantinie, władzę publiczną uosobioną w Javercie: powrócił na galery tym razem za to, że dobrze robił; pił z kielicha nowych goryczy; czuł znowu wstręt i znękanie, samo wspomnienie biskupa zaczynało się zaćmiewać, by później ukazać jaśniejsze i tryumfujące; ale bądź co bądź, to święte wspomnienie zbladło. Kto wie czy Jan Valjean nie był bliskim zniechęcenia i upadku? Kochał, i znów stał się silny. Niestety! Nie mniej chwiał się od Cozetty. Dawał jej opiekę, ona go umacniała. Dzięki jemu mogła stawiać kroki w życiu; dzięki jej mógł dalej iść drogą cnoty. Był podporą tego dziecięcia, a dziecię jego punktem oparcia. O niezgłębiona i boska tajemnico równowagi losów!

IV.

Spostrzeżenia głównej lokatorki.

Jan Valjean przez ostrożność nigdy nie wychodził we dnie. Co wieczór przechadzał się o zmroku godzinę lub dwie, niekiedy sam, często z Cozettą, wybierając boczne aleje i najsamotniejsze bulwary, wstępując do kościołów gdy noc zapadła. Chętnie chodził do Św. Medarda, który był najbliższym kościołem. Gdy nie brał z sobą dziewczynki, pozostawała ze starą, ale największą jej uciechą było wychodzić ze starcem. Przekładała nawet jego obecność nad rozkoszną zabawę z Katarzyną. Szedł trzymając ją za rękę i rozmawiając pieszczotliwie.

Zwykle Cozetta była bardzo wesoła.

Stara zajmowała się gospodarstwem i kuchnią i chodziła na miasto za sprawunkami.

Żyli skromnie, wygodnie, ale jak ludzie niedostatni. Jan Valjean nic nie zmienił w sprzętach pierwszego dnia kupionych; tylko zamiast szklanych drzwi alkierza Cozetty, kazał zrobić drzwi zupełnie.

Nosił zawsze żółty surdut, czarne spodnie i stary kapelusz. Na ulicy brano go za ubogiego. Zdarzało się, że dobre kobiety zatrzymywały się i dawały mu grosze. Jan Valjean brał jałmużnę i kłaniał się głęboko. Zdarzało się także, iż spotkał jakiego nędzarza proszącego jałmużny; wtedy obejrzał się czy

go kto nie widzi, ukradkiem zbliżył się do nieszczęśliwego, kładł mu w rękę pieniądz, często srebrny, i prędko się oddalał. Miało to swoją niedogodną stronę. Zaczynano go nazywać w cyrkule *żebrakiem który daje jałmużnę.*

Stara *główna lokatorka*, stworzenie kwaśne i zazdrością względem bliźniego tchnące, bacznie śledziła Jana Valjean, choć się tego nie domyślał. Była trochę głucha, więc gaduła. Z przeszłości pozostały jej dwa zęby, jeden u góry drugi u dołu, które gryzła nieustannie. Wypytywała Cozettę, lecz ta o niczem nie wiedząc, to tylko mogła powiedzieć, że przybyła z Montfermeil. Pewnego poranku szpieg ten spostrzegł, że Jan Valjean wszedł do jednej z niezamieszkałych izb rudery, mając coś w fizjognomji, jak się zdawało kumoszce niezwykłego. Przyczaiła się za nim jak kot, i niewidzialna patrzyła przez szparę drzwi będących naprzeciwko. Jan Valjean, zapewne przez większą ostrożność, obrócił się do tych drzwi plecami. Stara widziała jak szukał w kieszeni, wyjął igielnik, nożyczki i nici, potem odpruł podszewkę surduta, wydobył z niej kawałek żółtawego papieru i rozwinął. Baba z przerażeniem poznała, że to był bilet tysiąc frankowy. Od czasu jak przyszła na świat był to drugi lub trzeci, który zdarzyło się jej widzieć. Uciekła przestraszona.

Po chwili Jan Valjean przyszedł do niej i prosił, by poszła zmienić ten bilet tysiąc-frankowy, dodając, że to półroczna rata jego renty, którą wczoraj odebrał. — Gdzie? pomyślała stara. Wyszedł dopiero o szóstej wieczór, a kassy skarbowe nie bywają otwarte o tej godzinie. — Baba pobiegła zmienić bilet czyniąc rozmaite domysły. Ten bilet tysiąc-frankowy był przedmiotem mnóstwa rozmów szalonych i przesadnych między kumoszkami ulicy Vignes St. Marcel.

Następnych dni zdarzyło się, że Jan Valjean tylko w kamizelce piłował drzewo na korytarzu. Stara uprzątała w izbie. Była samą, bo Cozetta wyszła po-

dziwiać piłowane drzewo; stara zobaczyła wiszący na gwoździu surdut i zaczęła go oglądać. Podszewka była znów zaszyta. Baba obmacała ją z uwagą i uczuła w połach i pod pachami pakiety papierów. Niezawodnie inne bilety tysiąc-frankowe.

Prócz tego zauważała mnóstwo rzeczy w kieszeniach. Nietylko igły, nożyczki i nici, które już widziała, ale gruby pugilares, długi nóż, rzecz podejrzaną, i kilka peruk różnych kolorów. Każda kieszeń mieściła jakieś przedmioty na wszelki niespodziewany wypadek.

Mieszkańcy kletki dożyli tych ostatnich dni zimy

V.

Sztuka pięciofrankowa robi hałas padając na ziemię.

Pod kościołem św. Medarda siedział zwykle na ocembrowaniu starej zasypanej studni żebrak, ktoremu Jan Valjean chętnie dawał jałmużnę. Rzadko się zdarzało, by przechodząc nie wsunął mu w rękę kilku groszy. Czasami z nim zagadał. Zazdrośnicy mówili, że ten żebrak należał *do policji*. Był to dziad kościelny lat siedmdziesięciu pięciu, który nieustannie szeptał pacierze.

Pewnego wieczora Jan Valjean przechodząc sam bez Cozetty, zobaczył żebraka w zwykłem miejscu pod latarnią niedawno zapaloną. Człowiek ten, wedle zwyczaju, zdawał się modlić skurczony. Jan Valjean postąpił ku niemu i dał zwykłą jałmużnę. Żebrak żywo podniósł głowę, bystro spojrzał na Jana Valjean, i równie prędko spuścił głowę. Ruch ten był jak błyskawica, Jan Valjean zadrżał. Zdawało mu się, że przy blasku latarni ujrzał nie spokojną i głupowatą twarz dziada kościelnego, lecz postać straszną i znaną. Doznał wrażenia, jakby spotkał się nocą oko w oko z tygrysem. Cofnął się przerażony i osłupiały, nie śmiejąc oddychać, ani przemówić, ani pozostać, ani uciekać, i patrzył na żebraka, który spuścił głowę

okrytą łachmanami i zdawał nie wiedzieć, że on nie odszedł. W tej dziwnej chwili jakiś instynkt, zapewne tajemniczy instynkt zachowawczy, sprawił, że Jan Valjean nie wyrzekł ani słowa. Żebrak miał ten sam wzrost, te same łachmany i tę samą postać jak codzień. — Ba! — rzekł do siebie Jan Valjean, chyba zwarjowałem! marzę! to niepodobna! — Lecz powrócił mocno wzruszony.

Zaledwie ośmielił się wyznać przed sobą, że owa twarz którą ujrzał, zdała mu się być twarzą Javerta.

Rozmyślając nad tem w nocy, żałował, że nie zadał pytania człowiekowi, by go zmusić do podniesienia głowy powtórnie.

Nazajutrz gdy zmrok zapadł, wyszedł ku kościołowi. Żebrak był na swojem miejscu. — Dzień dobry poczciwy człecze — rzekł śmiało Jan Valjean podając mu grosz. Żebrak podniósł głowę i odpowiedział głosem żałosnym: — Dziękuję łaskawemu panu. — Był to w istocie stary dziad kościelny.

Jan Valjean uspokoił się zupełnie i śmiać się zaczął. Zkąd u licha przywidział mi się Javert? pomyślał. Czyżbym już miewał wzrok zaćmiony? — I przestał o tem myśleć.

W kilka dni jednak, około ósmej wieczór siedział w pokoju i słuchał sylabizującą głośno Cozettę, gdy nagle usłyszał jak drzwi od rudery otworzyły się i zaraz zamknęły. Wydało mu się to niezwykłą rzeczą. Stara, ktora sama mieszkała z nim w tym domu, zwykle kładła się spać o zmroku, by nie palić świecy. Jan Valjean słuchał. Chód był ciężki jakby mężczyzny; ale stara nosiła grube trzewiki, a nic nie jest podobniejszem do chodu mężczyzny jak stąpania starej kobiety. Jednakże Jan Valjean zgasił świecę.

Posłał Cozettę do łóżka mówiąc do ucha:—Kładź się pocichu; kiedy ją całował w czoło, kroki się zatrzymały. Jan Valjean siedział w ciemności milczący, nieruchomy, tyłem do drzwi na krześle, którego nie

ruszył, zatrzymując oddech. Po długim przeciągu czasu, nic już nie słysząc, podniósł oczy ku drzwiom swego pokoju i zobaczył światło przez dziurkę od klucza. Światło było jak złowroga gwiazda w ciemnościach drzwi i ściany. Widocznie ktoś stał ze świecą w ręku i podsłuchiwał.

Upłynęło kilka minut, światło się oddaliło. Ale nie usłyszał już stąpania, z czego wniósł, że podsłuchujący pod drzwiami zdjął trzewiki.

Jan Valjean rzucił się w ubraniu na łóżko i całą noc nie mógł zmrużyć oka.

Nad ranem zdrzemnął się ze znużenia, ale go rozbudził zgrzyt zawiasy jakichś drzwi otwierających się w głębi korytarza, potem usłyszał to samo stąpanie człowieka, który wczoraj wszedł na schody. Rzucił się na ziemię i przyłożył oko do dość dużej dziurki od klucza, spodziewając się, że zobaczy ktosia, co wszedł nocą do kletki i podsłuchiwał pod jego drzwiami. W istocie przechodził jakiś mężczyzna, lecz tym razem nie zatrzymywał się przed pokojem Jana Valjean. Na korytarzu zbyt było jeszcze ciemno, by rozpoznać rysy jego twarzy, ale gdy człowiek doszedł do schodów, padł na niego promień światła z zewnątrz i Jan Valjean zobaczył go doskonale z tyłu. Człowiek był wysokiego wzrostu, odziany w długi surdut, miał pałkę pod pachą. Była to straszna postać Javerta.

Jan Valjean mógłby go jeszcze zobaczyć z okna od bulwaru, ale trzeba je było otworzyć, a nie śmiał.

Oczywiście człowiek ten wszedł z kluczem, jakby do siebie. Kto mu go dał? co to mogło znaczyć?

O siódmej rano gdy stara weszła, by uporządkować w izbie, Jan Valjean rzucił na nią wzrok badawczy, ale nie pytał. Baba miała minę zwyczajną.

Zamiatając izbę, rzekła:

— Zapewne pan słyszał jak ktoś wchodził tej nocy?

W tej porze, na bulwarze, ósma wieczór to noc najgłębsza.

— A prawda — odpowiedział tonem najnaturalniejszym. Ktoż to był taki?

— Mamy nowego lokatora — odrzekła stara.

— Nazwiskiem?

— Nie pamiętam dobrze. Dumont czy Daumont, coś podobnego.

— A co za jeden ten pan Dumont?

Stara spojrzała nań kuniemi oczkami i odpowiedziała:

— Kapitalista jak pan.

Zapewne powiedziała to bez myśli, ale Jan Valjean dopatrzył jakąś myśl ukrytą.

Gdy odeszła stara, złożył w rulonik sto franków które miał w szafie, i schował do kieszeni. Chociaż bardzo ostrożnie układał pieniądze, jedna sztuka pięciofrankowa wysunęła się mu z ręki i z brzękiem potoczyła po podłodze.

O zmroku wyszedł przed sień i patrzył uważnie na wszystkie strony bulwaru. Nie widać było nikogo. Bulwar zdawał się pusty zupełnie. To prawda, że można było skryć się za drzewami.

Powrócił do izby.

— Pójdź — rzekł do Cozetty.

Wziął ją za rękę i wyszli oboje.

KONIEC TOMU TRZECIEGO.

Druk W. Dunina, Warszawa, Nowy Świat 35.

TREŚĆ TOMU III.

Część druga.

COZETTA.

KSIĘGA PIERWSZA.

Waterloo.

		Str.
I	Co się spotyka idąc z Nivelles.	10
II	Hougomont.	12
III	18 czerwca 1815 roku	20
IV	A.	23
V	Quid obscurum bitew	26
VI	Czwarta po południu	30
VII	Napoleon wesoły	34
VIII	Cesarz zadaje pytanie przewodnikowi Lacoste .	40
IX	Rzecz niespodziana.	44
X	Wzgórze Mont-Saint-Jean	49
XI	Zły przewodnik dla Napoleona, dobry dla Bülowa	55
XII	Gwardja	57
XIII	Katastrofa	59
XIV	Garstka ostatnia	62
XV	Cambronne	64
XVI	Quot libras in duce?	67
XVII	Czy dobre było Waterloo?	73
XVIII	Stan Francji po bitwie pod Waterloo. . . .	76
XIX	Pobojowisko w nocy	79

KSIĘGA DRUGA.

Okręt Orion.

		Str.
I	Numer 23,601 staje się numerem 9,430 . .	89
II	Dwa wiersze może djabelskie	93
III	Obręcz kajdan musiała być nadpiłowaną wcześnie, kiedy pękła za pierwszem uderzeniem młota	97

KSIĘGA TRZECIA.

Spełnienie obietnicy uczynionej zmarłej.

I	Kwestja wody w Montfermeil	109
II	Uzupełnienie dwóch portretów	113
III	Ludziom potrzeba wina, a koniom wody. . .	119
IV	Lalka wychodzi na scenę	122
V	Mała sama w lesie	124
VI	Rozdział który może dowodzi przenikliwości Boulatruella	130
VII	Cozetta z nieznajomym w nocy	136
VIII	Nieprzyjemności pochodzące z przyjmowania u siebie biedaka, który może być bogaczem.	140
IX	Thenardier przy robocie	159
X	Kto szuka lepszego, może wpaść na gorsze. .	168
XI	Numer 9,430 wychodzi i Cozetta wygrywa go na loterji	174

NĘDZNICY.

IV.

T. 43. 148 (A)

Wiktor Hugo.

NĘDZNICY.

CZĘŚĆ DRUGA.

COZETTA.

IV.

WARSZAWA.
Nakład Księgarni S. Bukowieckiego
Marszałkowska № 100.
1900.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 5 Февраля 1899 года.

I 43.149

[t] 4

A

CZĘŚĆ DRUGA

COZETTA.

KSIĘGA PIĄTA.

JAKIE ŁOWY TAKIE OGARY.

I.

Gzygzaki strategiczne.

Tu widzimy potrzebę wtrącić jednę uwagę konieczną dla objaśnienia następujących stronnic i innych, które później przyjść mają.

Od wielu lat, autor tej książki, z żalem zmuszony mówić o sobie, nie jest obecny w Paryżu. Od czasu jak go opuścił, Paryż się odmienił. Powstało nowe miasto, w pewnym względzie dlań nieznane. Nie potrzebuje zaręczać, że kocha Paryż; Paryż jest miastem rodzinnem jego ducha. W skutku zburzeń i przebudowań, Paryż jego młodości, ten Paryż, który religijnie przechował w pamięci, obecnie jest już Paryżem starym. Niech mu wolno będzie mówić o tym Paryżu, jakby on istniał jeszcze. Może tam gdzie autor prowadząc czytelników mówi: „Na tej a tej ulicy jest taki dom", nie ma już dzisiaj ani domu, ani ulicy. Czytelnicy sprawdzą jeśli zechcą zadać sobie tę pracę. Co do autora, nie zna on nowego Paryża i pisze, mając przed oczyma dawny Paryż w złudzeniu, które mu jest drogie. Z roskoszą marzy sobie, że pozostało za nim coś na co patrzył, będąc w swym kraju, że nie wszystko zniknęło. Póki tam i sam chodzisz po ziemi rodzinnej, zdaje ci się, że te ulice są dla ciebie obojętne, że te okna, dachy i drzwi są dla ciebie niczem,

że te mury są ci obce, że te drzewa są pierwszemi lepszemi drzewami, że te domy, do których nie wchodzisz są dla ciebie obojętne, że ten bruk po którym stąpasz, to zwyczajne kamienie. Później, gdy cię tam niema, spostrzegasz, że te ulice są ci drogie, że ci brakuje tych dachów, drzwi i okien, że potrzebujesz tych murów, że kochasz te drzewa, że do tych domów, do których nie wchodziłeś, wstępowało się codziennie, że wnętrzności swoje, krew i serce zostawiłeś na tym bruku. Wszystkie te miejsca, których nie widzisz, i może nigdy nie zobaczysz, a których obraz przechowałeś w duszy, nabierają bolesnego uroku, stają ci przed umysłem jak melancholiczne widzenie, uprzytomniają ci ziemię świętą, i są, że tak powiem, postacią samej Francji; kochasz je i wywołujesz takiemi jak były, trzymasz je uporczywie, nie chcesz nic w nich zmienić, bo postać ojczyzny drogą ci jest, jak oblicze rodzonej matki.

Niech więc wolno nam będzie mówić dziś o przeszłości. Wypowiedziawszy, to prosimy czytelnika pamiętać, i idziemy dalej.

Jan Valjean bezzwłocznie opuścił bulwar i skręcił w uliczki, robiąc jak najwięcej linji krzywych, wracając niekiedy nazad, by się upewnić, że go nie ścigają.

Takiego sposobu zwykł używać jeleń obsaczony. Na gruntach, gdzie pozostają ślady przejścia, sposób ten ma między innemi tę korzyść, że myli strzelców i psy wyciskami stóp w przeciwnych kierunkach. W myślistwie gończem, nazywa się to fałszywem nawracaniem zwierza do kniei.

Tej nocy księżyc świecił w pełni. Jan Valjean był prawie rad temu. Księżyc dość jeszcze nisko na widnokręgu dzielił ulice na wielkie płachty cienia i światła. Jan Valjean mógł przesuwać się pod murami i domami stroną ciemną, a patrzeć co się dzieje w stronie oświeconej. Nie dość może zastanowił się, że właśnie strona ciemna mu się wymykała. Jednak-

że na wszystkich samotnych uliczkach obok ulicy Poliveau, był prawie pewny, że nikt za nim nie idzie.

Cozetta szła nie zadając pytań. Sześcioletnie cierpienia lat dziecinnych wyrobiły coś biernego w jej charakterze. Przytem, czynimy tu uwagę, do której nieraz będziemy mieli sposobność powrócić — nie wiedząc dobrze dlaczego, przyzwyczaiła się do osobliwego postępowania poczciwego starca i do dziwactw losu. Zresztą czuła się bezpieczną przy jego boku.

Jan Valjean nie lepiej od Cozetty wiedział dokąd idzie. Powierzał się Bogu, jak ona powierzała się jemu. I jemu zdawało się, że trzyma za rękę kogoś potężniejszego od siebie, czuł, że go prowadziła istota niewidzialna. Nie powziął też żadnego zamiaru, żadnego planu ani projektu. Nie był nawet zupełnie pewny, że spotkał Javerta, a choćby to był Javert, mógł nie poznać w nim Jana Valjean. Wszakże był przebrany? wszak miano go za umarłego? A jednak od kilku dni działy się rzeczy w istocie osobliwe. Więcej mu nie było potrzeba. Postanowił nie wracać już do domu Gorbeau. Jak zwierz wypłoszony z legowiska szukał jamy, by się ukryć nim znajdzie dogodniejsze schronienie.

Jan Valjean skreślił kilka przeróżnych gzygzaków w dzielnicy Mouffetard już uśpionej, jakby istniała tam jeszcze karność średniowieczna i prawo nakazujące gasić światło o siódmej wieczór; z uczoną strategją przebiegł w różnych kierunkach ulice Censier i Copeau Batoir St. Victor i Puits-l'Hermite. Były tam oberże, ale do nich nawet nie zachodził, bo nie zdawały mu się stosownem schronieniem. Nie wątpił zresztą, że gdyby przypadkiem śledzono jego tropy, zgubiono by je niezawodnie.

Gdy wybiła jedenasta na kościele świętego Szczepana du Mont, przechodził ulicę Pontoise około biura komisarza policji będącego pod Nr. 14. W kilka minut potem, instynkt, o którym mówiliśmy wyżej, kazał mu się obejrzeć. W tej chwili zobaczył wyraźnie

przy świetle latarni przed biurem komisarza, trzech ludzi, którzy szli za nim z dość bliska w ciemnej stronie ulicy. Jeden z nich wstąpił do sieni domu komisarza. Idący na przedzie wydał mu się bardzo podejrzanym.

— Chodź moje dziecko — rzekł do Cozetty, i spiesznie mijał ulicę Pontoise.

Okrążył przejście Patrjarchów zamknięte z powodu późnej godziny, przeszedł wielkim krokiem ulicę Epée de Bois i Arbalète, i zapuścił się w ulicę Pocztową.

Tam są drogi rozstajne w miejscu, gdzie dziś jest kollegjum Rollina i gdzie się rozpoczyna ulica Nowa Ś-tej Genowefy.

(Nie potrzebujemy mówić, że ulica Nowa Ś-tej Genowefy jest starą ulicą i że przez dziesięć lat ani jeden dyliżans nie przejeżdża ulicą Pocztową. Zresztą ta ulica Pocztowa, w trzynastym wieku zamieszkana przez garncarzy, właściwie nazywa się ulicą Garncarską).

Księżyl rzucał żywe światło na rozstajne drogi. Jan Valjean przyczaił się pod bramą, przypuszczając, jeśli ci ludzie pójdą dalej za nim, że im się dobrze przypatrzy, gdy przechodzić będą oświecony pas ulicy.

W istocie nie upłynęło trzech minut, ukazali się ludzie. Było ich teraz czterech, wszyscy wysokiego wzrostu, w długich surdutach brunatnych, w okrągłych kapeluszach, z grubemi kijami w ręku. Złowrogi ich chód w ciemnościach niemniej niepokoił jak ogromne postacie i szerokie pięście. Rzekłbyś cztery widma przebrane po mieszczańsku.

Zatrzymali się na środku dróg rozstajnych i utworzyli gromadkę, jakby się naradzali. Na twarzach ich malowała się wątpliwość. Ten, który się zdawał ich prowadzić, obrócił się i żywo wskazał prawą ręką kierunek, w którym poszedł Jan Valjean; inny z pewną uporczywością pokazywał przeciwny. W chwili, gdy pierwszy się obrócił, księżyc całą jego twarz oświecił. Jan Valjean doskonale poznał Javerta.

II.

Szczęście, że przez most Austerlicki przechodzą wozy.

Znikła więc wszelka niepewność dla Jana Valjean; szczęściem, ci ludzie właśnie nie byli pewni co począć. Postanowił skorzystać z ich wahania i zyskać czas przez nich stracony. Opuścił bramę, pod którą się wsunął, i skręcił w uliczkę Pocztową ku dzielnicy Ogrodu Botanicznego. Cozetta była znużona, wziął ją na ręce i niósł. Nikt nie przechodził, latarni nie zapalano z powodu, że księżyc świecił.

Przyspieszył kroku.

W kilku susach dostał się do garncarni Goblet, na facjacie której, czytać było można wyraźnie przy świetle księżycowem ten stary napis:

Tu jest fabryka Gobleta syna,
Chodźcie po dzbany i garnki,
Rynki, wazony i cegłę.
Czerwień każdemu sprzedaje Dzwonki.

Rzucił za sobą w tyle ulicę Klucza, później wodotrysk Ś-go Wiktora, obszedł Ogród Botaniczny dolnemi ulicami i przybył na brzeg rzeki. Tu obejrzał

się. Wybrzeże było puste. Ulice samotne, nikogo w tyle. Odetchnął.

Doszedł do mostu Austerlickiego.

W owym czasie istniały jeszcze opłaty mostowe.

Stanął przed budką i dał su.

— Należy się dwa su — rzekł inwalida mostu. Niesiecie dziecko, które może chodzić. Zapłaćcie za dwoje.

Zapłacił, niezadowolony, że jego przejście dało powód do spostrzeżeń. Każda ucieczka winna być jakby ślizganiem.

Duży wóz przebywał Sekwannę w tym samym co i on kierunku. To mu było na rękę. Przeszedł most w cieniu tego wozu.

W środku mostu, Cozetta, której zdrętwiały nogi, chciała iść także. Puścił ją na ziemię i wziął za rękę.

Przeszedłszy most zobaczył nieco na prawo szychty drzewa i udał się w tym kierunku. Ale, żeby dojść do nich, należało przebyć przestrzeń dość obszerną i oświeconą. Nie wahał się. Ci, co go ścigali widocznie zgubili trop i Jan Valjean czuł się bezpiecznym. Szukali go zapewne, ale już nie szli za nim.

Między dwiema szychtami, otoczonemi murem, ciągnęła się uliczka zwana Chemin Vert-St. Antoine, wązka, ciemna, jakby umyślnie zrobiona dla niego. Nim wszedł obejrzał się za siebie.

Z punktu, na którym się znajdował, widzieć mógł całą długość mostu Austerlickiego.

Cztery cienie weszły na most.

Te cienie obróciły się tyłem do Ogrodu Botanicznego i skierowały kroki ku prawemu brzegowi.

Cztery te cienie, były owemi czterema ludźmi.

Jan Valjean zadrżał jak powtórnie schwytane zwierzę.

Jedna zostawała mu nadzieja, że może ci ludzie nie weszli byli jeszcze na most i nie spostrzegli go

w chwili, gdy przechodził wielki plac oświecony, trzymając Cozettę za rękę.

W takim razie, zapuściwszy się w uliczkę, którą miał przed sobą, zdołałby dosięgnąć szycht, ogrodów, pól uprawnych, miejsc nie zabudowanych i umknąć.

Zdawało mu się, że może zaufać tej uliczce milczącej, i wszedł na nią.

III.

Patrz plan Paryża z r. 1727.

Uszedłszy trzysta kroków stanął w miejscu, gdzie ulica rozpada się na dwie odnogi, z których jedna skręca na lewo, druga idzie prosto na prawo. Jan Valjean miał przed sobą jakby dwa ramiona litery Y. Które wybrać?

Nie wahał się i obrał prawe.

Dlaczego?

Bo ramię lewe prowadziło na przedmieście, to jest do miejsc zamieszkałych, a prawe w pole, to jest ku miejscom pustym.

Jednakże nie szli już tak prędko. Kroki Cozetty opóźniały chód Jana Valjean.

Wziął ją znowu na ręce. Cozetta wsparła głowę na ramieniu poczciwca i nie rzekła ani słowa.

Czasami obracał się i patrzał za siebie. Starannie obierał zawsze ciemną stronę ulicy. Ulica ciągnęła się prosto przed nim. Obrócił się dwa lub trzy razy, nie zobaczył nikogo, milczenie było zupełne, szedł więc dalej nieco spokojniejszy. Nagle obróciwszy się raz jeszcze, zdawało mu się, że widzi w części ulicy, którą minął, coś poruszającego się zdaleka w ciemnościach.

Rzucił się naprzód w nadziei, że znajdzie jaką

uliczkę boczną, w której się skryje i raz jeszcze zmyli pogonie.

Doszedł do muru.

Mur ten wszakże nie przeszkadzał iść dalej; był on ścianą uliczki poprzecznej kończącej ulicę, którą szedł Jan Valjean.

I tu trzeba było się zdecydować; zwrócić na prawo lub na lewo.

Spojrzał na prawo. Uliczka ciągnęła się między budowlami, które były wozowniami i stodołami, i w końcu nie miała wyjścia. Wyraźnie w głębi widać było mur biały.

Spojrzał na lewo. Z tej strony uliczka była otwarta i po dwustu krokach schodziła się z inną ulicą. Z tej więc strony było zbawienie.

Już Jan Valjean miał zawrócić na lewo, by dojść do ulicy którą widział zdaleka, gdy spostrzegł na jej rogu coś niby posąg czarny nieruchomy.

Był to człowiek oczywiście postawiony na czatach, który czekał nań tamując drogę.

Jan Valjean cofnął się.

Był teraz w punkcie Paryża między przedmieściem Św. Antoniego i Rapée, jednym z tych, które świeże roboty publiczne zmieniły, oszpeciwszy według jednych, ozdabiając je wedle drugich. Znikły ogrody, szychty drzewa i stare budynki. Dziś są tam wielkie ulice zupełnie nowe, place, cyrki, hippodromy, dworce kolei żelaznej i więzienie: postęp jak widzimy, wraz z dodatkiem karnym.

Przed laty pięćdziesięciu, w ukształconym na podaniach języku ludowym, uporczywie nazywającym Instytut *Czterema Narodami*, a Operę komiczną *Feydeau*, miejsce, do którego doszedł Jan Valjean nazywało się *Picpus mały*. Brama Św. Jakóba, brama Paryzka, rogatka Sierżantów, Swiniarki, Galjota, Celestyni, Kapucyni, Wałek, Błocko, Drzewo krakowskie, Małopolska, Picpus mały — są to nazwiska starego Paryża,

które dożyły nowego. Pamięć ludu unosi się nad gruzami przeszłości.

Picpus mały, który zresztą zaledwie istniał i zawsze był tylko jakby zarodkiem osobnego cyrkułu, miał postać klasztorną hiszpańskiego miasta. Drogi mało brukowane, ulice niezabudowane prawie. Prócz dwóch lub trzech ulic, o których mówić będziemy, zresztą mury i samotność. Ani jednego sklepu, żadnego powozu; ledwie tu i owdzie paliła się w oknach świeca; po dziesiątej wszelkie światło gasło. Ogrody, klasztory, szychty drzewa, sady, rzadkie małe domki, mury tylko wysokie jak kamienice.

Taką była ta dzielnica w ostatnim wieku. Już rewolucja srodze ją nadwerężyła. Republikańska dyrekcja budowli publicznych burzyła, przebijała, dziurawiła ten cyrkuł. Tu były składy gruzu. Przed laty trzydziestu dzielnica ta znikała, ustępując miejsca nowym budowlom. Dziś nie pozostało z niej ani śladu.

Picpus mały, którego nie ma wcale śladów na teraźniejszych planach miasta, wyraźnie jest oznaczony na planie 1727 r. wydanym w Paryżu u Dyonizego Thierry przy ulicy Św. Jakóba naprzeciw ulicy Plâtres i w Lyonie u Jana Girin przy ulicy Mercière. Picpus mały ma dwie ulice w kształcie litery Y, utworzonej ulicą Chemin Vert St. Antoine, dzielącą się na dwie ulice: na lewo biorącą nazwę małej uliczki Picpus, a na prawo ulicy Polonceau. Dwa ramiona Y łączyły się u wierzchołka rodzajem wału, który miał nazwę ulicy Droit Mur. Tu kończyła się ulica Polonceau; mała ulica Picpus szła dalej aż do rynku Lenoir. Idąc do Sekwany, dochodziło się do końca ulicy Polonceau, mając po lewej stronie ulicę Droit Mur, a nagle zawróciwszy przy rogu prawym, przed sobą mur tej ulicy, po prawej zaś stronie przerwane przedłużenie ulicy Droit Mur bez wyjścia zwane niecałą ulicą Genrot.

Tu właśnie był Jan Valjean.

Jakeśmy powiedzieli, zobaczywszy czarną postać stojącą na czatach w rogu ulicy Droit Mur i małej ulicy Picpus, cofnął się. Nie było wątpliwości. Widmo go szpiegowało.

Co czynić?

Zawrócić w tył już było zapóźno. To co przed chwilą widział poruszające się w cieniu w tyle za sobą, niewątpliwie był to Javert ze swą zgrają. Prawdopodobnie Javert wszedł już na ulicę, w końcu której był Jan Valjean. Widocznie Javert znał te kręte miejsca i przedsięwziął środki ostrożności, posyłając jednego dla strzeżenia wyjścia. Domysły te tak podobne do oczywistości, niby garść prochu nagłym wiatrem uniesiona, zakołowały w biednej głowie Jana Valjean. Przyjrzał się niecałej ulicy Genrot; zamknięta. Przyjrzał się małej uliczce Picpus, tam placówka. Widział tę ponurą postać rysującą się czarno na bruku oświeconym promieniami księżyca. Iść naprzód, to zejść się z tym człowiekiem. Cofnąć się to spotkać Javerta. Jan Valjean czuł, że wpadł w matnię, która go ściskała z daleka, i z rozpaczą spojrzał w niebo.

IV.

Próby ucieczki.

Dla lepszego zrozumienia tego co niżej opowiemy, trzeba sobie dokładnie przedstawić uliczkę Droit Mur, a szczególniej róg zostawiony na lewo, przy skręcie z ulicy Polonceau na tę uliczkę. Na całej uliczce Droit Mur aż do małej ulicy Picpus ciągnął się rzęd domków niepoczesnej powierzchowności; na lewo stał jeden gmach surowej miny, złożony z wielu mieszkań stopniowo wznoszących się w górę jednem lub dwoma piętrami, w miarę jak się zbliżało do małej ulicy Picpus, tak iż budynek ten bardzo wysoki od strony małej ulicy Picpus, był niziuteńki od ulicy Polonceau. Tu, w rogu, o którym mówiliśmy, kończył się on nizkim murem. Mur ten nie stanowił właściwego rogu ulicy, ale był zaklęśniętą ścianą, której końców nie widać było ani z ulicy Polonceau, ani z ulicy Droit Mur.

Od dwóch rogów tej ściany mur ciągnął się ulicą Polonceau aż do domu pod Nr. 49 i na ulicę Droit Mur, gdzie był nierównie krótszy, aż do posępnego budynku o którym mówiliśmy, którego przecinał szczyt tworząc tym sposobem na ulicy nowy kąt zaklęsły. Szczyt ten muru miał ponurą postać; jedno tylko było w nim okno, albo raczej dwie okiennice cynkowe zawsze zamknięte.

Opis nasz miejscowości jest najściślej wierny i zapewne obudzi dokładne wspomnienia w umyśle dawnych mieszkańców tego cyrkułu.

Ścianę narożną zapełniało coś nakształt wrót olbrzymich, lichego pozoru. Było to niekształtne wiązanie z desek prostopadłych, u góry szerszych niż u dołu, spojonych długiemi poprzecznemi sztabami żelaza. Obok brama zwyczajnej wielkości wybita w murze widocznie nie dawniej, jak przed pięćdziesięciu laty.

Po nad ścianą narożną widać było gałęzie lipy, bluszcz okrywał mur od strony ulicy Polonceau.

W obec zbliżającego się niebezpieczeństwa, coś ciągnęło Jana Valjean do tego samotnego i jak się zdawało, mieszkalnego budynku. Szybko przebiegł go oczyma. Powiedział sobie, że jeśli mu się uda dostać wewnątrz, może być ocalony. Myśl ta obudziła w nim nadzieję.

W środkowej części przodu tego budynku, od strony ulicy Droit Mur były przy wszystkich oknach różnych piętr stare ołowiane rynienki z rurkami. Różne odnogi rurek, wychodzące z głównej rury łączyły się u wszystkich rynienek, tworząc jakby jedno drzewo. Te gałęzie rur tysiącznemi zakrzewieniami naśladowały stare ogołocone z liści latorośle winne, wijące się na przednich ścianach dawnych budynków folwarcznych.

Ten dziwny szpaler gałązi blaszanych i żelaznych, najprzód zwrócił uwagę Jana Valjean. Posadził Cozettę przy barjerze, zalecając milczenie i pobiegł do miejsca, gdzie główna rura dotykała ziemi. Może z jej pomocą dałoby się wedrzeć na wierzch, wejść do domu. Ale rura była zniszczona, na nic nieprzydatna i ledwie trzymała się ściany. Przytem wszystkie okna tego ponurego gmachu były okratowane grubemi prętami żelaza, nawet pod strychem. Dalej promienie księżyca zupełnie oświecały facjatę, i człowiek stojący na rogu ulicy widziałby pnącego się w górę Jana

Valjean. Nakoniec co zrobić z Cozettą, jak ją wciągnąć na dom trzypiętrowy?

Zaniechał myśli wdzierania się po rurze i czołgnął wzdłuż muru ku ulicy Polonceau.

Gdy doszedł do ściany narożnej, przy której zostawił Cozettę, zauważył, że tam nikt go nie mógł dojrzyć. Wytłumaczyliśmy powody, dla których z żadnej strony nie był widzialny. Prócz tego stał w cieniu. Wreszcie były dwie bramy. Możeby dało się którą wyważyć. Mur, nad którym widział lipę i bluszcz oczywiście wychodził na ogród, w którym chociaż nie było jeszcze liści na drzewach, można się było jako tako ukryć i przepędzić resztę nocy.

Czas upływał. Należało szybko działać.

Obmacał bramę i zaraz poznał, że była zabitą z zewnątrz i ze środka.

Z większą nadzieją zbliżył się do drugiej wielkiej bramy. Była strasznie stara i zrujnowana, sam jej ogrom czynił ją mniej trwałą, deski przegniłe, wiązania żelazne, których było trzy, rdzą zjedzone. Można było oderwać stare żelaztwa.

Przypatrzywszy się dobrze przekonał się, że to nie była brama. Nie miała ani zawias, ani wiązadeł, ani szczeliny w środku. Tu i owdzie przybite były poprzeczne sztaby żelazne bez związku z sobą. Przez szpary w deskach widział mur i kamienie grubo ociosane, które istniały jeszcze przed dziesięciu laty. Z przerażeniem poznał, że pozorna brama była poprostu zewnętrzną ścianą drewnianą budynku do którego była przypartą. Łatwo było oderwać deski, ale za deskami spotykało się z murem.

V.

Rozdział, który byłby niemożliwym przy oświetleniu gazowem.

W tej chwili dał się słyszeć w pewnej odległości głuchy, miarowy szelest. Jan Valjean ośmielił się rzucić wzrokiem za róg ulicy. Oddział siedmiu lub ośmiu żołnierzy wszedł na ulicę Polonceau. Widział ich błyszczące bagnety; dążyli w jego stronę.

Żołnierze ci, na których czele odznaczała się wysoka postać Javerta, szli powoli i ostrożnie, zatrzymując się często. Widocznem było, że rozpatrywali wszystkie zakątki murów, wszystkie zakątki bram i zaułki ulicy.

Łatwo można się było domyśleć, że Javert spotkał ten patrol i wezwał jego pomocy.

Dwaj pachołkowie Javerta należeli do oddziału.

Sądząc z powolnego ich chodu i częstych przestanków, ledwie za kwadrans mogli dojść do miejsca, w którem był Jan Valjean. Nastała strzaszna chwila. Kilka minut dzieliły Jana Valjean od okropnej przepaści, która po raz trzeci przed nim się otwierała. Teraz nietylko jego czekały galery; Cozecie groziła zguba, życie podobne do wnętrza grobu.

Jedna tylko rzecz była możliwą.

Jan Valjean miał w sobie to szczególnego, iż

rzec można, nosił zawsze dwie sakwy; w jednej miał myśli człowieka świętego, w drugiej straszne talenta galernika. Stosownie do okoliczności sięgał do jednego lub drugiego worka.

Między innemi talentami, dzięki licznym ucieczkom z galer, był, jak sobie przypominacie, mistrzem w niesłychanej sztuce wdzierania się od rogu muru do wysokości szóstego piętra, i to bez drabinki, bez żadnej pomocy, jedynie siłą muskularną, opierając się głową, plecami, lędźwiami i kolanami, i czepiając najlżejszej wypukłości kamieni; ta to sztuka uczyniła strasznym i zarazem sławnym ów kąt więzienia paryzkiego Conciergerie, którędy uciekł przed dwudziestu laty skazany Battemolle.

Jan Valjean zmierzył oczyma mur, nad którym widział lipę. Miał do osiemnastu stóp wysokości. Kąt, który tworzył z przednią ścianą wielkiego budynku u dołu, był zapełniony cegłą wmurowaną w kształcie ostrosłupa, prawdopodobnie aby ten kącik uchronić od nieczystości, których tak często dopuszczają się w podobnych miejscach przechodnie. Takie uprzedzające zapełnienie murem kątów jest bardzo zwyczajne w Paryżu.

Ta massa cegły miała najmniej pięć stóp wysokości. Od jej szczytu do wierzchołka muru pozostawało nie więcej nad stóp czternaście.

Na murze leżały płaskie kamienie bez daszku.

Jedyną trudność stanowiła Cozetta. Biedna Cozetta nie umiała wdzierać się na mury. Porzucić ją? O tem ani na chwilę nie pomyślał Jan Valjean. Zabrać ją było niepodobieństwem. Wszystkie siły człowieka potrzebne są do tej dziwnej wędrówki w górę. Najmniejszy ciężar niweczy równowagę i obala na ziemię.

Potrzebny był sznur. Jan Valjean go nie miał. Gdzie szukać sznura o północy na ulicy Polonceau? Niewątpliwie, gdyby w tej chwili Jan Valjean miał królestwo, oddałby je za kawał sznura.

We wszystkich położeniach nadzwyczajnych zdarzają się błyskawice, które raz ślepią, drugi raz oświecają.

Rozpaczliwe spojrzenie Jana Valjean padło na słup latarni w niecałej ulicy Genrot.

W owym czasie nie znano w Paryżu światła gazowego. Gdy noc zapadła, zapalano stojące w pewnych odległościach latarnie, które spuszczano i podnoszono sznurem przywiązanym w rowku słupa. Kółko, na którem sznur się obracał zatknięte było w małej szafce żelaznej, od której klucz miał zapalający światło, sam zaś sznur był w metalowej rurce.

Jan Valjean z energją, jaką daje walka ostateczna, jednym skokiem przebiegł ulicę, podważył końcem noża szafkę latarni, i po chwili wrócił do Cozetty. Miał sznur. Prędko zabierają się do roboty posępni wynalazcy w zapasach z fatalnością.

Wytłumaczyliśmy, dlaczego latarnie nie były tej nocy zapalone. Latarnia ulicy niecałej Genrot, była ciemną jak inne, i można było przejść koło niej, nie spostrzegłszy nawet, że nie stała na swojem miejscu.

Jednakże późna godzina, miejsce samotne, noc, dziwne zajęcie Jana Valjean, jego szczególne ruchy, bieganie tu i owdzie, wszystko to zaczęło niepokoić Cozettę. Każde inne dziecię oddawnaby głośno krzyczało. Ona pociągnęła tylko Jana Valjean za połę surduta. Słyszano coraz wyraźniej stąpania zbliżającego się patrolu.

— Ojcze, — rzekła pocichu — boję się. Kto to nadchodzi?

— Sza! — rzekł nieszczęśliwy — to Thenardierowa.

Cozetta zadrżała. Valjean dodał:

— Ani słówka. Nie przeszkadzaj mi. Jeśli krzykniesz, lub zapłaczesz, Thenardierowa nadejdzie i porwie cię.

Wówczas nie spiesząc się, ale też nie robiąc jednego dwa razy, z dokładnością szybką a pewną, tembardziej zdumiewającą, że lada chwila mógł nadejść patrol Javerta, odwiązał z szyi chustkę, opasał nią Cozettę pod pachami, tak żeby nie skaleczyła dziecięcia, przywiązał krawat do jednego końca sznura na supeł w marynarce, jaskółczym zwany, drugi koniec sznura wziął w zęby, zdjął trzewiki i pończochy, przerzucił je za mur, wskoczył na podmurowanie i zaczął wdzierać się do góry od rogu ściany z taką pewnością i mocą, jakby miał szczeble pod piętami i łokciami. Nie upłynęło pół minuty, już na kolanach stał u szczytu.

Cozetta patrzyła nań osłupiała, słowa nie rzekłszy. Rozkaz Jana Valjean i nazwisko Thenardjerowej krew jej lodem ścięło w żyłach.

Nagle usłyszała głos Jana Valjean, który wołał pocichu:

— Oprzej się plecami o ścianę.

Usłuchała.

— Nie mów ani słowa, i nie lękaj się — dodał Jan Valjean.

Uczuła, że ją podnoszą z ziemi.

Mim mogła zrozumieć co się z nią dzieje, już była na wierzchu muru.

Jan Valjean porwał ją na plecy, dwie rączki chwycił w lewą rękę, położył się krzyżem na murze i przyczołgał do ściany narożnej. Jak był przewidział, stał tam budynek, którego dach łagodną pochyłością zniżał się dość blizko ziemi, dotykając lipy.

Okoliczność bardzo przyjazna, gdyż mur z tej strony był nierównie wyższy niż od ulicy. Jan Valjean widział ziemię w dalekiej głębi przed sobą.

Właśnie spuścił się na dach, trzymając się jeszcze rękoma szczytu muru, gdy rozległy się krzyki przybywającego patrolu. Usłyszano gromki głos Javerta:

— Szperać w uliczce zamkniętej! Ulica Droit-Mur jest strzeżona, mała ulica Picpus także. Ręczę, że jest w uliczce niecałej!

Żołnierze rzucili się w uliczkę Genrot.

Jan Valjean zsunął się z dachu, podtrzymując Cozettę, dostał do lipy i skoczył na ziemię. Czy z przerażenia czy z odwagi, Cozetta ani pisnęła. Miała tylko trochę startą skórę na rękach.

VI.

Początek zagadki.

Jan Valjean znajdował się w pewnym rodzaju obszernego ogrodu dziwnego pozoru, w jednym z tych smutnych ogrodów, które zdają się umyślnie przeznaczone na to, aby je oglądano zimą i w nocy. Miał kształt podłużny, w głębi widać było aleję z wyniosłych topoli, w kącie gęste zarośla, w środku jakaś przestrzeń bez cienia, dalej kilka drzew owocowych krzywych i nastrzępionych jak duże krzaki, kwatery z warzywem, cieplarnia z zasianemi melonami, których szklane dzwony odbijały promienie księżyca, i stara sadzawka. Tu i owdzie ławki kamienne czarnym mchem pokryte. Przy alejach stały drzewka sztywne i ponure. Trawa sięgała do połowy pnia, resztę kryła pleśń zielonawa.

Obok Jana Valjean był budynek, z którego dachu się spuścił, stos drzew i chrustu, a za tym stosem tuż przy murze posąg kamienny, którego twarz mocno uszkodzona, była tylko niekształtną maską, niepewnie zarysowującą się w ciemnościach.

Budynek ów był starym, niegdyś mieszkalnym domem; widać było jeszcze pokoje opustoszałe, z których jeden cały zawalony, widocznie służył za skład rupieci.

Wielki gmach ulicy Droit-Mur, zachodzący na

małą ulicę Picpus, tworzył przy ogrodzie dwie facjaty pod kątem prostym. Facjaty miały jeszcze tragiczniejszą postać z wnętrza, niż z zewnątrz. Wszystkie okna opatrzone były kratami. W żadnem nie było światła. Na górnych piętrach były kosze jak w więzieniach. Jedna facjata rzucała na drugą cień, który spadał na ziemię jak ogromna czarna płachta.

Innych domów nie było widać. Głąb' ogrodu tonęła w mgle i nocy. Wszelako dostrzedz było można mury, po za któremi zdawały się być inne ogrody, i nizkie dachy od ulicy Polonceau.

Niepodobna sobie wyobrazić coś dzikszego i samotniejszego nad ten ogród. Nikogo w nim nie było, co zresztą o tej porze mogło być rzeczą bardzo naturalną; zdawało się jednak, że w tem miejscu nikt nie chodzi nawet w samo południe.

Jan Valjean najprzód poszukał trzewików i obuł się, potem wszedł z Cozettą do szopy. Uciekającemu zdaje się, że nigdy nie jest dość ukryty. Dziecię ciągle myślało o Thenardierowej, i jakby dzieląc jego instynkt, szukało najciemniejszej kryjówki.

Cozetta drżała i tuliła się do Jana Valjean. Słychać było hałaśliwe okrzyki patrolu szperającego w ulicy niecałej, rozlegały się uderzenia kolb o kamienie, wołania Javerta na policjantów, których stawił na czatach, i jego klątwy zmięszane ze słowami, których nie można było zrozumieć.

Po kwadransie burzliwa wrzawa zaczynała się oddalać. Jan Valjean ledwie oddychał.

Zlekka przymknął ręką usta Cozetty.

Zresztą samotność, w której zostawali, była tak dziwnie spokojna, że straszny harmider, wściekły i tak blizki, nie wzbudził tu nawet cienia niepokoju. Zdawało się, że te mury zbudowane były z głuchych kamieni, o których mówi Pismo.

Nagle wśród ciszy najgłębszej, rozległ się szmer nowy; szmer niebieski, boski, niewysłowiony, równie zachwycający, jak był okropnym pierwszy. Był to

hymn, wychodzący z ciemności, błysk modlitwy i harmonji w ciemnem i strasznem milczeniu nocy; niewieście głosy, ale głosy złożone zarazem z czystych dźwięków dziewic i naiwnych dźwięków dzieci, głosy nieziemskie, podobne do tych, jakie słyszą jeszcze nowonarodzeni, jakie słyszeć zaczynają konający. Śpiew wychodził z ponurego gmachu, górującego nad ogrodem. Rzekłbyś, że w chwili, gdy oddaliła się piekielna wrzawa, zbliżał się w cieniu chór aniołów.

Cozetta i Jan Valjean padli na kolana.

Nie pojmowali co to znaczy, nie wiedzieli gdzie są, ale oboje, człowiek i dziecię, pokutnik i niewinna istota uczuli, że trzeba uklęknąć.

Głosy miały to jeszcze dziwnego w sobie, że pomimo nich, gmach wydawał się pustym. Był to jakby śpiew nadprzyrodzony w miejscu niezamieszkałem.

Gdy rozlegał się ten śpiew nadludzki, Jan Valjean nie myślał o niczem. Nie widział już nocy, tylko błękity niebios. Zdał się czuć rozwijające się skrzydła duszy, które wszyscy mamy w sobie.

Umilkły śpiewy. Trwały może dość długo. Jan Valjean nie umiał tego powiedzieć. Godziny zachwytu zawsze wydają się minutami.

Znowu nastała cisza. Żadnego szmeru na ulicy, ani w ogrodzie. I to, co groziło, i to, co uspakajało, wszystko znikło. Tylko suche liście, poruszane wichrem na szczycie murów, szeleściły łagodnie i smutnie.

VII.

Dalszy ciąg zagadki.

Zerwał się wicher nocny, co wskazywało, że już musiało być między pierwszą i drugą po północy. Biedna Cozetta nie przemówiła ani słowa. Siadła przy nim wsparłszy głowę na jego ramieniu i Jan Valjean myślał ,że usnęła. Schylił się i spojrzał na nią. Cozetta miała otwarte wielkie oczy i minę zamyśloną, co zasmuciło Jana Valjean.

Drżała nieustannie.

— Chce ci się spać? — zapytał Jan Valjean.

— Zimno mi — odpowiedziała.

I dodała po chwili:

— Czy jeszcze jest tutaj?

— Kto — spytał Jan Valjean.

— Pani Thenardier.

Jan Valjean zapomniał już jakiego sposobu użył, by skłonić Cozettę do milczenia.

— A!—rzekł—już odeszła. Nie bój się niczego.

Dziecię westchnęło jakby ciężar spadł mu z piersi.

Ziemia była wilgotną, szopa ze wszech stron otwartą, wiatr dął coraz ostrzejszy. Poczciwy człowiek zdjął z siebie surdut i okrył nim Cozettę.

— A teraz nie tak ci zimno? — zapytał.

— O mniej, ojcze!

— No, poczekaj trochę, zaraz powrócę.

Wyszedł z rudery i sunął się wzdłuż wielkiego budynku szukając lepszego schronienia. Napotkał drzwi, ale zamknięte. Wszystkie okna na dole były opatrzone kratami.

Minąwszy wewnętrzny kąt gmachu, spostrzegł okna zagięte w łuk, a w nich światło. Wspiął się na palcach i zajrzał w jedno okno. Wszystkie należały do obszernej sali z marmurową posadzką, ze słupami i arkadami, słabo oświeconej jedną lampą gorejącą w kącie. Sala była pustą, i nic się w niej nie poruszało. Wszelako dobrze się rozpatrzywszy, zobaczył na posadzce coś pokrytego całunem i mającego postać ludzką. Leżało to krzyżem, twarzą obrócone do kamieni, z wyciągniętemi rękoma, nieruchome jak śmierć. Sądząc z wężykowatej linji ciągnącej się po posadzce marmurowej, zdawało się, że ta postać złowroga miała stryczek u szyi.

Całą salę zalegało pół światła, pół cieniu, pomnażające zgrozę.

Jan Valjean często później opowiadał, że chociaż w jego życiu dużo przesunęło się grobowych widowisk, nic jednak nie widział okropniejszego i bardziej przejmującego dreszczem nad tę zagadkową nocną postać, spełniającą jakąś nieznaną tajemnicę w tem miejscu samotnem. Strasznem było pomyśleć, że to był może nieboszczyk, straszniejszem, że to był może człowiek żyjący.

Odważnie przycisnął czoło do szyby i badał czy ta postać się porusza. Napróżno czekał czas, jak mu się zdawało, dość długi: nie zrobiła najmniejszego poruszenia. Nagle zdjął go taki strach niewymowny, że uciekł. Biegł bez pamięci ku szopie, nie śmiejąc się obejrzeć. Zdawało mu się, że spojrzawszy za siebie ujrzy idącą za nim wielkim krokiem ową postać potrząsającą rękoma.

Zadyszany dostał się do rudery. Kolana uginały się pod nim, zimny pot ściekał z czoła.

Co to za miejsce? ktoby wyobrażał sobie, że jest tego rodzaju grób pośród Paryża? co za dziwny dom? Gmach pełen tajemnicy nocnej, wywołujący dusze w cieniach głosem aniołów, a gdy przyjdą, dający im znienacka przerażające widzenia, obiecujący otworzyć promieniste wrota niebios, a otwierający okropne bramy mogiły! I rzeczywiście był to budynek, dom mający swój numer na ulicy! To nie senne marzenie! By uwierzyć temu, czuł potrzebę dotknąć się kamieni!

Zimno, trwoga, niepokój, wzruszenia wieczora nabawiły go prawdziwej gorączki, wszystkie te myśli biły się w jego mózgu.

Zbliżył się do Cozetty. Ona spała.

VIII.

Zagadka coraz ciemniejsza.

Dziecię położyło głowę na kamieniu i usnęło.

Usiadł przy niem i patrzył. Powoli wpatrując się w Cozettę, uspokajał się i odzyskiwał swobodę umysłu.

Teraz jasno poznał tę prawdę, która odtąd miała być tłem jego życia, że dopóki Cozetta pozostanie przy nim, wszystko czego będzie potrzebował — to tylko dla niej, czego będzie się lękał, to jedynie z jej powodu. Nie czuł nawet zimna, bo swym surdutem osłonił dziecię. Tak marząc, słyszał od kilku minut dziwny szelest, jakby brzęk poruszanego dzwonka. Szelest wychodził z ogrodu. Słyszał go wyraźnie, chociaż był dość cichy. Podobne to było do odgłosu dzwoneczków bydła na pastwisku w nocy.

Jan Valjean obrócił głowę na ten szelest.

Spojrzał i zobaczył, że jest ktoś w ogrodzie.

Istota podobna do człowieka chodziła między szklannemi dzwonami cieplarni, podnosząc się, pochylając i zatrzymując z regularnemi poruszeniami, jakby coś ciągnęła po ziemi i rozkładała. Istota ta zdawała się utykać na nogę.

Jan Valjean zadrżał tem ciągłem drżeniem nieszczęśliwych, dla których wszystko jest nieprzyjazne i podejrzane. Nie ufają dniowi, bo ten widoczniejszem

ich czyni, nie ufają nocy, bo pomaga do schwytania ich znienacka. Przed chwilą drżał na myśl, że ogród jest pusty, teraz zląkł się, bo kogoś zobaczył.

Z urojonej trwogi wpadł w rzeczywistą. Pomyślał, że Javert i policjanci pewnie nie odeszli, że zapewne zostawili czaty na ulicy, że jeśli ten człowiek zobaczy go w ogrodzie, krzyknie na złodzieja i odda go policji. Wziął po cichu na ręce Cozettę uśpioną i złożył za stosem starych sprzętów, w najciemniejszym kącie szopy. Cozetta się nie poruszała.

Ztąd przypatrywał się ruchom człowieka w cieplarni. Dziwnem się zdawało, że brzęk dzwonka towarzyszył wszystkim jego poruszeniom. Gdy człowiek się zbliżył i brzęk się zbliżył, gdy się oddalał i brzęk się oddalał, gdy zrobił ruch nagły, rozległo się drganie dzwonka, gdy stanął brzęk ucichał. Widocznie dzwonek był przywiązany do tego człowieka; ale w takim razie cóż to miało znaczyć? co za jeden ten człowiek, na którym wisiał dzwoneczek jak na byku lub baranie?

Zadając sobie te pytania, dotknął rąk Cozetty. Były zlodowaciałe.

— A mój Boże! — rzekł.

I zawołał po cichu:

— Cozetto!

Nie otwierała oczu.

Wstrząsnął nią mocno.

Nie budziła się.

— Czyżby umarła!—pomyślał i powstał, drżąc cały.

Najokropniejsze myśli bezładnie snuły mu się po głowie. Są chwile, w których najstraszniejsze przeczucia trapią nas jak gromada jędz i gwałtownie rozsadzają komórki naszego mózgu. Gdy chodzi o życie osób kochanych, rozsądek nasz wynajduje tysiące szaleństw. Przypomniał sobie, że w chłodną noc na świeżem powietrzu sen może być śmiertelnym.

Cozetta blada, nieruchoma, padła wyciągnięta u nóg jego.

Słuchał jej oddechu; oddychała, ale słabem, zamierającem tchnieniem.

Jak ją rozgrzać? jak rozbudzić? Wszystko ustępowało przed tą jedną myślą. Jak obłąkany wyskoczył z rudery.

Potrzeba było koniecznie nim upłynie kwadrans, złożyć Cozettę w łóżku przed ogniem.

IX.

Człowiek z dzwonkiem.

Szedł prosto do człowieka, którego zobaczył w ogrodzie. Po drodze wydobył z kieszeni kamizelki rulonik z pieniędzmi.

Człowiek ów, ze schyloną ku ziemi głową, nie widział go nadchodzącego. W kilku susach Jan Valjean stanął przed nim i zawołał:

— Sto franków!

Człowiek podskoczył i podniósł głowę.

— Sto franków zarobicie—powtórzył Jan Valjean, jeżeli mi dacie na tę noc schronienie!

Promienie księżyca padły na wylękłą twarz Jana Valjean.

— Ach, to wy, ojcze Madeleine!—rzekł człowiek.

Na to nazwisko wymówione tym tonem, o tak późnej godzinie, w miejscu nieznanem, przez nieznajomego człowieka, cofnął się Jan Valjean.

Przygotowany był na wszystko, wyjąwszy na to jedno. Ten co do niego mówił był to starzec zgarbiony, kulawy, odziany prawie jak wieśniak, przy kolanie miał opaskę rzemienną, u której wisiał spory dzwonek. Rysów twarzy nie można było rozpoznać, bo stał w cieniu.

Poczciwiec zdjął z głowy czapkę i zawołał drżący.

— A mój Boże, jak się tu dostaliście, ojcze Madeleine! którędyście weszli, Chryste Panie! Spadacie jak z obłoków. To prawda, że jeśli spadniecie kiedy, to chyba ztamtąd. A jak to wyglądacie. Bez chustki na szyi, bez kapelusza, bez surduta! Wiecie że nastraszylibyście każdego, coby was nie znał? Bez surduta! Panie Boże, czy święci teraz warjują! Ale jakeście tu weszli?

Słowa płynęły jedne za drugiemi. Starzec trzepał z tą gadatliwością wieśniaczą, w której nie ma nic niepokojącego. We wszystkiem co mówił malowało się osłupienie i dobroduszna szczerota.

— Kto jesteście? i co to za dom tutaj?—zapytał Jan Valjean.

— A doprawdy, tego nadto — zawołał starzec; jestem ten, któremuście tu dali miejsce, a ten dom, to dom, w którym daliście mi miejsce. Jak to! nie poznajecie mię!

— Nie — rzekł Jan Valjean. A jakim sposobem wy mię znacie?

— Ocaliliście mi życie — rzekł człowiek.

Obrócił się, promień księżyca odznaczył rysy jego twarzy i Jan Valjean poznał starego Fauchelevent.

— A! — rzekł Jan Valjean — to wy? tak, poznaję was teraz.

— Prawdziwe szczęście! — rzekł stary tonem wyrzutu.

— A co tu robicie o tej porze! — zapytał Jan Valjean.

— Ba! przecież okrywam moje melony!

W istocie stary Fauchelevent w chwili, gdy Jan Valjean do niego przystąpił, trzymał w ręku koniec słomianki, którą rozciągał na cieplarnię. Położył już tak kilka słomianek od godziny jak był w ogrodzie. Przy tej to czynności robił szczególne poruszenia, które zauważył z szopy Jan Valjean.

Stary mówił dalej:

— Powiedziałem sobie: księżyc jest w pełni, będzie przymrozek. Gdybym odział moje melony surdutem? I dodał patrząc na Jana Valjean z prostaczym śmiechem: dalibóg, powinnibyście tak samo uczynić! Ale jakeście się tu dostali?

Jan Valjean widząc, że jest poznany przez tego człowieka, przynajmniej pod nazwiskiem Madeleina, postępował teraz bardzo ostrożnie. Zadawał mnóstwo zapytań. Rzecz dziwna, role zdawały się zmienione. On niespodziany przybysz, rozpytywał.

— Co to za dzwonek macie u kolana?

— To? — odpowiedział Fauchelevent — to żeby mię unikano.

— Jakto! żeby was unikano?

Stary Fauchelevent mrugnął okiem z miną nie dającą się opisać.

— A do licha! tu same kobiety w tym domu, wiele młodych dziewcząt. Zdaje się, że byłbym niebezpiecznym, gdyby mię spotkały. Dzwonek je przestrzega. Gdy się zbliżam, one odchodzą.

— Cóż to za dom?

— Ba! alboż nie wiecie!

— Ależ nie, nie wiem.

— Wszakżeście mię tu umieścili jako ogrodnika!

— Odpowiadajcie, jakbym o niczem nie wiedział.

— A więc, przecież to klasztor Picpusa Małego!

Jan Valjean teraz sobie przypomniał. Przypadek, to jest Opatrzność, sprowadzała go właśnie do klasztoru dzielnicy Sw. Antoniego, w którym stary Fauchelevent, kaleka od czasu jak upadł pod wóz, przed dwoma laty przyjęty został na jego rekomendacje. Powtórzył jakby sam mówiąc do siebie:

— Klasztór Picpusa-Małego!

— Ale wracając do rzeczy — zapytał z kolei Fauchelevent — jakim u licha sposobem dostaliście się tutaj, ojcze Madeleine? Prawda że jesteście świętym, ale zawsze mężczyzną, a mężczyźni tu nie wchodzą.

— A jednak wy tu jesteście?

— Ale nikt więcej.

— Wszelako — dodał Jan Valjean — muszę tu zostać.

— A mój Boże! — zawołał Fauchelevent.

Jan Valjean zbliżył się do starca i rzekł głosem poważnym:

— Ojcze Fauchelevent, ocaliłem ci życie.

— Ja pierwszy to przypomniałem — odpowiedział Fauchelevent.

— Otóż dziś możecie zrobić to dla mnie, com niegdyś dla was uczynił.

Fauchelevent ujął staremi pomarszczonemi i drżącemi rękoma dwie silne ręce Jana Valjean, i kilka chwil nie mógł wyrzec ani słowa. Nakoniec zawołał:

— Oh! byłoby to błogosławieństwo Boże, gdybym mógł odpłacić się wam trochę! Ja! mam ocalić wam życie! panie merze, rozporządzaj starym poczciwcem.

Przedziwna radość przeistoczyła starca. Z jego twarzy zdawały się tryskać promienie.

— Co mam czynić? — zapytał.

— Zaraz wam wytłumaczę. Macie izbę?

— Mam samotną chałupę, za ścianą starego klasztoru tam w kącie, której nikt nie widzi. Są trzy izby.

W istocie chałupa była tak ukrytą za ruiną, że jej nikt nie mógł widzieć, i Jan Valjean nie spostrzegł.

— Dobrze — rzekł Jan Valjean. Teraz żądam od was dwóch rzeczy.

— Jakich, panie merze?

— Najprzód, nie powiecie nikomu co o mnie wiecie. Powtóre, nie będziecie się starali dowiedzieć nic więcej.

— Wola pańska. Wiem że pan nic nieuczciwego nie możesz zrobić i zawsze byłeś człowiekiem bożym. A przytem, pan mię tu umieściłeś. To już dotyczy pana. Jestem na pańskie rozkazy.

— Dobrze. A teraz chodźcie ze mną. Zabierzemy dziecko.

— A! — rzekł Fauchelevent. Jest dziecko!

Nie dodał ani słowa i szedł za Janem Valjean, jak pies za swym panem.

W niespełna pół godziny potèm, Cozetta rumiana od płomieni dobrego ognia, spała w łóżku starego ogrodnika. Jan Valjean włożył chustkę i surdut, odszukano i podniesiono kapelusz przez mur przerzucony; gdy Jan Valjean wdziewał surdut, Fauchelevent odpasał rzemień z dzwonkiem, który teraz zawieszony na gwoździu przy koszu, ozdabiał ścianę. Dwaj ludzie grzeli się oparci łokciami o stół, na który Fauchelevent podał bochenek czarnego chleba, kawał sera, butelkę wina i dwie szklanki; stary rzekł do Jana Valjean kładąc rękę na jego kolanie:

— A! ojcze Madeleine! nie poznaliście mię od razu! Ocalacie życie ludziom, a potem ich nie poznajecie! O, to źle! ale oni pamiętają o was! niewdzięczni jesteście!

X.

Tłumaczy się jakim sposobem Javert zpudłował.

Wypadki, których przed chwilą widzieliśmy, że tak powiem lewą stronę, spełniły się w sposób jak najprostszy.

Gdy Jan Valjean nocą tego samego dnia, w którym Javert aresztował go przy śmiertelnem łożu Fantiny, uciekł z więzienia municypalnego w M. — nad M. — policja domyśliła się, że zbiegły galernik musiał obrać drogę ku Paryżowi. Paryż jest stekiem wszelkiego tułactwa; wszystko gubi się i znika w tem mrowisku ludzkiem jak w przepaściach morza. W żadnym borze lepiej się nie ukryje, jak w tej gęstwinie ludzkiej. Wiedzą o tem zbiegowie wszelkiego rodzaju. Udają się do Paryża, jak do otchłani, w której głębiach znaleźć mogą ocalenie. Wie o tem i policja, to też w Paryżu szuka tego, co gdzieindziej zgubiła. Szukała tam byłego mera M. — nad M. — Javert popowołany został do Paryża, by kierował poszukiwaniami. W istocie Javert potężnie się przyczynił do schwytania Jana Valjean. Gorliwość i rozum, jakich dał dowody Javert w tej okoliczności, zwróciły na niego uwagę p. Chabouillet, sekretarza prefektury przy hrabim Anglès. P. Chambouillet, który zresztą protegował Javerta, kazał go umieścić jako inspektora

M. — nad M. — przy policji paryzkiej. Tu Javert okazał się rozmaicie — i dodajmy, choć słówko, wyda się dziwnem w tego rodzaju usługach — uczciwie użytecznym.

Przestał myśleć o Janie Valjean — tego rodzaju psy gończe zapominają o wczorajszym wilku dla dzisiejszej zwierzyny — gdy w grudniu 1823 przeczytać mu przyszło jeden dziennik, jemu co nigdy nie czytywał gazet; ale Javert, człowiek zasad monarchicznych, pragnął dowiedzieć się o szczegółach tryumfalnego wjazdu „księcia generalisimusa“ do Bayonny. Kończąc czytanie artykułu, który go zajmował, przypadkiem rzucił oko na nazwisko Jan Valjean, będące u spodu gazety. Dziennik donosił, że galernik Jan Valjean umarł, i ogłaszał ten fakt w tak formalnych wyrazach, że Javert nie powątpiewał. Rzekł tylko: *teraz to już siedzi dobrze zamknięty*, potem rzucił dziennik i myślał o czem innem.

Po pewnym przeciągu czasu, przesłała prefektura policji Sekwany i Oisy do prefektury policji paryzkiej notę o porwaniu dziecka, co miało miejsce, jak opowiadano ze szczegółowemi okolicznościami, w gminie Montfermeil. Mała dziewczynka siedmio do ośmioletnia — stało w nocie — powierzona przez matkę miejscowemu oberżyście, została skradzioną przez nieznajomego człowieka; ta mała imieniem Cozetta była córką dziewczyny nazwiskiem Fantina, zmarłej w szpitalu, nie wiadomo gdzie i kiedy. Nota dostała się w ręce Javerta i dała mu wiele do myślenia.

Znał dobrze nazwisko Fantiny. Przypomniał sobie, że Valjean pobudził jego, Javerta, do śmiechu, prosząc o trzydniową zwłokę, by odszukać dziecię tej istoty. Przypomniał sobie, że Jan Valjean aresztowany został w Paryżu w chwili, gdy wsiadał do dyliżansu idącego do Montfermeil. Kilka wskazówek naprowadzały już nawet w owym czasie na domysł, że poraz drugi wsiadał do dyliżansu, i że poprzedniego dnia odbył pierwszą wycieczkę w okolice wioski, bo

w samej wiosce go nie widziano. Po co udawał się do Montfermeil? nie można było odgadnąć. Javert teraz to zrozumiał. Znajdowała się tam córka Fantiny. Jan Valjean jeździł po nią. Otoż dziecko to zostało skradzione przez nieznajomego. Kto mógł być owym nieznajomym? Może Jan Valjean? ale Jan Valjean nie żył. — Nie mówiąc nikomu, Javert zamówił miejsce na dyliżansie w Plat d'etain, przy ulicy Planchette i odbył podróż do Montfermeil.

Spodziewał się powziąć tam ważne objaśnienia, a znalazł wielką ciemność.

W pierwszych dniach wygadali się rozzłoszczeni Thenardierowie. Zniknienie Skowronka narobiło hałasu w wiosce. Wylęgły się różne historje, które w końcu przybrały podobieństwo do kradzieży dziecka. Ztąd nota policji. Ale gdy pierwsza złość minęła, Thenardier przedziwnym instynktem wiedziony, prędko zrozumiał, że było rzeczą niebezpieczną poruszać pana prokuratora królewskiego i że jego skargi z powodu *porwania* Cozetty w najbliższem następstwie zwróciłyby iskrzącą źrenicę sprawiedliwości na niego, na Thenardiera, i na wiele jego ciemnych sprawek. Sowy przedewszystkiem nie lubią, gdy im przynoszą zapaloną świecę. A najprzód jakżeby się wykręcił z otrzymanych tysiąca pięćset franków? Zwinął więc chorągiewkę, zakneblował gębę żonie, i udał zdziwionego, gdy mu gadano o *skradzionem dziecku*. Zgoła tego nie pojmował; prawda, że się żalił w pierwszej chwili, gdy mu tak prędko „porwano“ ukochane dziecię i z czułości opiekuna rad był je zatrzymać jeszcze dni parę; ale przyszedł po nie jego „dziadek“ i zabrał w sposób najnaturalniejszy w świecie. Dodał: jego dziadek, bo to robiło dobre wrażenie. Na taką to historję trafił Javert przyjechawszy do Montfermeil. W obec dziadka: rozwiała się postać Jana Valjean.

Jednakże Javert zapuścił kilka pytań, niby sądy w historję Thenardiera. — Co za jeden ów dziadek i jak się nazywa? — Thenardier odpowiedział z pro-

stotą: — To bogaty rolnik. Widziałem jego paszport. Zdaje mi się, że się nazywa Wilhelm Lambert.

Lambert jest nazwisko uczciwe i wielce uspokajające. Javert powrócił do Paryża.

— Jan Valjean naprawdę umarł — rzekł do siebie — jestem gap!

Zaczynał już zapominać o całej tej historji, gdy w marcu 1824 r. usłyszał o dziwnym jegomości, mieszkającym w parafji Św. Medarda, przezwanym „żebrakiem, który daje jałmużnę.“ Jegomość ten, jak mówiono, był kapitalistą niewiadomego nazwiska, i mieszkał samotnie z dziewczynką ośmioletnią, która tyle tylko wiedziała, że pochodzi z Montfermeil. Montfermeil! to nazwisko wracało nieustannie i Javert nadstawiał ucha. Stary żebrak i szpieg, dawny dziad kościelny, któremu ów jegomość dawał jałmużnę, dodał kilka szczegółów.—Ow kapitalista był bardzo dziki — wychodził tylko wieczorem, — nie rozmawiał z nikim, czasem tylko z ubogiemi, — i nikt nie mógł do niego przystąpić. Nosił strasznie stary surdut żółty, który jednak wart był kilka miljonów, bo cały był podszyty biletami bankowemi. — Zaciekawiło to Javerta. By przypatrzyć się zbliska fantastycznemu kapitaliście i nie spłoszyć go, pewnego dnia pożyczył od dziada nędzną odzież, i zajął miejsce, gdzie stary szpieg stał codziennie skurczony, szepcąc przez nos pacierze i podsłuchując przechodniów.

Podejrzany jegomość w istocie zbliżył się do tak przebranego Javerta, i dał mu jałmużnę; w tej chwili Javert podniósł głowę i wstrząśnienie, jakiego doznał Jan Valjean sądząc, że poznał Javerta, udzieliło się także Javertowi, któremu się zdało, że poznał Jana Valjean.

Wszelako mógł się omylić w ciemności: śmierć Jana Valjean była urzędownie potwierdzoną. Javert jeszcze wątpił, a gdy wątpił, to jako człowiek skrupulatny, Javert nikogo nie chwytał za kołnierz.

Poszedł za Janem Valjean aż do pustki Gorbeau, wyciągnął starą na słowa, co nie było rzeczą trudną. Stara potwierdziła mu fakt o surducie podszytym miljonami, i opowiedziała szczegół o bilecie tysiąc frankowym. Sama widziała! dotykała własnemi rękoma! Javert najął izbę. Wieczorem tegoż dnia przeniósł się do pustki Gorbeau. Podsłuchiwał pod drzwiami tajemniczego lokatora, spodziewając się, że jego głos usłyszy, ale Jan Valjean spostrzegł jego świecę przez dziurkę od klucza, i omylił szpiega, zachowując milczenie.

Nazajutrz Jan Valjean wyniósł się z pustki. Ale brzęk padającej monety pięcio frankowej obudził czujność starej, która słysząc poruszane pieniądze, pomyślała, że się przeprowadzają i spiesznie uprzedziła Javerta. W nocy, gdy Jan Valjean wyszedł, Javert czekał nań za drzewami bulwaru z dwoma ludźmi.

Javert zażądał w prefekturze pomocy zbrojnej, nie wymienił jednak nazwiska osoby, którą spodziewał się schwytać. Była to jego tajemnica, której dochowywał z trzech powodów: najprzód, ponieważ najmniejszy rozgłos mógł obudzić podejrzenie Jana Valjean; dalej, że schwytać starego galernika, który uciekł i miany był za zmarłego, ująć skazanego, którego noty władz sądowych pomieściły niegdyś *między złoczyńcami najniebezpieczniejszego rodzaju*, było to powodzenie niesłychane, któregoby dawniejsi urzędnicy policji pewnie nie ustąpili nowo przybyłemu Javertowi, i słusznie obawiał się, by mu nie odebrali jego galernika; nakoniec, Javert jako artysta lubił niespodzianki. Niecierpiał powodzenia zawczasu otrąbionego; to zapowiadanie z góry tryumfu, odejmowało wszelki urok w oczach Javerta. Chciał więc wykonać swoje arcydzieło w cieniu, i potem dopiero nagle je odsłonić.

Javert szedł za Janem Valjean od drzewa do drzewa, potem od rogu do rogu ulic, i ani chwili nie stracił go z oczów; nawet wtenczas, gdy Jan Valjean sądził się zupełnie bezpiecznym, Javert miał go na

oku. Dlaczego Javert nie aresztował Jana Valjean? bo jeszcze wątpił.

Trzeba sobie przypomnieć, że w owym właśnie czasie policja niebardzo była swobodną; liberalna prasa ją krępowała. Kilka samowolnych aresztowań, podniesionych w dziennikach, rozległy się aż w Izbach, i przejęły bojaźnią prefekturę. Nastawać na wolność osobistą — był to krok wielce ważny. Ajenci lękali się pomyłki; prefekt się ich czepiał, za lada błąd groził dymisją. Proszę sobie wyobrazić coby powiedziano w Paryżu, przeczytawszy taki artykulik, powtórzony przez dwadzieścia dzienników: — Wczoraj sędziwy starzec, szanowny kapitalista, przechadzając się ze swoją wnuczką ośmioletnią, został aresztowany i zamknięty w więzieniu prefektury, jako zbiegły galernik!

Dodajmy do tego, że Javert miał swoje własne skrupuły; z przestrogami prefekta łączyły się upomnienia własnego sumienia. Rzeczywiście wątpił.

Jan Valjean obrócony był tyłem i szedł w ciemnościach.

Smutek, niepokój, trwoga, znękanie, nowe nieszczęście być zmuszonym uciekać nocą i szukać na chybi trafi schronienia w Paryżu dla siebie i Cozetty, konieczność miarkowania swych kroków wedle chodu dziecięcia, wszystko to mimo wiedzy Jana Valjean zmieniało jego ruchy i nadawało jego postaci coś tak zgrzybiałego, że nawet policją uosobioną w Javercie mogło oszukać i w istobie oszukało. Niepodobieństwo przystąpienia z bliska, ubiór starego nauczyciela z emigracji, oświadczenie Thenardiera, że był rodzonym dziadkiem dziecięcia, nakoniec wiara, że umarł na galerach, pomnażały niepewności gęszczące się w umyśle Javerta.

Raz przyszło mu na myśl zapytać go nagle o paszport. Ale jeśli człowiek ten nie był Janem Valjean, ani też zacnym starym kapitalistą, prawdopodobnie w takim razie był wytrawnym filutem, uczenie i głę-

boko wtajemniczonym w podziemne knowania złoczyńców paryzkich, jakim hersztem niebezpiecznej bandy, dającym jałmużnę, by ukryć inne swe talenta — stare, wiadome rzeczy. Miał wspólników i powierników, gotowe mieszkanie na wszelki wypadek, i pewnieby umknął. Jego kołowania po ulicach wskazywać się zdawały, że nie był zwyczajnym poczciwcem. Aresztować go pospiesznie, było to „zabić kurę znoszącą złote jaja.“ Co szkodziło poczekać? Javert był pewnym, że mu się z rąk nie wyśliźnie.

Szedł więc trochę zakłopotany, tysiączne tworząc domysły o tym zagadkowym jegomości.

Dopiero dość późno, na ulicy Pontonoise, przy żywem świetle z okien szynkowni, zupełnie poznał Jana Valjean.

Na tym świecie są dwie istoty, którym drżą wnętrzności: matka znajdująca swe dziecię i tygrys, gdy swój łup przydybie. Javert doznał tego drżenia wnętrzności.

Skoro stanowczo poznał Jana Valjean, strasznego galernika, spostrzegł, że było ich tylko trzech i zażądał pomocy od komisarza policji przy ulicy Pontoise. Nim się chwyci w garść cierniową pałkę, wdziewa się rękawice.

Przez to opóźnienie i zatrzymanie się na rozstajnych drogach Rollina dla narady z ajentami o mało nie stracił tropu swej zwierzyny. Prędko jednak odgadł, że Jan Valjean chciałby się rzeką od myśliwców odgrodzić. Pochylił głowę i rozmyślał jak ogar, który dotyka nosem ziemi, by lepiej zwietrzyć drogę.

Javert z potężną trafnością instynktu szedł prosto na most austerlicki. Jedno słowo poborcy mostowego objaśniło go zupełnie.

— Widzieliście człowieka z dziewczynką?

— Żądałem od niego dwa su — była odpowiedź.

Javert przybył do mostu dość wcześnie, by ujrzeć po drugiej stronie rzeki Jana Valjean, jak prowadząc za rękę Cozettę, przechodził przestrzeń oświeconą pro-

mieniami księżyca. Widział, jak zawracał w kierunku ulicy Chemin Vert St. Antoine; pomyślał o zamkniętej uliczce Genrot niby pułapce, i o jedynem wyjściu z ulicy Droit Mur na małą ulicę Picpus. *Zabezpieczył główne wyjścia*, jak mówią myśliwi i pospiesznie wyprawił krętemi drogami jednego ze swych ajentów, aby je strzegł. Zatrzymał patrol wracający do Arsenału i kazał mu iść z sobą. W grach tego rodzaju, żołnierze są kozerami. Zresztą jest zasadą, że dla upolowania dzika trzeba umiejętności myśliwskiej i licznej sfory psów. Skombinowawszy te rozporządzenia i czując pochwyconego Jana Valjean między zamkniętą uliczką Genrot z prawej strony, swoim ajentem z lewej, a nim, Javertem, z tyłu, zadowolony z siebie zażył tabaki.

Potem zaczął się bawić. W tej chwili czuł rozkosz piekielną. Pozwolił swej ofierze iść swobodnie, pewny, że ją trzyma w ręku, i pragnąc zarazem opóźnić ile możności chwilę jej uwięzienia; szczęśliwy, że wpadła w matnię choć jeszcze czuje się swobodną, pożerał ją oczyma z rozkoszą pająka, który pozwala trzepotać się musze, i kota co pozwala biedz myszy. Szpony mają czułość potworną, ciemne ruchy zwierza uwięzionego w ich kleszczach drażnią je przyjemnie. Co za rozkosz to duszenie powolne!

Javert rozkoszował się. Oka jego sieci były mocno zawiązane. Pewny był powodzenia; pozostawało mu tylko położyć rękę na ofiarę.

Mając silną eskortę, nie przypuszczał nawet oporu, jakkolwiek energicznym, mocnym i zrozpaczonym mógł być Jan Valjean.

Gdy doszedł do środka pajęczyny, nie znalazł muchy.

Możecie sobie wyobrazić jego wściekłość.

Rozpytał placówkę ulic Droit Mur i Picpus; ajent, który stał najspokojniej na swojem miejscu, wcale nie widział przechodzącego człowieka.

Zdarza się niekiedy, że jeleń nagle zniknie chociaż tuż za nim pędziła smycz chartów; wtedy najdoświadczeńsi myśliwi nie wiedzą co to znaczy. Duvivier, Ligniville i Despres zapominają języka w gębie. W przygodzie tego rodzaju Artonge zawołał: *To nie jeleń, to czarownik.*

Javert miał ochotę krzyknąć podobnie.

Pewną jest rzeczą, że Napoleon popełnił błędy w wojnie 1812 roku, że Aleksander popełnił błędy w wojnie Indyjskiej, że Cezar popełnił błędy w wojnie Afrykańskiej, Cyrus w wojnie ze Scytami, a Javert w wyprawie na Jana Valjean. Może nie powinien był wahać się w poznaniu dawnego galernika. Zbłądził, że odrazu i poprostu nie aresztował go w ruderze. Zbłądził, gdy poznawszy go stanowczo, nie przytrzymał na ulicy Pontoise. Zbłądził, naradzając się z pomocnikami przy świetle księżyca na rozstajnych drogach Rollina. Wprawdzie rady są użyteczne i nie szkodzi rozpytać psów zasługujących na wiarę; ale strzelec nie może być dość ostrożny, gdy poluje na niespokojnego zwierza, jak np. wilka lub galernika. Javert, zbytecznie zajęty napędzaniem na drogę ogarów, spłoszył zwierzynę, ostrzegając ją o pogoni. Zbłądził szczególniej, że gdy odszukał trop na moście Austerlitzkim, pozwolił sobie strasznej i dziecinnej igraszki trzymania na uwięzi podobnego człowieka. Miał się za silniejszeego niż był w istocie, i sądził, że może igrać jak lew z myszą. Współcześnie miał się za zbyt słabego, gdy uznał potrzebę wezwania w pomoc żołnierzy. Ostrożność fatalna, strata drogiego czasu. Javert popełnił te błędy, a jednak był on w całem znaczeniu wyrazu tem, co w myśliwstwie nazywa się *psem roztropnym.* Ale któż jest doskonały?

Wielcy strategicy miewają swoje zaćmienia.

Często wielkie głupstwa jak grube sznury składają się z mnóstwa źdźbeł. Wyskubuj nitkę po nitce, rozważaj każdą z drobnych pobudek, wpływających na postanowienie, a zerwiesz je jedne po drugich

i powiesz: to taka bagatela! Ale skręć je razem, a wydadzą się potwornie silnemi; to Attylla wahający się między Marcjanem na Wschodzie i Walentynianem na Zachodzie, to Hannibal opóźniający się w Kapui, to Danton zasypiający w Arcis sur Aube.

Jakkolwiekbądź, w tejże chwili gdy spostrzegł, że mu się wymknął Jan Valjean, Javert nie stracił głowy. Pewny, że zbiegły galernik nie może być daleko, rozstawił czaty, urządził pułapki i zasadzki, i całą noc obiegał dzielnicę. Zaraz z początku spostrzegł nieład latarni, której sznur był ucięty. Szacowna wskazówka, która jednak omyliła go do tyla, że wszystkie poszukiwania skierował ku zamkniętej ulicy Genrot. W tej niecałej ulicy są dość niskie mury od ogrodów sąsiadujących z rozległemi ugorami. Widocznie Jan Valjean uciekł tędy. To prawda, że gdyby nieco wcześniej wszedł w kąt ulicy niecałej Genrot, prawdopodobnie takby uczynił i byłby zgubiony. Javert przepatrzył ogrody i pola jakby szukał igły.

O świcie zostawił dwóch rozumnych pachołków na straży i wrócił do prefektury policji zawstydzony jak policjant, którego schwytał złodziej.

KSIĘGA SZOSTA.

PICPUS MAŁY.

I.

Mała ulica Picpus, № 62.

Przed pięćdziesięciu laty nic nie było podobniejsze do pierwszej lepszej bramy, jak brama pod numerem 62 przy małej ulicy Picpus. Przez tę bramę, zwykle bardzo gościnnie otwartą, można było widzieć dwie rzeczy, miny wcale nie grobowej: podwórko otoczone murami, na których wiła się winna latorośl, i twarz wałęsającego się stróża. W głębi nad murem widać było wysokie drzewa. Gdy promień słońca rozweselił podwórko, a szklanka wina oblicze stróża, przechodzący około numeru 62 małej ulicy Picpus mimowoli unosił z sobą najmilsze wrażenie. A jednak, jakeśmy widzieli, było to miejsce ponure.

Próg się uśmiechał; dom modlił i płakał.

Jeśli przeszedłeś za furtę, co było niełatwem, a nawet prawie niepodobnem, bo należało znać pewne hasło niby *Sezam, otwórz się!*—jeśli przeszedłeś za furtę, dostawałeś się na prawo do małego przedsionka, zkąd prowadziły schody zaciśnięte między dwoma murami i tak wązkie, że dwie osoby razem iść po nich nie mogły; jeśli nie odstraszały cię jasno-żółto pomalowane ściany z czekoladowem podmurowaniem, wchodziłeś na pierwsze piętro na korytarz, gdzie jasno-żółte malowanie i czekoladowy lampas towarzyszyły ci ze spokojną zawziętością. Dwa piękne okna oświecały scho-

dy i korytarz. Korytarz przy skręcie pod kątem prostym stawał się ciemnym. Zapuściwszy się w tę ciemną część korytarza, po kilku krokach dochodziłeś do drzwi tembardziej tajemniczych, że nie były zamknięte. Pchnąwszy je, znajdowałeś się w pokoiku sześć stóp kwadratowych przestrzeni, wyłożonym posadzką taflową, wymytym, czystym, obitym papierem nankinowym z zielonemi kwiatkami, rulon po piętnaście su. Blade światło przedzierało się dużem oknem z małemi szybkami, będącem na lewo i zajmującem całą szerokość ściany. Patrzyłeś i nic nie widziałeś; słuchałeś i nie słyszałeś ani stąpania, ani szmeru ludzkiego. Ściany nagie, w pokoju żadnych sprzętów, nawet krzesła.

Patrzyłeś jeszcze i dostrzegałeś w murze naprzeciwko drzwi otwór czworograniasty obszerności stopy kwadratowej, gęsto wzdłuż i wszersz okratowany żelaznemi pręty, które czarne i mocne tworzyły kwadraciki, powiedziałbym prawie oka, mające półtora cala średnicy. Zielone kwiatki nankinowego papieru spokojnie w porządku dochodziły do krat żelaznych; to grobowe zetknięcie nie przestraszało ich ani płoszyło. Przypuszczając, że jest istota ludzka dość przedziwnie chuda, coby probowała wejść lub wyjść przez otwór kwadratowy, krata byłaby jej nie puściła. Ciało tędy nie przeszło, ale przechodził wzrok, to jest duch. Widać pomyślano o tem, bo w tyle za kratą zasłaniała otwór blacha osadzona w murze i pokłuta na tysiączne drobne dziurki, jak przetak. U spodu blachy wązka szczelina, podobna do otworów w skrzynkach na listy. Pas spokojny z szyjką od dzwonka wisiał na prawo okratowanego otworu.

Gdy pociągnął za pasek, dzwonek zabrzęczał i usłyszałeś głos tuż przy sobie, co cię przejmowało dreszczem.

— Kto tam? — zapytywał głos.

Był to głos kobiecy, głos cichy, tak cichy, że zdawał się grobowym.

I tu należało znać słówko magiczne. Jeśliś go nie umiał, głos umilkał, ściany stawały się ciche i milczące, jakby z drugiej strony zaległa wystraszona noc grobowa.

Jeśliś znał słówko, głos odzywał się znowu:

— Wejdźcie na prawo.

Wówczas spostrzegałeś na prawo, naprzeciw okna, drzwi szklane w ramach pomalawanych zielono. Podnosiłeś zasówkę, przechodziłeś drzwi i doświadczałeś zupełnie podobnego wrażenia, jak gdy wchodzisz na widowisko do loży okratowanej, nim kratę spuszczą i zapalą pająki. W istocie byłeś w rodzaju loży teatralnej, oświeconej bladem światłem drzwi oszklonych, wązkiej, z dwoma staremi krzesełkami i wystrzępioną matą; prawdziwa loża z przodem po pas, na którym leżała czarna, drewniana tabliczka. Loża była okratowaną, ale nie drewnianą wyzłacaną kratą, jak w teatrze Opery, ale potworną siecią prętów żelaznych, strasznie poplątanych i przykutych do muru ogromnemi końcami, niby zamknięte pięści.

Upłynęło kilka minut nim wzrok przyzwyczaił się do tego półświatła piwnicy i sprobował przedrzeć się za kratę, lecz dalej nad sześć cali nie sięgał. Tu spotykał zawadę w czarnej okienicy, umocnionej poprzecznemi listwami drewnianemi, pomalowanemi żółto-piernikowym kolorem. Okienice złożone z wązkich, długich deszczułek, zakrywały całą długość kraty. Były zawsze zamknięte.

Po chwili słyszałeś głos, wołający na cię z za okienicy i mówiący:

— Jestem tu. Czego chcesz odemnie?

Był to głos kochany, niegdyś może ubóstwiany. Nie widziałeś nikogo. Ledwieś słyszał szmer oddechu. Zdawało się, że wywołany cień rozmawiał z tobą przez grobową deskę.

Gdy byłeś w pewnych wymaganych warunkach, nader rzadkich, wązka deszczułka okiennicy otwierała się na prost ciebie, i wywołany cień stawał się widzeniem. Za kratą, za okiennicą dostrzegałeś o ile dozwalała widzieć krata, głowę a właściwie tylko usta i brodę, reszta pokryta czarna zasłoną. Dostrzegałeś czarny zakonny fartuszek na piersiach i zaledwie wyraźne kształty osłonione czarnym całunem. Ta głowa mówiła do ciebie, ale nie patrzyła na cię i nie uśmiechała się nigdy.

Światło z tyłu ciebie padało w ten sposób, że widziałeś ją białą, a ona ciebie czarnym. To światło było symbolem.

Tymczasem oczy zatapiały się chciwie przez wązki otwór w miejscu zamkniętem wszystkim spojrzeniom. Głęboka ciemność otaczała tę postać w żałobie. Oczy szperały w ciemności, pragnąc rozpoznać co było dokoła widziadła. Po pewnym czasie spostrzegałeś, żeś nic nie widział. Widziałeś noc, próżnię, ciemności, zmrok zimowy, pomięszany z wyziewami grobu, rodzaj strasznego spokoju, milczenie, w którem nie dolatywało twych uszów nawet westchnienie, ciemność, w której nawet widm nie dostrzegałeś.

Coś widział, było to wnętrze klasztoru.

Było to wnętrze posępnego i surowego domu, który zwano klasztorem Bernardynek Nieustającej Adoracji. Ta loża to parlatorjum. Ten głos pierwszy, który do ciebie przemówił, to głos furtjanki, która nieustannie siedziała nieruchoma i milcząca z drugiej strony muru przy kwadratowym otworze, opatrzonym kratą żelazną i blachą o tysiącu dziurkach niby poddwójną przyłbicą.

Ciemność, zalegająca okratowaną lożę, ztąd pochodziła, że parlatorjum miało jedno okno od strony świata, a żadnego od strony klasztoru. Oczy profanów nie powinny były nic widzieć w tem świętem miejscu.

Jednakże było coś po za tą ciemnością, było światło; było życie w tej śmierci. Chociaż klasztor zamurowany był dla wszystkich, sprobujemy do niego wprowadzić czytelnika, i z zachowaniem pewnego umiarkowania opowiedzieć rzeczy, których powieściopisarze nigdy nie widzieli, a następnie też, nigdy nie opowiadali.

II.

Reguła Marcina Verga.

Klasztor, który w roku 1824 istniał od dawnych czasów przy małej ulicy Picpus, należał do zgromadzenia Bernardynek reguły Marcina Verga.

Bernardynki te nie stanowiły gałęzi zakonu Klerwalonskiego, jak Bernardyni, lecz z Benedyktynami należały do Citeaux. Czyli innemi słowy, podlegały Świętemu Benedyktowi, nie zaś Świętemu Bernardowi.

Kto trochę grzebał w starych księgach wie, że Marcin Verga założył w roku 1425 zgromadzenie Bernardynek-Benedyktynek, którego główną stolicą była Salamanca, a filją Alcala.

Zgromadzenie to rozgałęziło się po wszystkich katolickich krajach Europy.

Te szczepienia jednego zakonu na drugim nie są niezwyczajne w kościele łacińskim. Że wymienim tylko sam zakon Św. Benedykta, o którym tu mowa; z zakonem tym łączyły się, nie licząc reguły Marcina Verga, cztery kongregacje: dwie we Włoszech, Monte Cassino i Św. Justyny Padewskiej, dwie we Francji, Cluny i Św. Maur, i dziewięć zakonów, Valambrosa, Grammont, Celestyni, Kameduły, Kartuzi, Pokorni, Oliwatorowie, Sylwestrjanie i nakoniec Cystersi; albowiem Cystersi, będący pniem innych zakonów, sami są odnogą Św. Benedykta. Cystersi datują od Św. Ro-

berta, opata Molesme w djecezji Langres w r. 1098. Wiadomo zaś, że w roku 529 djabła, który osiadł na pustyni Subiaco (był już stary, czy dlatego stał się pustelnikiem?) wypędził siedemnastoletni Ś-ty Benedykt z dawnej świątyni Apollina, w której zamieszkiwał.

Po regule Karmelitów bosych, chodzących bez obuwia, noszących na szyi sznur z Łoziny i nie siedzących nigdy, najtwardszą jest reguła Bernardynek-Benedyktynek Marcina Verga. Ubrane są czarno z fartuszkiem, który według wyraźnego przepisu Św. Benedykta, dochodzi pod brodę. Suknia z grubego sukna z szerokiemi rękawami, długa zasłona wełniana, fartuszek sięgający twarzy, kwadratowy na piersiach, przepaska dochodząca do oczów, taki był ich habit. Wszystko czarne, wyjąwszy przepaski, która była białą. Nowicjuszki noszą taki sam habit, cały białego koloru. Profeski mają prócz tego różaniec przy boku.

Bernardynki-Benedyktynki Marcina Verga praktykują Nieustającą Adorację, podobnie jak Benedyktynki zwane Pannami Sakramentkami, które na początku bieżącego stulecia miały w Paryżu dwa domy, jeden w Temple, drugi przy ulicy Nowej Św. Genowefy. Zresztą Bernardynki-Benedyktynki Picpusa Małego, o którym mówimy, były zupełnie innego zakonu, niż Panny Sakramentki, zamknięte w Temple i na ulicy Nowej Św. Genowefy. Liczne różnice zachodziły w regule, były także i w ubiorze. Bernardynki-Benedyktynki Picpusa Małego nosiły fartuszki czarne, a Benedyktynki Sakramentki z ulicy Nowej Św. Genowefy białe, nadto miały na piersiach wizerunek Najśw. Sakramentu z pozłacanego srebra lub miedzi, wielkości prawie trzech cali. Zakonnice Picpusa Małego wcale nie nosiły Najśw. Sakramentu. Pomimo Nieustającej Adoracji, wspólnej klasztorowi Picpus Mały i domowi Temple, dwa te zakony były zupełnie różne. Podobieństwo było jedynie w odprawianiu nabożeństw do Najświętszego Sakramentu; zupełnie tak sa-

mo jak w czczeniu wszelkich tajemnic, dotyczących dziecinnego wieku, życia i śmierci Jezusa Chrystusa i Najświętszej Panny; podobne były dwa zakony zresztą bardzo różne, a czasem nawet sobie nieprzyjazne, do Oratorjanów włoskich, ustanowionych we Florencji przez Filipa Nereusza i Oratarjanów francuzkich, ustanowionych w Paryżu przez Piotra Berulle. Oratorjanie paryscy chcieli mieć pierwszeństwo, gdyż Filip Nereusz był tylko świętym, a Berulle był kardynałem.

Wróćmy do twardej reguły hiszpańskiej Marcina Verga.

Bernardynki-Benedyktynki tej obserwacji poszczą rok cały, suszą w poście i wielu innych dniach, im tylko właściwych; wstają z pierwszego snu o pierwszej po północy i do trzeciej godziny czytają brewiarz i śpiewają jutrznię, śpią pod grubą sukienną kołdrą w każdej porze roku, na sienniku, nie używają nigdy kąpieli, nie palą w piecach, biją się dyscyplinami w piątek, przestrzegają ścisłego milczenia, mówią tylko w czasie rekreacji bardzo krótkich, i zamiast koszuli noszą włosiennicę przez sześć miesięcy od 14 września, uroczystości Podniesienia Krzyża, aż do Wielkiej Nocy. Te sześć miesięcy są złagodzeniem reguły, która przepisuje nosić włosiennicę rok cały, ale w lecie jest tak nieznośną, że sprowadza gorączki i spazmy nerwowe. Należało ograniczyć jej użycie. Pomimo nawet tego złagodzenia, gdy 14 września zakonnice włożą tę koszulę, przez trzy lub cztery dni chorują na gorączkę. Posłuszeństwo, ubóstwo, czystość, nieustanna klauzura, takie są śluby, które reguła jeszcze zaostrza.

Przełożoną wybierają na trzy lata matki, zwane *matkami głosującemi*, bo mają głos w kapitule. Przełożoną można powtórnie wybrać tylko dwa razy, panowanie jej przeto nigdy nie trwa dłużej nad lat dziewięć.

Nigdy nie widzą księdza odprawiającego nabożeństwo, zakrywa go zawsze zasłona z grubego sukna, dziewięć stóp długa. W czasie kazania, gdy kazno-

dzieja jest w kaplicy, spuszczają na twarz woale; muszą zawsze mówić pocichu, chodzić ze spuszczoną głową i oczyma utkwionemi w ziemię. Jeden tylko mężczyzna może wejść do klasztoru—arcybiskup djecezji.

Jest tam wprawdzie i drugi, ogrodnik, ale tym zawsze bywa starzec, i żeby nieustannie był samotny i przestrzegał zakonnice, by go unikały, przywiązują mu dzwonek do kolana.

Ulegają przełożonej z posłuszeństwem bezwarunkowem i biernem. Jest to uległość kanoniczna z całem zaparciem siebie. Jak na głos Chrystusa, *ut voci Christi*, na skinienie, na pierwszy znak, *ad nutum, ad primum signum*, natychmiast z radością, wytrwałością i pewnem ślepem posłuszeństwem, *prompte, hilariter, perseveranter et coeca quadem obedientia*; nie mogą czytać ani pisać bez wyraźnego pozwolenia, *legere vel scribere non adiscerit sine expressa superioris licentia.*

Każda z nich kolejno odbywa to, co nazywają *przebłaganiem*. Przebłaganie jest to modlitwa za wszystkie zdrożności, gwałty, niegodziwości i zbrodnie, jakie się popełniają na ziemi. Przez dwanaście godzin z rzędu, od czwartej wieczór do czwartej z rana, lub od czwartej z rana do czwartej wieczór siostra, odbywająca *przebłaganie*, klęczy na kamieniach przed Najświętszym Sakramentem, ze złożonemi rękoma i stryczkiem u szyi. Gdy nie może wytrzymać ze znużenia, pada krzyżem, twarzą do ziemi, z wyciągniętemi na krzyż rękoma; to cała ulga. W takiej postawie modli się za wszystkich winowajców na świecie. Jest to wielkie aż do szczytności.

Akt ten spełnia się przed słupem, na którym goreje świeca woskowa; mówią też bez różnicy, *czynić przebłaganie, lub być u słupa.* Zakonnice przez pokorę wolą nawet to ostatnie wyrażenie, bo zawiera myśl kary i poniżenia.

Czynność taka pochłania całą duszę. Siostra u słupa nie obróciłaby się, choćby za nią piorun uderzył.

Prócz tego zawsze jedna zakonnica klęczy przed Najświętszym Sakramentem. Stacja trwa godzinę. Zmieniają się jak żołnierze na warcie. W tem jest Nieustająca Adoracja.

Przełożone i matki zwykle miewają imiona, tchnące niezwykłą powagą, przypominające nie już świętych i męczenników. ale ważniejsze chwile z życia Jezusa Chrystusa, jako to: matka Narodzenie, matka Poczęcie, matka Męka i t. p. Wszelako imiona świętych nie są zabronione.

Gdy na nie patrzysz, spostrzegasz tylko ich usta. Wszystkie mają żółte zęby. Nigdy szczoteczka od zębów nie postała w klasztorze. Czyszczenie zębów mieści się na najwyższym szczeblu drabiny, u której spodu czytasz: zguba duszy.

Nie zowią nic *mój*, *moja*, *moje*. Nie mają nic własnego i nie powinny być do niczego przywiązane. O każdej rzeczy mówią: *nasza*; tak: nasza zasłona, nasz szkaplerz; mówiąc o swej koszuli powiedziałyby *nasza koszula*. Niekiedy przywiązują się do dobrej rzeczy, do książki z godzinkami, do relikwji. do święconego medalika. Skoro spostrzegą to przywiązanie, powinny natychmiast rzecz oddać. Przypomina to słówko Ś-ej Teresy, do której pewna wielka dama, w chwili wstąpienia do żakonu, powiadziała: Pozwól mi matko posłać po moją Biblję, mam do niej wielkie przywiązanie.—*A! masz przywiązanie do czegóś! W takim razie nie wchodź do klasztoru.*

Żadnej nie wolno się zamknąć, mieć swój kącik, swój pokój. Mieszkają w otwartych celach. Spotykając się, jedna mówi: *Niech będzie pochwalony i uwielbiony Przenajświętszy Sakrament Ołtarza.* Druga odpowiada: *Na wieki wieków!* Jak we wszystkich praktykach, staje się to mechanicznem z nałogu; często się zdarza, że jedna powie *na wieki wieków*, nim druga ma czas wypowiedzieć dość długi zresztą frazes: *Niech będzie pochwalony i uwielbiony Najświętszy Sakrament Ołtarza!*

U Wizytek wchodząca mówi: *Ave Maria*, a ta, do której wchodzi, odpowiada: *Gratia plena*. Powitanie pełne wdzięku w istocie.

O każdej godzinie dnia biją trzy dodatkowe uderzenia we dzwon kościelny klasztoru. Na ten znak przełożona, matki głosujące, profeski, siostry służebne, nowicjuszki i aspirantki przerywają cokolwiek mówiły, czyniły, lub myślały, i wszystkie mówią, jeśli naprzykład wybije piąta: — *O piątej godzinie i w każdej godzinie niech będzie pochwalony i uwielbiony Przenajświętszy Sakramant Ołtarza!* Jeśli wybije ósma: *O ósmej godzinie i w każdej godzinie* i t. d., i t. d., stosownie do godziny.

Zwyczaj ten, mający na celu przerywać myśli i zawsze je zwracać do Boga, istnieje w wielu zgromadzeniach; tylko formuła się zmienia. Tak u Dzieciątka Jezus mówią: — *W godzinie obecnej i w każdej godzinie niech miłość Jezusa zapala me serce!*

Benedyktynki-Bernardynki Marcina Verga przed laty pięćdziesięciu zamknięte w klasztorze Picpusa Małego, śpiewają nabożne pieśni tonem poważnym, śpiewem czysto choralnym, zawsze głośno przez cały czas trwania nabożeństwa. Gdziekolwiek jest w mszale przestanek, milkną, dodając pocichu: *Jezus-Marja-Józef*. Podczas nabożeństwa za umarłych dobierają tak nizkiego tonu, że głos kobiecy prawie nie może się bardziej zniżyć. Sprawia to przejmująco tragiczne wrażenie.

Zakonnice Picpusa Małego kazały zrobić groby pod wielkim ołtarzem dla chowania swych zmarłych. *Rząd*, jak one mówią, nie pozwala, żeby do tych grobów składano trupy. Więc po śmierci opuszczały klasztor. Smuciło to je i przerażało, jakby wielkie naruszenie reguły.

Ustąpiono im w tem — co je zresztą nie bardzo pocieszyło — iż dozwolono grzebać ciała w oznaczonej przez nie godzinie na dawnym cmentarzu Vaugirard, który niegdyś był własnością zgromadzenia.

We czwartki zakonnice te słuchają sumy, nieszporów i całego nabożeństwa jak w niedzielę. Prócz tego skrupulatnie obchodzą wszelkie drobne święta, których ludzie światowi nie znają, a których pełno było niegdyś we Francji i dziś jest w Hiszpanji i we Włoszech. Stacje ich w kaplicy nie mają końca. Co do długości trwania ich modłów najlepsze damy o niej wyobrażenie, powtarzając naiwne słówko jednej zakonnicy: *Modlitwy aspirantek są straszne, modlitwy nowicjuszek jeszcze straszniejsze, gorsze, a modlitwy profesek jeszcze straszniejsze.*

Raz na tydzień zbiera się kapituła, prezyduje przełożona, asystują matki głosujące. Każda siostra przychodzi z kolei, klęka na posadzce kamiennej, i głośno wyznaje przed wszystkiemi swe błędy i grzechy, które popełniła w ciągu tygodnia. Po każdej spowiedzi naradzają się matki głosujące, i naznaczają pokutę.

Oprócz głośnej spowiedzi z grzechów ważniejszych, za grzechy powszednie czynią tak zwaną *winę*. Odpokutować swą winę, znaczy leżeć podczas nabożeństwa krzyżem przed przełożoną, dopóki ta, którą nie inaczej nazywają jak *matką*, nie zawiadomi pokutnicy stuknięciem w stalę, że może powstać. Odpokutowuje się winę za byle co, za stłuczenie szklanki, za rozdarcie zasłony, za mimowolne opóźnienie o kilka sekund na nabożeństwo, za fałszywą nutę w kościele i t. p.; więcej nie potrzeba, by odbywać pokutę. Pokuta ta zresztą jest dobrowolną, która zawiniła sama się sądzi i wyznacza sobie karę. W niedziele i dni świąteczne, cztery matki kantorki śpiewają w czasie nabożeństwa przy wielkim pulpicie czworobocznym. Pewnego dnia jedna matka kantorka zaintonowała psalm, rozpoczynający się od *Ecce*, lecz zamiast *Ecce* zaśpiewała głośno te trzy nuty: *ut, si, sol* i za to roztargnienie pokutowała przez cały czas trwania nabożeństwa. Wina była tem większą, że kapituła się śmiała.

Gdy zakonnica wezwaną jest do parlatorjum,

choćby to była przełożona, spuszcza zasłonę tak, iż, jak sobie przypominacie, widać tylko jej usta.

Tylko przełożona ma styczność z obcemi. Inne mogą się widywać z najbliższem rodzeństwem i to bardzo rzadko. Jeśli przypadkiem ktoś chce zobaczyć zakonnicę, którą znał lub kochał na świecie, musi zawiązywać długie negocjacje. Jeżeli kobieta czasami otrzymuje upoważnienie: zakonnica przychodzi i mówi przez okienicę, która otwiera się tylko dla matki lub siostry. Zbytecznem byłoby dodawać, że mężczyznom zawsze jest odmówione pozwolenie.

Taką jest reguła Ś-go Benedykta, obostrzona przez Marcina Verga.

Zakonnice te nie są wesołe, rumiane i świeże, jak często bywają w innych klasztorach. Są poważne i blade. Od r. 1825 do 1830 trzy z nich dostały pomięszania zmysłów.

III.

Surowość klasztorna.

Najmniej dwa lata trwa postulacja, często cztery, cztery lata nowicjat. Rzadko czynią ostatnie śluby przed dwudziestym trzecim lub dwudziestym czwartym rokiem. Bernardynki-Benedyktynki Marcina Verga nie przyjmują wdów do swego zakonu.

W celach swoich zadają sobie mnóstwo nieznanych umartwień cielesnych, o których nie powinny nigdy mówić.

W dniu, w którym nowicjuszka czyni profesję, stroją ją w najpiękniejsze szaty, głowę zdobią białemi różami, włosy pomadują i zwijają w sploty, — potem pada krzyżem na ziemię; rozciągają nad nią wielką czarną zasłonę i śpiewają psalmy za umarłych. Zakonnice dzielą się na dwa szeregi, jeden przechodzi koło niej, śpiewając żałośnie: *nasza siostra umarła*, drugi rzęd odpowiada na wysoką nutę: *żyje w Jezusie Chrystusie!*

W epece, na którą przypada nasze opowiadanie, do klasztoru przyłączoną została pensja panien. Pensja dziewcząt szlacheckich, po większej części bogatych, między któremi były panny Saint-Aulaire i Bélissen i angielka, nosząca znakomite nazwisko katolickie Talbot. Te dziewczynki, wychowywane przez zakonnice, rosły z uczuciem zgrozy dla świata i jego marności. Jedna z nich mówiła nam pewnego dnia:

na widok bruku ulicy drżałam od stóp do głów. Nosiły sukienki niebieskie, białe czepeczki, a na piersiach pozłacane wyobrażenie Św. Ducha ze srebra lub miedzi. W pewne dni uroczyste, szczególniej na Św. Martę, pozwalano im, jako najwyższy dowód łaski i niewymowne szczęście, przebierać się za zakonnice, odprawiać przez cały dzień modlitwy i odbywać wszelkie praktyki wedle reguły Św. Benedykta. Dawniej zakonnice pożyczały im swych sukien czarnych. Wydało się to profanacją i przełożona zabroniła. Godnem jest uwagi, że te reprezentacje, którym zakonnice pobłażały, a nawet zachęcały do nich, kierowane tajemną myślą prozelityzmu, i dla dania dzieciom pewnego przedsmaku rozkoszy świętego habitu — były rzeczywistem szczęściem i prawdziwą rozrywką dla pensjonarek. Po prostu bawiło je to bardzo. *Była to nowość, to je zmieniało.* Naiwne pobudki dziecinnego wieku, które przecież nie przekonywają nas światowców, że może być szczęście w trzymaniu kropielnicy i staniu po całych godzinach przed pulpitem, śpiewając na cztery głosy.

Wychowanki, z wyjątkiem surowości umartwień, zresztą stosowały się do wszystkich praktyk klasztoru. Niejedna młoda kobieta, wróciwszy do świata, po kilkoletniem pożyciu małżeńskiem nie mogła się odzwyczaić od wołania z pośpiechem, ilekroć zapukano do drzwi: *na wieki wieków!* Jak zakonnice, pensjonarki widywały rodziców i krewnych tylko w parlatorjum. Nawet matkom nie pozwalano ich całować. Tak daleko posuwano surowość. Pewnego dnia przyszła do pensjonarki matka z trzyletnią siostrzyczką. Dziewczynka się rozpłakała, bo chciała pocałować siostrę. Niepodobna. Błagała przynajmniej, żeby pozwolono przesunąć rączkę dziecięcia za kratę, by ją pocałowała. I tego odmówiono prawie z oburzeniem.

IV.

Wesele.

Niemniej jednak młode dziewczęta zasiały rozkosznemi wspomnieniami ten dom poważny.

W pewnych godzinach dziecięca radość jaśniała na tle posępnego klasztoru. Wybiła godzina rekreacji, drzwi obróciły się na zawiasach. Ptaszki zawołały: brawo, przybywają dzieci! Powódź młodości zalewała ogród wycięty w krzyż, niby całun. Promieniejące twarze, jasne czoła, naiwne oczy pełne wesołego światła, różnego rodzaju jutrzenki promieniły się w ciemnościach. Po psalmach, śpiewach, sygnaturkach, grobowych biciach we dzwony, po różnych nabożeństwach, nagle rozlegał się szmer małych dziewczynek, milszy od szmeru pszczół około ula. Otwierał się ul wesołości, do którego każda swój miód przynosiła. Bawiły się, wołały na siebie, gromadziły się, biegały: piękne białe ząbki szczebiotały w kątach; zasłony zdala czuwały nad tym śmiechem, cienie szpiegowały te promienie, co to szkodzi! dziewczynki śmiały się i promieniały radością. Cztery posępne mury miały swe chwile jasne. Zlekka pobielone odblaskiem tyla radości, patrzyły na ten słodki gwar rojów wiosennych. Był to jakby deszcz z róż, przerywający żałobę. Dziewczynki swywoliły pod okiem zakonnic; spojrze-

nie bezgrzeszne nie kłopoce niewinności. Dzięki tym dzieciom, pośród tylu godzin surowych była godzina naiwna. Małe skakały, starsze tańczyły. Zabawa w klasztorze mieszała się z czemś niebiańskiem. Nic bardziej zachwycającego i dostojniejszego nad te świeże dusze, rozkwitłe radością. Homer byłby tu przyszedł śmiać się z Perraultem; w tym czarnym ogrodzie była młodość, wrzawa, krzyki, pustota, rozkosz i szczęście, mogące rozpogodzić zmarszczone czoła wszystkich prababek, z epopei czy baśni, czy siedziały na tronie, czy pod słomianą strzechą, od Hekuby do Matki Wielkiego.

W tym domu więcej może niż gdzieindziej wypowiedziano tych słówek dziecinnych, tak wdzięcznych, budzących śmiech pełen zadumy. Między temi posępnemi murami pięcioletnie dziecię zawołało pewnego razu:—*Moja matko! ta duża powiada, że już mam tylko dziewięć lat i dziesięć miesięcy siedzieć tutaj! Co za szczęście!*

Tu także miała miejsce ta pamiętna rozmowa:

Matka głosującà:—Czego płaczesz, moje dziecko?

Dziecko (sześcioletnie) łkając: — Mówiłam Alicji, że umiem historję francuzką. Powiedziała mi, że nie umiem, a ja umiem.

Alicja duża, (dziewięć lat). — Nie. Nie umie.

Matka. Dlaczego, moje dziecko?

Alicja. — Powiedziała, żebym otworzyła książkę gdziekolwiek i zadała jej pytanie, jakie natrafię, a ona odpowie.

— I cóż?

— Nie odpowiedziała.

— A o cóżeś ją pytała?

— Otworzyłam książkę, jak żądała, i zadałam jej pierwsze, na jakiem trafiła pytanie.

— Cóż to było za pytanie?

— Było takie: *co dalej następuje?*

Tu także uczyniono to głębokie spostrzeżenie

o papudze trochę łakomej, która należała do pewnej damy pensjonarki.

— Doskonała sobie! ogryza mi z wierzchu grzankę jak słuszna osoba!

Na kamiennych taflach tego klasztoru znaleziono spowiedź, którą siedmioletnia grzesznica spisała na kartce, żeby nie zapomnieć:

„— Mój ojcze, oskarżam się, że byłam łakomstwem.

„— Mój ojcze, oskarżam się, że byłam cudzołóztwem.

„— Mój ojcze, oskarżam się, że rzucałam oczyma na panów".

Na murawie tego ogrodu różane usta sześcioletnie zaimprowizowały tę powieść, której słuchały niebieskie oczy cztero i pięcioletnie.

„Były sobie raz cztery koguciki i mieli sobie kraj pełen kwiatów. Zrywali kwiaty i chowali do kieszeni. Później oskubywali listki i kładli je do swych cacek. Był w kraju wilk, a było tam dużo lasów; wilk był w lesie, i zjadł koguciki".

I ten drugi poemat.

„— Trafiło się uderzenie od kija.

„To poliszynel wybił kota.

„Nie wyszło mu to na dobre, wyszło na złe.

„Wtedy dama zamknęła Poliszynela do więzienia".

Tu także opuszczone dziecię, podrzutek, z miłosierdzia wychowywany w klasztorze, powiedział miłe i bolesne słówko. Słysząc inne mówiące o swych matkach, dziecię szepnęło w kąciku:—*Ja, gdym się rodziła, nie było tam wtedy mojej matki.*

Była gruba furtjanka, imieniem siostra Agata, która zawsze się uwijała po korytarzu z pękiem kluczy. *Wielkie, duże* — nad dziesięć lat — nazywały ją *Agatoklesem.*

Refektarz, duża sala w kształcie podłużnego

prostokąta, oświecona jednemi drzwiami szklanemi, okratowanemi z archiwoltą, wychodzącemi na ogród, był ciemny i wilgotny, a jak mówiły dzieci — pełen zwierząt. Wszystkie sąsiednie miejsca dostarczały tu potrosze robactwa. Każdy z czterech kątów otrzymał w języku pensjonarek osobną wyrazistą nazwę. Był kąt Pająków, kąt Gąsiennic, kąt Stonogów i kąt Świerszczów. Kąt Świerszczów dotykał kuchni i był wielce ceniony. Nie był tak zimny, jak inne. Nazwy przeszły z refektarza na pensje i wyróżniały, jak w dawnem kolegjum Mazarina, cztery narody. Każda wychowanica należała do jednego z czterech narodów, stosownie do kąta refektarza, w którym siadała do obiadu. Pewnego dnia ksiądz arcybiskup, odbywając wizytę pasterską, zobaczył wchodzącą do klasy, przez którą przechodził, dziewczynkę rumianą z prześlicznemi jasnemi włosami, i zapytał drugiej pensjonarki pięknej brunetki o świeżych jagodach, przy nim stojącej:

— Co to za jedna ta mała?

— To pająk, proszę Waszej Ekscelencji.

— Ba, a ta druga?

— To świerszcz.

— A tamta?

— To gąsiennica.

— Doprawdy, a któż panna jesteś?

— Ja jestem stonóg, proszę Waszej Ekscelencji.

Każdy dom tego rodzaju ma swoje właściwości. Na początku bieżącego stulecia Ecouen było jednem z tych miejsc miłych i surowych, gdzie w cieniu prawie szczęśliwym, rosły sobie małe dziewczynki. W Ecouen podczas procesji z Najświętszym Sskramentem, panienki dzieliły się na dwa rzędy, na dziewice i kwieciarki. Były także „baldachimy“ i „kadzielnice“, bo jedne podtrzymywały końce baldachimu, a drugie okadzały Najświętszy Sakrament. Kwiaty z prawa dostawały się kwieciarkom. Cztery „dziewi-

ce“ szły na czele. Rano w tym dniu uroczystym często słyszano to zapytanie w sypialni:

— Która z was jest dziewicą?

Pani Campan przytacza to słówko „małej“ siedmioletniej, powiedziane do dużej szesnastoletniej, która szła na przodzie procesji, gdy ona, mała, zostawała w tyle: — Ty bo jesteś dziewicą, a ja nią nie jestem.

V.

Roztargnienia.

Nad drzwiami refektarza napisaną była dużemi czarnemi literami następująca modlitwa zwana *białym Pacierzem* i mająca tę własność, że prowadziła wprost do nieba.

„Paciorek biały, który Bóg ułożył, który Bóg odmawiał i który Bóg osadził w raju. Wieczorem idąc spać zastałam trzech aniołów przy mem łóżku, jednego w nogach, dwóch w głowach, a w środku świętą Panienkę Marją, która mi rzekła bym się położyła a o niczem nie wątpiła. Pan Bóg jest moim ojcem, Najświętsza Panna moją matką, trzej apostołowie memi braćmi, a trzy dziewice memi siostrami. Giezłeczko, w którem Bóg się urodził, osłania moje ciało; krzyż Św. Małgorzaty wyryty jest na mojej piersi. Najświętsza Panna szła w pole, Bóg płakał, spotkała pana Św. Jana. — Panie Św. Janie, zkąd przychodzisz? — Idę z *Ave Salus*. — Nie widziałeś Pana Boga, gdzie jest? Jest na drzewie krzyża, nogi zwieszone, ręce przybite gwoździami, kapelusik z białych cierniów na głowie. Kto odmówi tę modlitwę trzy razy wieczór i trzy razy rano, dostąpi w końcu raju.“

Charakterystyczna ta modlitwa zniknęła w r. 1827 z muru pod potrójnym pokładem wapna. Obecnie zaciera się w pamięci kilku naówczas młodych dziewcząt dziś starych kobiet.

Wielki krucyfiks, zawieszony na murze, dopełniał ozdób refektarza, którego jedyne drzwi — zdaje się żeśmy to już mówili — wychodziły na ogród. Dwa wązkie stoły, obok każdego dwie ławki drewniane, ciągnęły się linjami równoległemi wzdłuż refektarza z końca do końca. Ściany białe, stoły czarne; te dwa kolory są jedyną rozmaitością w klasztorach. Obiady i wieczerze niesmaczne, nawet posiłek dzieci surowy. Jedna potrawa z mięsa i jarzyn razem, lub ryba wędzona, to cały zbytek. Skromny ten posiłek przeznaczony dla samych pensjonarek, był jednak wyjątkiem. Dzieci jadły i milczały pod czujnem okiem matki dyrektorki, która czasami, gdy musze przyszła ochota latać i brzęczyć przeciw regule, hałaśliwie otwierała i zamykała księgę drewnianą. Milczenie to przyprawione było żywotami świętych, czytanemi głośno z małej katederki z pulpitem, stojącej u stóp krzyża. Lektorką była tygodniowo jedna ze starszych wychowanek. W pewnych odległościach stały na stole niepokrytym wazy gliniane polewane, w których uczennice same płukały swe kubki i talerze, a niekiedy rzucały tam niedojedzone potrawy, twarde mięso lub zepsutą rybę, za co bywały karane. Nazywano te wazy *sadzawkami*.

Dziecię, które przerwało milczenie, robiło krzyż językiem. Gdzie? na ziemi. Zlizywało podłogę. Proch, koniec wszelkich uciech, karał biedne małe listki za to, że śmiały szeleścić.

Była w klasztorze książka, której tylko *jeden egzemplarz* był wydrukowany; obcy jej czytać nie mieli prawa. Była to reguła Św. Benedykta. Oko profana nie mogło przeniknąć tej tajemnicy. *Nemo regulas, seu constitutiones nostras, externis communicabit.*

Pewnego dnia pensjonarki ukradkiem wzięły tą książkę i zabrały się chciwie do czytania, często przerywając sobie z przerażeniem, by ich matki nie zeszły znienacka, i nagle zamykając książkę. Wielkie to jednak niebezpieczeństwo małą im przyjemność sprawiło. Najciekawszemi wydały się im kilka niezrozumiałych stronnic o grzechach młodych chłopców.

Bawiły się w jednej alei ogrodu, wysadzonej lichemi drzewami owocowemi. Pomimo nadzwyczajnej czujności matek i surowości kar, gdy wiatr wstrząsnął drzewa, udawało się im niekiedy podnieść ukradkiem zielone jabłko, zepsutą brzoskwinię, lub robaczywą gruszkę. Przytaczamy tu dosłownie list pisany przed dwudziestu pięciu laty przez byłą pensjonarkę, dzisiejszą księżnę de —, jedną z najwykwintniejszych kobiet Paryża. „Ukrywa się jabłko lub gruszkę, jak kto może. Gdy wchodzim na górę posłać łóżko, nim podadzą wieczerzę, wsuwamy je pod poduszkę, a wieczorem jemy w łóżku, lub gdy nie można, jemy w komórce.“ Była to jedna z najżywszych rozkoszy.

Razu jednego, było to także w czasie wizyty księdza arcybiskupa, jedna z dziewczynek, panna Bouchard, pochodząca trochę z arystokracji rodowej, założyła się, że poprosi go o dzień urlopu, rzecz niesłychana w tak surowym klasztorze. Przyjęto zakład, ale żadna pensjonarka nie wierzyła, by był na serjo czyniony. Gdy chwila nadeszła i arcybiskup przechodził około pensjonarek, panna Bouchard, z nieopisanem przerażeniem swych koleżanek, wyszła z szeregu i rzekła: Wasza Ekscellencja, proszę o dzień urlopu. Panna Bouchard była świeża i dorosła, miała najpiękniejsze jagody różowe. Ksiądz Quelen uśmiechnął się i odpowiedział: „Co znowu kochane dziecko, tylko jeden dzień urlopu! Trzy jeśli zechcesz. Udzielam trzy dni.“ Przełożona nie mogła przeszkodzić, arcybiskup zawyrokował. Zgorszenie dla klasztoru, ale radość dla pensjonarek. Możecie wyobrazić sobie jakie to sprawiło wrażenie.

Jednakże straszna klauzura nie była tak zamurowaną, by niekiedy nie przedzierały się do niej namiętności życia światowego, dramata a nawet romanse. Na dowód poprzestaniemy na opowiedzeniu tu pokrótce rzeczywistego i niezaprzeczonego wypadku, który zresztą nie ma żadnego związku z naszą powieścią. Wzmiankujemy o tym fakcie, by uzupełnić w myśli czytelnika fizjonomję klasztoru.

W owym czasie mieszkała w klasztorze kobieta tajemnicza, która nie była nawet zakonnicą; obchodzono się z nią z wielkiemi względami i nazywano ją *panią Albertyną*. Tyle tylko o niej wiedziano, że była warjatką i że na świecie miano ją za umarłą. Mówiono, że historja jej ukrywa pewne układy majątkowe, potrzebne do zawarcia świetnego małżeństwa.

Kobieta ta zaledwie trzydziestoletnia, dość piękna szatynka, błędnie patrzyła dużemi czarnemi oczyma, Czy co widziała? Wątpiono. Przesuwała się jak cień raczej niż chodziła; nigdy nie mówiła, powątpiewano nawet czy oddychała. Nozdrza jej były ściągnięte i blade, jak po skonaniu. Dotknąć jej ręki było to samo co dotknąć śniegu. Miała dziwne powaby widma, Gdziekolwiek weszła, uczuwano chłód. Jedna zakonnica, widząc ją przechodzącą, rzekła do drugiej: — Uchodzi za umarłą. — Może nią jest naprawdę, odpowiedziała druga.

Tysiące rzeczy opowiadano o pani Albertynie. Był to przedmiot ciągłej ciekawości pensjonarek. W kaplicy była loża zwana *Wole oko*. W tej loży, mającej tylko jeden otwór okrągły w kształcie oka, zwykle słuchała nabożeństwa Albertyna. Siedziała sama, loża była na pierwszem piętrze i można z niej było widzieć kaznodzieję lub celebransa, co było wzbronione zakonnicom. Pewnego dnia kazał młody ksiądz wysokiego stopnia, książę Rohan, par Francji, oficer muszkieterów czerwonych w r. 1815, gdy był księciem Leon, zmarły po r. 1830 kardynałem i arcybiskupem Besançon. Po raz to pierwszy ksiądz Rohan miał kazanie w klasztorze Picpusa Małego. Pani Albertyna zwykle siedziała na kazaniu i nabożeństwie najspokojniejsza i jak głaz nieruchoma. W tym dniu, gdy zobaczyła księdza Rohan, podniosła się na pół z siedzenia i zawołała głośno wśród ciszy kaplicy: — *A, to August!* Całe zgromadzenie osłupiałe obróciło głowę, kaznodzieja podniósł oczy, ale pani Albertyna wpadła w zwykłą nieruchomość. Tchnienie zewnętrznego świa-

ta, promyk życia na chwilę przemknęły przez tę postać zagasłą i zlodowaciałą, potem wszystko znikło, i obłąkana znowu została trupem.

Wszystko co żyło w klasztorze, gubiło się w domysłach z powodu tych słów.k. Ile odkryć w tem: *A, to August!* Oczywiście pani Albertyna pochodziła z najświetniejszego świata, kiedy znała pana Rohan; musiała sama zajmować wysokie stanowisko, kiedy tak poufale mówiła o tak wielkim panu; musiały zachodzić między niemi jakieś stosunki, może pokrewieństwa, ale najpewniej bardzo ścisłe, kiedy go nazwała po imieniu.

Dwie księżne surowych obyczajów, panie Choiseul i Serent, często odwiedzały klasztor, do którego wchodziły zapewne na mocy przywileju *Magnates mulieres*, i nabawiały strachu pensjonarki. Gdy około nich przechodziły te dwie stare damy, biedne dziewczynki drżały i spuszczały oczy.

Zresztą p. Rohan nie wiedząc o tem, był przedmiotem uwagi pensjonarek. W owym czasie mianowany został wikarjuszem jeneralnym arcybiskupa paryzkiego, i oczekiwał infuły. Miał zwyczaj przychodzić dość często do kaplicy zakonnic Picpusa Małego, i śpiewać nieszpory. Żadna z pensjonarek nie mogła go widzieć, bo go zasłaniała firanka z grubego sukna, ale miał głos łagodny, nieco stłumiony, po którym go poznawały. Był muszkieterem, a przytem uchodził za bardzo zalotnego, ciemne jego włosy pięknie ufryzowane, spadały w puklach dokoła głowy, miał na sobie szeroki pas ze wspaniałej mory i czarną sutannę najwykwintniejszego kroju. Szesnastoletnie wyobraźnie bardzo się nim zajmowały.

Żaden głos z zewnątrz nie dochodził do klasztoru, wszelako jednego roku przedarły się dźwięki fletu. Był to ważny wypadek i ówczesne pensjonarki dziś jeszcze go sobie przypominają.

Ktoś w sąsiedztwie wygrywał na flecie, zawsze jedną piosnkę, teraz zupełnie zapomnianą: *Zetulbé moja, przyjdź królować mojej duszy.* Słyszano ją dwa lub trzy

razy dziennie. Młode dziewczęta słuchały po całych godzinach, matki głosujące były strwożone, roiło się w wyobraźniach, kary jak grad spadały. Trwało to kilka miesięcy. Wszystkie pensjonarki były mniej więcej zakochane w nieznajomym muzyku. Każda marzyła że jest Zetulbé. Dźwięk fletu dochodził od ulicy Droit-Mur; dałyby nie wiedzieć co, odważyłyby się na wszystko, żeby choć na chwilkę zobaczyć „młodzieńca“, który tak roskosznie wygrywał na flecie i nie domyślając się tego, współcześnie grał na wszystkich tych duszach. Kilka śmielszych pensjonarek chciały zakraść się za bramę i wejść na trzecie piętro wychodzące na ulicę Droit-Mur. Niepodobieństwo. Jedna wyciągnęła rękę przez kratę i po nad głową powiewała chustką białą. Inne były jeszcze odważniejsze. Udało im się wedrzeć na dach i nakoniec zobaczyły „młodzieńca“. Był to stary szlachcic wychodziec, ślepy i biedny, który dla rozpędzenia nudów poddasza, wygrywał na flecie.

VI.

Mały klasztor.

W obrębie murów Picpusa Małego były trzy zupełnie różne budynki: wielki klasztor zajmowany przez zakonnice, pensja, gdzie mieszkały wychowanice, i nakoniec to co nazywano małym klasztorem. Był to osobny budynek z ogrodem, w którym mieszkały wspólnie wszelkiego rodzaju stare zakonnice różnych reguł, szczątki klasztorów skasowanych w czasie rewolucji; połączenie wszelkiej, różnych odcieni pstrocizny; czarno-szaro-białej ze wszystkich zgromadzeń. Możnaby to nazwać, gdyby przyzwoitość nie wzbraniała podobnego łączenia wyrazów — rodzajem klasztoru-pstrokatego.

Za cesarstwa pozwolono wszystkim biednym zakonnicom, rozproszonym i pozbawionym rodzinnego kąta, schronić się pod skrzydła Bernardynek-benedyktynek. Rząd płacił im małą pensyjkę, a panny Picpusa Małego przyjęły je otwartemi rękoma. Była to dziwaczna mięszanina. Każda zakonnica zachowywała swoją regułę. Niekiedy pozwalano pensjonarkom odwiedzać je w czasie rekreacji, i dlatego niektóre z nich zachowywały pamięć matki świętej Bazylji, matki świętej Scholastyki i matki Św. Jakób.

Jedna z tych wygnanek wróciła prawie jakby do własnego domu. Była to zakonnica z Sainte-Aure,

jedyna, która swój zakon przeżyła. Dawny klasztor panien Saint-Aure zajmował w początkach ośmnastego wieku ten dom właśnie, który później należał do Benedyktynek Marcina-Verga. Święta ta panna, zbyt uboga by nosić wspaniały habit swego zakonu, składający się z sukni białej i szkarłatnego szkaplerza, pobożnie ubrała weń dużą lalkę, którą pokazywała chętnie, a umierając zapisała klasztorowi. W r. 1824 z całego zakonu pozostała tylko jedna zakonnica, dziś została tylko lalka.

Oprócz zacnych tych matek, kilka starych kobiet światowych otrzymały od przełożonej, podobnie jak pani Albertyna, pozwolenie zamieszkania w małym klasztorze. W tej liczbie były pani Beaufort d'Hautpoul i margrabina Dufresne. Jeszcze jedną znano w klasztorze tylko ze strasznie głośnego ucierania nosa. Pensjonarki przezwały ją panią Grzmotnicką.

Około 1820 lub 1821 r. pani Genlis, która w owym czasie wydawała pismo perjodyczne pod t. *Nieulękniony*, prosiła o pozwolenie zamieszkania w klasztorze Picpus Mały. Książę Orleański ją polecał. Zrobił się popłoch w ulu; matki głosujące drżały z przerażenia; pani Genlis pisała romanse, oświadczyła jednak sama, że pierwsza się niemi brzydzi, a przytem w owym czasie stała się srogą dewotką. Przy pomocy Boga, i trochy księcia dostała się do klasztoru. Opuściła jednak klauzurę po sześciu czy ośmiu miesiącach pod pozorem, że w ogrodzie nie było cieniu. Zakonnice były zachwycone. Chociaż bardzo stara, grywała jeszcze na harfie i wcale dobrze.

Odchodząc zostawiła po sobie pamiątkę w celi. Pani Genlis była zabobonna i umiała po łacinie. Dwie te rzeczy już dają o niej wyobrażenie. Przed kilką laty widziano jeszcze przylepioną do szafki, w której zamykała swe srebra i kosztowności, żółtą kartkę z temi wierszami, własną ręką czerwonym atramentem napisanemi, które w jej przekonaniu miały moc odstraszania złodziejów:

Imparibus meritis pendent tria corpora ramis.
Dismas et Gesmas, media est divina potestas;
Alta petit Dismas, infelix infima Gesmas,
Nos et res nostras conservet summa potestas,
Hos versus dicas, ne tu furto tua perdas. [1])

Te wiersze pisane łaciną szóstego wieku, budzą wątpliwość czy dwaj łotry z Kalwarji nazywali się jak sądzą powszechnie Dimas i Gestas, czy też Dysmas i Gesmas. Pisownia ta mogła zaszkodzić roszczeniom wice hrabiego Gestas, który w zeszłym wieku wywodził swój ród od złego łotra. Zresztą moc przywiązywana do tych wierszy jest artykułem wiary w zakonach szpitalnych.

Kościół zakonu zbudowany w ten sposób, że zupełnie przedzielał wielki klasztor od pensji, ma się rozumieć był wspólnym dla pensji, wielkiego i małego klasztoru. Wpuszczano nawet publiczność przez pewnego rodzaju drzwiczki kwarantanny od ulicy. Wszystko jednak było w ten sposób urządzone, że żadna z mieszkanek klasztoru nie mogła widzieć twarzy zewnątrz będących. Przedstawcie sobie kościół, w którym jakaś ręka olbrzymia schwyciła chór i zgięła tak, iż nie tworzy jak zwykle w kościołach przedłużenia za ołtarzem, ale rodzaj sali lub ciemnej jaskini po prawej stronie celebransa; przedstawcie sobie zamykającą tę salę firankę siedm stóp długą, o której jużeśmy mówili, nagromadźcie za tą firankę w cieniu, na drewnianych stalach chór zakonnic po lewej stronie, pensjonarki po prawej, a siostry służebne i nowicjuszki w głębi, a mieć będziecie niejakie wyobrażenie o zakonnicach Picpusa Małego, słuchających Mszy

---

[1]) Nierównych zasług wiszą trzy ciała na krzyżu,
Dyzmas i Gesmas a w środku boska potęga:
Do nieba poszedł Dysmas, nieszczęsny Gesmas do piekła,
Nas i rzeczy nasze niech uchowa moc Najwyższa!
Te wiersze odmawiaj, by nie skradziono twoich.

świętej. Tę pieczarę, którą zwano chórem, łączył z klasztorem korytarz. Kościół miał światło od ogrodu. Gdy reguła przepisywała zakonnicom zachowywać milczenie podczas nabożeństwa w kościele, publiczność wiedziała o ich obecności tylko ze stuku ławeczek przy stalach, podnoszących się i opadających z łoskotem.

VII.

Kilka sylwetek z tych cieniów.

Przez sześć lat od r. 1819 do 1825 przełożoną Picpusa Małego była panna Blemeur, która w zakonie nazywała się matką Innocentą. Pochodziła z rodziny Małgorzaty Blemeur, autorki *Żywotów świętych zakonu Św. Benedykta.* Wybrano ją powtórnie. Była to sześćdziesięcioletnia kobieta, niska, gruba, „śpiewająca jak garnek popękany", powiada list, któryśmy już raz przytoczyli, zresztą wyborna kobieta, jedyna wesoła w całym klasztorze i za to uwielbiana.

Matka Innocenta, jak jej poprzedniczka Małgorzata, była brylantem zakonu. Ukształcona, uczona, biegła w historji i starożytnościach, nadziana łaciną, opchana greczyzną, pełna hebrajszczyzny, była raczej Benedyktynem niż Benedyktynką.

Podprzełożoną była stara zakonnica hiszpańska, prawie ociemniała, matka Cineres.

Najcelniejszemi z matek głosujących były: matka Honorata, podskarbini, matka Św. Gertruda, pierwsza mistrzyni nowicjuszek, matka Św. Anioł, druga mistrzyni, matka Annuncjata, zakrystjanka, matka Św. Augustyn infirmerka, jedyna istota złośliwa w całym klasztorze; potem matka Św. Mechtylda (panna Gaurain) młodziutka z cudownym głosem, matka Aniołów (panna Drouet), która była w klasztorze Panien Bo-

żych i w klasztorze Skarbu między Girots i Magny; matka Św. Józef (panna Cogolludo), matka Św. Adelaida (panna D'Auverney), matka Miłosierdzie (panna Cifuentes, która nie mogła wytrzymać surowej reguły), matka Współczucie (panna de la Miltière przyjęta w sześćdziesiątym roku życia przeciw regule, bardzo bogata); matka Opatrzność (panna de Laudinière), matka Presentacja (panna Liguenza), która była przełożoną w r. 1847, nakoniec matka Św. Celigna (siostra snycerza Ceracchi), która dostała pomięszania zmysłów, i matka Św. Chantal (panna Duron), która także miała obłąkanie.

Pomiędzy najładniejszemi była śliczna panna dwudziestotrzyletnia rodem z wyspy Burbon, z rodziny kawalera Roze, która też nazywała się na świecie panną Roze, a w klasztorze matką Wniebowzięcie.

Matka Św. Mechtylda, przełożona nad śpiewem i chorem, chętnie używała do pomocy pensjonarek. Zwykle układała z nich całą gamę to jest siedm, od dziesięcio do szesnastoletnich włącznie, dobrawszy głosy i wzrosty, ustawiając je przy sobie od najmniejszej do największej. Tak ustawione tworzyły jakby piszczałki z dziewcząt, niby żywy flet Pana złożony z aniołów.

Z siostr służebnych najbardziej lubiły pensjonarki siostrę Św. Eufrazję, siostrę Św. Małgorzatę, siostrę Św. Martę i siostrę święty Michał, której długi nos pobudzał je do śmiechu.

Kobiety te obchodziły się łagodnie z dziećmi. Zapalały w piecach tylko na pensji. Potrawy wychowanek w porównaniu z klasztornemi były wyszukane, przytem tysiączne dowody troskliwości. Ale gdy dziecię, przechodząc około zakonnicy zagadało do niej, zakonnica nigdy nie odpowiadała.

Ta reguła milczenia wydała to, że w całym klasztorze odjęto głos istotom ludzkim, a dano go przedmiotom nieżywym. To przemówił dzwon kościelny, to dzwoneczek ogrodnika. Bardzo głośny dzwonek przy

kole furtjanki, słyszany w całym klasztorze wskazywał różnemi odcieniami głosu, niby telegraf akustyczny, wszelkie czynności materjalne i gdy była potrzeba, przywoływał do parlatorjum tę lub ową mieszkankę domu. Każda osoba i każda rzecz miały właściwe swoje dzwonienie. Przełożona miała jedno i jedno; podprzełożona jedno i dwa. Sześć-pięć znaczyło klassę, to też uczennice nigdy nie mówiły wrócić do klassy, lecz iść do sześć-pięć. Cztery-cztery było dzwonienie na panią Genlis. Słyszano je bardzo często. *To poczwórny djabeł*, mówiły mniej miłosierne pensjonarki. Dziewiętnaście uderzeń oznaczało ważny wypadek. Było to otwarcie bramy klasztornej, strasznych wrót żelaznych nastrzępionych zamkami i ryglami, które okręcały się na zawiasach tylko dla arcybiskupa.

Wyjąwszy jego i ogrodnika, jakeśmy powiedzieli, żaden mężczyzna nie wchodził do klasztoru. Pensjonarki widywały jeszcze dwóch innych, kapelana, księdza Banès, starego i brzydkiego na, którego patrzyły przez kraty z chóru, i nauczyciela rysunku p. Ansiaux, którego list wyżej wspomniony, nazywa i tytułuje *starym szkaradnym garbusem*.

Jak widzimy, wszyscy mężczyzni byli dobrze wybrani.

Takim był ten dom ciekawy.

VIII.

Post corda lapides.

Skreśliwszy moralną postać domu, nie od rzeczy będzie wskazać jeszcze w kilku słowach jego kształty zewnętrzne. Czytelnik ma już o nich niejakie wyobrażenie.

Klasztor Picpusa Małego w. Antoniego zajmował prawie całkiem obserny trapez, utworzony przez przecięcie ulic Polonceau, Droit-Mur, małej ulicy Picpus i uliczki zamkniętej, zwanej na starych planach ulicą Aumarais. Cztery te ulice niby rowy otaczały ów trapez. Ogół głównego gmachu, był gromadą luźnych budynków rozmaitej struktury, która widziana z góry miała kształt dość podobny do szubienicy wywróconej na ziemię. Wielkie ramię szubienicy zajmowało całą część ulicy Droit-Mur, zawartą między małą ulicą Picpus i ulicą Polonceau; najmniejsze ramię stanowiła wysoka, szara, surowej powierzchowności facjata okratowana, wychodząca na małą ulicę Picpus, w końcu której była brama Nr. 62. Ku środkowi facjaty kurz i popiół bieliły sine stare wrota kabłąkowate pajęczyną zasnute, które otwierały się na godzinę lub dwie w niedziele i w rzadkich przypadkach, gdy trumnę zakonnicy wynoszono z klasztoru. Było to wejście publiczne do kościoła. Kąt szubienicy tworzyła sala kwadratowa, służąca za kredens, przez za-

konnice przezwana *spiżarnią*. W wielkiem ramieniu były celki matek, siostr i nowicjat. W małem ramieniu kuchnie, refektarz i kościół. Między bramą Nr. 62 i rogiem zamkniętej ulicy Aumarais była pensja, której nie widziano od ulicy. Resztę trapezu dopełniał ogród nierównie niższy od poziomu ulicy Polonceau, i dlatego mury wewnątrz były wyższe niż od ulicy. Ogród lekko wypukły miał w środku u szczytu pagórka piękną jodłę szpiczastą w kształcie ostrosłupa, od której wychodziły niby od szczytu kręgu tarczy, cztery wielkie aleje i ośm mniejszych po dwie między wielkiemi, w taki sposób, że gdyby ogród był okrągły, jeometryczny plan alei przedstawiałby krzyż położony na kole. Wszystkie aleje dochodziły do murów ogrodu, tworzących linje bardzo nieforemne, ztąd i długość alei nie była jednaką. Aleje po obu stronach wysadzone były krzakami porzeczkowemi. W głębi ogrodu szła od zwalisk starego klasztoru w rogu ulicy Droit-Mur, do domu małego klasztoru, będącego w rogu uliczki Aumarais, aleja z wyniosłych topoli. Do tego ogółu dodajcie podwórko, wszelkiego rodzaju kąty i zagięcia w korpusie gmachu od wewnątrz, mury więzienne, jedyny widok i sąsiedztwo — długą czarną linją dachów z drugiej strony ulicy Polonceau, a mieć będziecie dokładne wyobrażenie o tem, czem przed czterdziestu pięciu laty był dom bernardynek Picpusa Małego, zbudowany w tem miejscu, gdzie odbywały się sławne w czternastym i szesnastym wieku gry w piłkę, zwane *szulernią jedenastu tysięcy djabłów*.

Zresztą uliczki te należały do najdawniejszych w Paryżu. Nazwiska Droit-Mur i Aumarais są bardzo stare, ale ulice noszące te nazwy są starsze jeszcze. Uliczka Aumarais zwała się dawniej Maugout, a Droit-Mur ulicą Róż polnych, gdyż Bóg wcześniej otworzył kielichy kwiatów nim człowiek pociosał kamienie.

IX.

Stulecie pod habitem.

Kiedyśmy się już raz zapuścili w szczegółowy spis tego, czem był niegdyś klasztor Picpusa Małego, i ośmielili otworzyć okienko na to tajemnicze schronienie, niechże czytelnik pozwoli nam zboczyć jeszcze od głównego wątka tej książki i dołączyć rys charakterystyczny, tem użyteczny, że pokaże, iż nawet za klauzurą bywają oryginalne postacie.

W małym klasztorze mieszkała stuletnia staruszka, pochodząca z opactwa Fontevrault. Przed rewolucją prowadziła nawet życie światowe. Wiele mówiła o p. Miromesnil, kanclerzu za Ludwika XVI, i o prezydentowej Duplat, którą dobrze znała. Z rozkoszą i pewną próżnością wtrącała te nazwiska do każdej rozmowy. Cuda opowiadała o opactwie Fontevrault, że wyglądało jakby miasto jakie, że były ulice w klasztorze.

Mówiła narzeczem pikardyjskiem, które śmieszyło pensjonarki. Corocznie uroczyście ponawiała śluby, i składając przysięgę mówiła do kapłana: Jego ekscelencja Święty Franciszek składał ją jego ekscelencji Świętemu Juljanowi, jego ekscelencja Święty Juljan składał ją jego ekscelencji Świętemu Euzebjuszowi, jego ekscelencja Święty Euzebjusz składał ją jego ekscelencji Świętemu Prokopowi i t. d., i t. d., po-

dobnie i ja składam ją tobie, mój ojcze. Pensjonarki śmiały się pod zasłoną, a matki głosujące marszczyły brwi, patrząc na te miłe tłumione śmiechy.

Innym razem stuletnia staruszka opowiadała dykteryjki. Mówiła, że za młodych jej czasów *Benardyni w niczem nie ustępowali muszkieterom.* Tak mówiło stulecie, ale osiemnaste stulecie. Opowiadała o przedrewolucyjnym zwyczaju szampańskim i burgundzkim podawania czterech win. Gdy jaka znakomita osoba, marszałek francuzki, książę lub par, przejeżdżali przez które miasto Burgundji lub Szampanji, wychodziły naprzeciw nim władze municypalne, prawiły mowy i podawały cztery puhary srebrne, napełnione winem czterech różnych gatunków. Na pierwszym puharze stał napis: *wino małpie*, na drugim: *wino lwie*, na trzecim: *wino baranie*, na czwartym: *wino świńskie.* Cztery napisy oznaczały cztery stopnie pijaństwa; pierwszy stopień rozwesela, drugi drażni, trzeci ogłupia, czwarty zbydlęca. W szafce, pod kluczem miała jakiś przedmiot tajemniczy, do którego przywiązywała wielką wagę. Reguła jej tego nie zabraniała. Nikomu nie chciała pokazać tajemniczego przedmiotu. Zamykała się na klucz, co nie było przeciwne jej regule, i kryła się, ilekroć chciała mu się przypatrzyć. Usłyszawszy idących na korytarzu, jak mogła najprędzej zamykała szafkę drżącemi od starości rękoma. Gdy sprowadzono rozmowę na ten przedmiot, uporczywie milczała chociaż lubiła gawędkę. Najciekawsze nic nie wskórały z jej milczeniem, a najwytrwalsze z jej uporem. Był to także przedmiot mnóstwa domysłów mieszkanek klasztoru, znudzonych lub bez zajęcia. Jaką to rzecz szacowną trzymała w wielkiej tajemnicy i strzegła jak skarbu stuletnia staruszka? Może jaką pobożną książkę? jaki szkaplerz jedyny? prawdziwą relikwję? Gubiono się w domysłach. Gdy umarła staruszka, ciekawsze z większą może niż wypadało skwapliwością pobiegły do szafki i otworzyły. Znaleziono ów przedmiot owinięty potrójnie w płótno,

jak święta patyna. Był to talerz fajansowy, wyobrażający amorków, które uciekały ścigane przez aptekarczyków, uzbrojonych w ogromne seryngi. Gonitwa pełna grymasów i postaw komicznych. Jeden śliczny amorek już siedzi nadziany na seryngę. Rzuca się, trzepocze skrzydełkami i probuje odlecić; daremnie skoczny aptekarczyk śmieje się szatańskim śmiechem. Sens moralny: Ból żołądka silniejszym jest od miłości. Ciekawy ten talerz, który może miał szczęście podać myśl Molierowi, istniał jeszcze we wrześniu 1845; sprzedano go kramarzowi starzyzny na bulwarze Beaumarchais.

Poczciwa staruszka nie chciała widywać się z nikim z miasta, *bo*, jak mówiła, *parlatorjum jest nazbyt smutne.*

X.

Początek Zakonu.

Zresztą to grobowe prawie parlatorjum, o którem probowaliśmy dać wyobrażenie, miało charakter czysto miejscowy, surowy i straszniejszy, niż w innych klasztorach. Tak w klasztorze przy ulicy Temple, wprawdzie należącym do innego zakonu, zamiast czarnych okiennic były ciemne zasłony, a samo parlatorjum stanawił piękny salon z woskowaną posadzką, którego okna zdobiły firanki z białego muślinu, a na ścianach wisiały wszelkiego rodzaju obrazy, portret Benedyktynki z odsłonioną twarzą, kwiaty malowane, nawet głowa Turka.

W ogrodzie klasztoru przy ulicy Temple, rosł ów sławny dziki kasztan, który uchodził za najpiękniejszy i największy w całej Francji, i zyskał sobie u poczciwego ludku osiemnastoletniego stulecia nazwę *ojca wszystkich kasztanów królestwa*.

Jakeśmy powiedzieli, klasztor Temple zajmowały Benedyktynki Nieustającej Adoracji, ale Benedyktynki zupełnie inne od tych, które zależały od Citeaux. Zakon ten Nieustającej Adoracji nie jest bardzo dawny, nie sięga dalej nad lat dwieście. W r. 1649 Najświętszy Sakrament został znieważony dwa razy w przeciągu dni kilku w dwóch kościołach Paryzkich, Świętego Sulpicjusza i Ś-go Jana Grève; straszne to i niesłychane świętokradztwo poruszyło całe miasto.

Ksiądz przeor wielki wikarjusz St. Germain de Prés, nakazał uroczystą procesję całego duchowieństwa, na której celebrował sam nuncjusz papiezki. Przebłaganie to wszakże nie wystarczało dwom zacnym kobietom, pani Courtin margrabinie Bouc i hrabini Chateauvieux. Dwie te święte dusze miały ciągle przed oczyma obelgę, wyrządzoną Przenajświętszemu Sakramentowi Ołtarza, sądziły też, że jedynie wystarczającem przebłaganiem może być Nieustająca Adoracja w kilku panieńskich klasztorach. Obydwie, jedna w r. 1652, druga w r. 1653 zapisały znaczne sumy matce Katarzynie Bar, Sakramentce zakonu benedyktyńskiego, aby w tym celu pobożnym założyła klasztor zakonu Św. Benedykta; pierwsze pozwolenie na tę fundację dał matce Katarzynie Bar ksiądz Metz, opat Saint-Germain, z warunkiem, że nie może być przyjętą do tego zakonu panna, która nie wniesie najmniej trzysta liwrów rocznego dochodu, lub sześć tysięcy liwrów kapitału. Po opacie Saint-Germain król udzielił przywilej i kartę opata, a patent królewski ulegalizowały w r. 1654 izba obrachunkowa i parlament.

Taki jest początek i zatwierdzenie legalne zakładu paryzkiego Benedyktynek Nieustającej Adoracji Najświętszego Sakramentu. Pierwszy ich klasztor zbudowano nowy przy ulicy Casette za pieniądze pp. Bouc i Chateauvieux.

Jak widzimy, zakon ten wcale nie łączył się z Benedyktynkami, zwanemi Cîteaux. Zależały od opata Saint-Germain de Prés, tak samo jak panny Serca Jezusowego zależały od jenerała Jezuitów, a Siostry Miłosierdzia od jenerała księży Misjonarzy.

Podobnie różni się ono zupełnie od Bernardynek Picpusa Małego, których pokazaliśmy mieszkanie. W r. 1657 papież Aleksander VII w osobnem breve upoważnił Bernardynki Picpusa Małego do praktykowania Nieustającej Adoracji, podobnie jak panny Sakramentki-benedyktynki. Niemniej jednak obydwa zakony były różne.

XI.

Koniec Picpusa Małego.

Z początkiem restauracji klasztor Picpusa Małego zaczął upadać, biorąc udział w ogólnej śmierci zakonu, który po osiemnastym wieku znika jak niemal wszystkie zakony. Rozmyślanie zarówno jak modlitwa są potrzebą ludzkości, ale jak wszystko, czego tknęła się rewolucja francuzka, muszą się przeistoczyć i nieprzyjazne dotychczas postępowi społecznemu, staną się jego podporą.

Dom Picpusa Małego nagle się wyludnił. W roku 1840 mały klasztor i pensja znikły. Nie było już ani starych kobiet, ani młodych dziewcząt, jedne umarły, drugie rozproszyły się po świecie. *Volaverunt.*

Reguła Nieustającej Adoracji jest tak ostra, że odstrasza powołanie; zakonowi zabrakło aspirantek. W r. 1845 znalazło się jeszcze kilka sióstr służebnych, ale zakonnic chórzystek ani jednej. Przed czterdziestu laty było do stu zakonnic, przed piętnastu ledwie dwadzieścia osiem. Ile ich dziś zostało? W r. 1847 przełożona była młodą, znak to, że zmniejszył się okręg wyborczy. Nie miała lat czterdziestu. W miarę zmniejszania się liczby wzrastają trudy, służba każdej staje się uciążliwszą; przewidywano już chwilę, gdy będzie ledwie dwanaście zbolałych, pochylonych ramion, by dźwigać brzemię reguły Ś-go Benedykta.

Brzemie nieubłagane zostaje jednakiem dla kilku, jak dla wielu. Dawniej ciężyło, teraz gniecie. To też umierają. W czasie, gdy autor tej książki mieszkał w Paryżu, dwie umarły. Jedna miała lat dwadzieścia pięć, druga dwadzieścia trzy. Młodsza może powiedzieć jak Julja Apianla: *Hic jaceo. Vixi annos viginti et tres.* Z powodu tego upadku klasztor przestał zajmować się wychowaniem panien.

Nie mogliśmy przejść obok tego nadzwyczajnego domu, nieznanego i ciemnego, by nie zajrzeć tam i nie wprowadzić z sobą dusz, które towarzyszą nam, słuchając opowiadania melancholicznych dziejów Jana Valjean, może nie dla wszystkich nieużytecznego. Przeniknęliśmy do wnętrza murów tego zgromadzenia, pełnego starych praktyk, które dziś wydają się nowemi. Jest ono jak ogród zamknięty, *Hortus conclusus.* Mówiliśmy o tem osobliwem miejscu ze szczegółami, ale też i z uszanowaniem, o ile przynajmniej dadzą się pogodzić szczegóły z uszanowaniem. Nie wszystko pojmujemy, ale niczego nie znieważamy. Zarówno jesteśmy dalecy od panegiryków Józefa de Maistre, który skończył na uświęceniu kata, jak od szyderstw Voltaira, który posunął się aż do szyderstwa z krzyża.

Powiedzmy mimochodem — była to nieloiczność Voltaire'a, gdyż Vojtaire powinien był bronić Jezusa Chrysrusa. jak bronił Calasa, a zresztą dla tych nawet, co zaprzeczają wcieleń nadludzkich, cóż przedstawia krucyfiks? Umęczonego mędrca.

W dziewiętnastym wieku idea religijna uległa przesileniu. Świat oducza się pewnych rzeczy i dobrze czyni, byle oduczając się jednego przyuczył się drugiego. Nie masz próżni w sercu ludzkiem. Muszą być ruiny, dobrze, że one są, ale pod warunkiem, by w ślad za niemi szło odbudowanie.

Tymczasem badajmy rzeczy, które już należą do przeszłości. Należy je poznać choćby tylko dlatego,

żeby ich unikać. Przedrzeźniania przeszłości przybierają fałszywe nazwy i chętnie mianują się przyszłością. Ten upiór przeszłości fałszuje sobie pasport. Zapamiętajmy ten podstęp. Nie dowierzajmy. Przeszłość ma swe właściwe oblicze—przesąd i swą maskę—obłudę. Odsłońmy twarz, a zedrzyjmy maskę.

Co do zakonów, kwestja to zawikłana. Jest to kwestja cywilizacji, która je potępia i kwestja swobody, która daje im opiekę.

KSIĘGA SIÓDMA.

NAWIAS.

I.

Klasztor, idea oderwana.

Książka ta jest dramatem, którego pierwszą osobą jest nieskończoność.

Człowiek jest drugę.

A zatem, gdyśmy spotkali na drodze klasztor, musieliśmy zajść do niego. Czemu? Bo klasztor właściwy zarówno wschodowi jak zachodowi, zarówno starożytności jak czasom nowożytnym, zarówno pogaństwu, buddyzmowi i mahometanizmowi jak chrześciaństwu, jest przyrządem optycznym, przez który człowiek patrzy w nieskończoność.

Nie tu miejsce rozwijać nad miarę pewne ideje; jednakże, zastrzegając sobie zupełną swobodę sądu, ścisłą, nawet surową sprawiedliwość, posuniętą aż do oburzenia, oświadczyć musimy, że ilekroć spotykamy w człowieku nieskończoność, dobrze lub źle zrozumianą, zawsze przejmuje nas głębokie uczucie uszanowania. W synagogach, meczetach, pagodach i wigwamach jest strona brzydka, którą przeklinamy, ale jest i szczytna strona, przed którą uchylamy czoła. Co za przedmiot rozmyślania dla ducha, jakie źródło marzeń nieprzebrane! Odblask boży na murze ludzkim.

II.

Klasztor, fakt historyczny.

Ze stanowiska dziejów, rozumu i prawdy, stan mnisi zasługuje na potępienie.

Gdy klasztory zbyt są liczne w jakim kraju, stają się zatorem cyrkulacji, zakładami zawalającemi drogę, ogniskami lenistwa tam, gdzie są potrzebne ogniska pracy. Zgromadzenia zakonne są tem dla gmin społecznych, czem jemioła dla dębu, czem brodawka dla ciała ludzkiego. Dobrobyt ich i pomyślność są zubożeniem kraju. System klasztorny dobry w początkach cywilizacji, zdolny poddać zwierzęcość pod panowanie ducha, jest zły w wieku męzkim ludów. Prócz tego, gdy jego karność się rozwalnia, gdy wpada w rozprężenie i nierząd, nie przestając dawać przykładu, staje się złym z tych samych powodów, które czyniły go zbawiennym w czasach jego nieskażoności.

Czas klauzur przeminął. Klasztory dobre do pierwiastkowego wychowania cywilizacji nowoczesnej, stanęły na zawadzie jej wzrostowi, a dziś jej rozwojowi szkodzą. Jako instytucja i szkoła kształcąca człowieka, klasztory dobre w dziesiątym wieku, wątpliwej wartości w piętnastym, są nieznośne w dziewiętnastym wieku.

Trąd mnisi zjadł prawie do kości dwa przedziwne narody, Włochy i Hiszpanję, z których jedne przez długie wieki były światłem, druga blaskiem Europy, i w naszych czasach dwa te szlachetne ludy zaczynają dopiero przychodzić do zdrowia...

Klasztor, zwłaszcza klasztor żeński, jaki w początkach bieżącego stulecia ukazuje się jeszcze we Włoszech, Hiszpanji i Austrji, jest jednym z najposępniejszych wizerunków czasów średniowiecznych. Klauzura, średniowieczna klauzura, jest punktem zbornym wszelkiej zgrozy. Właściwy klasztor katolicki pełen jest czarnych promieni śmierci.

Nadewszystko klasztor hiszpański jest grobowy. Tu w ciemności wznoszą się pod sklepieniami nocy pełne, pod dojrzane zaledwie w mroku kopuły, olbrzymie ołtarze, wysokie jak katedralne kościoły; tu na łańcuchach wiszą ogromne krucyfiksy białe; tu obnażone Chrystusy z kości słoniowej leżą rozciągnięte na hebanie, bardziej niż krwawe, krew sączące, straszne i wspaniałe, w łokciach sterczą nagie kości, na kolanach widać odartą skórę, w ranach krwawe ciało, głowa otoczona srebrną koroną cierniową, ręce przebite gwoździami złotemi, rubinowe krople krwi spływają z czoła, a djamentowe łzy z oczów. Djamenty i rubiny zdają się być mokre i do łez pobudzają klęczące tam w cieniu istoty zasłonione, których plecy ranią włosiennice i bicze z żelaznemi końcami, których łona kaleczą plecionki łozinowe, a kolana odziera modlitwa; kobiety co się mają za oblubienice, widma mieniące się serafinami. Czy kobiety te myślą? nie. Mają li wolę? nie. Kochają może? nie. Czy żyją? nie. Ich nerwy stały się kośćmi, ich kości kamieniami. Ich zasłona jest tkaniną z cieniów. Oddech pod zasłoną zda się być jakiemś tragicznem tchnieniem śmierci. Ksieni potwora, uświęca je i przerażone w kamień obraca. Jest tu niepokalaność — dzika. Takie są

stare klasztory hiszpańskie. Jaskinie strasznej pobożności, pieczary dziewic, miejsca okrutne.

Hiszpanja katolicka jest bardziej rzymską od samego Rzymu. Klasztor hiszpański był ideałem klasztoru. Czułeś tam Wschód...

Dziś obrońcy przeszłości, nie śmiejąc zaprzeczać tym rzeczom, wzięli się na sposób, i zbywają je uśmiechem. Stało się modą wygodną a dziwną, niszczyć objawienia historji, osłabiać objaśnienienia filozofji i wyrzucać wszystkie fakta kłopoczące i kwestje ponure. *Przedmioty deklamacyi*, mówią zręczniejsi. Deklamacje, powtarzają za nimi głupcy. Jan Jakób, deklamator; Diderot, deklamator; Voltaire, broniący pamięci Calasa, Labarra i Sirwena, ofiar fanatyzmu, deklamator. Nie pamiętamy już kto w ostatnich czasach odkrył, że Tacyt był deklamatorem, że Neron był ofiarą, i że doprawdy należało się ulitować „nad biednym Holofernesem.“

Nie tak łatwo jednakże dadzą się zbić fakta: stoją uporczywe. Autor tej książki na własne oczy widział o ośm mil od Brukselli — w tem miejscu każdy ma pod ręką wieki średnie — w opactwie Villiers, loch więzienny na łące, która była niegdyś podwórkiem klasztoru, i nad brzegiem Dyly, pięć murowanych więzień na pół pod ziemią, na pół pod wodą. Były to straszne *in pace*. W każdem z tych więzień są jeszcze resztki drzwi żelaznych, kloaki, otwór zakratowany dwie stopy nad rzeką, a wewnątrz sześć stóp nad ziemią lochu. Cztery stopy rzeki płyną zewnątrz wzdłuż muru. Ziemia jest zawsze mokra. Łożem mieszkańca *in pace* była ta mokra ziemia. W jednem z więzień jest kawałek obróży przykutej do muru. W innem widzieliśmy rodzaj skrzyni kwadratowej z czterech płytów granitowych zbyt krótkiej, by można leżyć, zbyt płytkiej, by można siedzieć. Sadzano wewnątrz istotę żyjącą i przykrywano kamiennem wiekiem. Tak jest. To się widzi.

tego się dotyka. Te *in pace*, więzienia, drzwi żelazne, obroże i wysokie okienko, u spodu którego płynie rzeka, ta skrzynia kamienna zamknięta granitowem wiekiem jak grób, z tą różnicą, że nieboszczykiem był tu człowiek żyjący, ta ziemia błotnista, dół kloaki i mury sączące wodę — to są deklamatorowie!

III.

Pod jakim warunkiem można szanować przeszłość.

Mnichostwo, jakie istniało w Hiszpanji i jeszcze istnieje w Tybecie, jest dla cywilizacji rodzajem suchot. Wstrzymuje życie w biegu, po prostu wyludnia. Klauzura — to kastracja. Mnichostwo było plagą Europy. Dodajmy, do tego, tak często zadawane gwałty sumieniu, przymusowe powołania, feodalność wspierającą się na klauzurze, prawo starszeństwa wrzucające do stanu mnisiego nadmiar rodzeństwa, okrócieństwa o których mówiliśmy, owe *in pace*, zamknięte usta, zamurowane mózgi, tyle nieszczęsnych umysłów zakutych w więzach ślubów wiecznych, przywdzianie habitu—to pogrzebanie dusz żywcem. Dodaj męczarnie jednostek do poniżenia narodowego, a ktokolwiek jesteś, zadrżysz na widok habitu i zasłony, dwóch całunów wynalazku ludzkiego.

Jednakże z pewnych względów i w pewnych miejscach, na przekór filozofji, na przekór postępowi, mnichostwo uporczywie trzyma się w pełni dziewiętnastego wieku, owszem, w tej chwili świat ucywilizowany ze zdumieniem patrzy na dziwaczne zaostrzenie ascetyzmu. Uporczywość, z jaką stare instytucje usiłują się uwiecznić, podobną jest do uporu zapleśniałej pomady, któraby koniecznie rada umaścić twe włosy, do roszczenia zgniłej ryby, któraby chciała być zjedzoną,

do zawziętości dziecinnego ubrania, coby pragnęło przyodziać mężczyznę, do czułości trupów, któreby wstawszy z grobu, całowały żyjących.

Niewdzięczny! woła ubranie. Osłaniałom cię w czasie niepogody. Dlaczego mię nie chcesz? Pochodzę z otwartego morza, mówi ryba. Byłam różą, dodaje pomada. Kochałem cię, powiada trup. Ucywilizowałem cię, mówi klasztor.

Na wszystko jedyna odpowiedź: Tak! Niegdyś.

Marzyć o nieskończonem przedłużeniu bytu rzeczy zmarłych, i panowaniu ludzi nabalsamowanych, restaurować podszarzane doktryny, pozłacać relikwie, pobielać klasztory, odświeżać przesądy, odżywiać fanatyzmy, odbudowywać mnichostwo, wierzyć w zbawienie społeczeństwa przez rozmnożenie pasożytów, narzucać przeszłość teraźniejszości — wydaje się to dziwnem. A jednak są teoretycy zdolni do takich teorji. Teoretycy ci, ludzie zkądinąd dowcipni, postępują sobie bardzo prostym sposobem, nakładają na przeszłość pokost, który zowią porządkiem społecznym, prawem boskiem, moralnością, rodziną, poszanowaniem przodków, starożytną powagą, świętem podaniem, legalnością, religją; i obchodzą świat wołając: Patrzcie! to trzeba przyjąć, poczciwi ludzie!—Logikę tę znali starożytni. Praktykowali ją wróżbici. Potarłszy kredą jałówkę czarną, mówili: Jest biała. *Bos cretatus.*

Co do nas, tu i owdzie szanujemy przeszłość, wszędzie ją oszczędzamy, byle zgodziła się być trupem. Jeśli chce żyć, napadamy na nią i usiłujemy zabić.

Przesądy, bigoterja, świętoszkostwo, zabobony, te poczwary jakkolwiek są widmami, uporczywie żyć pragną; nieujęte jak dym, mają zęby i pazury; trzeba je ścisnąć mocno i wypowiedzieć im wojnę śmiertelną: jest to bowiem jedna z fatalności człowieczeństwa, że skazanem jest na wieczną walkę z widmami. Trudno schwycić cień za gardziel i powalić na ziemię.

Walczmy, ale rozróżniajmy. Prawda ma to sobie właściwego, że nie wpada w ostateczności. Co za po-

trzeba przesądzać? Są rzeczy, które należy zniszczyć, i są także, które po prostu trzeba tylko wyjaśnić, wyświecić. Życzliwe i poważne badanie — azaliż to nie siła. Nie wnośmy pożogi tam, gdzie dostateczne jest światło.

Otóż, żyjąc w dziewiętnastym wieku, w ogóle i z zasady przeciwni jesteśmy klauzorom ascetycznym u wszystkich ludów, w Azji jak w Europie, w Indjach jak w Turcji. Klasztory, to trzęsawiska. Zgnilizna ich jest widoczną, stagnacja niezdrową, fermentacja nabawia ludy gorączek i wycieńcza je; ich rozmożenie staje się plagą egipską. Nie możem bez trwogi pomyśleć o tych krajach, gdzie fakirowie, bonzowie, świętoszki, anachoreci, marabuci, mnichy siamskie i derwisze roją się jak niezliczone robactwo.

To powiedziawszy, pozostaje nam kwestja religijna. Kwestja ta ma pewne strony tajemnicze, prawie straszne; pozwalamy sobie przyjrzeć się im zbliska.

IV.

Klasztor ze stanowiska zasad.

Ludzie ci łączą się i mieszkają razem. Na mocy jakiego prawa? na mocy prawa stowarzyszenia.

Zamykają się u siebie. Na mocy jakiego prawa? na mocy prawa, które ma każdy człowiek otwierać i zamykać drzwi swoje.

Nie wychodzą. Na mocy jakiego prawa? na mocy prawa, pozwalającego wychodzić i wracać, a tem samem obejmującego prawo pozostawania w domu.

Cóż oni tam robią u siebie?

Mówią po cichu, spuszczają oczy, pracują. Wyrzekają się świata, zgiełku miast, zmysłowości, rozkoszy, próżności, pychy i osobistych interesów. Odziani są grubem suknem, lub grubem płótnem. Żaden z nich nie ma swojej własności. Wchodząc tam, bogacz staje się biednym. Cokolwiek ma, oddaje wszystkim. Kto był tem, co nazywają szlacicem i wielmożnym panem, jest równy temu, który był chłopem. Dla wszystkich jednaka cela. Wszystkim golą głowy, wszyscy noszą ten sam habit, jedzą ten sam chleb czarny, śpią na tej samej słomie, umierają na tym samym prochu. Ten sam worek na plecach, ten sam postronek opasuje biodra. Jeśli postanowią chodzić boso, wszyscy chodzą boso. Choćby między niemi był książę, książę staje się takim samym cieniem jak inni. Nie ma tytułów. Nawet nazwiska fa-

milijne zniknęły. Noszą tylko imiona pospolite. Wszyscy ugięli się pod równością imion chrzestnych. Rozerwali węzły rodziny cielesnej, i utworzyli w zgromadzeniu rodzinę duchowną. Nie mają już żadnych krewnych, albo raczej wszyscy ludzie są ich krewnemi. Pomagają ubogim, pielęgnują chorych. Wybierają tych, którym służą. Mówią do siebie: bracie.

Przerywasz mi i wołasz: Ależ to klasztor idealny!

Dość mi, że taki klasztor jest możliwy, już powinienem go wziąć w rachubę.

Ztąd pochodzi, że w poprzedzającej księdze mówiłem z uszanowaniem o klasztorze. Usunąwszy średnie wieki, usunąwszy Azję, zastrzegłszy kwestję historyczną i polityczną, zapatrując się ze stanowiska czysto filozoficznego, nie wdając się w polemikę potrzeb czasowych, i przypuszczając, że klasztory są bezwarunkowo dobrowolne i nie zawierają nic przymuszonego, zawsze patrzyć będą na zgromadzenia zakonnne z pewną powagą pełną względów, a niekiedy pobłażania. Każde zgromadzenie jest społeczeństwem; gdzie jest społeczeństwo, tam jest prawo.

Idźmy dalej.

Ci mężczyźni lub te kobiety, zamknięci między czterema murami, odziewają się siermiegą, są równi, nazywają się braćmi; dobrze, ale czynią jeszcze coś innego?

Tak.

Cóż takiego?

Patrzą na cień, klękają i składają ręce.

Co to znaczy?

V.

Modlitwa.

Modlą się.

Do kogo?

Do Boga.

Modlą się do Boga, co znaczy to słowo?

Czy jest nieskończoność za nami? Ta nieskończoność czy jest jedną, nieustającą, nierozdzielną; czy jest koniecznie rzeczywistą ponieważ jest nieskończoną, i gdyby jej zabrakło materji, czy nie byłaby ograniczona? czy jest koniecznie rozumną, ponieważ jest nieskończoną, i gdyby jej zabrakło rozumu, czy byłaby skończoną? Czy ta nieskończoność budzi w nas pojęcie treści istnienia, kiedy sobie samym możem przypisywać tylko pojęcie bytu? Czyli innemi słowy, czy jest istotą bezwzględną, od której zależymy?

Czy razem z nieskończonością zewnątrz nas będącą jest także w nas samych nieskończoność? Dwie te nieskończoności (co za straszna liczba mnoga!) nie podlegają jedna drugiej. Czy druga nieskończoność, że tak powiem nie leży pod pierwszą? czy nie jest zwierciadłem, odbiciem, odgłosem, przepaścią ześrodkowującą w sobie inną przepaść? Czy ta druga nieskończoność jest także rozumną? Czy myśli? kocha? ma wolę? Jeżeli dwie nieskończoności są rozumne, każda z nich ma zasadę woli, i jest jaźń w nieskończo-

ności niebieskiej, jak jest jaźń w nieskończoności na ziemi. Jaźń na ziemi, to dusza; jaźń w górze, to Bóg.

Zetknąć myślą nieskończoność ziemską z nieskończonością niebieską, nazywa się modlić.

Nie odejmujemy niczego duchowi ludzkiemu; niweczyć rzecz zła. Trzeba przerabiać i przekształcać. Pewne władze człowieka zwracają się ku nieznanemu, myśl, marzenie, modlitwa. Nieznane jest oceanem. Czem jest sumienie? Busolą nieznanego. Myśl, marzenie, modlitwa, to wielkie tajemnicze promienie. Szanujmyż je. Dokąd dążą te majestatyczne wytryski promieni z duszy?—do cienia, to jest do światła.

Wielkość cywilizacji nowoczesnej polega na tem, że niczemu nie przeczy, i niczego nie odmawia ludzkości. Obok prawa człowieka stoi przynajmniej prawo duszu.

Druzgotać fanatyzmy a wielbić nieskończoność, to prawo ogólne. Nie przestajemy na padaniu twarzą pod drzewem stworzenia i na wpatrywaniu się w jego niezmierzone gałęzie gwiazd pełne. Mamy inny jeszcze obowiązek. Pracować nad duszą ludzką, bronić tajemnicy przeciw cudowi, ubóstwiać co jest niepojęte, a odrzucać co niedorzeczne, w rzeczach niewytłumaczonych przyjmować to tylko, co konieczne, wiarę uczynić zdrową, zdjąć z religji przesądy, oczyścić boże drzewo z gąsienuic zabobonu.

VI.

Bezwzględna dobroć modlitwy.

Co do sposobu modlenia się, wszystkie są dobre, byle były szczere. Obróć na wspak książkę do nabożeństwa, a pogrąż się w nieskończoności.

Wiemy, że jest filozofja, która nieskończoności zaprzecza. Jest także filozofja, znana w patologji, która zaprzecza istnieniu słońca; ta filozofja zowie się ślepotą.

Robić z brakującego nam zmysłu źródło prawdy, jest niepospolitą zarozumiałością ślepoty.

Prawdziwie rzecz ciekawa patrzeć na wyniosłe miny filozofji, idącej omackiem, a z uczuciem wyższości i politowania, spoglądającej na filozofję, która widzi Boga. Zda ci się, że słyszysz wołającego kreta: Litość mnie bierze na to ich upodobanie w słońcu!

Wiemy, że są znakomici i potężni ateusze. Ale ci w gruncie, własną potęgą umysłu skierowani ku prawdzie, nie bardzo są pewni czy są ateuszami; cały kłopot z niemi porozumieć się o definicję, a w każdym razie, jeśli nie wierzą w Boga, już tem samem, że są wielkimi myślicielami, dowodzą jego bytności.

Witamy w nich filozofów, chociaż nieubłaganie potępiamy ich filozofję.

Idźmy dalej.

Podziwienia godną rzeczą jest także to, iż tak łatwo zadawalamy się byle słówkiem. Północnej szkole metafizycznej, trochę mgłą przesiąkniętej, zdawało się, że zrobi prawdziwą rewolucję w pojęciach ludzkich, używając wyrazu Wola, zamiast Siła.

W istocie powiedzieć: roślina ma wolę, zamiast: roślina rośnie, byłoby płodnem w następstwa, gdyby dodano: wszechświat ma wolę. Dlaczego? Ponieważ wniosek byłby taki: roślina ma wolę, więc ma jaźń; wszechświat ma wolę, więc jest Bóg.

Co do nas, którzy przeciwnie nic nie odrzucamy a priori, trudniej nam przypuścić z tą szkołą wolę w roślinach, niż zaprzeczać z nią wolę wszechświata.

Przeczyć woli wszechświata, to jest Boga, można jedynie pod warunkiem, że się zaprzeczy nieskończoności. Co było do dowiedzenia.

Zaprzeczenie nieskończoności prowadzi wprost do filozofji Nicestwa. Wszystko staje się „pojęciem umysłu.“

Z taką filozofią wszelkie rozprawy są niemożliwe. Loiczny nihilista wątpi o istnieniu człowieka, z którym rozmawia, nie jest też pewny, czy sam istnieje.

Zapatrując się ze swojego stanowiska, bardzo być może, iż sam uważa siebie tylko za „pojęcie swego umysłu.“

Wszelako nie spostrzega się, że wszystko, czemukolwiek zaprzeczył, przyjmuje hurtem, wymawiając jedynie to słówko: Umysł.

Słowem, filozofia, kończąca wszystko słówkiem *Nic*, nie otwiera żadnej drogi dla myśli.

Na: Nie, jedyną odpowiedzią jest: Tak.

Filozofia Nicestwa niema żadnej doniosłości.

Nicości nie ma. Zero nie istnieje. Wszystko jest czemsić. Nic nie jest niczem.

Człowiek żyje twierdzeniem bardziej jeszcze, niż chlebem.

Nie dość jest widzieć i pokazać. Filozofia powinna być dzielnością. Jej usiłowaniem i skutkiem

winno być polepszenie człowieka. Sokrates musi wstąpić w Adama i wydać Marka Aureljusza; czyli innemi słowy, filozofia winna wydobyć z człowieka szczęśliwości, człowieka mądrości. Zamienić Eden w Lyceum. Umiejętność winna być kordjałem. Używać — co za smutny cel, jaka nędzna ambicja! Bydle używa. Myśleć — oto prawdziwy tryumf duszy. Poddawać myśl pragnieniu ludzi, niby elixir dawać im pojęcie o Bogu, zbratać w nich sumienie z wiedzą, tem tajemniczem stawieniem na oczy uczynić ich sprawiedliwemi — oto zadanie prawdziwej filozofii. Moralność jest rozkwitem prawd. Rozmyślanie wiedzie do czynów. Wiedza bezwzględna winna być praktyczną. Duch ludzki musi oddychać, poić się i karmić ideałem. Tylko ideał ma prawo powiedzieć: Bierzcie, jedzcie i pijcie, to jest ciało moje, to krew moja. Mądrość jest świętą komunją. Pod tym jedynie warunkiem przestaje być jałową miłością wiedzy, a staje się najwyższym i jedynym węzłem, łączącym ludzi, z filozofii wznosi się do wysokości religji.

Filozofja nie powinna być frontonem przystawionym do tajemnicy, aby nań patrzyć do woli, nie wydającym innego skutku nad to, że zadawala ciekawość.

Co do nas, odkładając rozwinięcie naszej myśli do innej sposobności, powiemy tylko, że nie pojmujemy ani człowieka, jako punktu wyjścia, ani postępu, jako celu, bez tych dwóch sił twórczych: wiary i miłości.

Postęp jest celem, ideał jest wzorem.

Co jest ideałem? Bóg.

Ideał, wiedza bezwzględna, doskonałość, nieskończoność, to wyrazy jednoznaczne.

VII.

Ostrożność w sądzie.

Historja i filozofja mają odwieczne obowiązki, które zarazem są bardzo proste; potępić Kaifasza biskupa, Drakona sędziego, Trimalcjona prawodawcę, Tyberjusza cesarza, rzecz jasna, prosta i oczywista, nie mająca w sobie nic zawikłanego. Ale prawo życia na ustroniu, mimo niewłaściwości swoich i nadużyć, winno być uznane i szanowane. Cenobityzm jest zagadką ludzkości.

Gdy mowa o klasztorach, tych schronieniach błędu, ale niewinności, obłąkania, ale dobrej woli, ciemnoty, ale poświęcenia, katuszy, ale męczeństwa, zawsze prawie należy powiedzieć i tak i nie.

Klasztory to sprzeczność. Cel ich — zbawienie, środek — poświęcenie. Klasztor to najwyższe samolubstwo, którego wynikiem jest najwyższe zaparcie.

Abdykować, by królować — taką zdaje się dewiza mnichostwa.

W klasztorze cierpią, by używać. Biorą weksle na śmierć. Na noc ziemską eskontują światło niebieskie. W klasztorze przyjmuje się piekło, jako zadatek przyszłego dziedzictwa w niebiesiech.

Obłóczyny lub przywdzianie habitu, są samobójstwem, które wieczność zapłaci.

Nie zdaje nam się, by w takim przedmiocie stosownemi były żarty. Wszystko tu jest poważne, równie dobre, jak złe.

Sprawiedliwy marszczy brwi, ale nie uśmiecha się złośliwie. Pojmujemy gniew, nie rozumiemy złośliwości.

VIII.

Wiara, prawo.

Jeszcze słów kilka.

Ganimy kościół, gdy wdaje się w intrygi; ganimy władzę duchowną, gdy łakomie pożąda rzeczy doczesnych, ale wszędzie czcimy myślącego człowieka.

Pozdrawiamy klęczących.

Wiara — jest koniecznością człowieka. Biada temu, kto w nic nie wierzy!

Nie dowód to bezczynności, gdy się jest pogrążonym w myślach. Są trudy widome i trudy niewidome.

Rozmyślać — to ciężko pracować; myśleć, to czynić. Założone ręce pracują, złożone do modlitwy działają. Spojrzenia, utkwione w niebo, są czynem.

Thales był cztery lata nieruchomy. Był ojcem filozofji.

Dla nas mnisi nie są próżniakami, ani leniuchami pustelnicy.

Myśleć o Cieniu jest zajęciem ważnem.

Nie osłabiając nic z tego cośmy wyżej powiedzieli, wierzymy, że nieustanna myśl o grobie przystoi żyjącym. W tym względzie kapłan i filozof są zgodni. *Trzeba umrzeć.* Opat Trapistów daje odpowiedź Horacjuszowi.

Mieszać do życia ciągłą myśl o mogile jest prawem mędrca, jest także prawem ascety. Pod tym względem asceta i mędrzec dążą do jednego.

Jest wzrost materjalny, życzymy go sobie; jest także wielkość moralna, obstajemy przy niej.

Umysły nierozważne i porywcze mówią:

— Po co te postacie nieruchome zwrócone ku tajemnicy? na co się zdały, co czynią?

Niestety! w obec otaczającej nas i czekającej ciemności, nie wiedząc, co z nami pocznie niezmierne rozproszenie, odpowiadamy: Nie masz może szczytniejszego dzieła nad to, którem zajęte są te dusze. I dodajem: Nie masz może użyteczniejszej pracy.

Potrzebni są modlący się zawsze za tych, co się nigdy nie modlą.

Dla nas cała kwestja leży w ilości myśli połączonej z modlitwą.

Leibnitz modlący się—wzniosły widok. Voltaire wielbiący Boga, rzecz piękna. *Deo erixit Voltaire.*

Jesteśmy za religją przeciw religjom.

Należym do tych, co nie wierzą w modlitwę klepaną bez myśli, ale uznają szczytność modłów ducha.

Zresztą w chwili obecnej, która szczęściem nie wyciśnie swego piętna na dziewiętnastym wieku, w tej chwili, gdy tylu ludzi ma spuszczone czoła i dusze pochylone ku ziemi, wśród tylu żyjących, których moralnością jest używanie, zajętych błahemi i szpetnemi rzeczami materji, ktokolwiek skazuje się na wygnanie, wydaje nam się czcigodnym. Klasztor jest zrzeczeniem się. Ofiara choćby źle skierowana, zawsze jest ofiarą. Ma w sobie coś wielkiego, przyjęcie jako obowiązku tego, co jest wielkim błędem.

Krążąc około prawdy bezstronnie, wyczerpujemy wszystkie względy. Monaster, zwłaszcza klasztor kobiet — bo w naszym wieku kobieta cierpi najwięcej, a to wygnanie do klasztoru jest jej protestacją — klasztor kobiet, uważany w sobie idealnie, ma niezaprzeczenie pewien majestat.

To surowe i milczące istnienie klasztorne, któregośmy wskazali kilka zarysów, nie jest życiem, bo nie jest swobodą, nie jest grobem, bo nie jest końcem;

jestto miejsce dziwne, zkąd niby ze szczytu wysokiej góry widzi się z jednej strony przepaść, w której jesteśmy, z drugiej przepaść, w której będziemy; jest to wąska, mglista granica dzieląca dwa światy, przez obydwa razem oświecona i zaćmiona, gdzie osłabiony promień życia miesza się z błędnym promieniem śmierci: to połowiczny cień grobu.

Co do nas, którzy nie wierzym w to, w co ono wierzą, ale jak one żyjemy wiarą, nie mogliśmy nigdy bez pewnej grozy religijnej i rzewnej, bez politowania pełnego zazdrości patrzeć na te istoty poświęcone, trwożliwe i ufne, na te dusze pokorne i dostojne, co ośmielają się żyć na samych kresach tajemnicy, w postawie wyczekującej między światem już dla nich zamkniętym i niebem jeszcze nie otwartem, obrócone ku światłości, której nie widzą, szczęśliwe jedynie myślą, że wiedzą gdzie szukać tej światłości, wzdychające z przepaści ku nieznajomemu, z okiem utkwionem w nieruchomą ciemność, klęczące, zdumione, drżące, w pewnych godzinach na wpół uniesione głębokiem tchnieniem wieczności.

KSIĘGA ÓSMA.

CMENTARZE BIORĄ, CO IM DAJĄ.

I.

Gdzie mowa o tem, jak się wchodzi do klasztoru.

Do takiego to domu Jan Valjean spadł z obłoków, jak mówił Fauchelevent.

Dostał się przez narożny mur ogrodu od ulicy Polonceau. Ów hymn anielski, który słyszał po północy, była to jutrznia, śpiewana przez zakonnice; sala, którą widział w ciemnościach, była kaplicą; widmo rozciągnięte na ziemi, siostra spełniająca akt przebłagania, dzwonek, który go tak zadziwił, był dzwonkiem ogrodnika, przywiązanym do kolan ojca Fauchelevent.

Gdy Cozetta zasnęła w łóżku, Jan Valjean i Fauchelevent spożywali przy dobrym ogniu kominka wieczerzę, złożoną ze szklanki wina i kawałka sera, potem rzucił się każdy z nich na wiązkę słomy, bo jedyne łóżko w chałupie zajmowała Cozetta. Nim zamknął oczy, Jan Valjean rzekł: — muszę tu zostać. — Te słowa całą noc snuły się po głowie biednego Fauchelevent.

Prawdę powiedziawszy, ani jeden ani drugi nie spali.

Jan Valjean, poznawszy, że jest odkryty, i że Javert na trop jego trafił, pojął że byłby zgubiony z Cozettą, gdyby powrócił do Paryża. Gdy szczęśliwy podmuch wiatru zaniósł go do tego klasztoru, Jan Valjean jedną już tylko miał myśl: jakby w nim po-

zostać. Dla nieszczęśliwego w jego położeniu klasztor ten był miejscem najniebezpieczniejszem i zarazem najpewniejszem; najniebezpieczniejszem, bo żaden mężczyzna nie mógł tu wejść; gdyby go zobaczono, postępek jego byłby niesłychaną zbrodnią, i Jan Valjean z klasztoru dostałby się prosto do więzienia; najpewniejszem schronieniem, bo gdyby go przyjęto i pozwolono mu pozostać, któżby tu myślał go szukać? Zbawieniem było mieszkać w miejscu, gdzie mężczyzna nie może przebywać.

Ze swej strony Fauchelevent bił się z myślami. Najprzód powiedział sobie, że nic nie rozumie. Jakim sposobem dostał się tu p. Madeleine, mimo takich murów, murów klasztornych, których przecież przeskoczyć nie można. Jakim sposobem dostał się z dzieckiem. Nie wdziera się na wysokie mury z dzieckiem na ręku. Co to za dziecko? Zkąd się wzięli oboje? Od czasu jak Fauchelevent dostał zajęcie w klasztorze, nie słyszano nawet o M.—nad M.—i nie wiedział o niczem co zaszło. Ojciec Madeleine miał minę wcale nie zachęcającą do zapytań; zresztą Fauchelevent powiedział sobie: Świętego się nie wypytuje. P. Madeleine miał dla niego zawsze dawny urok. Ale z kilku słów Jana Valjean ogrodnik wpadł na domysł, że p. Madeleine prawdopodobnie zbankrutował, i że ścigali go wierzyciele; albo że był skompromitowany w sprawie politycznej i musiał się ukrywać; nie gniewał się bynajmniej na to Fauchelevent, który jak wielu naszych wieśniaków w północnych departamentach, był w duchu gorącym Bonapartystą. Uciekając p. Madeleine wybrał klasztor na miejsce schronienia, i rzecz bardzo prosta, że chciał w nim pozostać. Niewytłumaczoną atoli rzeczą, do której nieustannie powracał Fauchelevent, łamiąc sobie napróżno głowę, było to, że nie mógł pojąć zkąd się wziął p. Madeleine, a do tego z dzieckiem. Fauchelevent widział ich, dotykał, rozmawiał z niemi i nie wierzył własnym zmysłom. Coś niepojętego zstąpiło pod strzechę sta-

rego Fauchelevent. Błąkał się omackiem w domysłach i widział jasno tylko to jedno, że p. Madeleine ocalił mu życie. Ta jedyna pewność wystarczała i wpłynęła stanowczo na jego wolę. Rzekł do siebie: Teraz moja kolej. Dodał w głębi sumienia: P. Madeleine nie zastanawiał się tak długo, gdy szło o dostanie się pod wóz i wydobycie mnie z pod niego. I postanowił ocalić p. Madeleine.

Później zadawał sobie różne zapytania, i odpowiadał na nie: — Potem co dla mnie uczynił, gdyby to był złodziej, czy mam go ocalić? należy. A gdyby był mordercą, czy mam go ocalić? należy.

Ale najtrudniejsze zadanie, jak go zostawić w klasztorze! Wydawało się to zamysłem szalonym, a jednak nie cofnął się Fauchelevent; biedny ten wieśniak pikardyjski, nie mając innych zasobów prócz poświęcenia, dobrej woli i tej odrobiny starej przebiegłości włościańskiej, tym razem oddanej na usługi szlachetnemu zamiarowi, postanowił przedrzeć się przez wszystkie przeszkody klasztorne i strome urwiska reguły św. Benedykta. Stary Fauchelevent przez całe życie był samolubem; przy schyłku dni swoich, kulawy, ułomny, niczem już nieprzywiązany do świata, uczuł słodycz wdzięczności i gdy mu się zdarzała sposobność do cnotliwego uczynku, chwycił się jej jak człowiek, który w chwili konania, znajdując pod ręką szklankę doskonałego wina, którego nie kosztował nigdy, wypija ją łakomie. Dodać można, że powietrze, którem od kilku lat oddychał w tym klasztorze, zniszczyło w nim osobistość i dało uczuć potrzebę dobrych uczynków.

Postanowił więc poświęcić się dla p. Madeleine.

Nazwaliśmy go biednym wieśniakiem pikardyjskim. Nazwa słuszna, ale niezupełna. W tem miejscu, do którego śmy doszli w naszem opowiadaniu, przyda się kilka fizjologicznych rysów ojca Fauchelevent. Był wieśniakiem, ale był także pisarzem u notarjusza, co do jego przebiegłości dołączyło matactwo, a do nai-

wności przenikliwość. Z różnych przyczyn zmuszony porzucić zawód pisarza, został woźnicą, a wreszcie prostym wyrobnikiem. Ale mimo klątw i smagań biczem potrzebnych koniom, zdaje się, że w gruncie zostało w nim trochę notarjusza. Miał wrodzony dowcip i pewne otarcie, nie mówił po chłopsku, i umiał gawędzić, co jest rzeczą rzadką na wsi: inni wieśniacy powiadali o nim: gada niby jak pan kapeluszowy. W istocie Fauchelevent należał do tej klasy, którą impertynencki i płochy słownik zeszłego wieku nazywał *pół-mieszczaninem*, *pół-chłopem*, i którą przenośnie padające z dworu szlacheckiego na słomianą strzechę znaczyły w księgach ludności włościańskiej: *trochę gbur*, *trochę obywatel; ni z pierza, ni z mięsa*. Fauchelevent choć ciężko wyprobowany od losu, rodzaj starej duszy zużytej, wszelako był samorzutnym i powodował się pierwszem wrażeniem; szacowny ten przymiot sprawił, że nie był złym człowiekiem. Jego błędy i zdrożności, bo nie był od nich wolnym, leżały jakby na powierzchni duszy; wogóle fizjonomja jego była z tych, które podobają się badaczom. Stara jego twarz nie miała tych brzydkich zmarszczków w górze czoła, znaczących złośliwość lub głupotę.

O świcie, ojciec Fauchelevent ogromnie się namyśliwszy, otworzył oczy i zobaczył p. Madeleine, który siedząc na wiązce słomy patrzył na śpiącą Cozettę. Fauchelevent usiadł na siedzeniu i rzekł:

— Teraz, kiedy już tu pan jesteś, co myślisz zrobić, żeby wejść tutaj?

W tem słowie streszczało się całe położenie; Jan Valjean się zamyślił.

Złożono radę.

— Najprzód—rzekł Fauchelevent—zaczniemy od tego, że ani pan, ani mała na krok nie wyjdziecie z tej izby i ani się ruszycie. Jeden krok na ogród i wszystko w łeb wzięło.

Macie słuszność.

— Panie Madeleine, przybywasz pan w chwili

bardzo dobrej, chciałem powiedzieć bardzo złej: jedna z naszych dam ciężko jest chora. Z tego powodu nie bardzo będą patrzeć w naszą stronę. Zdaje się, że umiera. Odprawiają czterdziestogodzinne nabożeństwo. Całe zgromadzenie jest w ruchu. To je zajmuje. Ta, która ma się wynosić z tego świata, jest świętą. Prawda, że my tu wszyscy jesteśmy trochę święci; cała różnica między niemi i mną jest ta, że one mówią: nasza cela, a ja mówię: moja ciupa. Będą modlitwy za konających, a potem modlitwy za umarłych. Dziś możemy być tu spokojni, ale za jutro nie odpowiadam.

— Jednakże—zrobił uwagę Jan Valjean—ta chałupa jest w kącie muru, zasłoniona ruderą i drzewami; z klasztoru jej nie widać.

— A ja dodam, że zakonnice nigdy się tu nie zbliżają.

— A więc? — zapytał Jan Valjean.

Pytający ton tego: a więc, znaczył: zdaje mi się, że można tu pozostać ukrytym. Na to zapytanie odpowiedział Fauchelevent:

— Są małe.

— Jakie małe?

Gdy Fauchelevent otwierał usta, by objaśnić co przed chwilą powiedział, dzwon raz uderzył.

— Zakonnica umarła — rzekł. — Oto dzwonią za umarłych.

I skinął na Jana Valjean, by słuchał.

Dzwon uderzył powtórnie.

To za umarłych, panie Madeleine. Będą tak co minuta bić we dzwony przez całą dobę aż do wyprowadzenia zwłok z kościoła. Otóż widzi pan małe się bawią. W czasie rekreacji niech tylko piłka potoczy się w tę stronę, zaraz przylecą i przewracają we wszystkich kątach. Prawdziwe djabły te cherubiny.

— Które? — zapytał Jan Valjean.

— Małe. Oho, zarazby pana odkryły, wołając: Aha! jest mężczyzna! ale dziś niema niebezpieczeństwa. Nie będzie rekreacji. Cały dzień muszą się modlić.

Słyszy pan dzwonienie. Jak panu mówiłem, biją we dzwony co minuta. To za umarłych.

— Pojmuję, ojcze Fauchelevent. Tu są pensjonarki.

I Jan Valjean pomyślał w duchu:

— Jakbym znalazł gotową edukację Cozetty.

Fauchelevent zawołał:

— Do licha! są to dziewczynki! A jakby krzyczały, zobaczywszy pana! jakby uciekały! Tu być mężczyzną, a być zapowietrzonym — to wszystko jedno. Widzisz pan, że mi przywiązują do nogi dzwonek, jak dzikiemu zwierzowi.

Jan Valjean zamyślał się coraz głębiej.

— Klasztor ten—szepnął—może nas ocalić. I dodał głośno:

— Tak, najtrudniejsza rzecz tu pozostać.

— Nie — odparł Fauchelevent — najtrudniejsza wyjść.

Jan Valjean uczuł, że wszystka krew spływa mu do serca.

— Wyjść!

— Tak, panie Madeleine, żeby powrócić musisz pan wyjść.

I zaczekawszy aż dzwon wybije, dodał:

— Nie mogę tu tak zostawić pana. Zkąd pan przybywasz? dla mnie spadasz z nieba, bo znam pana, ale zakonnice, rzecz inna, one chcą, by wchodziło się drzwiami.

Nagle usłyszano dość zawikłane dzwonienie innego dzwonu.

— A! — rzekł Fauchelevent — dzwonią na matki głosujące. Zbiera się kapituła. Zawsze odbywa się kapituła, gdy kto umrze. Umarła nad ranem. Zwykle umiera się nad ranem. Ale czy nie mógłbyś pan wyjść tędy, którędyś się tu dostał? No, zobaczmy, nie wybaduję pana bynajmniej, ale tak sobie, którędy pan wszedłeś?

Jan Valjean zbladł. Na samą myśl, że ma wró-

cić na ulicę, dreszcz go przejmował. Wydobywasz się z lasu pełnego tygrysów, a tu przyjaciel radzi ci tam powrócić. Jan Valjean wyobrażał sobie całą policję szperającą w dzielnicy, ajentów na czatach, wszędy placówki, straszne pięście wyciągnięte ku jego kołnierzowi—sam Javert może gdzie stał na rogu.

— Niepodobna! — rzekł. — Ojcze Fauchelevent, przypuść, żem spadł z obłoków.

— Ale ja wierzę panu, wierzę — odparł Fauchelevent. Nie potrzebuję mi pan o tem mówić. Pan Bóg wziął pana na ręce, by się zbliska panu przypatrzyć, a potem puścił. Ale pewnie chciał pana rzucić do męzkiego klasztoru i zaszła mała pomyłka. Oho, jeszcze dzwonią. To uderzenie znaczy, że odźwierny ma zawiadomić municypalność, aby posłała po lekarza, który ma przyjść poświadczyć, że w istocie jest umarłą. Takie są ceremonje z umieraniem. Poczciwe nasze damy nie bardzo lubią te odwiedziny. Lekarz to w nic nie wierzy. Podnosi zasłonę. Niekiedy podnosi co innego. Ale tym razem jak się pospieszyły z posłaniem po lekarza! Coś to znaczy! Pańska mała ciągle śpi. Jak jej na imię?

— Cozetta.

— To córka pańska? chciałem powiedzieć: jesteś pan jej dziadkiem?

— Tak.

— Ona łatwo ztąd wyjść może. Moje drzwi służbowe wychodzą na podwórko. Stukam. Odźwierny otwiera, mam kosz na plecach, mała w koszu i wychodzę. Ojciec Fauchelevent wychodzi z koszem, nic nad to prostszego. Powiesz pan małej, żeby siedziała spokojnie. Złożę ją u starej mojej przyjaciółki, głuchej przekupki przy ulicy Zielonej Drogi. Krzyknę w ucho przekupki, że to moja siostrzenica i poproszę, by ją zatrzymała u siebie do jutra. Potem mała wróci z panem. Bo ja pana sprowadzę. Trzeba koniecznie. Ale jakim sposobem pan ztąd wyjdziesz?

Jan Valjean potrząsł głową.

— Cała rzecz, by mnie nikt nie widział, ojcze Fauchelevent. Znajdziecie sposób, bym mógł wyjść jak Cozetta, w koszu i pod rogożą.

Fauchelevent podrapał się w ucho środkowym palcem, znak, że był wielce zakłopotany.

Trzecie dzwonienie przerwało jego myśli.

— Oto już lekarz umarłych odchodzi — rzekł. Spojrzał i powiedział: — umarła, no dobrze. Gdy lekarz podpisał paszport do raju, przyjeżdża karawan z trumną. Jeżeli matka umarła, wkładają ją matki do trumny, jeżeli siostra, to siostry. Poczem zabijam wieko. To należy do mych obowiązków ogrodniczych. Ogrodnik jest trochę grabarzem. Stawiają na katafalku w dolnym kościele, od którego drzwi wychodzą na ulicę i gdzie nie może wejść żaden mężczyzna, prócz lekarza umarłych. Za mężczyznę nie uważam grabarza i siebie. W tymto dolnym kościele zabijam trumną. Grabarze przychodzą po nieboszczkę, karawaniarz zacina konie i wio! Tak to się jedzie do nieba. Przynoszą pudło puste, a zabierają z czemś w środku. To się nazywa pogrzeb. *De profundis.*

Poziomy promień słońca padł na twarz śpiącej Cozetty, która nieco otworzyła usta i miała postać aniołka, pijącego światło. Jan Valjean znowu zaczął patrzyć na Cozettę i nie słuchał już ojca Fauchelevent.

Nie być słuchanym, to jeszcze nie racja, by przestać mówić. Poczciwy stary ogrodnik bajał dalej w najlepsze.

— Kopią grób na cmentarzu Vaugirard. Powiadają, że będzie zniesiony ten cmentarz Vaugirard. Jest to stary cmentarz nie według przepisów, nie ma właściwego munduru, i dostanie dymisję. Szkoda, bo bardzo wygodny, mam tam przyjaciela ojca Mastienne, grabarza. Zakonnice tutejsze mają przywilej, że je wynoszą na cmentarz w nocy. Jest umyślny dla nich rozkaz prefektury. Ale ileż to wypadków od wczoraj: matka Ukrzyżowanie umarła, a ojciec Madeleine...

— Jest pogrzebiony — dodał Jan Valjean, uśmiechając się smutnie.

Fauchelevent odbił słówko.

— Ba! gdybyś pan pozostał tutaj, rzeczywiście byłbyś pogrzebiony.

Rozległo się czwarte dzwonienie. Fauchelevent żywo zdjął z gwoździa rzemień z dzwonkiem i zapiął u kolana.

— Teraz, to na mnie dzwonią. Matka przełożona mię woła. Dobryś! ukłułem się zębem sprzączki. Panie Madeleine, nie wychodź ani kroku; czekaj na mnie. Zaszło coś nowego. Jeśli panu jeść się zachce, tam jest wino, chleb i ser.

I wyszedł z chałupy, wołając: Zaraz! zaraz!

Jan Valjean patrzył jak biegł przez ogród ile mu tylko pozwalała wykrzywiona noga i patrzył na swe melony.

Nie upłynęło dziesięciu minut, ojciec Fauchelevent, którego dzwonek spłaszał po drodze zakonnice, zastukał do drzwi, a cichy głos wewnątrz odpowiedział: *Na wieki wieków*, to jest: *Wejdźcie!*

Te drzwi prowadziły do parlatorjum, w którem rozmawiano z ogrodnikiem, gdy mu wydawano jakie polecenie. Parlatorjum przytykało do sali kapituły. Przełożona, siedząc na jedynem krześle w parlatorjum, czekała na Fauchelevent.

II.

Fauchelevent wobec trudności.

Pewne charaktery i pewne stany, zwłaszcza kapłani i zakonnice, miewają w chwilach krytycznych sobie tylko właściwy wyraz twarzy poważny i gorączkowy. W chwili gdy wszedł Fauchelevent, wyraz ten zajęcia dobitnie rysował się na fizjonomji przełożonej, którą była uczona i miła panna Blemeur, matka Innocenta, zwykle wesoła.

Ogrodnik skłonił się bojaźliwie i zatrzymał w progu celi. Przełożona, która przebierała palcami ziarnka różańca, podniosła oczy i rzekła:

— A! to wy, ojcze Fauvent.

Takie skrócenie było przyjęte w klasztorze.

Fauchelevent znowu się skłonił.

— Ojcze Fauvent, kazałam was zawołać.

— Jestem na rozkazy, przewielebna matko.

— Mam coś wam powiedzieć.

— Ja także — rzekł Fauchelevent ze śmiałością, której się lękał w duchu: pragnąłbym coś powiedzieć przewielebnej matce.

Przełożona spojrzała na niego.

— A! macie jakie wiadomości?

— Prośbę.

— Więc mówcie.

Poczciwiec Fauchelevent, ex-pisarz, należał do kategorji wieśniakow pewnych siebie. Zręczna ciemnota bywa czasami siłą; nie masz ku niej nieufności i dajesz się jej powodować. Od dwóch przeszło lat służby w klasztorze, Fauchelevent pozyskał względy zgromadzenia. Zawsze samotny, zajęty ogrodem, miał dość czasu do zaspokojenia swojej ciekawości. Oddalony będąc od przechadzających się tych kobiet zasłonionych, widział przed sobą jakby poruszające się cienie. Przy bacznem śledzeniu i przenikliwości wrodzonej, w końcu włożył ciało na te widma, i nieboszczki wydały mu się żywemi. Był niby głuchy, którego wzrok się przedłuża, i ślepy, którego słuch wydelikatnia. Starał się rozróżnić znaczenie rozmaitych dzwonień i w końcu zagadkowy ten milczący klasztor nie miał dlań nic ukrytego. Sfinxs ów gwarzył mu do ucha wszystkie swoje tajemnice. Fauchelevent, wiedząc o wszystkiem, ukrywał wszystko. W tem była jego sztuka. Cały klasztor miał go za głupca. Wielki przymiot w zakonie. Matki głosujące wysoko ceniły starego Fauchelevent. Był to ciekawy niemowa, budził zaufanie. Prócz tego był bardzo regularny i wychodził do miasta wtedy tylko, gdy tego koniecznie wymagały zajęcia w sadzie i warzywnym ogrodzie. Zauważono te rzadkie jego wydalania się. Niemniej jednak wyciągnął na słowa dwóch ludzi w klasztorze: odźwiernego, od którego dowiedział się szczegółów o parlatorjum, a na cmentarzu grabarza, od którego wiedział o osobliwościach pogrzebu; tym sposobem miał podwójne wiadomości o zakonnicach, jedne o ich życiu, drugie o ich śmierci. Nie nadużywał jednak obu. Zgromadzenie nie łatwoby się z nim rozstało. Stary, kulawy, nic nie widzący, co się dzieje w klasztorze, może i głuchy trochę, co za szacowne przymioty! Drugiego podobnego trudnoby znaleźć.

Poczciwiec, czując że jest ceniony, z pewnością siebie prawił wielebnej przełożonej wieśniaczą mowę, dość rozwlekłą a bardzo głęboką. Długo mówił o swym

wieku, kalectwie, niemocy, o nadmiarze pracy, o obszerności ogrodu, o nocach bezsennych, jak naprzykład wczorajszej, w której musiał okrywać rogożą cieplarnie z melonami, bo księżyc świecił w pełni, i zakończył tem, że miał brata, (przełożona zrobiła poruszenie) — brata wcale nie młodego, (drugie poruszenie przełożonej, ale uspakajające) — że gdyby pozwolono, ten brat mógłby z nim mieszkać i dopomagać mu, że był doskonałym ogrodnikiem, że zgromadzenie dużoby na tem zyskało, więcej niż na nim, — że w przeciwnym razie, gdyby nie przyjęto jego brata, czując się złamanym na siłach i nieodpowiednim do swej służby, musiałby, choć z wielkim żalem, oddalić się z klasztoru, — że jego brat miał wnuczkę, którąby przyprowadził z sobą, aby się chowała po bożemu w klasztorze, a kto wie? może z czasem zostałaby zakonnicą.

Gdy umilkł, przełożona przestała przesuwać palcami ziarnka różańca i rzekła:

— Czy możecie znaleźć do wieczora mocną sztabę żelazną?

— Do czego?

— Do podważania.

— Mogę, wielebna matko — odpowiedział Fauchelevent.

Przełożona nie dodawszy ani słowa, powstała i weszła do sąsiedniego pokoju, w którym była sala kapituły, gdzie matki głosujące prawdopodobie były zebrane. Fauchelevent sam pozostał.

III.

Matka Innocenta.

Upłynęło blisko kwadrans czasu. Przełożona wróciła i znowu usiadła na krześle.

Obydwie osoby rozmawiające z sobą zdawały się czemś zajęte. Powtórzym tu, jak możem najwierniej, dyjalog, który się między niemi zawiązał.

— Ojcze Fauvent?

— Słucham wielebnej matki!

— Znacie kaplicę?

— Mam tam małą klatkę, z której słucham Mszy Świętej i Nieszporów.

— Wchodziliście kiedy na chór dla jakiej roboty?

— Dwa czy trzy razy.

— Chodzi o podniesienie kamienia.

— Ciężkiego?

— Tafli posadzki, która leży obok ołtarza.

— Kamienia zamykającego groby?

— Tak jest.

— Tamby się bardzo przydało dwóch mężczyzn.

— Matka Wniebowstąpienie wam dopomoże, jest mocna jak mężczyzna.

— Kobieta nie to co mężczyzna.

— Tylko kobieta może wam dopomódz. Każdy robi co może. Dlatego, że dom Mabillon podaje czte-

rysta siedmnaście listów Św. Bernarda, a Merlonus Horstius tylko trzysta sześćdziesiąt siedm, bynajmniej nie gardzę Merlonusem Horstiusem.

— Ani ja także.

— Zasługą jest pracować według sił swoich. Klasztor nie jest warsztatem.

— Ani kobieta mężczyzną. Mój brat to dopiero mocny!

— A przytem będziecie mieli lewar.

— To jedyny rodzaj klucza, przystający do takich drzwi.

— Jest koło w kamieniu.

— Wsadzę w nie lewar.

— Kamień jest tak osadzony, że może się obracać.

— To dobrze, wielebna matko. Otworzę groby.

— W przytomności czterech matek kantorek.

— A gdy groby będą otworzone?

— Należy je zamknąć.

— To wszystko?

— Nie.

— Czekam na wasze rozkazy, przewielebna matko.

— Fauvent, mamy w was zaufanie.

— Jestem tu, by robić wszystko.

— I milczeć o wszystkiem.

— Tak jest, wielebna matko.

— Gdy groby będą otwarte...

— Zamknę je.

— Ale wprzód...

— Co, wielebna matko?

Trzeba będzie tam coś spuścić.

Nastało milczenie. Przełożona poruszywszy dolną wargą jakby wahając się, dodała:

— Ojcze Fauvent?

— Słucham wielebnej matki!

— Wiecie, że dziś rano umarła jedna matka.

— Nie.

— Toście nie słyszeli dzwonu?

— W głębi ogrodu nic nie słychać.

— Doprawdy?

— Ledwie dosłyszę dzwonienie na mnie.

— Umarła o świcie.

— A przytem rano, wiatr nie donosił głosu w moją stronę.

— To matka Ukrzyżowanie. Błogosławiona.

Przełożona umilkła, poruszała ustami, jakby w duchu odmawiając modlitwę i dodała:

— Przed trzema laty, widząc tylko modlącą się matkę Ukrzyżowanie, jansenistka pani Bethune została nawróconą.

— A tak, słyszę teraz dzwonienie za umarłych, wielebna matko.

— Matki zaniosły ją do sali zmarłych, z której przechodzi się do kościoła.

— Wiem.

— Żaden inny mężczyzna prócz was nie może i nie powinien wchodzić do tej sali. Pamiętajcie o tem. A to śliczne żeby mężczyzna wchodził do pokoju zakonnic zmarłych!

— Jeszczeby też!

— He?

— Jeszczeby też.

— Co mówicie?

— Mówię jeszczeby też

— Jeszczeby też co?

— Wielebna matko, nie mówię jeszczeby też co, mówię jeszczeby też.

Nie rozumiem was. Dlaczego mówicie jeszcze by też?

— By mówić jak wy, wielebna matko.

— Ale ja tego nie mówiłam.

— Wielebna matka nie powiedziała, ale ja powiedziałem, by mówić jak wielebna matka.

W tej chwili wybiła dziewiąta godzina.

— O dziewiątej godzinie i o każdej godzinie niech będzie pochwalony i uwielbiony Przenajświętszy Sakrament ołtarza — rzekła przełożona.

— Amen — dodał Fauchelevent.

Godzina w samą porę wybiła. Przerwała mowę o tem: jeszczeby też. Gdyby nie to, prawdopodobnie ani przełożona ani Fauchelevent nie wybrnęliby z tej plątaniny.

Fauchelevent otarł czoło.

Przełożona zaczęła znowu szeptać jakąś modlitwę, potem rzekła głośno:

— „Za życia matka Ukrzyżawanie nawracała grzeszników, po śmierci będzie czynić cuda.

— O będzie czynić cuda! — odpowiedział Fauchelevent poprawiając się i usiłując więcej nie potknąć.

— Ojcze Fauvent, zgromadzenie było błogosławione w matce Ukrzyżowanie. Prawda, że nie wszystkim dano umierać jak kardynał Berulle, przy mszy świętej i Bogu oddać ducha, wymawiając słowa: *Hanc igitur oblationem.* Ale choć nie dostąpiła takiego szczęścia, matka Ukrzyżowanie miała śmierć bardzo piękną. Zachowała przytomność do ostatniej chwili. Mówiła do nas, potem do aniołów. Dała nam swoje ostatnie polecenia. Gdybyście mieli trochę więcej wiary i mogli wejść do jej celi, uleczyłaby waszą nogę samem jej dotknięciem. Uśmiechała się. Czuło się, że zmartwychwstaje w Bogu. Niebo już było w tej śmierci.

Fauchelevent, myśląc, że przełożona odmawia modlitwę, rzekł gdy umilkła:

— Amen.

— Ojcze Fauvent trzeba spełniać wolę umarłych.

Przełożona przerzuciła kilka ziarnek różańca. Fauchelevent milczał. Zakonnica mówiła dalej:

— Radziłam się w tej kwestji wielu duchownych, pracujących w Jezusie Chrystusie, których życie kapłańskie wydaje przedziwne owoce.

— Wielebna matko, daleko tu lepiej słychać dzwonienie za umarłych, niż w ogrodzie.

— Zresztą to więcej niż umarła, to święta.

— Jak wy, wielebna matko.

— Sypiała w trumnie od lat dwudziestu za wyraźnem pozwoleniem naszego Ojca Św. Piusa VII.

— Tego co koronował cesa... Buonaparte.

Człowiek tak zręczny jak Fauchelevent nie w porę wybrał się z tem przypomnieniem. Szczęściem nie słyszała go przełożona, zajęta swą myślą. Mówiła dalej:

— Ojcze Fauvent?

— Słucham wielebnej matki!

— Święty Diodor, arcybiskup Kappadocji, chciał by napisano na jego grobie ten jeden wyraz: *Acarus*, co znaczy robak ziemny; stało się jak żądał. Czy prawda?

— Prawda, wielebna matko.

— Błogosławiony Mezzocane, opat w Aquila chciał być pochowany pod szubienicą; stało się jak żądał.

— To prawda.

— Święty Terencjusz biskup Portu przy ujściu Tybru do morza, żądał by wyryto na jego kamieniu grobowym znak, jaki kładziono na mogiłach ojcobójców, w nadziei, że przechodnie będą pluli na grób jego. Stało się jak żądał. Trzeba spełniać wolę zmarłych.

— Amen.

— Ciało Bernarda, Guidonis, który urodził się we Francji pod Roche-Abeille, stosownie do jego ostatniej woli i pomimo zakazu króla Kastylji, przeniesione zostało do kościoła Dominikanów w Limoges, chociaż Bernard Guidonis był biskupem Tuy w Hiszpanji. Można utrzymywać inaczej?

— Pewnie że nie, wielebna matko.

— Fakt ten zaświadcza Plantawit z Fosse.

Znowu przesunąwszy w milczeniu kilka ziarnek różańca, przełożona mówiła dalej:

— Ojcze Fauvent, matka Ukrzyżowanie złożoną będzie do trumny, w której sypiała od lat dwudziestu.

— Rzecz słuszna.

— To jakby dalszy ciąg snu.

— Więc mam ją zabić w tej trumnie?

— Tak.

— I odstawimy na bok trumnę karawaniarza?

— Właśnie.

— Jestem na rozkazy przewielebnego zgromadzenia.

— Cztery matki kantorki wam dopomogą.

— Do zabicia trumny? Nie potrzebuję ich pomocy.

— Nie. Do spuszczenia trumny.

— Gdzie?

— Do grobów?

— Jakich grobów?

— Pod ołtarzem.

Fauchelevent podskoczył.

— Grobów pod ołtarzem!

— Pod ołtarzem.

— Ale...

— Będziecie mieli sztabę żelazną.

— Tak, ale...

— Podniesiecie kamień sztabą za pomocą koła.

— Ale...

— Trzeba spełniać wolę zmarłych. Być pogrzebioną w grobach pod ołtarzem kaplicy, nie być przeniesioną na ziemię niepoświęconą, pozostać umarłą tam, gdzie się modliła żyjąca: taka była ostatnia wola matki Ukrzyżowanie. Oto nas prosiła, to jest tak nam rozkazała.

— Ale to zabronione.

— Zabronione przez ludzi, nakazane przez Boga.

— Gdyby się o tem dowiedziano?

— Pokładamy w was zaufanie.

— O co do mnie, jestem jak kamień waszego muru.

— Kapituła się zebrała. Matki głosujące, których zasięgnęłam opinji i które jeszcze obradują, uradziły, że matka Ukrzyżowanie, stosownie do swej woli, pochowaną będzie w trumnie pod naszym ołtarzem. Osądź sam ojcze Fauchelevent, czy nie będą się tu

dziać cuda! jaka chwała w Bogu dla zgromadzenia! Cuda wychodzą z grobów.

— Ale wielebna matko, gdyby ajent komissji zdrowia...

— Święty Benedykt II w przedmiocie grzebania umarłych oparł się Konstantemu Pogonatowi.

— Jednakże komisarz policji...

— Chonodemaire jeden z siedmiu królów niemieckich, którzy wtargnęli do Galji za panowania Konstancjusza cesarza, wyraźnie uznał prawo zakonników do spoczywania po śmierci w klasztorze, to jest pod ołtarzem.

— Ale inspektor prefektury...

Świat jest niczem w obec krzyża. Marcin, jedenasty jenerał Kartuzów, dał taką dewizę swemu zakonowi: *Stat crux dum volvitur orbis.*

— Amen — rzekł Fauchelevent niezmięszany; w ten sposób zawsze wydobywał się z kłopotu ilekroć usłyszał łacinę.

Byle jacy słuchacze są dobrzy dla tego, który zbyt długo milczał. W dniu, w którym retor Gymnastoras wyszedł z więzienia, mając duszę pełną dilematów, sylogizmów i wszelakich argumentów, zatrzymał się przed pierwszem napotkanem drzewem, i prawił do niego, wszelkiemi sposoby usiłując je przekonać. Przełożona zwykle zamknięta rogatką milczenia, a mając przepełnione zapasy wymowy, podniosła się z krzesła i zawołała z gadatliwością puszczonej śluzy:

— Mam po prawej stronie Benedykta, a po lewej Bernarda. Któż jest Bernard? Pierwszy opat Klarawaleński. Fontaines w Burgundji jest błogosławionym krajem, bo widział jego narodzenie. Jego ojciec nazywał się Tecelin a matka Aleta. Zaczął od Citeaux a skończył na Clairvaux; poświęcony został na opata przez Wilhelma Champeaux biskupa w Châlons nad Saoną; miał siedmiuset nowicjuszów i założył sto sześćdziesiąt klasztorów; obalił Abeilarda na koncyljum w Sens w r. 1140 i Piotra de Bruys i Henryka jego

ucznia i rodzaj zbłąkanych owieczek zwanych Apostolskiemi; pobił Arnolda z Brescia, zgromił mnicha Raula, zabójcę Żydów, przewodniczył w r. 1148 na koncyljum w Reims, potępił Gilberta de la Porée, biskupa z Poitiers, potępił Eona de l'Eoile, zagodził spory książąt, oświęcił króla Ludwika młodego, był doradcą papieża Eugenjusza III, urządził zakon Templarjuszów, głosił krucjatę, zdziałał 250 cudów w swem życiu aż do trzydziestu dziewięciu w dniu jednym. Kto jest Benedykt? To patrjarcha Monte-Cassino; to drugi założyciel Św. Klauzury, to Bazyli Zachodu. Jego zakon wydał czterdziestu papieżów, dwustu kardynałów, pięćdziesięciu patrjarchów, tysiąc sześciuset arcybiskupów, cztery tysiące sześciuset biskupów, czterech cesarzów, dwanaście cesarzowych, czterdziestu sześciu królów i czterdzieści i jedną królowę, trzy tysiące sześciuset kanonizowanych świętych, istnieje od tysiąca czterystu lat. Z jednej strony Św. Bernard z drugiej ajent zdrowia! Z jednej strony Św. Benedykt, z drugiej inspektor porządku miejskiego! Państwo, służba miejska, karawany publiczne, rozporządzenia administracyjne — alboż my to znamy? Obojętny przechodzień oburzyłby się, patrząc, jak się z nami obchodzą. Nie mamy nawet prawa oddawać swych prochów Jezusowi Chrystusowi! Wasza służba zdrowia jest wynalazkiem rewolucyjnym. Taki to świat teraz. Cicho, Fauvent!

Fauchelevent ogłuszony tym słów potokiem nie wiedział co z sobą począć. Przełożona prawiła dalej:

— Nikt nie może wątpić o prawie klasztoru do grzebania swoich umarłych. Zaprzeczają go tylko fanatycy i zbłąkani. Żyjemy w czasach strasznego zamętu. Nie wiedzą co znać należy, a wiedzą czegoby należało nie znać. Pełno nieuctwa i bezbożności. W epoce obecnej zdarzają się ludzie, którzy nie umieją odróżnić wielkiego świętego Bernarda od Bernarda ze zgromadzenia Ubogich katolików, poczciwego księżyny, który żył w trzynastym wieku. Inni posuwają

bluźnierstwo aż do porównania rusztowania Ludwika XVI z krzyżem Jezusa Chrystusa. Ludwik XVI był tylko królem. Nie zapominajmyż co się Bogu należy! Niema już ani sprawiedliwych, ani niesprawiedliwych. Znają nazwisko Voltaira, a nie znają nazwiska Cezara de Bus. A jednak Cezar de Bus jest błogosławionym, a Voltaire niegodziwcem. Ostatni arcybiskup kardynał Perigord nie wiedział nawet, że Karol Gondren nastąpił po Berullu, a Franciszek Bourgoin po Gondrénie, a Jan Franciszek Senault po Bourgoinie, a ojciec Św. Marta po Janie Franciszku Senault. Znają nazmisko ojca Coton nie dlatego, że był jednym z trzech, którzy założyli zgromadzenie Oratorjanów, ale dlatego, że był przedmiotem klątw hugonockiego króla Henryka IV. Św. Franciszek Salezy dlatego był miłym w oczach ludzi światowych, że szachrował w kartach. A potem napadają na religję. Dlaczego? bo zdarzają się źli księża, bo Sagittaire biskup Gapu był bratem Salona biskupa Embrun i obydwaj poszli śladem Mommola. Cóż to znaczy? Nie przeszkadza to Marcinowi z Tours być świętym i dzielić się płaszczem z ubogim. Prześladują świętych. Zamykają oczy na światło prawdy. Przywykają do ciemności. Najsroższe zwierzęta są zwierzęta ślepe. Nikt nie pomni na piekło żeby dobrze czynić. O, niegodziwy lud! W imieniu króla znaczy dziś w imieniu Rewolucji. Nie wiedzą już co się należy żywym a co umarłym. Nie wolno umierać świątobliwie. Grzebanie zmarłych jest sprawą cywilną. Aż zgroza bierze. Święty Leon II napisał umyślnie dwa listy: jeden do Piotra Notarjusza, drugi do króla Wizygotów, w których zbija i odrzuca powagę exarchy i najwyższą władzę cesarza w rzeczach chowania umarłych. Gautier biskup Chałoński w tym samym przedmiocie nie ustępował Ottonowi księciu Burgundzkiemu. Dawne sądownictwo na to się zgadzało. Niegdyś mieliśmy głos w kapitule nawet w rzeczach świeckich. Opat Cystersów, jenerał zakonu był dziedzicznym radcą w parlamencie

burgundzkim. Czynimy z naszemi umarłemi co nam się podoba. Alboż ciało samego Św. Benedykta nie spoczywa we Francji w opactwie Fleury, zwanem Św. Benedykta nad Loarą, chociaż umarł we Włoszech na Monte Cassino w sobotę 21 marca 543 roku? Wszystko to zaprzeczeniu nie ulega. Brzydzę się odszczepieńcami, nienawidzę kacerzy, ale jeszcze bardziej nienawidziałabym tego, któryby przeciwnie utrzymywał. Dość przeczytać Arnolda Vion, Gabriela Bucelin, Tritema, Maurolicusa i Dom Łukasza Achery.

Przełożona odetchnęła, potem obracając się do Faucheleventa, rzekła:

— Ojcze Fauvent, czy dość ci tego?

— Zupełnie dosyć, wielebna matko.

— I możemy na was liczyć?

— Będę posłuszny.

— Dobrze.

— Jestem duszą i ciałem oddany klasztorowi.

— A zatem zamkniecie trumnę, siostry zaniosą ją do kaplicy. Odmówimy nabożeństwo za umarłych, potem wrócimy do klasztoru. Między jedenastą i dwunastą o północy przyjdziecie ze sztabą żelazną. Wszystko odbędzie się w największej tajemnicy. W kaplicy będą tylko cztery matki kantorki, matka Wniebowstąpienie i wy.

— I siostra pod słupem.

— Ta się nie obróci.

— Ale usłyszy.

— Nie będzie słuchała. Zresztą, co wie klasztor, o tem świat się nie dowie.

Nowa przerwa. Przełożona mówiła dalej:

— Zdejmiecie z nogi dzwonek. Nie trzeba, by siostra u słupa spostrzegła, że tu jesteście.

— Wielebna matko?

— Co, ojcze Fauvent?

— Czy lekarz zmarłych odbył już wizytę?

— Odbędzie ją dziś o czwartej. Zadzwoniono dzwonieniem, które sprowadza lekarza umarłych. Jak widzę nie słyszycie żadnego dzwonienia.

— Zwracam tylko uwagę na moje.

— To dobrze, ojcze Fauvent.

— Wielebna matko, sztaba żelazna musi mieć najmniej trzy łokcie.

— Zkąd ją weźmiecie?

— Gdzie jest dużo krat, tam znajdą się i sztaby żelazne. Mam w ogrodzie stosy żelaztwa.

— O trzy kwadranse przed północą, nie zapomnijcie.

— Wielebna matko?

— Co?

— Jeśliby wielebna matka miała kiedy inne roboty podobnę, mój brat by się przydał. Mocny jak Turek!

— Sprawicie się jak najśpieszniej.

— Bo to ja nie mogę śpiesznie robić. Jestem ułomny i dlatego chciałbym pomocnika. Kuleję.

— Kuleć nic złego, może nawet jest to błogosławieństwo boże. Cesarz Henryk II, który walczył przeciw antypapieżowi Grzegorzowi i przywrócił Benedykta VIII, ma dwa przezwiska: Święty i Kulawy. Ojcze Fauvent, namyśliłam się, że lepiej będzie przyjść wcześniej. Bądźcie ze sztabą żelazną punkt o jedenastej przy wielkim ołtarzu. Nabożeństwo rozpoczyna się o północy. Trzeba wszystko skończyć wprzód na kwadrans.

— Zrobię wszystko, by dowieść mej gorliwości dla zgromadzenia. Rzecz ułożona. Przybiję wieko trumny. Punkt o jedenastej będę w kaplicy. Matki kantorki przyjdą, będzie także matka Wniebowstąpienie. Dwóch mężczyzn byliby przydatniejsi, ale mniejsza o to! będę miał lewar. Otworzymy groby, spuścimy i zamkniemy groby kamieniem. Potem żadnego śladu. Rząd ani się domyśli. Wielebna matko, czy potem już wszystko będzie załatwione?

— Nie.

— Czego jeszcze potrzeba?

— Pozostaje próżna trumna.

Nowa przerwa. Fauchelevent myślał. Przełożona myślała.

— Ojcze Fauvent, co się stanie z trumną?

— Zawiozą ją na cmentarz.

— Próżną?

Znowu milczenie. Fauchelevent machnął lewą ręką, jakby odpędzając myśl niepokojącą.

— Wielebna matko, ja zabijam trumnę w dolnym kościele, nikt prócz mnie tam nie wchodzi, pokryję trumnę całunem.

— Tak, ale grabarze, kładąc ją na karawan i spuszczając do dołu, poczują, że wewnątrz nic nie ma.

— A! do dja...! — zawołał Fauchelevent.

Przełożona podniosła rękę by się przeżegnać i surowo spojrzała na ogrodnika. *Bla* uwięzło mu w gardle.

Spiesznie wymyślił sposób, by zatrzeć ślad klątwy.

— Wielebna matko, nasypię ziemi do trumny. Zdawać się będzie, że kto w niej leży.

— Macie słuszność. Ziemia a człowiek wszystko jedno. Więc załatwicie się z próżną trumną?

— To rzecz moja.

Twarz przełożonej dotychczas zmieszana i niespokojna, teraz się wypogodziła. Skinieniem, jakiem odprawia się niższych od siebie, dała mu znać, że może odejść. Fauchelevent postąpił ku drzwiom. Gdy już miał wychodzić, przełożona rzekła nieco podniesionym głosem:

— Ojcze Fauvent, jestem z was zadowolona, jutro po pogrzebie przyprowadźcie mi swego brata i powiedzcie mu, by zabrał z sobą córkę.

IV.

Zdawać się może, jakoby Jan Valjean czytał Austina Castillejo.

Kroki chromego są jak spojrzenia jednookiego; nie prędko zdążają do celu. A przytem Fauchelevent był zakłopotany. Cały kwadrans wracał do chałupy w ogrodzie. Cozetta się obudziła. Jan Valjean posadził ją przy ogniu. W chwili gdy Fauchelevent wchodził, Jan Valjean pokazał jej kosz ogrodnika zawieszony na ścianie i mówił:

— Słuchaj uważnie kochana Cozetto. Musimy wyjść z tego domu, ale wrócim tu i będzie nam dobrze. Poczciwy gospodarz tutejszy wyniesie cię w koszu. Zaczekasz na mnie u jednej damy. Przyjdę tam po ciebie. Pamiętaj, jeżeli nie chcesz żeby Thenardierowa cię zabrała, bądź posłuszna i nie mów ani słówka!

Cozetta poważnie skinęła głową.

Na odgłos drzwi otwartych przez Fauchelevent, Jan Valjean się obrócił.

— No cóż?

— Wszystko jest urządzone i nic nie ma urządzonego dotychczas. Mam pozwolenie wprowadzić was, aleby trzeba wprzód wyprowadzić. W tem sęk. Z małą łatwa sprawa.

— Weźmiecie ją?

— A czy zachowa się cicho?

— Ręczę za nią.

— A wy, ojcze Madeleine?

I po chwili przykrego milczenia Fauchelevent zawołał:

— Czemuż-to nie wyjdziecie, którędyście weszli!

Jan Valjean jak pierwszym razem odpowiedział tylko: — Niepodobna.

Fauchelevent, mówiąc raczej do siebie niż do Jana Valjean, mruczał pod nosem:

— Jedno mię jeszcze dręczy. Powiedziałem, że nasypię ziemi. Ale zdaje mi się, że ziemia w trumnie nie zastąpi człowieka, będzie się rozlatywać, poruszać nieustannie. Spostrzegą to ludzie. Pojmujecie ojcze Madeleine, rząd się dowie.

Jan Valjean spojrzał mu prosto w oczy jakby sądził, że majaczy w gorączce.

Fauchelevent mówił dalej:

— Jak u dja...bła wyjdziecie? Wszystko musi być skończone jutro! Jutro mam was przyprowadzić. Przełożona będzie czekała.

Wtedy wytłumaczył Janowi Valjean, że to przyjęcie było wynagrodzeniem za usługę, którą on Fauchelevent, wyświadczył zgromadzeniu. Że do jego obowiązków należało brać udział w grzebaniu zmarłych, że zabijał wieka trumny i pracował z grabarzem na cmentarzu. Że zmarła rano zakonnica prosiła, by ją pochowano w trumnie, w której sypiała i złożono w grobach pod ołtarzem kaplicy. Że przepisy policyjne tego zabraniały, ale nieboszce nie chciano odmówić. Że przełożona i matki głosujące postanowiły wykonać życzenie zmarłej. Że on, Fauchelevent zabije wieko trumny w kaplicy, podniesie taflę kamienną przy ołtarzu i spuści nieboszkę do grobów. I że, dziękując mu za to, przełożona przyjmuje do klasztoru jego brata na ogrodnika, a synowicę na pensjonarkę. Że jego bratem jest p. Madeleine, a synowicą Cozetta.

Że przełożona powiedziała, aby przyprowadził brata jutro wieczór, po pozornem pochowaniu zwłok na cmentarzu. Ale że nie mógł sprowadzić p. Madeleine z miasta, dopóki p. Madeleine nie wyjdzie na miasto. Że w tem właśnie był główny kłopot. A przytem, że miał drugi kłopot z próżną trumną.

— Co za próżna trumna?— zapytał Jan Valjean.

Fauchelevent odpowiedział:

— Trumna skarbowa.

— Jaka trumna? dlaczego skarbowa?

— Umiera zakonnica. Przychodzi lekarz miasta i mówi: umarła zakonnica. Rząd przysyła trumnę. Nazajutrz przysyła karawan i żałobników, by zabrali trumnę i powieźli na cmentarz. Żałobnicy przyjdą i podniosą trumnę; będzie wewnątrz pustą.

— Włóżcie cokolwiek.

— Trupa? nie mam.

— Nie trupa.

— Cóż więc?

— Żywego człowieka.

— Jakiego żywego człowieka?

— Mnie — rzekł Jan Valjean.

Fauchelevent, który siedział, zerwał się jakby pod nim pękł granat.

— Pana?

— Czemu nie?

Jan Valjean uśmiechnął się tym rzadkim uśmiechem, który zdarza się jak błyskawica na niebie zimowem.

— Pamiętacie przecież, Fauchelevent, żeście mówili, iż matka Ukrzyżowanie umarła, a ja dodałem: i ojciec Madeleine jest pogrzebiony. To właśnie się stanie.

— A, pan żartujesz, nie mówisz serjo.

— Zupełnie serjo. Wszak muszę ztąd wyjść?

— Niewątpliwie.

— Mówiłem wam, byście i dla mnie znaleźli kosz i rogożę.

— A więc?

— Kosz będzie jodłowy, a rogoża z czarnego sukna.

— Naprzód, nie z czarnego, lecz z białego. Zakonnice pokrywają białym całunem.

— Niech będzie białym.

— Nie jesteście zwyczajnym człowiekiem, ojcze Madeleine.

Spotkać się z podobnemi fantazjami, które niczem innem nie są jeno dzikiemi i zuchwałemi wynalazkami galer, wyjść ze zwykłego spokoju i wmieszać się w to co nazywał „małemi wybrykami klasztoru“ wprawiało ojca Fauchelevent w osłupienie, jakiegoby doznał przechodzień, widząc mewę pływającą po rynsztoku ulicy Świętego Dyonizego.

Jan Valjean mówił dalej:

— Chodzi o to, bym wyszedł ztąd niepostrzeżony. Właśnie nadarza się sposobność. Ale wprzódy chciejcie mię objaśnić. Jak się to odbywa? gdzie jest trumna?

— Pusta?

— Tak.

— W dolnym kościele, w tak zwanej sali umarłych. Stoi na katafalku o dwóch stopniach, okryta całunem.

— Jaka jest długość trumny?

— Sześć stóp.

— Co to za sala umarłych?

— Jest to pokój na dole, z oknem od ogrodu okratowanem, i okiennicą zamkniętą, oraz dwoma drzwiami: jednemi od klasztoru, drugiemi od kościoła.

— Jakiego kościoła?

— Kościoła od ulicy, do którego każdemu wejść można.

— Macie klucze do tych dwóch drzwi?

— Nie. Mam klucz do drzwi od klasztoru; odźwierny ma klucz do drzwi od kościoła.

— Kiedy odźwierny te drzwi otwiera?

— Raz tylko gdy wpuszcza żałobników, przychodzących po trumnę. Gdy trumnę wyniosą, drzwi się zamykają.

— Kto zabija trumnę?

— Ja.

— A kto okrywa całunem?

— Także ja.

— Jesteście sami?

— Żaden mężczyzna, prócz lekarza policyjnego nie może wejść do sali umarłych. Stoi to napisane na ścianie.

— Czy nocy dzisiejszej, gdy wszyscy usną w klasztorze, możecie mnie ukryć w tej sali?

— Nie. Ale mogę was ukryć w małej ciemnej izdebce, tuż przy sali umarłych, gdzie składam moje narzędzia pogrzebowe; mam od niej klucz.

— O której godzinie przyjedzie jutro karawan?

— Około trzeciej po południu. Pogrzeb odbędzie się z wieczora nim noc zapadnie. Cmentarz Vaugirard jest dość daleko.

— Pozostanę w izdebce przez noc i całe rano. A jeść cokolwiek? będę głodny.

— Przyniosę.

— Możecie przyjść zabić mię w trumnie o drugiej?

Fauchelevent cofnął się i trzaskał palcami.

— Niepodobieństwo!

— Ba! cóż to niepodobnego wziąć młot i przybić gwoździe do desek?

Co ojcu Fauchelevent wydawało się rzeczą niesłychaną, powtarzamy, było dla Jana Valjean bagatelą. Jan Valjean miał gorsze przeprawy. Kto był więźniem zna sztukę zmniejszania się odpowiednio do średnicy otworu, przez który się ucieka. Więzień podlega ucieczce jak chory przesileniu, które go ocala lub gubi. Szczęśliwa ucieczka jest wyzdrowieniem. Na co się nie narażamy, byle wyzdrowieć? Dać się zagwoździć i unieść w skrzyni jak towar, żyć długo w pudle, znaleźć powietrze tam, gdzie go nie ma, oszczędnie

oddychać po całych godzinach, umieć dusić się a nie umrzeć — był to jeden ze smutnych talentów Jana Valjean.

Zresztą nietylko galernicy dają się zamykać w trumnach. Jeśli damy wiarę mnichowi Austinowi Castellajo, Karol V, pragnąc po abdykacji widzieć się jeszcze ze swoją Plombes, kazał ją tym sposobem wnieść do klasztoru Świętego Justa i tak samo wynieść.

Fauchelevent, ochłonąwszy nieco z przerażenia zawołał:

— Ale co pan zrobisz żeby oddychać?

— Będę oddychał.

— W tem pudle! Ja na samą myśl już się duszę.

— Macie pewnie świder, przewiercicie kilka dziurek około ust i niezbyt szczelnie przybijecie wieko.

— Dobrze! a jeśli pan zakaszle lub kichnie?

— Kto ucieka nie kaszle ani kicha.

I Jan Valjean dodał:

— Ojcze Fauchelevent, jedno z dwojga trzeba wybrać: albo dać się wziąć tutaj, lub też zgodzić na wywiezienie karawanem.

Pospolicie wiadomo, że koty mają upodobanie zatrzymywać się i kręcić między podwojami drzwi na wpół otwartych. Bierze ochota rzec do kota: Wejdźże! Podobnie są ludzie, którzy, gdy przed nimi otwiera się jaki wypadek, stają także niepewni między dwoma postanowieniami, narażając się na zgniecenie, gdyby los nagle zatrząsnął wypadkiem. Zbytecznie roztropni, chociaż są kotami, i właśnie dlatego, że są kotami, niekiedy bardziej są narażeni na niebezpieczeństwo niż ludzie odważni. Fauchelevent miał ten charakter wahający. Wszelako zimna krew Jana Valjean wywierała nań wpływ mimowolny. Mruknął pod nosem:

— Bo też doprawdy nie ma innego sposobu.

Jan Valjean dorzucił:

— Jedno mię tylko niepokoi, co się stanie na cmentarzu.

— Właśnie to najmniej mię kłopocze, zawołał Fauchelevent. Jeśli pan jesteś pewny, że poradzisz sobie z trumną, ja jestem pewny, że pana wydobędę z cmentarza. Grabarzem jest jeden z moich przyjaciół, stary pijak. Nazywa się ojciec Mestienne. Grabarz wsadza nieboszczyków do grobu, a ja wsadzam grabarza do kieszeni. Zaraz panu opowiem jak będzie na cmentarzu. Nim zmrok zapadnie, przybędziemy na cmentarz, na trzy kwadranse przed zamknięciem bramy. Karawan zajedzie pod sam dół. Ja będę na cmentarzu, mój obowiązek. Zabiorę z sobą młot, nożyce i cęgi. Karawan się zatrzymuje, żałobnicy zawiążą panu sznur około trumny i spuszczą w dół. Ksiądz odmówi modlitwy, przeżegna się, pokropi wodą święconą, i umknie. Pozostanę sam z ojcem Mestienne. Jak panu mówiłem, to mój przyjaciel. Z dwojga jedno, albo będzie pijany, albo nie będzie pijany. Jeżeli nie będzie pijany, powiem mu: chodź na butelczynę, póki jeszcze otwarty szynk pod *Dobrą pigwą*. Zabiorę go, spoję, ojca Mestienne prędko spoisz, bo zawsze ma pałkę zalaną; ułożę go pod stołem, zabiorę jego kartę, pójdę na cmentarz i sam powrócę. Będziesz pan miał tylko ze mną do czynienia. Jeżeli jest pijany, powiem mu; idź spać, zrobię za ciebie. Odejdzie, a ja dobędę pana z dołu.

Jan Valjean podał mu rękę, na którą z rozczulającem wylaniem wieśniaczem rzucił się Fauchelevent.

— Rzecz ułożona, ojcze Fauchelevent. Wszystko pójdzie dobrze.

— Byle nic się nie popsuło, pomyślał Fauchelevent. Gdyby się to miało strasznie zakończyć!

V.

Nie dość upijać się, by być nieśmiertelnym.

Nazajutrz przed zachodem słońca rzadcy przechodnie na bulwarze Maine zdejmowali kapelusze przed staroświeckim karawanem, ozdobionym trupiemi główkami, piszczelami i łzami. Na karawanie spoczywała trumna okryta białym całunem z długim czarnym krzyżem, niby nieboszczka ze zwieszonemi rękoma. Żałobna kareta, w której siedział ksiądz w komeżce i fijołek w czerwonej piusce, postępowała za karawanem, po którego obu stronach szli dwaj żałobnicy w szarych kostjumach z czarnemi potrzebami. W tyle za karawanem zdążał stary kulawy człowiek, odziany, jak wyrobnik. Karawan skierował się ku cmentarzowi Vaugirard.

Z kieszeni chromego wyglądała rękojeść młota, nożyce i końce cęgów.

Cmentarz Vaugirard stanowił wyjątek między cmentarzami paryzkiemi. Miał właściwe sobie zwyczaje, jak właściwą bramę i furtkę, które mieszkańcy dzielnicy nie przestawali po dawnemu nazywać bramą jezdną i bramą pieszą. Bernardynki - benedyktynki Picpusa Małego, jakeśmy mówili, wyrobiły sobie, że je chowano w osobnym kącie, wieczorem, na gruncie który niegdyś należał do ich zgromadzenia. Graba,

rze, mając tym sposobem na cmentarzu służbę wieczorną w lecie, a nocną w zimie, podlegali osobnym przepisom karnym. Bramy cmentarzy paryzkich zamykano w owym czasie o zachodzie słońca, a że takie było ogólne rozporządzenie municypalne, cmentarz Vaugirard ulegał mu jak inne. Brama jezdna i brama piesza okratkowane, przylegały do siebie, dotykając budynku, który postawił budowniczy Peronnet, a zamieszkiwał odźwierny cmentarza. Bramy obracały się na zawiasach nieubłaganie w chwili, gdy słońce znikało za kopułą Inwalidów. Jeżeli który grabarz zapóźnił się w robocie na cmentarzu, miał tylko jeden sposób wyjścia, pokazać kartę grabarską, którą wydaje administracja karawanów. Rodzaj pudła do listów przyczepiony był do okiennicy mieszkania odźwiernego. Grabarz wrzucał kartę do tego pudła, odźwierny usłyszawszy ją wpadającą, pociągał za sznurek i otwierała się brama piesza. Jeżeli grabarz nie miał karty, wymieniał swoje nazwisko, odźwierny niekiedy już uśpiony w łóżku, wstawał, wychodził przekonać się o tożsamości osoby grabarza i otwierał bramę kluczem, ale grabarz płacił piętnaście franków kary.

Cmentarz ten z oryginalnemi zwyczajami, przeciwnemi ogólnemu prawidłu, zawadzał symetrji administracyjnej. Zamknięto go wkrótce po roku 1830. Miejsce jego zajął cmentarz Mont-Parnasse, zwany cmentarzem Wschodnim, który otrzymał w spadku przytykający do cmentarza Vaugirard i jedną stroną obrócony ku grobom sławny szynk, nad którym sterczał szyld z wymalowaną pigwą i napisem: *Pod dobrą pigwą*.

Cmentarz Vaugirard nazwaćby można cmentarzem uwiędłym. Zaczęto odwykać od niego. Kwiaty znikały, mchy i pleśń go okrywała. Mieszczanie niechętnie dawali się grzebać w Vaugirard; trąciło to ubóstwem; cmentarz Pere Lachaise, to co innego! być pochowanym na Pere-Lachaise, znaczyło toż sa-

mo, co mieć mahoniowe meble. Po tem poznawała się elegancja. Cmentarz Vaugirard był szanownem ogrodzeniem, zasadzonem drzewami, niby dawny ogród francuzki. Aleje proste, bukszpany, cyprysy, ostrokrzewy, stare mogiły pod staremi cisami, trawa wysoka. Wieczorem wyglądało to tragicznie. Były tam linje dziwnie ponure.

Słońce jeszcze nie zaszło, gdy karawan z białym całunem i czarnym krzyżem wtoczył się w aleję cmentarza Vaugirard. Idący za nim kulawy człowiek był nie kto inny, tylko Fauchelevent.

Pochowanie matki Ukrzyżowanie w grobach pod ołtarzem, wyjście Cozetty, wprowadzenie Jana Valjean do sali umarłych; wszystko dokonane zostało bez najmniejszej przeszkody i trudności.

Mimochodem mówiąc, pogrzebanie ciała matki Ukrzyżowanie pod ołtarzem; wydaje się nam grzechem zupełnie powszednim. Było to jedno z tych przewinień, któreby godziło się nazwać powinnością. Zakonnice też uczyniły to bez żadnego niepokoju sumienia, owszem z zadowoleniem wewnętrznem. W klasztorze wszelkie mięszanie się rządu do spraw zakonnych ulega dyskusji. Przedewszystkiem reguła, mówią zakonnicy; co do kodeksu, zobaczymy, czy można go przyjąć, lub należy odrzucić. Ludzie, stanówcie ile wam się podoba praw, ale schowajcie je dla siebie. Myto dla cesarza, zawsze jest tylko resztką myta należnego Bogu. Władza ziemska jest niczem w porównaniu z zasadą Boską.

Fauchelevent sztykutał za karawanem wielce zadowolony. Dwa spiski bliźnięce: jeden z zakonnicami, drugi z p. Madeleine, jeden dla klasztoru, drugi przeciw niemu, doskonale się powiodły razem. Niewzruszoność Jana Valjean miała w sobie coś z tego potężnego spokoju, który udziela się drugim. Fauchelevent nie wątpił już o powodzeniu. Co pozostawało do zrobienia było bagatelą. Od dwóch lat dziesięć razy spoił zacnego ojca Mestienne, poczciwego pijaczynę.

Robił z nim co chciał, igrał jak z dzieckiem, według swej woli i widzimisię. Ojciec Mestienne był pantoflem ojca Fauchelevent. To też Fauchelevent był najzupełniej spokojny.

W chwili gdy korowód żałobny skręcił na ulicę, wiodącą do cmentarza, Fauchelevent spojrzał na karawan i uszczęśliwiony zatarł grube ręce, mówiąc półgłosem!

— A to komedja!

W tem karawan się zatrzymał; stanął przed kratą bramy. Należało pokazać pozwolenie na pogrzebanie zwłok. Żałobnik zbliżył się do odźwiernego cmentarza i coś z sobą mówili. W czasie tej rozmowy, trwającej do dwóch minut, jakiś nieznajomy stanął za karawanem obok ojca Fauchelevent. Podobny był do wyrobnika, miał na sobie kaftan z obszernemi kieszeniami, a pod pachą motykę.

Fauchelevent spojrzał na nieznajomego.

— Kto jesteście? — zapytał.

Człowiek odpowiedział:

— Grabarz!

Kto przeżył po otrzymaniu kuli działowej w samo serce, wyglądałby jak w tej chwili Fauchelevent.

— Grabarz!

— Tak.

— Wy!

— Ja.

— Grabarzem jest ojciec Mestienne.

— Był.

— Jakto był?

— Umarł.

Fauchelevement prędzejby się wszystkiego spodziewał, tylko nie tego, że grabarz mógł umrzeć. A jednak tak się stało; nawet grabarze umierają. Kopiąc nieustannie doły dla drugich, przygotowują je i dla siebie.

Fauchelevement otworzył gębę zdumiony. Ledwie miał siłę wybełkotać:

— Ależ to być nie może.

— Może, kiedy jest.

— Przecież — odparł słabym głosem — grabarzem jest ojciec Mestienne.

— Po Napoleonie, Ludwik XVIII. Po Mestiennie, Gribier. Wieśniaku, nazywam się Gribier.

Fauchlevent wybladły przypatrywał się temu Gribierowi.

Był to mężczyzna wysoki, chudy, siny, doskonale grobowy. Wyglądał na niedoszłego lekarza, przerobionego na grabarza.

Fauchelevent parsknął śmiechem.

— A! pocieszne rzeczy się dzieją! ojciec Mestienne umarł, ojczulko Mestienne nie żyje, ale żyje ojczulko Lenoir! Wiecie co ojczulko Lenoir? To dzban czerwonego wina po sześć su. Dzban sureńskiego, dalipan, prawdziwego sureńskiego z Paryża! A! umarł stary Mestienne! Szkoda, był to zacny hulaka. Ale i wy także nie wylejecie za kołnierz — nie prawdaż kolego? — pójdziemy zaraz wypić butelczynę.

Człowiek odpowiedział: — Byłem w szkołach. Skończyłem cztery klasy. Nie pijam nigdy.

Karawan ruszył z miejsca i wtoczył się w główną aleję cmentarza.

Fauchelevent zwolnił kroku i kulał bardziej jeszcze z obawy niż z ułomności.

Grabarz szedł przed nim.

Fauchelevent raz jeszcze przyjrzał się niespodziewanemu Gribierowi.

Był to jeden z tych ludzi, co młodzi wyglądają już choro, a chociaż chudzi, są bardzo mocni.

— Przyjacielu — wołał Fauchelevent.

Człowiek się obrócił.

— Jest grabarzem klasztornym.

— Więc kolega — rzekł człowiek.

Fauchelevent chociaż nie uczony, ale przebiegły, zrozumiał, że ma do czynienia z istotą strasznego gatunku, z krasomówcą.

Mruknął:

— Więc naprawdę ojciec Mestienne umarł?

Człowiek odpowiedział:

— Najniezawodniej. Pan Bóg zajrzał do książki z terminami zaległych wypłat. Kolej przypadała na ojca Mestienne i ojciec Mestienne umarł.

Fauchelevent powtórzył bez myśli:

— Pan Bóg...

— Pan Bóg — rzekł człowiek z powagą. — Dla filozofów Ojciec Przedwiecany, dla jakobinów Istota Najwyższa.

— Więc nie zabierzemy znajomości? — wyjąkał Fauchelevent.

— Jużeśmy zabrali. Wy jesteście wieśniakiem, a jam Paryżanin.

Póty się nie poznajomi, póki nie wypije razem. Wypróżniając szklankę, wywnętrza się serce. Pójdziemy się napić. Tego się nie odmawia.

— Najprzód robota.

Fauchelevent pomyślał: jestem zgubiony.

Jeszcze kilka obrotów koła, a karawan wjeżdżał w małą aleję, prowadzącą do miejsca wiecznego spoczynku zakonnic.

Grabarz odezwał się jeszcze:

— Wieśniaku, mam siedmiu bębnów do wyżywienia, One muszą jeść, ja nie mogę pić.

— I dodał z zadowoleniem pedanta, który wynalazł piękny frazes:

— Ich głód jest wrogiem mojego pragnienia.

Karawan zawrócił około grubego cyprysu, z wielkiej alei wjechał w małą drożynę wśród krzaków. Wskazywało to bliskość miejsca pogrzebu. Fauchelevent zwolnił kroku, ale nie mógł zatrzymać karawanu. Szczęściem ziemia miękka i deszczem zimowym prze-

siąknięta, lepiła się do kół i utrudniała ich poruszenia.

— Fauchelevent zbliżył się do grabarza.

— Jest wyborne winko Argenteuil — szepnął Fauchelevent.

— Wieśniaku — odparł człowiek — nie powinienem był zostać grabarzem. Mój ojciec był odźwiernym w Prytaneum. Kierował mię na literata. Ale spotkały go nieszczęścia. Stracił na giełdzie. Musiałem wyrzec się powołania literata. Wszelako jestem jeszcze pisarzem publicznym.

— A zatem nie jesteście grabarzem? — odpowiedział Fauchelevent, czepiając się tej wątłej nitki nadziei.

— Jedno nie przeszkadza drugiemu. Robię za dwóch.

Fauchelevent nie dobrze zrozumiał ostatni wyraz.

— Pójdźmy pić — rzekł.

Tu jedna uwaga konieczna. Fauchelevent jakkolwiek wylękły, zapraszał na butelkę, ale nie mówił wcale kto zapłaci. Zwykle Fauchelevent zapraszał, a ojciec Mestienne płacił. Zaproszenie oczywiście wynikało z nowego położenia rzeczy z powodu nowego grabarza, ale stary ogrodnik nie bez rozmysłu trzymał w niepewności swego towarzysza. Jakkolwiek był wzruszony, nie miał ochoty płacić.

Grabarz mówił dalej z uśmiechem, wyrażającym uczucie wyższości:

Trzeba pracować na życie. Przyjąłem spadek po ojcu Mestienne. Kto prawie ukończył szkoły jest filozofem. Do umysłowej pracy dołączyłem ręczną. Mam budkę pisarską na rynku ulicy Sèvres. Znacie rynek Parasoli. Wszystkie kucharki Czerwonego Krzyża udają się do mnie. Bazgrzę im miłosne wyznania do adonisów. Rano piszę czułe listy, a wieczorem kopię doły. Takie jest życie, wieśniaku.

Karawan jechał dalej. Fauchelevent niespokojny do najwyższego stopnia, patrzył dokoła na wszystkie strony. Grube krople potu ściekały mu z czoła.

— Wszelako—mówił grabarz — nie można dwom panom służyć. Muszę wybrać między piórem i motyką. Motyka psuje mi rękę.

Karawan się zatrzymał.

Z powozu żałobnego wysiadł fijołek, za nim ksiądz.

Przednie koła karawanu wjechały na kupę ziemi, za którą był dół.

— A to komedja! — powtórzył osłupiały Fauchelevent.

VI.

Między czterema deskami.

Kto był w trumnie? wiemy. Jan Valjean.

Jan Valjean tak się urządził, by żyć wewnątrz trumny i prawie oddychał.

Rzecz dziwna, do jakiego stopnia spokojne sumienie czyni spokojnym o resztę. Cała kombinacja, obmyślona przez Jana Valjean od wczoraj postępowała szybko w wykonaniu. Jak Fauahelevent, liczył na ojca Mestienne. Nie wątpił o pomyślnym końcu. Nigdy położenie nie było krytyczniejszem, ani zupełniejszą spokojność.

Cztery deski trumny wydają z siebie jakąś straszną ciszę. Zdawało się, że pokój, jakiego doznawał Jan Valjean miał w sobie coś z pokoju umarłych.

Z głębi trumny mógł śledzić i śledził wszystkie przemiany strasznego dramatu, który odgrywał ze śmiercią.

Wkrótce potem, gdy Fauchelevent skończył zabijanie wieka, Jan Valjean uczuł, że go wynoszą, potem wiozą. Gdy zmniejszyło się trzęsienie, poznał, że zjechano na drogę niebrukowaną, na bulwary. Z głuchego turkotu odgadł, że przejeżdżano most Austerlicki. Przy pierwszym przystanku zrozumiał, że zatrzymano się przed cmentarzu, po drugim powiedział sobie: otóż i dół.

Nagle uczuł, że ręce chwytają trumnę, potem jakieś ostre tarcie po deskach, domyślił się, że zawiązywano sznur około trumny, by ją spuścić do dołu.

Potem uczuł się jakby nieprzytomnym.

Prawdopodobnie żałobnicy i grabarze nie utrzymali równowagi w trumnie i spuścili wprzód głowę niż nogi. Przyszedł do siebie zupełnie, gdy uczuł, że leży poziomo i nieruchomy. Był na dnie dołu.

Uczuł trochę chłodu.

Nad nim rozległ się głos lodowaty i uroczysty. Usłyszał wymawiane tak zwolna, że mógł zapamiętać wyrazy łacińskie, których nie rozumiał.

— *Qui dormiunt in terrae pulvere evigilabunt; alii in vitam aeternam et alii in opprobium ut videant semper.* [1])

Głos dziecinny rzekł:

— *De profundis.*

Głos poważny rozpoczął znowu:

— *Requiem aeternam dona ei Domine.*

Głos dziecinny odpowiedział:

— *Et lux perpetua luceat ei.*

Uczuł coś lekko padające na wieko, niby krople deszczu. Prawdopodobnie była to woda święcona.

Pomyślał sobie: Wkrótce się to skończy. Trochę cierpliwości jeszcze. Ksiądz odejdzie. Fauchelevent zabierze Mestienna na wino. Zostawią mię, potem powróci sam Fauchelevent i wyjdę. Potrwa to z dobrą godzinę.

Głos poważny odezwał się:

— *Requiescat in pace.*

Głos dziecinny odpowiedział:

— *Amen.*

Jan Valjean wytężył słuch i usłyszał jakby oddalające się kroki.

— Odchodzą — pomyślał. — Zostaję sam.

---

[1]) „Którzy śpią w prochu ziemi, obudzą się; jedni do życia wiecznego, drudzy na niesławę, aby widzieli ją zawsze".

Nagle uczuł nad głową huk, jak uderzenie piorunu.

To ziemia rzucona łopatą na trumnę.

Drugi raz spadła ziemia.

Zatkała się jedna z dziurek, któremi oddychał.

Trzeci raz spadła ziemia.

Potem czwarty.

Bywają rzeczy silniejsze od najsilniejszego człowieka. Jan Valjean zemdlał.

VII.

Gdzie jest źródło, z którego powstało wyrażenie: stracić kartę, stracić głowę.

Opowiedzmy co się działo nad trumną, w której siedział Jan Valjean.

Gdy oddalił się karawan, gdy ksiądz i chłopiec wsiedli do powozu i odjechali, Fauchelevent, który nie spuszczał z oczu grabarza, zobaczył go jak się pochylił i ujął łopatę, zatkniętą w kupie ziemi.

Wtedy Fauchelevent zdobył się na krok ostateczny.

Stanął między dołem i grabarzem, złożył ręce na krzyż i rzekł:

— Ja płacę!

Grabarz spojrzał nań zdziwiony i odpowiedział:

— Co takiego, wieśniaku?

Fauchelevent powtórzył:

— Ja płacę!

— Za co?

— Za wino.

— Jakie wino?

— Argenteuil.

— Gdzie u licha Argenteuil?

— Pod dobrą Pigwą.

— Idź do djabła! — rzekł grabarz.

I rzucił łopatą ziemię na trumnę.

Trumna wydała dźwięk głuchy. Fauchelevent zachwiał się na nogach i o mało sam nie wpadł do dołu. Wołał głosem ochrypłym jakby go kto dusił:

— Przyjacielu, chodź nim zamkną Dobrą Pigwę!

Grabarz podważył ziemię łopatą. Fauchelevent mówił dalej:

— Ja płacę.

Schwycił za ramię grabarza.

— Posłuchaj, przyjacielu. Jestem grabarzem klasztornym, przychodzę ci pomódz. Robotę możemy skończyć w nocy. Wypijmy wprzód butelkę.

Gdy tak mówił, czepiając się rozpacznego nalegania, nasunęła mu się myśl smutna: — Gdyby i pił, czy da się spoić?

— Parafjanie — rzekł grabarz — jeśli koniecznie chcecie, zgadzam się. Pójdziemy się napić. Po robocie, nigdy wprzód.

I podniósł łopatę z ziemią. Fauchelevent go zatrzymał.

— To Argenteuil po sześć su!

— Ah, ah — rzekł grabarz; krzycz z dachu, wleź na dzwonnicę i dzwoń: din, din, din, din. Wy nic innego robić nie umiecie. Zostańcie dzwonnikiem.

I drugi raz rzucił ziemię.

Fauchelevent tak był zmieszany, że nie wiedział już co mówił.

— Ale chodźcie napić się, przecież ja płacę!

— Jak uśpimy dziecko — rzekł grabarz.

I po raz trzeci rzucił ziemię.

Potem zanurzył łopatę w ziemi i dodał:

— Widzicie, że noc będzie zimna, nieboszczka krzyczałaby na nas, gdybyśmy ją zostawili bez kołdry.

W tej chwili, biorąc ziemię na łopatę, grabarz schylił się i otworzyła się kieszeń jego kaftana.

Obłąkany wzrok ojca Fauchelevent machinalnie padł na tę kieszeń i zatrzymał się.

Słońce jeszcze nie skryło się za widnokrąg; było

jeszcze tyle widno, że mógł dojrzeć coś białego w głębi otwartej kieszeni.

Cały blask, jaki być mógł w oku pikardyjskiego wieśniaka, przeszedł w źrenicę ojca Fauchelevent. Przyszła mu do głowy myśl jedna.

Nim spostrzegł się grabarz cały zajęty zabieraniem ziemi na łopatę, zapuścił mu z tyłu rękę w kieszeń i wydobył z niej ową rzecz białą.

Grabarz po raz czwarty rzucił ziemię na trumnę.

W chwili, gdy się obracał, by jeszcze nabrać ziemi na łopatę, Fauchelevent spojrzał nań z głębokim spokojem i rzekł:

— Za pozwoleniem, nowicjuszu, a gdzie masz kartę?

Grabarz przerwał robotę.

— Jaką kartę?

— Słońce zachodzi.

— Dobrej mu nocy, niech kładnie szlafmycę.

— Brama cmentarza się zamknie.

— No i cóż?

— Macie kartę?

— A, moją kartę! — rzekł grabarz.

I poszukał w kieszeniach.

Poszukał w jednej, potem w drugiej. Przetrząsł kamizelkę, raz jeszcze grzebał w pierwszej i drugiej kieszeni.

— Doprawdy, nie mam karty, musiałem zapomnieć.

— Piętnaście franków kary—rzekł Fauchelevent.

Grabarz zzieleniał. Kolor zielony jest bladością ludzi sinych.

— A Jezu, mój Boże do krocset tysięcy! — zawołał. — Piętnaście franków kary!

— Trzy sztuki stosusowe — dodał Fauchelevent.

Grabarz wypuścił z rąk łopatę.

Teraz przyszła kolej na ojca Fauchelevent.

— No—rzekł—nie rozpaczaj rekrucie. Nie idzie tu o to, abyś się zabił, korzystając z gotowego dołu.

Piętnaście franków jest piętnastu frankami, a zresztą możesz ich nie zapłacić, Jestem stary, a ty nowicjusz. Znam wszystkie przebiegi i wykręty. Dam ci przyjacielską radę. Jedna rzecz jest jasna, że słońce zachodzi, że dotyka kopuły inwalidów i cmentarz zamknie się za pięć minut.

— To prawda — odpowiedział grabarz.

— Przez te pięć minut nie zasypiesz dołu, jest djabelnie głęboki, i nie będziesz miał dość czasu wyjść za bramę, nim ją zamkną.

— Macie słuszność.

— W takim razie piętnaście franków kary.

— Piętnaście franków.

— Ale masz jeszcze czas... Gdzie mieszkasz?

— Dwa kroki od rogatki. Ztąd kwadrans drogi. Ulica Vaugirard numer 87.

— Wziąwszy nogi za pas, masz jeszcze czas wyjść z cmentarza.

— W istocie.

— Gdy będziesz za bramą, pobiegniesz do domu, zabierzesz kartę i wrócisz; odźwierny otworzy ci bramę. Mając kartę nic nie zapłacisz. Potem pogrzebiesz nieboszczkę. Zostanę tu i będę pilnować, żeby nie uciekła.

— Ocalacie mi życie, wieśniaku.

— Drapże co żywo — rzekł Fauchelevent.

Grabarz odurzony wdzięcznością, potrząsł jego rękę i pobiegł.

Gdy grabarz zniknął w gęstwinie, Fauchelevent słuchał jeszcze dopóki nie ucichną stąpania, potem nachylił się do dołu i zawołał pół-głosem:

— Ojcze Madeleine!

Żadnej odpowiedzi.

Fauchelevent zadrżał. Raczej stoczył się w rów niż wskoczył, przyłożył głowę do przodu trumny i zawołał:

— Jesteś pan?

Milczenie w trumnie.

Fauchelevent, nie oddychając, cały drżęcy porwał za nożyce i młot i wysadził wieko. Ukazała się w zmroku blada twarz Jana Valjean z zamkniętemi oczyma.

Włosy najeżyły się na głowie ojca Fauchelevent, powstał, potem oparł się plecami o ścianę dołu bliski omdlenia i patrzał na Jana Valjean.

Jan Valjean leżał blady i nieruchomy.

Fauchelevent wyszeptał po cichu:

— Umarł!

I wyprostowawszy się i skrzyżowawszy ręce tak gwałtownie, że dwie zaciśnięte pięści uderzyły o plecy, zawołał:

— Tak to go ocalam!

Wówczas biedny poczciwiec zaczął szlochać, prawiąc głośno do siebie, błędnie bowiem utrzymują, że głośne rozmawianie z sobą nie jest w naturze ludzkiej. Silne wstrząśnienia często wyrażają się głośno.

— To wina ojca Mestienne. Po co umarł ten niedołęga! co mu się tak spieszyło zdychać w chwili, gdy się tego nikt nie spodziewał! on to przyczyną śmierci pana Madeleine! Ojciec Madeleine leży w trumnie i nie wstanie. Skończyło się. — Ach, czy to był rozum robić takie rzeczy. A, mój Boże! umarł! A co ja zrobię z jego małą? co powie przekupka? Możeż to być, żeby taki człowiek umierał tak sobie! Gdy pomyślę, że wsunął się pod mój wóz! Ojcze Madeleine! ojcze Madeleine. Dalibóg udusił się, przewidziałem. Nie chciał mi wierzyć. A to mi śliczna psota! Umarł ten zacny człowiek, najpoczciwszy ze wszystkiej Bożej czeladki. A jego mała! Doprawdy, już tam nie wrócę. Pozostaję tu. Zrobić takie głupstwo! I wartoż to być starymi, żeby dopuścić się takiego warjactwa! A najprzód jakim sposobem wszedł do klasztoru? To już był zły początek. Takich rzeczy nie powinno się robić. Ojcze Madeleine! Ojcze Madeleine! panie Madeleine! panie merze! Nie słyszy! Wydobądź się ztąd teraz!

I rwał sobie włosy.

W dali za drzewami rozległ się ostry zgrzyt. Bramę cmentarza zamykano.

Fauchelevent pochylił się ku Janowi Valjean i nagle podskoczył, cofając się ile tylko dół pozwolił. Jan Valjean miał oczy otwarte i patrzał na niego.

Strasznie jest patrzeć na nieboszczyka, prawie równie strasznie zobaczyć zmartwychwstałego. Fauchelevent jak skamieniały, blady, obłąkany, wzburzony nadmiarem wszelkich wzruszeń, nie wiedząc czy ma przed sobą żywego czy nieboszczyka, patrzał na Jana Valjean, który utkwił weń oczy.

— Zasnąłem — rzekł Jan Valjean.

I podniósł się na wpół w trumnie.

Fauchelevent padł na kolana.

— Najświętsza Panno, a toś mię pan nastraszył!

Potem powstał i zawołał:

— Dziękuję wam, ojcze Madeleine!

Jan Valjean zemdlał był tylko. Świeże powietrze przywróciło mu przytomność.

Radość jest przypływem przerażenia. Fauchelevent z równą prawie trudnością, jak Jan Valjean przychodził do siebie.

— Więc pan nie umarłeś! A jaki pan jesteś rozumny! Wołałem póty aż odzyskałeś przytomność. Gdym zobaczył wasze oczy zamknięte, powiedziałem sobie, dobryś! udusił się. Wściekłbym się z szaleństwa, dostałbym się do czubków. Bo i cobym robił, gdybyś pan umarł? a wasza mała! przekupka nie wiedziałaby co to znaczy. Rzucają jej na kark dziecię, a dziadek umarł! Co za historja!—święci niebiescy, co za historja! A! pan żyjesz, to najważniejsza.

— Zimno mi — rzekł Jan Valjean.

To słowo zupełnie wróciło ojca Fauchelevent do rzeczywistości, która wymagała spiesznego działania. Dwaj ci ludzie, nawet odzyskawszy przytomność, nie wiedząc przyczyny, czuli niepokój i coś w sobie dziwnego, niby jakieś złowrogie obłąkanie grobu.

— Wychodźmy ztąd jaknajprędzej—zawołał Fauchelevent.

Poszukał w kieszeni i wyjął tykwę z wódką, w którą się opatrzył na wszelki przypadek.

— Ale najprzód po kropli! — rzekł.

Flasza dokonała tego, co rozpoczęło świeże powietrze. Wypiwszy łyk wódki, Jan Valjean zupełnie przyszedł do siebie.

Wydobył się z trumny i pomógł ojcu Fauchelevent zabić jej wieko.

We trzy minut potem wyleźli z dołu. Zresztą Fauchelevent był spokojny. Cmentarz był zamknięty. Nie obawiano się nadejścia grabarza Gribier. Rekrut ten był w domu, zajęty szukaniem karty, której znaleźć nie mógł, bo była w kieszeni ojca Fauchelevent. Bez karty nie mógł powrócić na cmentarz.

Fauchelevent wziął łopatę, Jan Valjean motykę i obydwaj zagrzebali pustą trumnę.

Gdy dół zasypano, Fauchelevent rzekł do Jana Valjean:

— Wychodźmy. Ja biorę łopatę, pan nieś motykę.

Noc zapadła.

Jan Valjean z trudnością poruszał się i chodził. W trumnie zesztywniał i stał się trochę trupem. Bezwładność śmierci chwyciła go między czterema deskami. Trzeba było, by niejako odtajał z grobowego mrozu.

— Ociężałeś pan — rzekł Fauchelevent. Szkoda, że jestem kulawy, moglibyśmy się rozgrzać, grając w podbijanego.

— Ba! — odpowiedział Jan Valjean — uszedłszy kilka kroków odzyskam siły w nogach.

Weszli w aleję, którą przejeżdżał karawan. Przybywszy do kraty zamkniętej i mieszkania odźwiernego, Fauchelevent, który trzymał w ręku kartę grabarza, rzucił ją do pudła, odźwierny pociągnął za sznurek, drzwi się otwarły i wyszli.

— Wszystko idzie jak z płatka!—rzekł Fauchelevent—doskonałą mieliście myśl ojcze Madeleine!

Przeszli rogatkę Vaugirard bez najmniejszej przeszkody. W okolicach cmentarza łopata i motyka są paszportami.

Ulica Vaugirard była pusta.

— Ojcze Madeleine — rzekł Fauchelevent, idąc i patrząc na domy, macie lepsze oczy odemnie. Pokażcie mi numer 87.

— Oto on — rzekł Jan Valjean.

— Na ulicy nie ma nikogo—mówił Fauchelevent. —Dajcie mi motykę i zaczekajcie parę minut.

Fauchelevent wszedł do domu № 87, wdarł się na najwyższe piętro, wiedziony instynktem, który zawsze prowadzi biedaka pod strych i zastukał w cieniu do drzwi poddasza. Głos odpowiedział:

— Proszę wejść.

Był to głos Gribiera.

Fauchelevent pchnął drzwi. Mieszkanie grabarza, jak wszystkie podobne nieszczęśliwe schronienia, było ciupą bez sprzętów a zawaloną gratami. Duże pudło,— może trumna—zastępowało komodę, kieża od masła — wanienkę od wody, siennik zastępował łóżko, podłoga—krzesła i stół. W kącie siedziała na łachmanie, ze starego kobierca chuda kobieta i gromadka skupionych około niej dzieci. Uboga izba nosiła ślady świeżych przenosin. Rzekłbyś, że w tym jednym kątku było trzęsienie ziemi. Zrzucone pokrywy, rozpostarte szmaty, dzban stłuczony, matka zapłakana, prawdopodobnie dzieci obite; ślady poszukiwań zawziętych i gburowatych. Oczywiście grabarz zapamiętale szukał swej karty i wszystko na poddaszu odpowiedzialnem czynił za swą stratę, od dzbana do żony. Miał postać człowieka rozpaczy.

Ale Fauchelevent zbyt się spieszył, aby już raz przygodzie koniec położyć i nie uważał na smutne skutki tego, co dlań było powodzeniem.

Wszedł i rzekł:

— Odnoszę wam motykę i łopatę.

Griber spojrzał osłupiały.

— To wy, wieśniaku?

— A jutro rano znajdziecie swoją kartę u odźwiernego cmentarza.

Położył łopatę i motykę na podłodze.

— Co to ma znaczyć? — zapytał Gribier.

— To ma znaczyć, że karta wypadła wam z kieszeni, że znalazłem ją na ziemi kiedyście już odeszli, że pogrzebałem zmarłą, zasypałem dół, że zrobiłem za was robotę, że odźwierny odda wam kartę i że nie zapłacicie piętnastu franków. Rozumiesz rekrucie?

— Dziękuję wam, zacny wieśniaku!—zawołał olśniony Gribier. Na drugi raz ja płacę za butelkę.

VIII.

Badanie pomyślne.

W godzinę potem, ciemną nocą stanęli dwaj ludzie z dzieckiem przed bramą N. 62 przy małej ulicy Picpus. Starszy z nich zadzwonił.

Byli to Fauchelevent, Jan Valjean i Cozetta.

Dwaj poczciwcy wstąpili po Cozettę do przekupki na ulicy Zielonej Drogi, gdzie ją wczoraj zostawił Fauchelevent. Cozetta przepędziła dwadzieścia cztery godzin drżąc milcząca, nic nie pojmując z tego co się działo. Zacna przekupka zadawała jej tysiące pytań, ale za całą odpowiedź otrzymywała tylko smutne spojrzenia. Cozetta nie rzekła ni słówka o tem, co od dwóch dni widziała i słyszała. Domyśliła się, że przebywa straszne przesilenie, i czuła w głębi duszy, że powinna być „grzeczną“. Któż nie doświadczył wszechmocnej potęgi tych trzech wyrazów, powiedzianych pewnym akcentem do ucha przerażonej dzieciny: *Nic mów nic!* Bojaźń jest niemową. Zresztą nikt lepiej od dzieci nie dotrzymuje tajemnicy.

Gdy jednak po upływie smutnych dwudziestu czterech godzin ujrzała znowu Jana Valjean, z piersi jej wyrwał się okrzyk radości, który słysząc człowiek myślący odgadłby, że ten głos wyrażał dobycie się z przepaści.

Fauchelevent, jako należący do klasztoru, znał hasła. Wszystkie drzwi się otwarły.

Tak rozwiązano podwójne i straszne zagadnienie: Jak wyjść i wejść napowrót.

Odźwierny, który otrzymał już instrukcje, otworzył furtkę dla służby, dotykającą podwórka od ogrodu, którą przed dwudziestu laty widziano od ulicy w głębi muru naprzeciw głównej bramy. Wprowadził ich troje przez tę furtkę na podwórko, a ztamtąd weszli do parlatorjum, w którem wczoraj Fauchelevent otrzymywał rozkazy od przełożonej.

Przełożona czekała z różańcem w ręku.

Przy niej stała matka głosująca z zapuszczoną zasłoną. Cienka świeczka oświecała, rzekłbym prawie, zdawała się tylko oświecać parlatorjum.

Przełożona obejrzała Jana Valjean. Nic tak ściśle nie bada jak oko spuszczone.

Potem zapytała:

— To wy jesteście bratem?

— Tak jest wielebna matko — odpowiedział Fauchelevent.

— Jak się nazywacie?

Fauchelevent odpowiedział:

— Ultim Fauchelevent.

W istocie miał brata imieniem Ultim, który umarł.

— Z jakiej jesteście okolicy?

Fauchelevent odpowiedział:

— Z Picquigny, pod Amiens.

— Ile macie lat?

— Pięćdziesiąt.

— Wasz stan?

Fauchelevent odpowiedział:

— Ogrodnik.

— Jesteście dobrym chrześcianiniem?

Fauchelevent odpowiedział:

— W naszej rodzinie wszyscyśmy dobrzy chrześcjanie.

— Ta mała jest wasza?

Fauchelevent odpowiedział:

— Tak, wielebna matko.

— Jesteście jej ojcem?

Fauchelevent odpowiedział:

— Dziadkiem, wielebna matko.

Matka głosująca rzekła półgłosem do przełożonej:

— Dobrze odpowiada.

Jan Valjean przez cały czas nie wyrzekł słowa.

Przełożona z uwagą spojrzała na Cozettę i rzekła pocichu do matki głosującej:

— Będzie brzydka.

Obydwie matki kilka minut rozmawiały z sobą półgłosem w kącie parlatorjum, potem przełożona obróciła się i rzekła:

— Ojcze Fauvent, będziecie mieli drugi pasek z dzwonkiem. Teraz potrzebne są dwa.

W istocie nazajutrz słyszano dwa dzwonki w ogrodzie, a zakonnice nie mogły się oprzeć pokusie i niepodnieść końce zasłony. W głębi pod drzewami kopało przy sobie dwóch ludzi: Fauvent i drugi. Wypadek ogromny. Przerwano milczenie i szeptano aż sobie: To pomocnik ogrodnika.

Matki głosujące dodały: to brat ojca Fauvent.

W istocie Jan Valjean był formalnie zainstalowany; u kolan miał rzemienny pas z dzwonkiem; odtąd był oficjalistą klasztornym. Nazywał się Ultim Fauchelevent.

Główną przyczyną, która stanowczo wpłynęła na przyjęcie go do klasztoru, było spostrzeżenie przełożonej o Cozecie: *będzie brzydką.*

Przełożona, wyrzekłszy tę przepowiednię, zaraz polubiła Cozettę i dała jej miejsce na pensji jako wychowanicy z miłosierdzia,

Jest to bardzo loiczne.

Nic nie znaczy, że w klasztorze nie ma zwierciadeł; kobiety mają przeczucie swej piękności; otóż dziewczynki, które czują się ładnemi, niełatwo zostają zakonnicami, a że powołanie zwykle jest w odwrotnym stosunku do piękności, więcej spodziewają się po brzydkich niż po ładnych. Ztąd wielkie upodobanie w brzydkich dziewczynkach.

Cała ta przygoda podniosła znaczenie poczciwego ojca Fauchelevent; miał potrójne powodzenie: u Jana Valjean, którego ocalił i przytulił; u grabarza Gribier, który powiedział sobie: wybawił mię od kary pieniężnej; i w klasztorze, który dzięki jemu, zachowując trumnę z matką Ukrzyżowanie pod ołtarzem kaplicy, wykręcił się od praw cesarza, a zadowolił Boga. W klasztorze Picpusa Małego była trumna z trupem, a na cmentarzu Vaugirard trumna bez trupa; musiało to mocno zachwiać publicznym porządkiem, ale jakoś tego nie spostrzegł. Co do klasztoru, wielką była jego wdzięczność dla ojca Fauchelevent. Fauchelevent stał się najlepszym ze sług i najszacowniejszym z ogrodników. Przy pierwszej wizycie arcybiskupa, przełożona opowiedziała jego wysokości wypadek, trochę się spowiadając a trochę chlubiąc. Arcybiskup wyszedłszy z klasztoru opowiedział zdarzenie z radością a pocichu księdzu Latil, spowiednikowi brata królewskiego, późniejszemu arcybiskupowi Reims i kardynałowi. Podziwienie dla ojca Fauchelevent zaszło bardzo daleko i dosięgnęło aż do Rzymu. Mamy przed oczyma liścik pisany przez panującego wówczas papieża Leona XII do jednego ze swych krewnych monsignora z nuncjatury paryzkiej, i jak on nazwiskiem Della Genga; czytamy w nim następujące wyrazy: „Zdaje się, że w jednym z klasztorów paryzkich jest doskonały ogrodnik, człowiek święty, nazwiskiem Fauvan.“ Ale ten tryumf nie doszedł do chałupy ojca Fauchelevent, który jak dotychczas szczepił, kopał, grabił, pokrywał rogożą melony, nic nie wiedząc o swej doskonałości i świętości. Nie więcej domyślał się swej chwały, jak wół z Durham lub Surrey, którego zamieścił wizerunek *Illustrated London News* z podpisem: *Wół, który otrzymał nagrodę na wystawie bydła rogatego.*

IX.

Klauzura.

Cozetta, przyjęta do klasztoru, zachowała milczenie.

Rzecz naturalna, że uważała się za córkę Jana Valjean. Zresztą, nie wiedząc o niczem, nie mogła nic mówić, a w każdym razie nic by nie powiedziała. Jużeśmy raz mówili, że nic tak nie usposabia dzieci do milczenia jak nieszczęście. Cozetta wycierpiała tyle, że wszystkiego się lękała, nawet mówić, nawet oddychać. Tak często lada słowo ściągało na nią nawałnicę! Zaledwie zaczynała być spokojniejszą od czasu, jak miał ją u siebie Jan Valjean. Prędko przyzwyczaiła się do klasztoru. Żałowała tylko Katarzyny, ale nie śmiała o tem mówić. Jednakże raz rzekła do Jana Valjean: — „Ojcze, gdybym była wiedziała, byłabym ją wzięła z sobą.“

Cozetta, zostawszy pensjonarką klasztoru, musiała ubrać się w mundurek wychowanic domu. Jan Valjean prosił, żeby mu oddano dawną jej odzież. Było to ubranie żałobne, to samo, w które ją przyodział, gdy opuszczała garkuchnię Thenardierów. Nie było jeszcze bardzo zużyte. Jan Valjean zapakował te szmatki, z pończochami wełnianemi i trzewikami, nasyciwszy kamforą i różnemi aromatami, których w klasztorach jest pełno, i zamknął w małym kuferku, któ-

ry sobie kupił. Kuferek położył na krzesełku przy łóżku i miał przy sobie klucz od niego. — Ojcze, zapytała pewnego dnia Cozetta, co jest w tym kufrze, że tak pięknie pachnie?

Ojciec Fauchelevent oprócz chwały, o którejśmy mówili, a o której nie wiedział, był jeszcze dotykalnie wynagrodzony za dobry uczynek; najprzód był nim uszczęśliwiony; dalej mniej miał roboty, bo ją z nim dzielił Jan Valjean; nakoniec, lubiąc bardzo zażywać tabakę, miał tę korzyść z obecności p. Madeleine, że trzy razy więcej jej zażywał niż dawniej i z nierównie żywszą rozkoszą, bo ją kupował p. Madeleine.

Zakonnice nie przyjęły imienia Ultim, i nazywały Jana Valjean *drugi Fauvent.*

Gdyby owe święte panny miały nieco przenikliwości Javerta, zauważyłyby z czasem, że gdy szło o załatwienie jakiego interesu za domem, zawsze wychodził starszy Fauchelevent, zgrzybiały, kaleka, chromy, a nigdy drugi; ale bądź że oczy zawsze zwrócone ku Bogu nie umieją szpiegować, czy że wolały raczej szpiegować się wzajem, dość że wcale na to nie zwróciły uwagi.

Zresztą Jan Valjean dobrze wyszedł, że siedział cicho i nie ruszał się z klasztoru. Przeszło miesiąc Javert nie spuszczał oka z tej dzielnicy.

Klasztor był dla Jana Valjean niby wyspą, otoczoną przepaściami. Odtąd te cztery mury stały się dla niego światem. Dość widział nieba, by mieć pogodne czoło, dość mu było Cozetty, by czuć się szczęśliwym.

Zaczął wieść życie ciche, spokojne i szczęśliwe.

Mieszkał ze starym Fauchelevent w chałupie w głębi ogrodu. Chata wystawiona z gruzów—istniała jeszcze w r. 1845, złożona, jak wiadomo, z trzech izb nagich bez żadnych sprzętów. Główną izbę Fauchelevent ustąpił przemocą panu Madeleine, który napróżno się temu opierał. Na ścianie tej izby, oprócz kosza i paska z dzwonkiem zawieszonych na hakach,

przylepioną była jako ozdoba moneta papierowa rojalistów z 93 roku z takim napisem: *Armia katolicka i królewska. W imieniu króla. Bona wartości dziesięciu liwrów za przedmioty dostarczone armji, wypłacalna w czasie pokoju. Serja 3. N. 10390. Stofflet.*

Tę assygnatę wandejską przylepił do muru poprzedni ogrodnik, dawny szuan, w klasztorze zmarły, po którym zajął miejsce Fauchelevent.

Jan Valjean codziennie pracował w ogrodzie i był bardzo użyteczny. Niegdyś w młodości zajmował się czyszczeniem drzew i teraz chętnie został ogrodnikiem. Przypominacie sobie, że posiadał wszelkiego rodzaju przepisy i tajemnice ogrodowe. Teraz z nich korzystał klasztor. Prawie wszystkie drzewa ogrodu były dzikie; Jan Valjean je poszczepił i zaczęły wydawać doskonałe owoce.

Cozecie wolno było codzień przepędzać z nim godzinę. Że siostry były smutne a on dobry, więc dziecię porównywało go z niemi i ubóstwiało. W oznaczonej godzinie przybiegała do chałupy. Gdy weszła otwierał się raj dla Jana Valjean. Jaśniał radością i czuł, że jego szczęście wzrasta szczęściem, jakie sprawiał Cozecie. Radość, którą budzimy w drugich, ma to osobliwego, że zamiast słabnąć, jak każde odbicie, wraca ku nam jeszcze promienistszą. W godzinach rekreacji Jan Valjean patrzył na nią zdaleka jak biegała i bawiła się i wyróżniał jej śmiech od śmiechu innych dziewczątek.

Bo teraz Cozetta się śmiała.

Nawet jej twarz nieco się zmieniła. Zniknął z niej smutek ponury. Śmiech to słońce, spędza zimę z ludzkiego oblicza.

Po skończonej rekreacji, gdy Cozetta wróciła na pensją, Jan Valjean patrzył w okna klassy, a w nocy wstawał by patrzeć na okna jej sypialni.

Zresztą Bóg ma swe drogi, któremi prowadzi człowieka. Klasztor, podobnie jak Cozetta, przyczynił się do podtrzymania i uzupełnienia w Janie Valjean

dzieła biskupa. Pewną jest rzeczą, że cnota ma strony, któremi dotyka pychy. Stoi tam most zbudowany przez djabła. Jan Valjean, nie wiedząc może, był dość bliski tego mostu, gdy Opatrzność rzuciła go do klasztoru Picpusa Małego; dopóki porównywał się tylko z biskupem, czuł się niegodnym i mimowolnie się upokarzał, ale od czasu jak zaczął porównywać się z ludźmi, pycha w nim rosła. Kto wie? może w końcu zwolna wróciłby do nienawiści.

Klasztor powstrzymał go na tej zgubnej pochyłości.

Było to drugie miejsce jego niewoli. W młodości w początkach życia i później świeżo jeszcze, był w innem, strasznem, okropnem miejscu, którego srogość wydawała mu się zawzdy niegodziwością sprawiedliwości i zbrodnią prawa. Dziś z galer dostał się do klasztoru i gdy pomyślał, że cierpiał na galerach, a teraz był tylko widzem klauzury, porównywał te dwa miejsca z pewną obawą.

Niekiedy wsparł się na łopacie i zwolna zatapiał w niezmierzonych głębiach marzenia.

Przypominał sobie dawnych towarzyszów, jak oni byli nędzni; wstawali o świcie i pracowali aż do nocy, zaledwie dawano im czas usnąć; spali na deskach, na których wolno im było kłaść sienniki na dwa tylko cale grube, w salach ogrzewanych jedynie w najzimniejszej porze roku; odziewali się w okropne kaftany czerwone, z łaski pozwalano im nosić spodnie płócienne w czasie wielkich upałów i opończę wełnianą w zimie; nie pili wina ani jedli mięsa, chyba gdy ich wysyłano na ciężką robotę. Żyli bez nazwiska, oznaczani numerami, przemienieni w rodzaj liczb, ze spuszczonemi oczyma, zniżonym głosem, obciętymi włosami, pod batogiem, w sromocie.

Później myśl jego zwracała się do istot, które miał przed sobą.

Istoty te miały także obcięte włosy, spuszczone oczy, zniżony głos, żyły nie w sromocie wprawdzie,

ale wśród szyderstw świata, kij wprawdzie nie bił ich pleców, ale dyscyplina raniła łopatki. I one także straciły nazwiska, jakie miały między ludźmi; istnienie swoje kryły pod surowemi nazwami. Nigdy nie jadły mięsa ani piły wina; niekiedy do wieczora były bez pokarmu, odziane nie kaftanem czerwonym, ale czarnym całunem wełnianym, zaciężkim w lecie, zalekkim w zimie, nic ująć, nic dodać nie mogąc, bez odzieży płóciennej w lecie, bez okrycia wełnianego zimą, a przez sześć miesięcy oblekając włosiennice, od których dostawały gorączki. Mieszkały nie w salach opalanych w czasie ostrych mrozów, ale w celach nie ogrzewanych nigdy, spały nie na materacach grubych dwa cale, lecz na słomie. Nakoniec nie dawano im nawet spać spokojnie; co noc po całym dniu pracy, musiały ledwie odetchnąwszy po znużeniu, ledwie odgrzawszy się nieco, w chwili pierwszego snu, budzić się, wstawać i iść modlić się w mroźnej i posępnej kaplicy, ukląkłszy na kamieniu.

W pewnych dniach każda z nich kolejno klęczała na posadzce kamiennej przez dwanaście godzin, lub leżała krzyżem z wyciągnionemi rękoma.

Tamto byli mężczyzni, to kobiety.

Co zawinili ci mężczyzni? Kradli, rozbijali, gwałcili, łupili, zabijali, mordowali. Byli to rozbójnicy, fałszerze, truciciele, podpalacze, mordercy, ojcobójcy. Co zawiniły te kobiety? Nic nie zawiniły.

Z jednej strony rozbój, oszukaństwo, podstęp, gwałt, wszeteczeństwo, mężobójstwo, wszelkie rodzaje świętokradztwa, wszelkie odcienia zbrodni; z drugiej jedno tylko — niewinność.

Niewinność doskonała, uniesiona prawie tajemniczym wniebowzięciem, dotykająca jeszcze ziemi cnotą, sięgająca niebios świętobliwością.

Z jednej strony zwierzenia zbrodni, czynione po cichu. Z drugiej spowiedź z błędów, wyzwanych głośno. A jakich zbrodni! i jakich błędów!

Z jednej strony wyziewy zgnilizny, z drugiej niewysłowione wonie. Z jednej strony zaraza moralna, strzeżona pod kratą, zamknięta pod paszczą armat, i powoli pożerająca zarażonych; z drugiej czyste rozpłomienienie dusz wszystkich przy jednem ognisku. Tam ciemności, tu cień, ale cień pełen jasności, a jasności pełne promieni.

Dwa miejsca niewoli; ale w pierwszem możliwe jest oswobodzenie, przewidziane ograniczenie prawne, a wreszcie ucieczka; w drugiem niewola do śmierci, jedyna nadzieja na dalekim krańcu przyszłości, to światło swobody, które ludzie nazywają śmiercią.

W pierwszym przykuwano tylko kajdanami, tu skuwano wiarą

Co dobywało się z pierwszego? Niezmierne przekleństwo, zgrzytanie zębów, nienawiść, złość zrozpaczona, ryk wściekły na społeczeństwo ludzkie, szyderstwo z nieba.

Co wychodziło z drugiego? Błogosławieństwo i miłość.

I w dwóch tych miejscach tak podobnych i tak różnych, dwa rodzaje istot tak odmiennych spełniały jedno i to samo dzieło — pokutę.

Jan Valjean dobrze pojmował pokutę pierwszych, pokutę osobistą, pokutę za własne grzechy, ale nie pojmował pokuty drugich, tych istot bez zarzutu i zmazy, i zapytywał się ze drżeniem: Pokuta za co? jaka pokuta?

Głos sumienia odpowiadał: najwyższe prawie boskie zaparcie się siebie i ofiara za drugich.

Zastrzegmamy sobie osobiste nasze w tym względzie przekonanie; piszemy powieść tylko, i ze stanowiska Jana Valjean tłumaczymy jego wrażenia.

Miał przed oczyma najwznioślejsze zaparcie, najwyższy szczyt możliwej cnoty; niewinność co przebacza ludziom ich błędy i za nich pokutuje; niewolę dobrowolną, męczarnię chętnie przyjętą, katuszę pożądaną od dusz, które nie zgrzeszyły, aby uwolnić od

niej dusze, które upadły; miłość ludzkości ginąca w przepaściach miłości Boga, ale zawsze od niej różną, błagającą; ciche słabe istoty, z uśmiechem nagrodzonych, cierpiące nędzę skazanych.

I przypomniał sobie, że ośmielił się narzekać!

Często wśród nocy zrywał się i słuchał dziękczynnego hymnu tych istot niewinnych, a obarczonych umartwieniami, i krew ścinała mu się w żyłach lodem na myśl, że sprawiedliwie karani podnosili głos ku niebu, by złorzeczyć i bluźnić, a on, nędznik, groził pięścią Bogu.

Rzecz uderzająca, nad którą dumał głęboko niby nad cichą przestrogą samej Opatrzności: trudne a niebezpieczne wdzierania się na mury, wyrywanie z więzienia, odważanie na śmierć pewną, wszystkie usiłowania by wydostać się z tamtego miejsca pokuty, posłużyły mu na to, by dostał się do tego, w którem teraz zostawał. Byłże to symbol jego przeznaczeń?

Dom ten był także więzieniem, i z ponurej powierzchowności podobny był do owego mieszkania, z którego uciekł, a jednak nic podobnego nie przychodziło mu na myśl.

Znowu widział kraty, zamki, sztaby żelazne, które strzegły kogo? Aniołów.

Wysokie mury otaczały tam tygrysów, tu owieczki.

Było to miejsce pokuty nie kary, a jednak daleko surowsze, posępniejsze i nieubłagańsze niż tamto. Dziewice tu ugiąały się pod twardszem jarzmem, niż galernicy. Wiatr zimny i ostry, ów wiatr, który zamroził jego młodość, przedzierał się do okratowanej i zaryglowanej nory jastrzębi; ostrzejszy jeszcze i boleśniejszy wicher dął do klatki gołębic.

Dlaczego?

Gdy myślał o tych rzeczach cała jego dusza ginęła w przepaści w obec tej tajemnicy szczytności.

W rozmyślaniach takich ginęła pycha. Oglądał się ze wszystkich stron, czuł nędznym i często płakał. Cokolwiek weszło w jego życie od sześciu miesięcy,

zawracało go ku świętym napomnieniom biskupa; Cozetta miłością, klasztor pokorą.

Niekiedy wieczorem, o zmroku, gdy ogród był pusty, widziano go klęczącego w alei pod oknem kaplicy, gdzie zajrzał pierwszej nocy po przybyciu, obrócony twarzą ku miejscu, gdzie siostra odbywała przebłaganie, modląc się rozciągnięta na kamieniu. I on się modlił, klęcząc przed tą siostrą.

Zdawało się, że nie śmiał uklęknąć bezpośrednio przed Bogiem.

Wszystko co go otaczało, ogród spokojny, wonne kwiaty, dzieci wydające radosne okrzyki, kobiety skromne a poważne i klasztor milczący — przenikało go zwolna i nieznacznie dusza jego napełniała się tem milczeniem klasztoru, tą wonią kwiatów, tą ciszą ogrodu, tą prostotą i powagą kobiet i tą radością dziatek. I pomyślał, że dwa domy Boże kolejno przyjęły go w dwóch chwilach najkrytyczniejszych życia; pierwszy, gdy wszystkie drzwi zamykały się przed nim, gdy odpychało go społeczeństwo ludzkie; drugi w chwili gdy społeczeństwo ludzkie ścigało go znowu, a więzienie już stało otworem; gdyby nie pierwsze, wpadłby znowu w występki, gdyby nie drugie, wydany by był na męki.

Całe serce jego wylewało się w uczuciach wdzięczności i kochał coraz mocniej.

Tak upłynęło lat kilka. Cozetta wzrastała.

KONIEC TOMU CZWARTEGO I CZĘŚCI DRUGIEJ.

TREŚĆ TOMU IV.

Część druga.

COZETTA.

KSIĘGA PIĄTA.

Jakie łowy takie ogary.

I	Gzygzaki strategiczne	9
II	Szczęście, że przez most Austerlicki przechodzą wozy	13
III	Patrz plan Paryża z r. 1727	16
IV	Próby ucieczki	20
V	Rozdział, który byłby niemożliwym przy oświetleniu gazowem	23
VI	Początek zagadki	28
VII	Dalszy ciąg zagadki	31
VIII	Zagadka coraz ciemniejsza	34
IX	Człowiek z dzwonkiem	37
X	Tłumaczy się jakim sposobem Javert zpudłował	42

KSIĘGA SZÓSTA.

Picpus mały.

I	Mała ulica Picpus, Nr. 62	55
II	Reguła Marcina Verga	60
III	Surowość klasztorna	68
IV	Wesele	70

V Roztargnienia 75
VI Mały klasztor 81
VII Kilka sylwetek z tych cieniów 85
VIII Post corda lapides 88
IX Stulecie pod habitem 90
X Początek Zakonu 93
XI Koniec Picpusa Małego 95

KSIĘGA SIÓDMA.

Nawias.

I Klasztor, idea oderwana 101
II Klasztor, fakt historyczny 102
III Pod jakim warunkiem można szanować przeszłość. 106
IV Klasztor ze stanowiska zasad 109
V Modlitwa 111
VI Bezwzględna dobroć modlitwy 113
VII Ostrożność w sądzie 116
VIII Wiara, prawo 118

KSIĘGA ÓSMA.

Cmentarze biorą, co im dają.

I Gdzie mowa o tem, jak się wchodzi do klasztoru 123
II Fauchelevent wobec trudności 132
III Matka Innocenta 135
IV Zdawać się może, jakoby Jan Valjean czytał Austina Castillejo 147
V Nie dość upijać się, by być nieśmiertelnym . . 154
VI Między czterema deskami 162
VII Gdzie jest źródło, z którego powstało wyrażenie: stracić kartę, stracić głowę 165
VIII Badanie pomyślne 174
IX Klauzura 178

BIBLIOTEKA NARODOWA

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
43149 A
3-4
Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001002734574